

JÓZEF MACKIEWICZ

KONTRA

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1957

—
X
—

Fidd, II. 173.462 (A) z
II. 212.490
CICN m. w.

KONTRA

X

BIBLIOTEKA „KULTURY”
TOM XX

IMPRIME EN FRANCE

Wydawca : Edition et Librairie « LIBELLA »,
12, rue Saint-Louis-en-l'Île, Paris (4^e).

242. 41
JÓZEF MACKIEWICZ

KONTRA

W. H. LODZIA - IWANOWSKI
Kuznica k/Grodna - Milton, MA.
Poland USA

INSTYTUT

PARYŻ



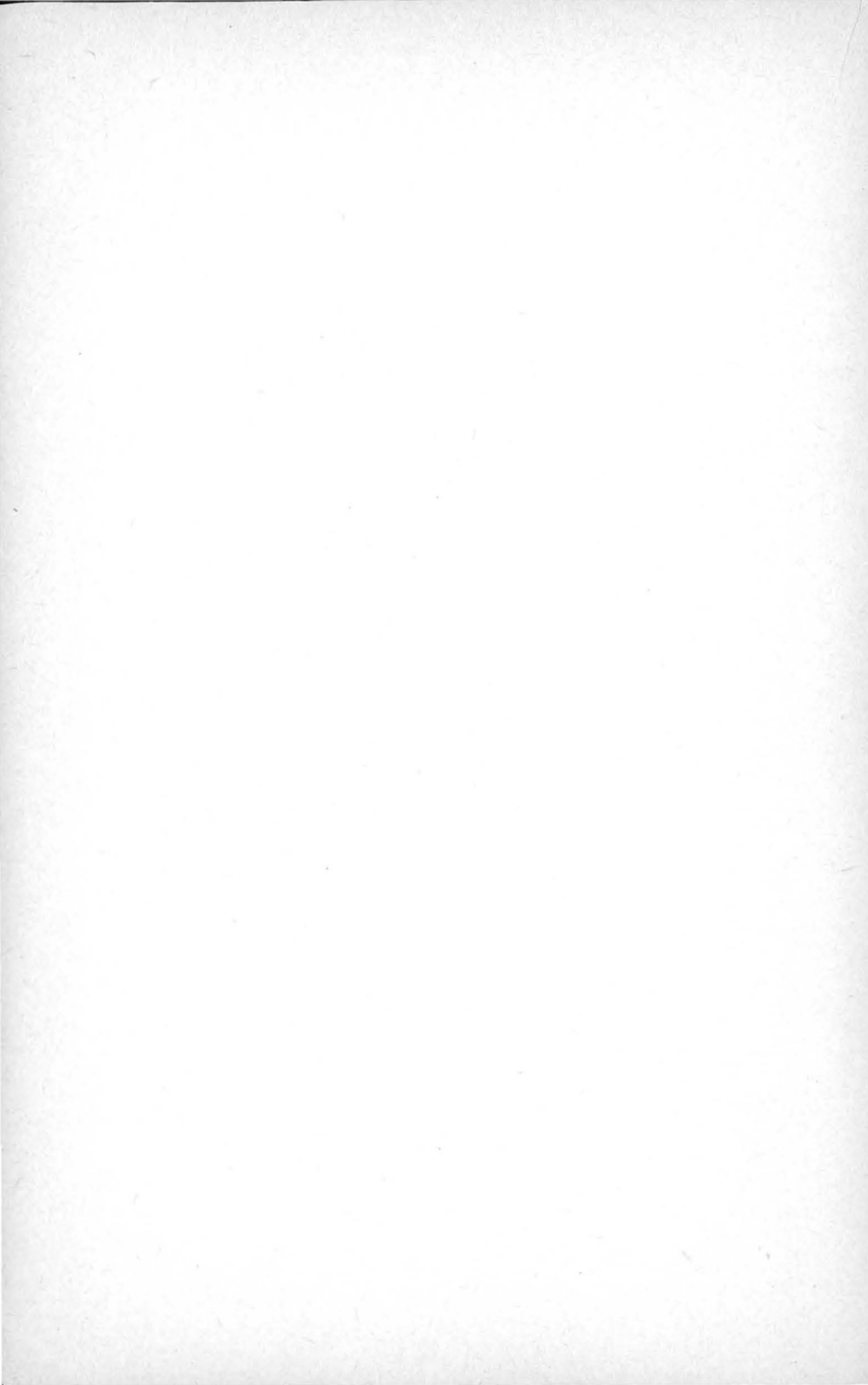
LITERACKI

1957

Wszystkie prawa przedruku zastrzeżone.
Copyright by „Kultura”, 1957.

CZĘŚĆ PIERWSZA

JAK DO TEGO DOSZŁO ?





Są dwie prawdy na świecie. Pierwsza to ta, która ściśle otacza ziemię i wiernie odbija w wodzie płynące górą obłoki. Oddaje echem w górach. Rejestruje dokładnie szum lasu i trzciny nad jeziorem. Wie gdzie ma leżeć każdy kamień w płytkim potoku i dlaczego wywołuje odgłos wiecznego plusku. Ta prawda słyszy najmniejszy szmer owadu i najbliższe słowo ludzkie. Nie uśmiecha się jednak nigdy, nawet wtedy gdy świeci słońcem poprzez płatki jabłoni na wiosnę. Ale też nie marszczy się, nie wykrzywia oblicza złością nawet wtedy, gdy z obłoków czyni chmury i pędzi je nad płaską ziemią zwiastując burzę. Nie okazuje ani miłości, ani nienawiści. Z niczego nie kpi, gdyż nic, co jest na ziemi, nie uważa za śmieszne. Nad niczym nie rozrywa szat, gdyż nic co jest na ziemi nie wydaje się jej tego godne. Niczego nie zmienia i niczego nie przeinacza. Kto zabił muchę, ten zabił. Kto zabił człowieka, ten zabił. Jest idealnie obojętna, bo idealnie obiektywna. Jest prawdą całkowitą, gdyż przyrodzoną.

Za jedyną jej cechę nadprzyrodzoną poczytywać by można pewną tajemnicę, dotychczas przez nikogo jeszcze nie zgłębioną: W jaki sposób, a przede wszystkim w jakim celu, wyrodziła z siebie, w tym samym lesie i stepie, w miastach i na polu, na łądzie, na wodzie i w powietrzu — drugą prawdę?

Ta druga prawda składa się pozornie tylko z dobra i zła. Ale omyliłby się, kto by jej uwierzył na słowo. Gdyż jej dobro i zło są pojęciami względnymi. Ta prawda nigdy nie spoczywa, a wskutek tego rzadko odbija dokładnie oblicze rzeczy. Dlatego wykrzywia się często uśmiechem komizmu lub grymasem złości. Będąc w ciągłym ruchu

ledwo nadażyć może za masą słów i gestów ludzkich. Twierdzi, że stara się je rejestrować równie dokładnie co prawda pierwsza, lecz w rzeczywistości stara się je tylko dopasować do swoich względnych celów, a w pośpiechu życia wiele przeinacza. Mogłoby się zdawać, że jest powierzchowna jak poranna mgła, którą rozproszą pierwsze promienie słońca lub rozpędzi byle poranny wiaterek. Ale tak nie jest. Utrzymuje się bowiem na powierzchni kurczowo czepiając skrawków pierwszej prawdy. Rozpłaszczając na ziemi zaklina się na te same lasy, pola i źródła, powołuje się na świadków, czy to będą trele ptaka, krzyk rozzdzieranego kota, czy krew człowieka, umiejętnie przywołane przed trybunał wyobraźni ludzkiej; wszakże zawsze z pominięciem innych świadków... Ta druga prawda umizga się, wykręca, wznosi ręce do słońca, przeklina deszcz i burzę. Obiecuje Bóg wie co. Rzadko dotrzymuje.

O ile pierwsza z tych prawd jest milcząca, o tyle druga często bardzo — propagandowa. O ile pierwsza obojętna, o tyle druga namiętna. Wiedząc o tym, że nie jest jedną, tym bardziej okrzykuje się za jedyną, a przez to obowiązującą. I do pewnego stopnia ma rację, gdyż jest to prawda urzędowa, to znaczy zależna od urzędowego charakteru ustroju, czy nastroju, w którym jest głoszona. W skrócie można by powiedzieć o niej, że jest prawdą koniunkturalnego interpretowania prawdy.



Już z istnienia tych dwóch prawd wynika, co zresztą każdemu wiadomo, jak trudno jest przedstawić dokładny obraz ludzkiego losu, nawet człowieka o życiu uregulowanym i prostym. A cóż dopiero zobrazować los tak skomplikowany, który stał się udziałem Aleksandra Kolcowa, Kozaka z naddońskiej stancji! Gdyby żył dzisiaj, liczyłby lat 97. Ale nie żyje od dnia 1 czerwca 1945 roku, na skutek wypadków zaszłych w austriackim miasteczku Lienz, w dolinie rzeki Drawy. Dlatego, podejmując się sumiennego sprawozdania z tych wypadków, tudzież odpowiedzi na pytanie: jak do nich doszło, i skąd się Aleksander Kolcow na stare lata wziął tak daleko od rodzinnego chutoru, nie mogę pominąć pewnych szczegółów wyjaśniających.

Chutor Kolcowa leżał nad brzegiem Donu, spłaszczony, niski, drewniany, ukryty w wiśniowych sadach. O całym szeregu ważnych, lub drobnych, czy tylko pozornie drobnych okolicznościach dotyczących życia tego chutoru, oczywiście nie nazbyt dużo jest wiadomo na szerokim świecie. Charakteryzując jego uplasowanie geograficzne można by się ograniczyć do stwierdzenia nielicznych faktów, jak te na przykład, że: w dni pogodnego wieczoru letniego ciągnęło od stepu zapachem goryczki i miodu; że gdy księżyc potężny jak ongiś carski rubel, wytaczał się, bywało, zza traw na horyzoncie, to oświecał kraj bezbrzeżny, mogący w ludziach budzić mistycyzm nabożny; że kraj ten słusznie zaliczano do Europy Wschodniej. Tamtędy, począwszy od miejsca gdzie na zachodzie kończył się maszyn leśny Polesia i zawisał nad równiną otwartych pól, poprzez Ukrainę, Don, Kubań, dwa razy do roku, wielkimi rzekami ciągnęły raz na południe raz północ, stada ptaków przelotnych, mając tyle miejsca dla siebie, że tylko nieliczny ich odsetek wpadał w sidła zastawione przez ludzi. Bywało, że w oczeretach przybrzeżnych było gwarniej w ciągu nocy niż w wielkim mieście. Goryczyca, piołun, polny rumianek, wysokie gatunki traw ustępowały regularnie płaszczyźnie śniegów; wysokie niebo niskiemu; blado-niebieskie szaremu. Tylko horyzonty trwały niezmiennie, kompozytorzy pieśni, w których zaduma i tęsknota w rezultacie zawsze opiewały jakowąś — dal...

Ale dal może być też przedmiotem radości. Tak więc na przykład, gdy pewnego wiosennego wieczoru, najstarszy syn Kolcowa, równie jak ojciec Aleksandrem zwany, wracał był konno z miasteczka, i gdy właśnie od rzeki powiało zwyczajną o tej porze świeżością wody, z przymieszką zapachów podroszonej trawy, fiołków i tulipanów, gdy raptem za dąbrową zamajaczyły bardzo jeszcze dalekie światła domu, gdy uprzytomnił sobie: werandę, samowar już podany na stół, ómy atakujące lampę i spadające w talerzyki wiśniowych konfitur — młody Aleksander nie wytrzymał: Wciągnął powietrze, powstał w strzemionach i krzyknął z wielkiej, rozpierającej go radości. A potem pognął konia w skok, nie drogą, a na przełaj, stepem.

Trudno jest określić właściwość tego rodzaju radości.

Tworzy ją ciepło, noc, młodość, może nawet dobre trawienie. Ale nie ma jej nigdy bez poczucia wolnej przestrzeni.

Gdy odprowadziwszy konia do stajni, stanął w blasku lampy padającym z werandy, to trzepnął po cholewie harapem i powiedział tylko:

— Ech, papa!

— No? — spytał stary spod białych rżęs.

— Nic! Ja tak sobie tylko. Życ się chce! Ot co!

Ojciec rzucił okiem na jego mokre od rosy buty, do których przykleiły się cienkie pasemka traw i odparł surowo:

— Ty drogi nie masz, żeby po caliźnie hasać? Co? Po nocy w dziurę trafisz, albo w norę susła. Złam mi nogę koniowi, a ja tobie dam życie, że się odechce! — To był ojcowski zwrot retoryczny. W tym wypadku geograficzna odrębność nie stwarzała odrębności od retorycznych zwrotów ojcowskich w środkowej, południowej, czy zachodniej Europy. I niech fakt ten będzie zanotowany.

Dom Kolcowa był długi, z drzewa, i kryty blachą pomalowaną na kolor zielony. Bo Kolcow należał do ludzi zamożnych. Miał dwa samowary tulskie, jeden miedziany, drugi biały, niklowy, o którym kłamał („stary kufak”!), że jest posrebrzany. Miał więc też sprawy i ulegał wpływom analogicznym do spraw związanych z własnością prywatną całej Europy zachodniej. Tak samo otaczali go biedniejsi od niego i wprost biedni. Ale nawet najbiedniejsi, którzy zazdrościli mu dwóch samowarów, setki owiec, dobrych koni, świeżej farby na dachu, najmniej jednak potrzebowali mu zazdrościć swobody ruchu.

Dopiero leninowska, październikowa rewolucja bolszewicka, czyniąc i bogatych i biednych — biednymi, odebrała zarówno jednym jak i drugim prawo do swobodnego ruchu. Ta wspólnota niedoli, w komunistycznym kaftanie bezpieczeństwa, która szczególnie zaciążyła na płaszczyznach o bardzo szerokich horyzontach, nie była pojęta właściwie w Zachodniej Europie, gdzie marksistowska „walka klas” rozgrywała się raczej w ciasnych dzielnicach fabrycznych.

R o z d z i a ł 1

RODZINA

Aleksander Kolcow urodził się w naddońskim chutorze Jaglickim, w wyjątkowo burzliwą noc zimową roku 1860. Opowiadano, że śnieżna zawieja złała się z niebem tak dokładnie, że człowiek, który wychodził z chaty, widział przed sobą tylko drgającą w szaleństwie ścianę śniegu i nie mógł dojrzeć niczego więcej nawet na odległość zgiętej ręki. Było wiele kłopotu z przeprowadzeniem z trzeciego po sąsiedztwie domu baby znającej się na akuszerstwie. W stepie zasypało kompletnie ciągnący tabor kupiecki, i ponoć trupy ludzi i koni znaleziono dopiero na wiosnę. Czy była to legenda, czy prawda, trudno było ustalić, gdyż dokładnego miejsca katastrofy nikt nie umiał wskazać. Faktem jest jednak, że burza śnieżna trwała trzy dni i trzy noce, a człowiek biegły w odczytywaniu znaków na niebie i ziemi, sąsiad Tymoteusz Osmuchin, już wtedy przepowiadał nowonarodzonemu Aleksandrowi burzliwe życie i burzliwy koniec.

Przepowiednia jednak na razie się nie sprawdzała. Wojny w tym czasie okazały się rzadkie. Dobrobyt w kraju rósł. Biedak w mieście płacił za funt chleba jedną kopiejkę, a dobre buty z cholewami można było dostać już za dwa ruble. Jedyne co w życiu Aleksandra Kolcowa wyróżniło go od innych, to okoliczność, że ożenił się bardzo późno, mając już trzydzieści cztery lata, z dziewczyną młodszą od siebie o lat czternaście. Syn pierworodny, Aleksander, ochrzczony tym imieniem podobnie jak ojciec na cześć dwóch carów, przyszedł na świat w roku 1895. W następ-

nym roku 1896, to znaczy w roku koronacji cara Mikołaja II, urodził się znowu syn, ochrzczony Mikołajem. Potem dopiero zdarzyła się pierwsza niedola w życiu Kolcowa. Mikołaj, mając niespełna dwa lata, utonął w rzece. Wypadek był dziwny. Matka posadziła go na płytkim brzegu, na piasku, dała muszelki i kamyczki do zabawy. Sama zajęła się praniem bielizny. Stukając drewnianą kijanką nie słyszała nawet plusku. Nie sam jednak tragiczny wypadek wzbudził ogólne poruszenie, a fakt nienotowany, ażeby mimo usilnych poszukiwań nigdy i nigdzie nie podobna było wyłowić trupa. Tenże Tymoteusz Osmuchin, podówczas już bardzo stary, rozpowiadał, że trup dziecka wyłowili z wody orzeł-bielik i że to dlatego nie można go było znaleźć. Nie wierzono mu. Jedni twierdzili, że bielik, jak wiadomo orzeł wodny, poluje tylko na ryby; inni, że bielik chwyta wprawdzie młode zajaczki albo susły-bobaki, lecz gardzi padłem.

Ojciec, jak to ojciec, po krótkiej rozpaczcy przyszedł do siebie. Natomiast w matce dokonać się musiał od tego wypadku jakiś wewnętrzny wstrząs. Posmutniała na zawsze. Mimo to następne dziecko, dziewczynka Ula, urodziła się w pięć miesięcy po wypadku duża i zdrowa; czwarta z kolei Raisa dopiero w roku 1902. A najmłodszy syn Mitia, aż w roku 1907.

Pierworodny, zwany Saszą, nie sprawił ojcu zawodu. Wyrosł na schwał. Ojciec, który sam dosłużył się rangi wachmistrza i mimo lat brał jeszcze udział w kampanii japońskiej 1904/5 roku, osobiście odprowadził syna do wojska, kiedy przyszła kolej na jego rocznik. Gdy w roku 1914 wybuchła pierwsza wojna światowa, Sasza zaliczony do 3-go pułku kozackiego, trafił do 1-ej armii generała kawalerii Rennenkampfa i z nią do Prus Wschodnich. Dnia 19 sierpnia wysłany w charakterze łącznika, znalazł się przypadkowo w rejonie Lejb-Gwardii Konnego pułku pod miasteczkiem Kauschen. Z nadmiaru energii, rozpierającej go żywotności, czy też z braku doświadczenia życiowego, przyłączył się zupełnie samowolnie do szarży konnej Lejb-gwardyjskiego pułku, prowadzonej przez rotmistrza barona Wrangla na niemiecką baterię. Podniecony biegiem koń Saszy, czystej krwi dońskiej, pierwszy dopadł nieprzyjacielskich armat. Sasza, nietrafiiony z pistoletu przez strzelającego doń oficera, rąbnął go szablą w dół na prawo,

przecinając twarz od ucha, tak że górna część czaszki odskoczyła wraz z kaskiem o długim szpicu.

To zdarzenie miało zaważyć na całym późniejszym życiu młodego Kozaka. Odznaczony krzyżem Św. Jerzego IV klasy, dostał wkrótce urlop pod pretekstem błędnego zadrażnienia w późniejszych bitwach. Przyjechał do chutoru z niemieckim kaskiem oficerskim, który wówczas podjął i zabrał ze sobą z pola jako widomy znak trofeum wojennego. Podobno nie kłamał, przynajmniej tak powiadano, że rotmistrz baron Wrangel osobiście uściśnął mu wówczas rękę. Sasza wyrażał się w każdym razie o nim z entuzjazmem, podobnie jak o całym kawaleryjskim ataku, który tamten poprowadził.

Ojciec promieniał. Tylko matka, która już zdążyła się nasłuchać różnych babskich słuchów zwłaszcza z kampanii wschodnio-pruskiej, w której brało udział najwięcej synów kozackich z okolicy, słysząc przechwałki własnego, westchnęła raz przy obiedzie:

— Ale ty, Saszeńka, pamiętaj, żebyś nie brał cudzego i nie grabił ludzi.

— Niczego ja nie biorę — odparł spochmurniały Sasza, odpychając pusty talerz po zjedzonej zacierce. — Nikt tam specjalnie nie grabi — dodał po chwili. — Wszystko brechta.

Matka znowu westchnęła, a później pociągnęła dalej swym równym, znużonym codzienną pracą głosem:

— Grabią, synek, grabią. Na dniach mówiono, że Ostapienko Szymon, ordynans Wicenowskiego sotnika, nawet kanarki w klatce przywiózł dla niego z jakiegoś tam Isterbergu.

— Isterburgu — poprawił fachowo syn.

— Nie wiem ja jak on się tam nazywa. Miasto niemieckie. Ale żeby nawet kanarki w klatce zabierać z domu..

— Łże pewnie, Ostapienko.

— Nie łże, nie łże. Onegdaj Raja sama chodziła popatrzeć do Wicenowskich. Żółte takie żółciénkie.

— I śpiewają ślicznie! — uzupełniła Raja.

— Co wy do tych kanarków wczepiliście się jak ptasie wszy! — Rozzłościł się stary Kolcow. — Wielka mi rzecz kanarek! Ile on wart? Za pół rubla w Rostowie możesz kupić tuzin.

— Tu nie o pół rubla się rozchodzi — odparła sentencjonalnie żona.

— Ech, mama, nic się na wojnie nie rozumie. — Z lekceważeniem zamknął dyskusję Sasza.

To było jeszcze w roku 1914. Od tego czasu Sasza istotnie miał okazję poznać wojnę lepiej od wielu. Przeniesiony do innej formacji, wziął ponowny udział w konnej szarży kaukaskiej kawaleryjskiej dywizji w dniu 23 listopada pod Koluszkami, jako jednej z operacji mającej przeskodzić niemieckiemu wyłomowi koło Brzezyn, w wielkiej bitwie o Łódź. Odznaczony ponownie krzyżem, w następnych latach dwukrotnie ranny, awansowany na uradnika, wyszedł po raz drugi ze szpitala już w okresie rewolucji.

I oto nie pociągnął na rodzinny Don, który, jak powiadano, gorzał już walką z bolszewikami, ale tam, gdzie wymieniano nazwisko (wówczas generała) Wrangla... Słyszał było, że odznaczył się bardzo pod stacją Iłowajską dnia 5 maja 1919 roku, walcząc pod komendą generała Szkuro, który wspólnie z oddziałem 2-ej terskiej dywizji rozgromił bolszewików. Mówiono, że brał udział w zwycięskim pochodzie na Charków, a później w wielkim odwrócie na Kubań. Ale w ciągu całego tego czasu ani razu nie udało mu się zawitać do rodzinnego chutoru.

Ranny pod Kachówką, dostał się do niewoli 13-ej sowieckiej dywizji. Prawie cudem się z niej uwolnił, ażeby jeszcze w ostatniej chwili dotrzeć do Nowoczerkaska. Został zaokrętowany i przewieziony na Krym do armii Wrangla. Do końca, mimo licznych pogłosek nie dowiedział się jednak co się stało z domem, rodziną, gdyż pogłoski te były w większości sprzeczne, a listy nie chodziły. W roku 1922 znalazł się na emigracji w Belgradzie.



Dawno już opadły białe płatki w sadach wiśniowych. Wiatr je rozeźnił pod plecione z wikliny płoty, w grzędę pomidorów, rozniósł na pola i nawet w step daleki. Wyszły, zwiędły, pogniły na deszczach. Przestały być. Na drzewach pojawiły się ledwo zaróżowione, niedojrzałe jeszcze owoce. Niebo jest równe, blade po całodziennym upale. Wieczorny chłodek ugrzązł gdzieś w pół drogi od

rzeki i nie dociąga do chutoru Jaglickiego. Pachnie zwyczajnie: gospodarskim dobytkiem, rozgrzanym smarem kół stojącej nieruchomości koło ganku arby, suchą trawą, spieczoną ziemią. Droga idą woły, za nimi kurz stoi leniwie i nie chce opadać. Dwie topole naprzeciw, przy chacie niezamożnego sąsiada Wasyla Maszczenko, jak zawsze skręcone dla czegoś wierzchołkami z zachodu na wschód. Kolcow stoi na ganku w rozpiętym zipunie, w rozchełstanej koszuli, drapiąc się po niegolonej siwiźnie policzka. Chce zebrać myśli, ześrodkować je na jakiejś pożytecznej sprawie, podczas gdy słońce z żółtego jak słonecznik przybiera z wolna kolor rozciętego kawonu i skłania się ku bardzo dalekim frontom pierwszej wojny światowej. Ale myśli rozbiegają się jak kurz codziennego życia. Wieczór taki letni jak każdy inny. A przecież nie zapomni nigdy Aleksander Kolcow tego letniego wieczoru 1916 roku.

Po drodze, na przeciw ciągnącym wołom, szedł człowiek w kaukaskiej czapeczce na głowie, obwieszony czymś kolorowym. Stary zmrużył oczy, rozeznał: szybaj-handlarz domokrażny.

— E! Ormiaszka! Co sprzedajesz? — krzyknął z ganku.

Nie był to wszakże Ormianin lecz Azerbejdżanin, Abbas Malek, do niedawna jeszcze wyrobnik w Elizawietpolu po tamtej stronie szczytów kaukaskich, a od niedawna młody kupiec dorabiający się na ogólnym wzroście dobrobytu.

— Dywany! — odkrzyknął, nie prostując z lekka obraźliwej nazwy, gdyż Ormianie nie cieszyli się solidniejszą opinią w tym kraju. — Kupcie, bogaty Kozaku.

— Dobrze tobie mówić o bogactwie, kiedy sam bez dachu nad głową łazisz — odparł na chybił trafił Kolcow, ale się zastanowił. Niedarmo wędrowni handlarze zaczęli teraz spływać z miast i nawiedzać płaski kraj. Produkty rolne w miarę trwania wojny szły coraz bardziej w górę. Przed wydaniem byle rubla nie trzeba już się trzy razy namyślać. A Kolcow, jak wszyscy starzy ludzie na świecie, którym czym bliżej do życia wiecznego tym więcej zaczynają cenić doczesne, polubił bogactwo. Kupił już gramofon, maszynę do szycia Singera, wprawdzie używaną, ale za to bardzo tanio. Dywan?...

— Dawaj, pokaż.

Abbas Malek zbliżył się w zakurzonych butach, objaśnił, że na furmance, którą zostawił u skraju wsi ze swoim czło-

wiekiem, ma więcej wzorów do wyboru. Był postawny, czarny, przystojny, połyskując białymi zębami z ogorzałej ciemnej cery. Mówił z godnością i przy okazji napomknął, że nie jest żadnym Ormianinem tylko rodem z Azerbejdżanu.

— Tureckiej wiary?

— Muzułmańskiej — poprawił przybysz.

— Ja tam nie rozróżniam. Z Turkiem wprowadzie nigdy nie wojowałem, ale wiem, że wódki nie piją i po kilka bab mają. Niech sobie. Nie ja od nich będę odbierał. Choć teraz znowu z nimi wojna.

— Wojna na całym świecie.

Z tyłu skrzypnęły drzwi.

— Ula — zwrócił się stary do córki, która wyszła na ganek — ot zobacz, dywany jakie przyniósł, człowiek.

Woły przeszły; kurz stał za nimi i wciąż nie chciał opadać. I oto w tym momencie rozstrzygnęły się ważne losy ludzkie, które zaważyć miały na życiu lub śmierci tych trojga, już w niedalekiej przyszłości. Ula spojrzała najpierw na „człowieka”, nie na dywany, wprost w jego oczy i dopiero później spuściła swoje, prześlizgnąwszy się wzrokiem po barwnym wzorze perskim. Coś jakby ją zahaczyło, jak leszcza na wędkę. Było gorąco. Abbas Malek odstąpił krok i wytarł pot z czoła; nie jak chłop, rękawem, ale wyjął z kieszeni kraciatą chustkę i nią wytarł. Ula miała wtedy lat osiemnaście, była jednak wyrośnięta i piersi wypychały się już spod wyszywanej koszuli, ściągniętej w pasie zwyczajną, roboczą spódnicą. Miała płowe włosy i szaro-niebieskie oczy. Takie dziewczęta widywał Malek tuzinami na swej drodze i skupił się całkowicie na sprzedaży towaru. Stary grubymi palcami macał dywan i raptem zdecydował:

— Zajeżdżaj! Zobaczmy też inne.

Azerbejdżanin wjechał furmanką we wrota. Kolcow kupił od niego dwa nieduże dywaniki, potraktował go trochę jak gościa, czemu się właściwie sam dziwił, i nie bardzo później rozumiał dlaczego to tak wyszło... Siedzieli do późna na werandzie. W końcu tylko Malek i Ula. Miti nie było; cały dzień łapał ryby, wrócił rozzarowany i zasnął przy kolacji. Raja, mimo upomnień matki, wymknęła się na wieczorynkę. Rodzice poszli spać. W ten sposób nikt nie widział jak to się zaczęło. Nawet księżyc tej nocy

nie było, a gwiazdy blade, przyćmione oparami ziemi, zmęczone upałem.

Nazajutrz Malek nie wyjechał, choć zapowiedział z wieczora, że wyjedzie o świcie, a majstrował przy wozie i nosił niby tam coś do kowala. Za gościnę jeszcze jednej doby ofiarował niespodziewanie — cały dywanik... Gospodarz się dziwił mocno z tej niezwyklej hojności wędrownego handlarza, ale prezent przyjął. Gość wyjechał dopiero na trzeci dzień po śniadaniu. Po Uli niczego nie było poznać. Jednakże tegoż dnia wyprosiła się, że pójdzie do sąsiedniego chutoru w odwiedzinach do starszej przyjaciółki, która cztery miesiące temu wyszła tam zamąż. Pozwolono jej, bo była sobota. Poszła i nie wróciła już nigdy.

Cios był dotkliwy. Zanim ją oczekiwano, zanim wreszcie dowiedziano się, że u przyjaciółki wcale nie była, zanim gubiono się w domysłach i domysłono wreszcie, że uciekła z domokrażnym handlarzem — minęło sporo czasu. „Przekłętego Turka” nie zgonić już na najszybszym dońcu! Tym bardziej, że nie wiadomo w jaką stronę się udał, a konia u wozu też miał niezgorszego. Cios nawet przygarbił na kilka dni starego Kolcowa: bezdomny włóczęga, szybaj, do tego jeszcze niewierny — wszystko to w sumie przerastało pojętność zdrowych zmysłów. Rodzona córka! Teraz plotki, kpiny sąsiadów, albo co gorsza fałszywe współczucie. Bo przecież w gruncie rzeczy każdy się tylko cieszy na świecie, że to nie jemu przytrafiło się nieszczęście, a bliźniemu. Wpadał w złość, chciał już jechać z raportem do władz i donieść, że to był pewnie szpieg turecki, ale się powstrzymał: Czas wojenny... Sprawa może zostać rozdęta... Nie wiadomo więc, czy bardziej przez wzgląd na własną córkę, czy też z obawy przed procedurą śledztwa i wizytami starszego przystawa, czy też w końcu ze względu na własny honor, by go nie poniżyć w takiej aferze, ale tego kroku nie uczynił.

Raja chodziła zapłakana. Mitia zajęty był struganiem nowego łuku. Matka natomiast zniosła cios lepiej niżby się tego po niej spodziewać było można. Raczej po pierwszych lamentach przeszła do troski bardziej rzeczowej. Starła się wyobrazić jaki los czeka teraz jej starszą córkę w szczegółach? Czy nie wytrzyma i wróci? Czy tamten się z nią ożeni?

— Głupiał — powiedział Kolcow. — Rzuci on ją na

pewno na poniewierkę. A nawet, żeby się ożenił, to co z tego?! To ty nie wiesz, że oni, muzułmanie ci, mają po kilka żon, czy co?!

— Ach, ach... I jak to Pan Bóg na takich nie ciśnie piorunem? Nie rozumiem ja.

— Ech, tam! Pana Boga zrozumieć, to by za dużo czasu na to stracić trzeba było. Nic tylko myśleć. Gospodarkę zaniedbać i z torbami pójść.

Tej nocy, gdy zasnął, żona przeżegnała go trzykrotnie prawosławnym krzyżem świętym by odpędzić odeń złe myśli.



Minęły dwa miesiące. Stary wybrał się do Stanicy głównie w sprawie projektu, jaki powziął już dawno co do kształcenia Miti, a przy okazji dla załatwienia szeregu zakupów gospodarskich, a także wysłania przez pocztę połową kolejnej przesyłki dla starszego syna do frontowego lazaretu. Miał też wziąć pocztę dla całego chutoru. Wśród niej znalazł się również list do niego.

Ula pisała stylem na poły sztucznym, jakim ją uczono w szkole, na poły niezgrabnie wylewnym, wymieniając na początku wszystkie ukłony i życzenia dla Ojca-Matki, następnie dla całej rodziny i nawet znajomych. Po tym wstępie najpokorniej przyznawała się do wielkiego grzechu, ale jeszcze pokorniej prosiła o przebaczenie, nie tylko w intencji ale słowami obejmując ojcowskie nogi. Wreszcie donosiła, że wyszła za mąż za Abbasa Maleka, podkreśliła, że ślub odbył się w cerkwi prawosławnej. Dalej, że żyje im się dobrze, co może też być widowym znakiem przebaczenia ze strony Boga, a teraz czeka tylko na ojcowskie.

Kolcow przeczytał list z kamiennym wyrazem twarzy, następnie podarł na drobne strzępy i chciał już rzucić na wiatr, ale po namyśle schował skrawki do kieszeni, postanawiając spalić je w domu, żeby nawet wiatr nie nosił po świecie ich śladów.

W drodze powrotnej odprowadzały go niemilkające cykania koników polnych, wyboiny w koleinach, jednostajny pejzaż i słońce zachodzące nie jak w dni poprzednie, ale w obwódkach nieskrystalizowanych jeszcze chmur. Kolcow

popatrywał nań wciąż, myślał o sprawach i tylko machinalnie od czasu do czasu pociągał lejcami.

Przybywszy do domu, ani słowem nie powiedział nikomu o otrzymanym liście. Dopiero gdy wszyscy zasnęli, wyszedł boso do kuchni, zamknął drzwi, zapalił świecę. I raptem... rozłożywszy skrawki na stole, po długim składaniu jak chińską łamigłówkę, odszukał ten na którym widniał adres: w mieście Armawirze nad Kubaniem. Schował go w najtajniejszy schowek swego nowego portfela, który kupił był niedawno na kiermaszu. Resztę zgarnął na kupkę, podpalił, a popiół skrzętnie zmiótł i wrzucił do wystygłego pieca.

Nazajutrz wypadł spodziewany deszcz i od tego dnia pogoda zaczęła się psuć.

R o z d z i a ł I I

MITIA

Jeszcze przed nastaniem sezonu jesiennej słoty tegoż 1916 roku, gdy można było jako tako dojechać do stacji w Kachalińsku, stary Kolcow spakował rzeczy i wybrał się z najmłodszym synem do Kijowa. Mitia liczył wtedy zaledwie lat dziewięć. Sąsiedzi odmawiali, odradzali, a matka po nocach płakała, nie chcąc rozstawać się ze swym ukochanym najmłodszym, właśnie w czasie gdy najstarszy był w ciągłym ogniu i lada chwila można się było spodziewać urzędowej koperty z wieścią o jego śmierci. Ale ojciec uparł się żeby wprowadzić w czyn najśmielsze marzenia swego życia. Kalkulował przy tym w ten sposób: Sasza, jeżeli Bóg da, nie zabiją go na wojnie, sam się wykeruje; a jeżeli zabiją to tym bardziej — niech choć najmłodszy zostanie oficerem!... Jak raz i czasy podeszły odpowiednie: ceny na zboże szły w górę, gospodarstwo przynosiło większe dochody. Użył więc swych stosunków, napisał list do byłego dowódcy z kampanii japońskiej, poruszył inne protekcje lokalne i postanowił malca, choć dziecko jeszcze, umieścić w Korpusie Kadetów.

Wybór Kijowa był trochę ekscentryczny jeżeli chodzi o tradycje kozackie i właściwie nie odpowiadał zamiarom ojca, ale tyle przynajmniej przeforsowała matka: miała tam młodszą, bardzo kiedyś kochaną siostrę, która zrobiła karierę wychodząc za urzędnika akcyzy. Mitia więc, w razie czego, znajdzie w nich utraconą rodzinę, oparcie i będzie mógł przynajmniej niedziele, a także święta zarówno religijne jak domu cesarskiego, spędzać w otoczeniu ciotki

i jej dzieci. Nie widziały się już wprawdzie bardzo dawno, ale co rodzina to rodzina. Na tym stało.

Najbardziej wszakże rozpaczał sam Miti. To tylko później lata dziecinne wydają się z perspektywy owiane słoneczną radością. Tak samo jak spojrzenie wstecz na „dobre stare czasy”. W rzeczywistości okres dzieciństwa pełny jest czarnych, przepaścistych luk, które przerywają pasmo wiosennych poranków. Opuszczenie domu, w którym znał każdy drobiazg, podwórza, sadu, obejścia gospodarskiego z jego milionem spraw w zakątkach, zamiana wielkiej, bosej po trawach wolności, na mury rygoru szkolnego internatu, wśród samych obcych; zamiana ojca, którego się bał, na jeszcze strasznieszego, na pewno wrogiego nauczyciela-oficera, wydawała się Miti wręcz koszmarem. I nie pomogą tu żadne pocieszenia na przejściowość czasu, na lata przyszłości! Czas, ów temat wiecznego utyskiwania starszych za jego szybkie przemijanie, w wieku Miti — gdy jeden rok był zaledwie jedną-dziewiątą częścią jego istnienia — wydawał się rozciągnięty w nieskończoność. W jesieni mówić mu, że przyjdzie wiosna wydawało się bolesnym naigrywaniem z rzeczywistości, jeszcze większym podkreślaniem rzeczy ponurych. Te wielkie, czarne plamy na słonecznym życiu, zakleją później narastające tkanki organizmu i wyda się śmieszne, co w istocie śmieszne nigdy nie było.

Na razie patrzył na mijające słupy telegraficzne za oknem, jakby na zawsze miał minąć uśmiech szczęścia. Na małych stacyjkach brodaci woźnice z biczami w rękach, w czarnych z daszkiem czapkach; konie za stacją pochylone nad wiązką siana u przednich nóg, lub podrzucające w górę uwiązany do pyska workiem obroku. Na większych: żandarm, śpieszący tłum, kolejowiec u dzwonu na peronie. Wszystko to odchodziło i odchodziło w tył, w dal niekończącej się nigdy płaskiej ziemi. I znów tylko słupy telegraficzne, deszcz za oknem, krople wody leniwo zbiegające się na szybie, gdzieś na horyzoncie cebule wiejskiej cerkiewki z przekreślonymi krzyżami, na które nie pada słońce. W przedziale czuć stęchlizną, mokrym kozuchem, skórą butów i kiepskim tytoniem. A pociąg jedzie i jedzie. Dym z parowozu to przysłoni okno, to odsłoni jaskółki na drutach, lub gęste strzyżone krzewy mające ochraniać tor przed spodziewaną zimową, śnieżną zawieją. Dokąd jedzie

Mitia? I czy zobaczy kiedykolwiek znowu dom drewniany, kryty dachem z blachy pomalowanej na kolor zielony? Ba, czy zobaczy...

Żaden z tych osławionych, rzekomo nieomylnych instynktów macierzyńskich, nie podszeptał matce Miti, iż wybiera dla niego miejsce pobytu, które z chwilą wybuchu rewolucji stanie się jednym z najbardziej zapalnych. Istotnie, spośród wszystkich miast europejskich, Kijów, licząc od daty wybuchu pierwszej wojny światowej, przeszedł rekordową ilość razy ze zbrojnych rąk do zbrojnych rąk.

Już wiosną roku 1917 czasy były zbyt niepewne, aby ciotka mogła zezwolić Miti na samotną podróż do domu. Zatrzymała go u siebie. Zresztą Mitia czuł się w korpusie dobrze, dawno zapomniał o swych naiwnych strachach. Zmężniał i uczył się doskonale. Zaczęły go też interesować wypadki historyczne, których był świadkiem.



Gdy rewolucyjny chaos przybrał na sile, udało się przynajmniej młodsze klasy korpusu ewakuować do Odessy. Tym razem Mitia nie odczuwał nostalgii w drodze. Przeciwnie, traktował podróż jako ciekawą przygodę. W Odessie znalazł się w zupełnie nowym otoczeniu, gdyż w miarę rozgorzałej wojny domowej ściągnięto do tego miasta również rozbitków z kilku innych jeszcze szkół kadeckich. Naturalnie, jedenastoletni, już rwał się do wojaczki, jak inni w jego wieku i nienawidził bolszewików dziecinną, nie znającą kompromisów nienawiścią. Tymczasem jednak zajęcia szkolne szły dawnym trybem.

Nie sprawdziły się przewidywania ludzi starego rozsądku. Zawiodła nadzieja na oczekiwaną wciąż, „skuteczną” pomoc cywilizowanego zachodu. Bolszewickie armie pod wodzą Lejby vel Lwa, syna Dawida, Bronsztejn-Trockiego napierały coraz bardziej z północy na południe. W październiku-listopadzie 1919 roku czerwona konnica dowodzona przez 37-letniego byłego wachmistrza, Siemiona Budiennego, rozerwała front białych na styku Dońskiej i Ochotniczej armij. Główne siły kontrrewolucji cofnęły się za rzeki Don i Manycz, próbując skleić nową linię obronną. Odcięta grupa generała Słaszczewa w składzie 4-ej dywizji i dońskich oddziałów Miedwiediewa odtoczyła

się na Krym, gdzie zamierzano stawiać opór na przesmyku Perekopu. Tylko Kijowsko-Czernihowska grupa generała Bredowa odstępowała z wolna na linię Odessa-Nikołajew i w istocie stanowiła jedyną nadzieję miasta. Była to jednak nadzieja złudna.

Masy uchodźców i rozbitków wszelakiego rodzaju, zaproszały ulice miasta. Setki tysięcy zrozpaczonych ludzi miało przekleństwo, lub żyło z dnia na dzień budując przyszłość na fantastycznych pogłoskach. Rozpacz jest złym doradcą i kiepskim taktikiem. Zdarza się oczywiście, że żołnierze walczą po bohatersku przyparci do muru rozpaczą, ale zdarza się to częściej w literaturze niż w praktyce. Wzmogła się dezercja, ogólny rozstrój. Zwlekły się do Odessy szpitale. Zapanował głód i, gorszy od niego, tyfus. Wówczas z lądu nadzieje przerzuciły się na wodę, na morze, na okręty. Ale okrętów było o wiele za mało na ewakuację tych wszystkich, którzy chcieli uciec przed bolszewikami. Panika przeplatająca się z nadzieją tak ściśle jak się przeplata wiklina kosza, tworzyła właśnie z Odessy taki kosz, którego żadna siła ludzka nie mogła ująć za uchwyt i wynieść z fatalnej sytuacji.

Nie spało się uczniom korpusu kadetów w te długie noce, w ledwo opalanych salach, z głodnym żołądkiem, gdy przyszedł styczeń 1920 roku.

— Ty — szepnął w jedną właśnie z takich nocy Mitia, kurcząc się pod kocem.

— No? — mruknął z sąsiedniego łóżka Sasza Biernicki, syn dyrektora odeskiego korpusu, pułkownika wojenno-jurystycznej akademii.

— Nie śpisz? — Mitia nie wytrzymał i zdradził się po raz pierwszy z nękających go wątpliwości. — Powiedz, ale tak nie na ojra, jak myślisz, czym to się skończy?

— Ot dziwak. Jak ma się skończyć. Ma się rozumieć dobrze się skończy. Bredow zatrzyma się na linii, wiesz: Wozniesiensk-Tyraspol; Słuszczew da odpór na Perekopie, a z boku jak rrunie ofensywa Dońców i Armii Ochotniczej... Ze skrzydła, rozumiesz?! To z bolszewików mokrego miejsca nie zostanie!

— Ha! — wykrzyknął z końca sali Jacenko. — A weźcie jeszcze pod uwagę, jak Anglicy pomogą! Francuzi... Ma rację Sasza.

— Wy! Stratedzy! — odezwał się zaspany głos. —

Może by tak operacje odłożyć do rana? Nie? Noc przecie. Spać przeszkadza.

Ale długo jeszcze biegły przyciszone rozmowy i szepty od łóżka do łóżka, bo wielu jeszcze chciało się wypowiedzieć na aktualny temat jak najlepiej zmiażdżyć wroga i wypłenić zarazę bolszewicką.

Mitja naciągnął wreszcie koc na głowę. „To co mówił Saszka”, myślał, „to nie od siebie. To pewnie wie od ojca, a tamten może od jeszcze wyższych generałów. Ach, żeby to tak, żeby! Spać, spać”. I po raz pierwszy bodaj, w swym niespełna trzynastym roku życia, starał się uciec myślami od rzeczywistości w daleką przyszłość.

Żaden z powziętych tej nocy planów nie został zrealizowany. Już nazajutrz 20 stycznia 1920 roku, generał Bredow uznał dalsze cofanie się w beznadziejny kosz odeski za bezcelowe. Zawrócił wojska z dotychczasowego kierunku i poszedł na północny-zachód w nadziei przebicia się do Polski i uratowania przynajmniej swoich ludzi. W kilka dni później nawet najmłodsze klasy wiedziały, że żadnej nadziei na utrzymanie miasta nie ma. Natomiast wszystkich zaabsorbowała inna wiadomość, która u wielu wywołała nawet radość: „Korpus kadecki zostanie ewakuowany do Jugosławii, pod opiekę Jego Królewskiej Wysokości następcy tronu Aleksandra; tam zakończony zostanie kurs i wróćą do uwolnionej ojczyzny”. Ta ostatnia okoliczność nie wszystkim przypadła do gustu, bo wielu miało jeszcze nadzieje odznaczyć się na wojnie z bolszewikami. Ale perspektywa dalekiej podróży nęciła.

— Ciekawe zobaczyć obce kraje?

— Ciekawe — przytaknął Mitja i pomyślał, jakby to zasiadł za stołem w Jaglickim i opowiadał cuda-dziwy, większe niż swojego czasu brat Sasza po powrocie z Prus Wschodnich.

Tymczasem okazało się, że okręty jakie były jeszcze w porcie, odpłynęły dnia poprzedniego. Droga morska została zamknięta. Pozostała tylko droga lądowa przez Rumunię. Czas naglił. Pojedyncze strzały padały już na dalekich przedmieściach. Zanim jednak zorganizowano kolumnę marszową i tabory, upłynęło jeszcze kilka godzin. Ruszono wreszcie o 3-ej po południu 25 stycznia. Na ulicach spotykało się tylko zastraszająco nieliczne resztki wozów taborowych. Droga prowadziła na Owidiupol, stamtąd miano

się przedostać za Dniestr, do Akermanu, za granicę rumuńską. Byle zdążyć do niej dojść, będą uratowani. Rumuni przewiozą ich pociągami do Jugosławii. Nauczyciele przypomnieli przy okazji, że obecna królowa rumuńska to wnuczka Aleksandra II. Gorzej, że wozy z prowiantem poszły przodem, a jeść się chce... Starsze klasy, uzbrojone w karabiny idą w ariergardzie, ochraniają młodsze. Dzieci maszerują na czele, żeby nie pozostały w tyle. Tego pierwszego dnia marszu, do noclegu, zrobiono 8 kilometrów.

Ranek 26-go wstał jasny, słoneczny. Natomiast z każdą godziną krzepnął mróz. Do południa zerwał się wiatr i poszła hulać zadymka śnieżna. Maszerują dziesięcioletni, jedenastoletni chłopcy. Mitia ma lat trzynaście. Doszli niedaleko. W pustym budynku szkolnym zastali mokrą słomę, którą tu naściągali i pozostawił po sobie jakiś cofający się oddział. Po słomie łażą wszy. Głód ściska żołądek, bo wydawane racje są minimalne. Wszy wpelzają na ładne, nowiuteńkie, dopiero w grudniu wyfasowane mundurki kadeckie. Myć się chyba śniegiem. I nikt się nie myje.

W nocy alarm: „Wszystkie wojska ściągnęły już do Owidiupola. Za nimi nikogo nie ma! Już tylko bolszewicy!”

Wypada mocno trząść zaspanymi dziećmi: „Chcieliście być oficerami?! Taaak? No to marsz, marsz”. Mitia z zatechłej, zimnej izby wychodzi na zimniejsze, świeże powietrze. Czuje się źle, a mówi, że: „parszywie”. W kościach czegoś łamie, dreszcz wstrząsa. „Ach, żeby tak szklanka herbaty gorącej!...” I próbuje żartować, poszczekując trochę zębami:

— Królestwo Jugosłowiańskie za szklankę herbaty! — Ale starszy kadet minął go bez uśmiechu, z dorosłym wyrazem na pochmurnej twarzy, poprawiając karabin na ramieniu. Śpieszył się na zbiórkę.

Porucznik Rogajski, który utracił lewą rękę na wojnie niemieckiej, obejmuje komendę nad osłoną tylną. Nie czas na żarty. Wyszli w nocy i szli do Owidiupola 17 godzin. Z wozów wypadło zrzucać niektóre rzeczy i kłaść na nie wyczerpanych śmiertelnie najmłodszych kadetów. Mitia trzymał się ostatnim wysiłkiem woli i wstyd mu było przyznać się, że ledwo powłóczy nogami.

Owidiupol przedstawiał sobą obraz nędzy i rozprężenia. Wszystkie uliczki wypchane były taborami wojskowy-

mi i wozami uciekinierów. We wszystkich domach, które nie zostały jeszcze zajęte na kwatery wojskowe, leżeli pokotem na podłodze uchodźcy cywilni. Oddział saperów gwardii ustąpił kadetom swoją kwaterę w szkole. Nie z litości i współczucia, a na wyraźny rozkaz swego dowódcy pułkownika Stessela. Na litość nie ma czasu na wojnie, tym bardziej przegranej. Żołnierze wychodzili na ulicę w mroźną noc klnąc brzydko. Znowu zawieszona słoma na podłodze i naniesiony butami, topniejący śnieg.

Ujście Dniestru do Morza Czarnego koło Owidiupola tworzy szerokie na 9 kilometrów rozlewisko delty, zwane Limanem. Z tamtej strony Limanu granica Rumunii ze staroturcką fortecą i miastem Akermanem, swojego czasu opiewanym przez poetów. Rano, w mroźnym słońcu zimowym wyraźnie widać białe mury fortцы, a od niej, aż na tę stronę ciągnie się płaska jak stół tafla lodu, zamrożonego Limanu.

— Ech, ręką podać, wydaje się... — mówią zebrani na rosyjskim brzegu ludzie. Stoją i mrużą oczy od blasku. Dlaczego stoją? Dlatego, że nie nadeszło jeszcze oczekiwane z godziny na godzinę zezwolenie Rumunów na przekroczenie zbawczej granicy. Ani dla wojska, ani dla cywilnych. Czekają, ma zaraz przyjść.

Jeżeli chodzi o kadetów nie może być najmniejszej wątpliwości. Rzecz naturalna, że szkołę i dzieci wypuścić muszą w pierwszym rzędzie. Dowódca szkoły płk. Biernacki udał się już na tamtą stronę, aby załatwić formalności.

Znowu ktoś westchnął na brzegu:

— Ech, los! Żeby to teraz mieć lat dziesięć, dwanaście! Idź sobie po lodzie przez jaką chcesz granicę...

Rano dnia 28 stycznia 1920 roku klasy odeskiego korpusu kadeckiego ustawiają się w kolumnę marszową, schodzą z brzegu, i wydłużonym czarno-kolorowym węzłem idą po lodzie w nową przyszłość. Słońce świeci. Nastrój jest podniosły i raczej wesoły. Cóż, dzieciom nie dużo potrzeba: trochę wysokiego ciśnienia barometrycznego, perspektywa przygody, ciekawość... Tylko Pawłusza Djaczenko maszerując w nogę z Mitią, marszczy brwi i robi z siebie poważnego myśliciela. Mówi zasłyszane słowa:

— Co tu gadać, mój drogi. My sami sobie jesteśmy winni. Weź: Zachód. U nich nie ma bolszewizmu. A dla-

czego? Bo kultura, bo ludzie kulturalni. Chociażby i ci sami Rumuni, i ci przecie rozumieją...

Mitia nie bardzo go słucha. W pełnym słońcu czuje się lepiej, ale trzęsie go jeszcze wewnętrzna febra. Rozgląda się na boki. Przed nimi w lodowatym błękitcie forteca Akermanu. Ale widzi, że bokami i za nimi zaczynają na lód zbiegać pojedynczy uchodźcy; coraz ich więcej. Oto już i żołnierze bez broni ciągną z tyłu. Na widok maszerujących na tamtą stronę kadetów poczynają i sanie zjeżdżać na lód. Bo wszyscy pragną skorzystać z tak zwanego prawa azylu, czyli jedyne go ratunku jaki im pozostał.

— Co rozumieją? — pyta z roztargnieniem Mitia.

W tej chwili staje się coś niepojętego: z fortecy rumuńskiej błysnęło, ukazał się biały obłoczek dymu i razem z dalekim odgłosem strzału przecina powietrze syk lecącego pocisku. Wyrznął w lód o kilkaset metrów w prawo, buchnął ogniem i wodą przed saniami jakiegoś uchodźcy! Lód zatrzęszczał, załamał się, koń zadem osiadł do połowy w przerebli, sanie tylnymi płozami stanęły dęba. Krzyk! Wszystko zamarło na miejscu. Tylko w uszach pozostał jeszcze szklanny dźwięk lodowych odłamków.

— Co to jest?!

— Co to ma być?!

— Dlaczego strzelają?!

Mitia w tej chwili pomyślał o zupełnie czymś innym, mianowicie: „A właściwie muszę przed sobą przyznać, że prawdziwy pocisk artyleryjski to widzę po raz pierwszy...” Ale głośno się nie przyznał i powiedział tylko do Djaczenki:

— Ot tobie, i masz...

Szeregi się trochę poplątały. Oficerowie wyskoczyli na czoło.

— To był wyraźnie strzał ostrzegawczy.

— Widocznie dlatego, że za nami poszli ławą uchodźcy.

— Jawne nieporozumienie.

Pułkownik Biernacki udaje się bezpośrednio na tamtą stronę, ażeby je wyjaśnić. Na razie jednak nie ma innego sposobu jak zawrócić i maszerować z powrotem na stronę rosyjską.

Dnia 29 stycznia mgła. Nie widać baszt Akermanu. Płk. Biernacki wyjaśnił nieporozumienie, uzgodnił szczegóły z władzami rumuńskimi. Kadeci ponownie maszerują

po lodzie Limanu. Tym razem będzie wszystko dobrze. Idą raźnie. Oto już koń trafiony wczorajszym pociskiem. Wmarznięty w przerębел trup jego wystaje z lodu, czerni się w rzadkiej mgle. Nagle z tej mgły, naprzeciw wyłaniają się ludzie. Wielu z nich niesie kawaleryjskie siodła. Jak się okazuje niebawem, jest to ukraiński oddział atamana Struka. Próbował on przebić się do Polski na Tyraspol, ale odcięty i zepchnięty przez bolszewików do Dniestru, przekroczył granicę rumuńską. Rumuni potrzymali ich trochę, odebrali broń i konie, a ludzi popędzili z powrotem. Minęli się we mgle nie zatrzymując. Czasem tylko padło przeżarte złym losem, złe słowo.

Dalsza droga na drugą stronę odbyła się bez przygód. A na brzegu, po raz pierwszy od długiego czasu zobaczyli znowu dobrze ubranych i uśmiechniętych ludzi. Paniusie i panienki grzecznie machają rękami na powitanie. Rozdają kanapki, gorące mleko, wino. Twarze ich wyrażają szczerze współczucie. Kadetów prowadzą do budynku szkolnego. Nie ma tam wprawdzie, ani słomy, ani nawet sienników, ale jest czysto, parkiet świeżo woskowany, błyszczący. A głównie jest ciepło, a przez to przytulnie. Po kilku godzinach znowu kanapki, ser i dobre słowa. Ledwo słońce zaczęło się kłonić a już wszyscy myślą o jednym: spać, spać i spać. Raz wreszcie wyspać się dowoli, w spokoju, w poczuciu bezpieczeństwa. Mitia nie zgłasza się na izbę chorych. Wciąż mu jeszcze wstyd własnej słabości. „Wytrzymam”, myśli. Paweł Djaczenko gdy zaczął ściągać buty mruczał z ukontentowaniem:

— A widzisz, jednak. Mówiłem, że...

— Tak, ale nikogo poza nami nie wpuszcili. Ty uważasz, że to w porządku?

— Nie bój się, bracie. Wpuszczą, wpuszczą wszystkich. I powiem tobie ponadto...

Mitia już się położył i od razu zasnął snem kamiennym na parkietowej posadzce. Chorobliwym snem wyczerpania.

Była godzina chyba pierwsza w nocy, gdy zbudził go ni to hałas, ni to senne widziadła. Zdawało mu się, że słyszy jakieś krzyki, wymyślania, kłótnie za drzwiami. Rozwarł powieki, aby się przekonać, czy to na jawie, ale zaraz zapadły mu same i znowu zasnął. Czasem minuta, dwie snu wydają się bardzo długie. A może to było kilkanaście

sekund zaledwie?... Po raz drugi obudziło go kopnięcie buta:

— „Napoj”! Wstawać! Won! Marsz! Precz, prędko! — od razu otworzył szeroko oczy. Nad nim stał żołnierz rumuński.

— Co to?...

Zapalono światła. Słysząc było jak na korytarzu wołał po francusku płk. Biernacki:

— To jest hańba! Jutro dowie się o tym cały świat cywilizowany! — Ale zaraz wypchnięto go do dalszych pokoi i głos ucichł. Do sali wszedł oficer rumuński. Był blady, z wyrazem udręki na twarzy. Ręce jego drżały. Tymi drżącymi rękoma wyjmował ze swej papierošnicy papierosy i wtykał je bezmyślnie dzieciom, które jeszcze nigdy nie paliły:

— Niestety, Niestety... — mówił po francusku — taki rozkaz, taki rozkaz przyszedł. Nic nie mogę na to poradzić. Musicie wracać, wracać...

Dziesięcioletni kadet rozplakał się. Chciał się powstrzymać, połykał łzy, zaciskał usta, nie mógł. Mitia spojrzał na Djaczenkę. Chciał mu coś powiedzieć, dopiec za jego wczorajszy optymizm, ale spostrzegł rozpacz malującą się w jego oczach i nie powiedział nic.

Pognano ich z powrotem, znowu 9 kilometrów po lodzie Limanu, na stronę rosyjską. Maszerowali już po raz czwarty tym odcinkiem losu. W Owidiupolu nie było jeszcze bolszewików. Na czele wszystkich rozbitków, których nie wpuścili bądź wyrzucili Rumuni, stanął generał Tyraspoła: jeszcze raz będzie próbował przebić się do granic Polski. Starsze rotę korpusu kadetów mają się do tego oddziału przyłączyć. Ale co robić z młodszymi, z dziećmi po dziesięć, jedenaście lat? Nie ma dla nich środków transportowych, a uciążliwego marszu nie wytrzymają, abstrahując już od tego, że cała wyprawa wydaje się z góry skazana na niepowodzenie i jest przedsięwzięciem raczej rozpaczliwym.

— Generale, ci malcy nie dojdą. Zabierać ich ze sobą równałoby się skazaniu ich na śmierć.

— Więc co pan radzi robić, pułkowniku?

Wtedy to płk. Biernacki decyduje się na krok ostateczny: stanie na czele sześciuset dzieci i poprowadzi je z powro-

tem do Odessy, na spotkanie bolszewików. Oddając się osobiście w ich ręce, chociażby na pewną śmierć, ubłaga o zmiłowanie dla swoich małoletnich wychowanków.

Nie było dużo czasu do stracenia. Obydwie grupy przygotowywały się gorączkowo do wymarszu. Mitia chciałby wyruszyć ze starszymi, na północ, w bój. Niestety jednak czuje się coraz gorzej. Chorego nie przyjmą. Prosi więc o wstawiennictwo Saszkę Biernackiego, syna dowódcy korpusu.

— Nie, Mitia, nie ma sensu. Ledwo stoisz na nogach. Tobie trzeba do lazaretu, ale nie na front.

— Masz tobie! Dokąd to ty mnie posyłasz! Ładny szpital będzie mnie czekał u bolszewików... Powieszają.

— Mitia, nie dramatyzuj. Nikogo wieszać nie będą. Też jest dużo przesady w tym co gadają. Pójdzie z wami ojciec, on już będzie wiedział jak z nimi gadać. Jeżeli co... to, jego... wiesz? A jednak on idzie. A was, smarkaczy nikt palcem nie ruszy.

— Saszka, ty nie rozumiesz. To przejdzie...

— Przejdzie, bracie, ale w Odessie jak się położysz do łóżka. A w marszu z ciebie żadnego pożytku. Ot i Dja-czenko, choć zdrów, a wraca. Zobaczymy się wkrótce. Nie bój się; ja liczę że za rok najdalej. Cóż ty sobie myślisz: cały świat będzie patrzeć z założonymi rękami na tę zarazę bolszewicką?! Niee, bracie! Tak źle nie będzie.

Dnia 1 lutego 1920 roku pułkownik Biernacki, maszerując na czele dziecięcej kolumny kadetów w kierunku Odessy, zetknął się z czołowymi oddziałami bolszewickimi. Jak było, do przewidzenia aresztowano go natychmiast, łącznie z kilkoma jeszcze oficerami, którzy odważyli się na powrót. O tamtych wszelki śluch zaginął. Natomiast samego Biernackiego, jako oficera wyższej akademii wojskowej, uratował rozkaz Trockiego, dotyczący zachowania przy życiu specjalnej kategorii oficerów, którzy by się mogli przydać w przyszłości jako wykładowcy w akademiach czerwonych. Sprawa stawiana była konkretnie: kula w łeb, albo wykłady na wojskowych kursach? Biernacki wybrał to ostatnie.

Na dzieciarnię kadecką bolszewicy nie zwrócili żadnej uwagi. Po prostu machnęli ręką: „Niech idą dokąd chcą”. W onej chwili gdy zostali zatrzymani 1-go lutego Mitia położył się na śniegu, żeby odpocząć, i zasnął. W jaki

sposób dostarczono go do miasta nie pamiętał, bo stracił przytomność. Po raz pierwszy otworzył oczy, gdy już upłynęło sporo czasu. Leżał w strasznie brudnym szpitalu. Miał tyfus.



Przeminęło. Czas choroby, leżenia w szpitalu, zabiegi lekarskie, raz złe raz dobre twarze pielęgniarek, zlały się później w pamięci Miti w jedno mgliste, niewyraźne pasmo bez znaczenia. Nie ważne to było. Nie ważne też do kogo mogło należeć ongiś ubranie, obwisłe i za duże, które mu dano, gdy wypuszczono go ze szpitala jako uzdrowieńca. Był początek czerwca. Od morza, gdy wiał wiatr południowy, ciepły, ciągnął słonawy posmak świeżości.

Natomiast ważne było spotkanie: na drugi dzień, nie zdążywszy jeszcze nic uzbierać, spotkał na ulicy Wielka Fontanna swego przyjaciela Djaczenkę. Pawłusza zmętniał, ogorzał choć jednocześnie bardzo wychudł. Ubrany był w łachmany gorsze niż te, które miał na sobie Mitia, ofiarowane mu w szpitalu.

Przywitali się bez słowa, z zaledwie dostrzegalnym zarysem uśmiechu na ustach. Jakby obydwaj wiedzieli od razu, że mówić nie ma o czym i właściwie po co wspominać sprawy przeszłości? Djaczenko poczęstował Mitię garścią pestek słonecznikowych i poszli cienistą stroną ulicy, gdyż było gorąco. Dopiero po pewnym czasie Djaczenko pierwszy napomknął o tym co było. A to z okazji, że przechodzili właśnie koło gmachu ongiś korpusu kadeckiego. Najpierw więc sypnął pod adresem Rumunów długą i wprawną litanią fachowych przekleństw, jakich nauczył się w okresie włóczęgostwa, następnie opowiedział różne szczegóły dotyczące ich starszych kolegów, którzy poszli wówczas z grupą generała Wasiljewa. Mianowicie powrócił stamtąd w przebraniu pewien znajomy podoficer Pawłogradzkich huzarów, który w ostatnich dniach przystał do kadetów, żeby się przedostać za granicę. Ale go nie wpuszczono. Nie wpuszczono nikogo poza garstką kadetów. Oddział został rozbity w walce z bolszewikami. Kto nie zginął, dostał się do niewoli. Nawet rannych Rumuni wyrzucili ze swego terytorium i wydali bolszewikom. Co zaś do tej grupki kadetów, to ich rzeczywiście osta-

tecznie przyjęto, choć wielu z nich również zginęło. Pomogła podobno jakaś depesza do królowej Marii rumuńskiej. Ale nim ją znaleziono tę królowę! Bawiła właśnie na wakacjach w Sinaia, czy gdzieś...

— To ta wnuczka Aleksandra II?

— Acha; no więc, bracie, przewieźli ich jednak w końcu do Belgradu. Zresztą to nie ważne.

— A co jest ważne? — spytał Mitia, gryząc pestki.

— Życ trzeba, czy nie?

Obydwaj mieli wtedy po lat czternaście. I zaczęli żyć. Na nigdy nie sprzątanym ulicach.

W owe czasy najcharakterystyczniejszym z bezpośrednich skutków rewolucji była powszechna nędza. Nędza tak wielka, jakiej sobie nikt przedtem nie mógłby wyobrazić. Ta nędza pociągnęła za sobą inne zjawisko, również na taką skalę nienotowane dotychczas. Mianowicie masy włóczących się, bezdomnych dzieci. Przeszły one do historii pod mianem: „bezprizornych”, jak nazwano je w nowopowstającej nomenklaturze rewolucyjnej, a miały niebawem stać się plagą całego, rozległego imperium sowieckiego. Djaczenko znał hersztą jednej, z powstałych już wówczas band „bezprizornych”. Zwano go w języku „błatnym”, czyli kryminalno-chuligańskim: „Zeganem”. Zegan krytycznym okiem zlustrował Mitię, ale do bandy łaskawie przyjął.

Żyli jak się dało. Zebrali i kradli na przemian. Ale że użebrac nie dało się dużo, więc bardziej kradli. Dzielili się łupem. Czasem na tle podziału wybuchały bójki, czasem zdarzały się nawet morderstwa. Jeździli na gape pociągami, rabowali wszystko co im podczas takich podróży wpadło pod rękę. Wkrótce też w bandach „bezprizornych” pojawiły się małe dziewczynki, na śmiesznie chudych nóżkach, z wcale nie śmiesznym, wyzywającym wyrazem twarzy, zazwyczaj brudne i rzadko czesane. Spali różnie: pod mostami, na ławkach ogrodowych gdy bywało ciepło, na plaży nawet. Zimą w ziemiankach podmiejskich gruntów, w szałasach, w opuszczonych cegielniach, w szopach różnego rodzaju i przeznaczenia, dawnych budkach kąpielowych. Próbowali wzorem starszych prześcignąć się w cynizmie. Próbowali nawet grać w karty o „swoje”

dziewczynki, żeby wychodziło zamasyżcie i zupełnie już po dorosłemu, ale najczęściej wychodziło jakoś fałszywie, niezgrabnie.

Kiedyś jedna z najstarszych, piętnastoletnia już Masza, podobno ongiś córka kupca narodowości greckiej, obrzuciła wzrokiem Mitię, zlustrowała go później od stóp do głowy, ale w końcu wzruszyła lekceważąco ramionami o wysterczających, wskutek głodu, obojczykach.

Mitia nie chciał być gorszym od innych. Raz próbował nawet (było to późnej jesieni) spać z prostytutką zawodową, ale był do tego nie tylko za młody, lecz ponadto za wiecznie głodny, a przez to za słaby, za biedny po prostu. I skończyło się na tym, że przywarły do niej i otulony mocno jej chustką, przespał w jakiejś dziurze pierwszą od wielu tygodni prawdziwie ciepłą noc. Gdy budziła go rano, zdziwiła się tylko, że zrywa się do jawy w jakimś nagłym skurczu i z przerażeniem w otwartych oczach.

— Śniłeś coś? — zapytała.

— Eee, co tam można śnić — odparł z udanym nie-dbalstwem.

Pewnego razu, zimą, gdy wypadł bardzo kiepski tydzień, Djaczeniec udało się ukraść koszyk jakiejś widocznie bardzo biednej staruszki. Gdy umykał z innymi, staruszka siadła wprost na śniegu i zaczęła zawodzić tak rzewnym i szczerze boleściwym głosem, że Pawłusza nagle zatrzymał się:

— Oddam jej.

— Ani się waż! — zawyrokował Żegan. — To nie twoje teraz, to nasze wspólne, do podziału. A że ona płacze, to co? Jak ty, lub nasz brat płacze, to jemu dają cokolwiek za to? Co?

Zdobycz polegała na sporym kawałku czarnego chleba i bardzo cienkim plasterku słoniny. Podczas podziału scyzorykiem herszta, Mitia po raz pierwszy zdradził się głośno z myślami ruszenia nad Don, odszukania rodziny.

— Daj spokój! — wykrzyknął Żegan i sypnął błatnymi epitetami: — Szpendryk ty, curik, ogolec ty! Przecież tam dawno już ich nie ma. Ustukani wszyscy. A nad Donem głód może jeszcze gorszy. A ukraść na pewno trudniej od Kozaków niż tu od jakiejś babki.

Mitia nie replikował. Został dalej w bandzie i z nią wędrował, dopóki władze nie chwyciły się środków stanowczych.

Przyszła znowu wiosna. Przyleciały gawrony. Siedzieli na krawędzi starej glinianki omawiając plan kolejnego wypadu. Tu dochodził ich wyraźny trzask skowronka nad oblaźłymi ze śniegu polami. I tu przyłapała ich obława. Rzucili się do ucieczki w kierunku podmiejskich ogródków. Pawłuszka Djaczenko przesadzając płot dostał kulą pod lewą łopatkę i zmarł na miejscu. Inni się rozsypali. Mitia nieszczęśliwie zaplątał się pomiędzy krzaki agrestu i druty kolczaste. Został złapany, zbity, odprowadzony na posterunek. A po kilku dniach wywieziony z podobnymi sobie, w bydlęcych wagonach do jednego z obozów dla małoletnich.

W pierwszym miesiącu dwa razy próbował ucieczki. Złapany za drugim razem, skazany został na pięć lat tego obozu. Ustatkował się i nie uciekał więcej. W międzyczasie umiających czytać i pisać, lub zdradzających większą inteligencję, odsyłano do obozowych szkół zawodowych.

W szkole rygor był ten sam, ale przynajmniej czegoś uczono. Mitia trafił później na kursy agronomów. Naturalnie nie przyznał się, że miał za sobą kilka lat szkoły średniej w korpusie kadetów. Wobec tego szybkość z jaką zdobywał wiedzę, poczytano za wyjątkowe uzdolnienie i był przez nauczycieli specjalnie wyróżniany. Nie przyznał się też do swego kozackiego pochodzenia; już w śledztwie, w milicji, wymyślił łatwą do skłamania w tym czasie bajeczkę o swoim robotniczo-proletarskim rodzicu, rozstrzelanym rzekomo przez białych. Niebacznie, od pierwszego pytania, przyznał się jedynie do nazwiska autentycznego. Ale nazwisko: Kolcow należało do jednych z najbardziej rozpowszechnionych w Rosji i okazało się w rezultacie równie dobre jak każde inne.

Szkółę, a następnie kursy agronomów skończył z odznaczeniem. Wypuszczono go i skierowano na pracę w okolicy miasta Bobriki (od roku 1934 przemianowanego na Stalino-gorsk), w obwodzie Tuła. Był to rok 1928 i Mitia liczył wtedy lat 21.



Gdy po raz drugi, od czasu szpitala odeskiego, wkraczał Mitia w świat, był już ten świat zupełnie inny.

Na wojnie, najbitniejszy nieraz żołnierz gdy wpadnie do niewoli, często już po upływie kilku godzin ulega znanemu kompleksowi jeńca. Nie poznać po nim dawnego wojaka-zabijaki. Ręce mu jakoś zwisają, oczy przygasły, cała twarz wyraża apatię. Narodom, krajom całym, potrzeba dla takiej przemiany, dla nabycia takiego kompleksu, czasokresu naturalnie dłuższego. W systemie bolszewickim wystarczyło kilku zaledwie lat. W przenośni mówiono teraz, że: „Życie przestało być warte życia”. To oczywiście nie było ściśle. Ludzie zawsze będą chcieli żyć. Ściśle było to, że życie obecne przestało być warte życia dawnego. I nie dlatego tylko, że zbiedniało. Po prostu wyleniało jakoś, wyszarzało, pokryło się pleśnią nudy. Jego jedynym celem: aby przetrwać. Jego treścią: wydarcie dla siebie lepszej powszedności, lepszej przeciętności, gdyż wszystko co jest ponad przeciętność należy już do sfery sprzecznej z naukowym materializmem, a więc nie jest rzeczą bezpieczną, jako nazbyt zbliżone do idealizmu, karalnego przez nowe prawo.

Mitia wyszedł w lipcu, w marynarce narzuconej na ramiona, z drewnianym kuferkiem w rękę, z jakim kiedyś podążali do wojska wiejscy rekruci. Gdy przy okienku kasy stacyjnej podszedł doń służbowy z GPU i zapytał: „A ty dokąd?” Odpowiedział obojętnie:

— Do Bobrików.

— Pokaż dokumenty.

Pokazał obojętnie.

— Po co tam?

— Na służbę wysyłają — odparł obojętnie.

— No, waliaj!

Kiwnął głową obojętnie. Wiedział, że tak trzeba, że taki jest porządek. I nigdy by mu na myśl nawet nie przyszło, a zresztą i przyjść po prawdzie nie mogło, żeby się stać indywidualistą, czy idealistą, czy tym bardziej kontrewolucjonistą. Jedno co zachował z dawnych czasów to nazwisko, które go zresztą znakomicie zlewało z tłem Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Być może w młodzieńczej jego głowie tkwiła jeszcze drobna drzazga wspomnień o tej nocy największego w życiu zawodu, gdy na woskowym parkiecie szkoły zbudzony został kopnięciem buta rumuńskiego. Ale nie tykał jej, żeby nie

bolała. Zaraz po przyjeździe na miejsce zapisał się do Leninowskiego Komsomołu.

W rok później otrzymał urlop wraz z kolegą z pracy. Ten namawiał Mitię, ażeby wykorzystać wolny czas do wspólnej pojażdżki nad Don.

— Po co? — spytał Mitia.

— Mam krewnych w tych okolicach.

— A ja co tam będę robił?

— Cokolwiek. Ryby połapiesz sobie, świeżym powietrzem podyszysz.

— Świeżego powietrza jest i tutaj dosyć — odparł Mitia.

R o z d z i a ł I I I

ZBRODNIE I KARY

Mijały lata coraz bardziej jednostajne.

W roku 1929 Mitia ożenił się z młodą, przystojną dziewczyną, kursistką zootechniki i komsomółką, Lidią Bondariową. Wzięli ślub, jak przystało, w ZAKsie, do cerkwi nie chodząc. Nawet nigdy do głowy nie przyszło Miti, aby swej ślubnej żonie wyznać coś ze swego dzieciństwa, swe pochodzenie, lub „kadecki” początek życia. Zresztą nie wydawało mu się to rzeczą nienaturalną. Raczej przeciwnie, był w tym zachowaniu tajemnicy zupełnie szczery z sobą samym. Do tego stopnia przywykł do maskowania nie tylko słów, ale i myśli, że wyrzucił z nich po prostu prawdę, którą raz na zawsze miała zastąpić ta, jaką wypełniał w różnorodnych kwestionariuszach. Szkoła, którą przeszedł w „beprizornych”, w przymusowym obozie pracy, w zawodówce i wreszcie w otaczającej go rzeczywistości, dawno już zmyła zeń wszelkie przesady i powiązania starego typu. Stawał się człowiekiem nowego typu. O matce, ojcu, rodzeństwie ani żeby się kiedy zamyslił. Po prostu nie istnieli i istnieć nie mogli, gdyż w przeciwnym wypadku groziliby nieobliczalnymi wprost komplikacjami. Nie chodziło naturalnie tylko o złamanie kariery. Chodziło o całe życie.

„Niech się mędracy zastanawiają a nie znajdą innego celu ponad: życie samo w sobie. Co innego sens tego życia. Nad tym można się zastanawiać, owszem. Ale jakiego sensu można się dopatrzeć w łagrze, na który czego-dobrego skażą?” — Tak rozumował Mitia.

Wcale nie dlatego, żeby nie miał serca, lub żeby stał się człowiekiem gorszym od innych, lub zgoła złym z gruntu. Bynajmniej; kochał żonę i synka, który niebawem przyszedł na świat. Stał się tylko człowiekiem sowieckim.

A tymczasem ojciec, stary Aleksander Kolcow, żył nadal, istniał.



Przed laty, gdy podczas wojny domowej Kozacy chwycili za broń i powstali aby bronić swej ziemi i chutorów przed najazdem bolszewickim, stary Kolcow włączył się do tej obrony na ile mu pozwalał jego wiek. Wprawdzie nie pochwalał różnych nowinek, ani wybujałego wonczas separatyzmu kozackiego, ale uważał go za zło uboczne, wobec tego największego jaki spadł na kraj cały. Na froncie, jako za stary, nie dużo zdziałał. Natomiast po tym jak zginął staniczny ataman, przyjął tę godność. W tym charakterze zdarzyło mu się przewodzić sądowi doraźnemu, który zwołano ad hoc z okazji przyłapania Kozaka Nikity, syna Wasyla Maszczenko, najbliższego, niezamożnego sąsiada. Tego właśnie, którego dwie, trochę skrzywione u wierchołków topole przed chatą od wieków zdawało się zaglądały w podwórze Kolcowa. Nikita Maszczenko przystał do bolszewików. Zdrada była jawna, prawa wojenne, i Kolcow nie mógł naturalnie uczynić inaczej, niż położyć swój podpis pod orzecznym przez starszyznę wyrokiem śmierci. A to, że młodego Nikitę zamiast rozstrzelać, powieszono następnie brzydko na belce przymocowanej pomiędzy tymi dwoma topolami, na oczach matki i ojca — było oczywistym wybrykiem okrucieństwa i stało się bez wiedzy Kolcowa. W dzień egzekucji musiał on wyjechać w ważnych sprawach i był nieobecny. Stara Awdotja Maszczenko wyła podobno w niebogłosy, a ojciec, Wasyl, zniknął następnego dnia z chutoru.

Po zaciętej obronie front kozacki na Donie załamał się. Armia czerwona parła naprzód. Kto żyw pakował fury i uciekał przed nią na Kubań. Pozostawiali tylko nieliczni. Kolcow był wtedy daleko i mimo, że każdy człowiek i każdy koń był potrzebny, pchnął umyślnego gońca do żony, by natychmiast wraz z córką uciekały z innymi, a nawet jeżeli można przed innymi. Żona podziękowała gońcowi

za list, nakarmiła go i jego konia, przesłała kilka drob-
biazgów mężowi i — nic o tym nie wspominając, posta-
nowiła zostać sama, a wysłać tylko córkę. Postanowiła tak
dlatego, że w ostatnich czasach coraz bardziej, nieomal do
ból, tęskniła za Mitią. Odkąd zaś dowiedziała się, że
z Kijowa wysłano go do Odessy, wraz z ewakuowanym
korpusem (dostała list od siostry przy pewnej okazji), nie
tylko nie chciała odcinać się od niego nowym kordonem
frontu, ale obliczyła, że z chwilą zajęcia całego kraju przez
bolszewików, wyruszy sama do Odessy i odszuka syna.

Niespodziewanie, Raja nie chciała opuścić matki i oś-
wiadczyła, że też zostaje. Kłótnie i targi między nimi,
namawiania sąsiadów, trwały kilka dni. Tłumaczyli matce
sąsiedzi, że to szaleństwo z jej strony pozostawać, nie
tylko ze względu na urząd sprawowany przez męża, ale
choćby ze względu na powieszzonego Nikitę. Uparła się:

— A cóż je jestem temu winna?! Ja go nie zasądzałam,
ja go nie wieształam.

Ludzie wzruszali ramionami: Trudno jest, powiadali,
znaleźć argumenty na babski rozum...

Dopiero gdy w chutorze zostało już tylko kilka osób,
którzy nie mieli nic do stracenia, albo po cichu sprzyjali
bolszewikom, przed samym obiadem Raję porwał nagle
okropny strach. Tak wielki strach, że chciała doganiać
uciekiniarów na oklep, na jedynej, pozostałej w gospodarce
kobyłę. Był to strach zwierzęcy, nie do opanowania nawet
w obliczu miłości jaką odczuwała do matki. Być może miał
też jakiś związek z pogodą. Zaczęły się bowiem gromadzić,
a później kłębić i zbliżać ciemne chmurzyska. I choć ani
błyskało, ani grzmiało, w powietrzu zawisła cisza jak przed
burzą. Potęgowała też w sposób niesamowity ciszę, która
zapanowała w chutorze po wyjściu uchodźców. Uczeni
neurologicy znają wpływ ciśnienia atmosferycznego na
układ nerwowy. Raja pobiegła do stajni. Za nią stara
krzyczała z ganku:

— Raja! Weź choć ciepłą chustkę, okryj się!

Ale było już za późno. W tej chwili do chutoru wjechał
pierwszy konny oddział czerwonych. Minął i popędził na
południe. W pół godziny później drugi oddział, większy,
a z nim stary Wasyl Maszczenko.

Komendant oddziału, w porudziałej kurtce skórzanej,
z gwiazdą czerwoną na czapie, długą łufą nagana

u boku i nahał w rękę, słowem taki jak przeszedł do historii jako typowa sylwetka bolszewika tamtych czasów, zbliżył się do chaty bez słowa. Za nim o pół kroku szedł Maszczenko. Bez słowa również podeszli żołnierze. W wyrazie ich oczu, których groźbą starali się zatrzeć ukryte onieśmienie, a kto wie zawstydenie może? — stara Kolcowa wyczytała: śmierć. Zaczęli wiązać obie kobiety.

— Za co? — wyszeptała Kolcowa. — Jezu Chryste, Bogurodzica Matko Przenajświętsza...

— O to-to właśnie — syknął przez zęby w zrudziałej kurtce. — Niech oni teraz okażą swoją moc i ciebie bronią, te wszystkie twoje bogi.

Raja stała się blada jak śnieg. Nie mogła ani krzyczeć, ani wykrztusić słowa. Chwytała tylko powietrze jak ryba wyciągnięta na suszę i wszystko się z niej łało: pot, uryna, łzy po twarzy. Trzęsa się cichutko i drobnie jak mysz. Żołnierze chcieli ją jeszcze przedtem zgwałcić, ale ów w kurtce nie pozwolił. Kazał ułożyć związane kobiety w chacie na podłodze. Po czym naokoło, systematycznie, prawie po gospodarsku, obłożono dom słomą. Starszy zamierzał zakneblować ofiarom usta. Tym razem wtrącił się jednak Wasyl Maszczenko:

— Niech pokrzyczą sobie troszki.

Tamten zgodził się. Słomę obłano naftą i podpalono przy otwartych oknach. Kiedy się spaliła Raja, nie wiadomo. Krzyczała tylko stara Kolcowa. Krzyczała strasznie. Wyła długo, długo zanim dym jej nie zadusił, czy też płomień nie przypalił. Maszczenko stał przed chatą, rozkraczył nogi i słuchał. Stał dopóki nie zapadł się wreszcie blachą kryty dach, niegdyś wymalowany czystą olejną farbą na zielono, od lat już wyblakłą z wyłazającymi plamami rdzy podobnymi do plam zaschłej krwi.



Daremnie szukał Kolcow swej żony i córki wśród uchodźców na Kubaniu. Daremnie rozpytywał się wśród ludzi. Wreszcie spotkał sąsiadów najbliższych, którzy wszelako też nic więcej powiedzieć nie mogli jak to, że żona jego, a później i córka, postanowiły zostać. Dopiero po kilku tygodniach zjawił się z chutoru Jaglickiego Kozak, który był pozostał, ale nie wytrzymał i uciekł już spod

władzy radzieckiej. On to pierwszy przekazał ponure szczegóły zemsty dokonanej za sprawą sąsiada Maszczenko Wasyla.

Słuchając go, stary zaledwie przybladł, swoim zwyczajem zmrużył oczy i żuł tylko coś nerwowo w gęstej brodzie, jakby zdrowymi zębami miażdżył pestki słonecznikowe. Miejscowi ludzie, a także znajomi, dziwili się bardzo, że tak twardo potrafił znieść wiadomość o strasznej tragedii, tym bardziej, że opowiadający Kozak przesadził trochę i twierdził, że córka Raja, też okropnie krzyczała i nawet cytował niektóre jej słowa-wykrzykniki.

Ktoś jeden zauważył:

— Czemu tu się dziwić. Nie on jeden. Nie jemu jednemu wymordowali rodzinę. Millllioony... — zakończył, rozciągając ostatnie słowo i zataczając gestem ręki szerokie półkole obejmujące zachód-północ-wschód.

Miał rację ten człowiek. Wkrótce nieszczęście zważyło się i przysięgło również całą ziemię nad-Kubańską. Kółcow, odcięty, nie zdołał się przebić na brzegi Morza Czarnego, do armii białych. Ukrywał się w przebraniu. Korzystając z podeszłego wieku i długiej, białej brody, udawał w łachmanach, dawnego żebraka spod cerkwi. Zmieniał miejsca pobytu, wyzbywszy się przezornie nie tylko dokumentów, ale i wszelkich przedmiotów, które by go mogły zdradzić, prócz jednego: starego już teraz i postrzępionego trochę portfela.

Wojna domowa była przegrana. Skończyła się. Wciąż jednak to tu, to tam wybuchały pojedyncze lokalne powstania. Kubań bronił się jeszcze w walkach partyzanckich. Tak, koło stancyi Staromińskiej działały oddziały powstańcze atamanów Mozula i Drofy; w bliskości Kaniłowskiej oddział Iwczenki; wokół stancyi Kopańskiej, pułkownika Suchenko. Wiosną roku 1922 szef CZEKA w mieście Jejsk, nazwiskiem Bugajew, wpadł na pomysł likwidacji powstań za pomocą brania zakładników spośród ojców i matek walczących jeszcze Kozaków. Tych zakładników rozstrzeliwano następnie publicznie na placach stanicznych, gdy minął wyznaczony termin, a synowie nie składali broni. To poskutkowało. Jakoż od maja tego roku ostatnie ogniska wojny poczęły wygasać.

Pod jesień, gdy wszelkie nadzieje były już pogrzebane, bieda i głód zwałały z nóg, a zacieśniająca się sieć poli-

cyjna groziła wyłapaniem, Kolcow przypomniał sobie o ukrytym ongiś w portfelu (teraz to się wydawało bardzo już dawno!) adresie swej starszej córki, Uli.



Z Ulą nie zdarzyło się nic z tego, co się wydarza setkom młodych dziewcząt, porwanych pierwszym, gwałtownym uczuciem, lekceważącym błogosławieństwo rodziców, ich zdrowy rozsądek i doświadczenie. Wędrowny handlarz nie tylko, że jej nie porzucił przy byle okazji, ale przeciwnie: ożenił się z nią i — mimo złudnych pozorów, które mogły budzić jego usposobienie i temperament — okazał się „najlepszym mężem pod słońcem”. Żyli w wielkiej zgodzie. Raz tylkoomal nie doszło między nimi do zerwania. Poszło o syna.

Syn ten urodził się w rok po ślubie. I oto gdy Ula zaczęła się już krzątać wokół zamierzonej uroczystości chrzestnej, ojciec oświadczył, że nie będzie chrzczony, a pod imieniem Alego (Malek był szyitą) pozostanie wierny nauce Proroka.

— Ty co wymyśliłeś nowego? Może jeszcze coś? — zareplikowała groźnie Ula.

— To co słyszysz — odpowiedział spokojnie Abbas.

— Zwariowałaś?!

— Nie.

— To jeszcze zobaczymy!

— Tak się stanie.

— To ja wracam do domu...

— Twój dom jest tutaj.

Panujące jeszcze wówczas prawo, które w rodzinach mieszanych otaczało przywilejem wyznanie chrześcijańskie, miała Ula po swojej stronie. Poza tym podniecał ją bunt, zrodzony zaskoczeniem: nigdy nie przypuszczała, że po łatwej zgodzie jaką uzyskała na ślub chrześcijański (jak wiadomo, na jej żądanie odbył się w cerkwi), teraz nagle mąż „wymyśli taką historię!”.

Następnego dnia po tej rozmowie ostateczne zerwanie zdawało się prawie postanowione. Ale w ostatniej chwili Ula, przypomniawszy sobie ojca i jego milczenie, którego lodowaty chłód wprost czuła na odległość, zadała sobie pytanie: „A dokądże ja pójde, nieszczęśliwa?...” I skapitu-

lowała. Pogodzili się. Następne lata stały się zbyt niepokojne, ażeby rozprawiać na temat w jakiej religii ma wzrastać ich syn. Tym bardziej po zwycięstwie rewolucji, gdy już było wiadomo, że z przymusu szkolnego ma się chować na bezbożnika.

Jeszcze przed przełomem październikowym Abbas Malek rozszerzył swój handel nie tylko na dywany. Nie przystał też później ani do kontrrewolucji, ani rewolucji, chociaż w stosunkach osobistych trzymał raczej z tak zwanymi „inogorodnymi” to znaczy z „niemiejsową” warstwą rzemieślników i robotników. A ci „inogorodni”, zwłaszcza w pierwszym okresie, skłaniali się częściowo na stronę czerwonych. Malek jednak najczęściej mówił do żony: „Mnie to tam jest wszystko jedno. Ja sobie pod każdą władzą dam radę”. I dawał radę. Gdy nastały porządki bolszewickie, handel stał się zbyt ryzykowny i w stosunku do ryzyka dawał zyski zbyt małe, Malek przerzucił się na rzemiosło, a głośno mówił: „Cóż chcecie, ja przecież proletariuszem jestem z pochodzenia”... Udawał nawet, że sprzyja czerwonym i ich hasłom. Ula słuchała i nie przeczyła. Wiedziała jednak, iż jest jedna rzecz, która najbardziej odpycha jej męża od nowej władzy: jednostajność i ciągnąca za nią nuda, tak sprzeczna z jego charakterem raczej wielostronnym, a więc zupełnie nieodpowiednim dla programu masowego, antyindywidualnego życia.

W tym to czasie zjawił się stary Kolcow, ojciec. Jego wnuk, Ali, liczył wówczas cztery lata.

I znowu stało się inaczej niż w wielu rodzinach tamtej epoki. Abbas Malek był zrazu niemiłe zaskoczony. Być może też odmówiłby teściowi schronienia, gdyby nie wzgląd na Ulę, którą szczerze kochał. Córka zaś nie wyrzekła się ojca, mimo iż swą obecnością mógł spowodować na ich rodzinę poważne niebezpieczeństwo. Przeciwnie, przyjęła go z otwartymi rękami. Wkrótce też jej mąż, korzystając ze starych stosunków wśród bardziej czerwonych „inogorodnych” członków byłej Kubańskiej Rady, rozpedzonego swojego czasu przez białego atamana pułkownika Folimonowa, wystarał się dla Kolcowa o jakie takie dokumenty i fikcyjne zaświadczenia.

Przyszedł NEP. Skłonny do optymizmu Malek, zaczął ponownie wierzyć w przyszłość i roił, i układał nawet na tę przyszłość konkretne plany. Ale niebawem nastał rok 1928

z przykręconą do niemożliwości ślubą „chlebozagotówek”, czyli dostaw przymusowych produktów rolnych. Potem kolektywizacja i upiorny rok 1933.

Pociągi towarowych, bezresorowych wagonów dzień i noc wywoziły w nieznanym kierunku tysiące „rozkułaczonych” chłopów i Kozaków. Nastąpił czas takiego głodu, że zaczęły się mnożyć wypadki ludożerstwa. Władze lokalne stosowały kary niejednolite, gdyż przestępstwo ludożerstwa nie zostało przewidziane w kodeksie Rosyjskiej Socjalistycznej Federacyjnej Republiki. Na Kubaniu, zdarzało się, patrzono nawet przez palce na zjadanie trupów, podczas gdy — powiadano — na Ukrainie na przykład, zausznik Stalina, Nikita Chruszczow, stosował w tych wypadkach sankcje wynikające z postanowień dekretu CKW Rady Komisarzy Ludowych z dnia 7 sierpnia 1932, Art. II, p. 2, przewidujące karę śmierci przez rozstrzelanie za: „rozgrabianie socjalistycznej własności”...

Któregoś dnia tego upiornego 1933 roku, Malek wrócił z pracy i rzucił na stół zawinięte w „Sowiecką Kubań” dwa funty kartofli. Następnie jednak coś sobie przypomniawszy, wyciągnął spod nich gazetę, niedbale strzepnął ją z piasku i wskazując tytuł palcem, powiedział do Kółcowa:

— O.

— Nie widzę. Gdzie moje okulary do czytania? Zaraz.

— Stary chciał wstać i poszukać.

— Nie trzeba. Mogę powiedzieć: Stany Zjednoczone Ameryki Północnej przyznały rząd sowiecki.

Ula nastawiała garnek z wodą i powiedziała:

— Daj na podpałkę.

— A tytoń w czym będziemy kręcić?

— Daj choć kawałek, drzewo mokre, rozpacz.

— Masz, masz! — rzucił jej strzęp ze złością. Był czegoś wyjątkowo rozdrażniony tego dnia. Patrzył ponuro. A gdy wreszcie jedli niekraszone kartofle z wodą, zwrócił się nagle do teścia:

— Nic nie poradzisz. Musisz za jakąś robotę się wziąć. Suchymi kartoflami można jeszcze żyć, ale bez nich...

— Ach milcz, milcz! — krzyknęła Ula. — Gdzież w jego wieku!...

— Abbas ma rację — przerwał jej ojciec. — Muszę coś znaleźć, właśnie odpowiedniego dla mojego wieku.

Myśl, ażeby przestać być ciężarem dla córki i zięcia od dawna już nurtowała Kolcowa. Dotychczas pomagał w domu, lub podejmował się drobnych prac okolicznościowych. Stała jednak się nie nadarzać. A do fabryki, lub innego zakładu państwowego iść nie mógł, nawet żeby go przyjęto w jego wieku, ze względu na inkwizytorską procedurę niezliczonych kwestionariuszy. Oczywiście, że w latach największej depresji i biedy jaką właśnie przeżywano, nie była to sprawa łatwa.

Dopiero więc pod koniec następnego, 1934, roku wyszukał dla siebie odpowiednie zajęcie. Obrął sobie zawód, jeden z nielicznych jeszcze, które nie podlegały większej kontroli, a tolerowany był ze względu na duże zapotrzebowanie: został szklarzem. Jako taki krążył nie tylko po mieście ze swymi drewnianymi stalugami, ale i po wsiach okolicznych, zapuszczając się coraz dalej i dalej. Bywało, że tygodniami nie zjawiał się do domu. Ale później skrupulatnie dzielił się zarobkiem, lub co ważniejsza, przyniesionymi produktami.

Jakoś jesiennym, niezbyt późnym wieczorem wrócił w deszcz. Marszcząc się i postępując, ściągał zmokłe buty. Ula rozwiesiła koło pieca jego wilgotne onuce. Na stole paliła się lampa naftowa i w jej blasku Ali odrabiał szkolne zadania. Abbas przyszedł z fabryki z godzinnym opóźnieniem. Mieli tego dnia po pracy jeszcze zebranie polityczne. Tych rzeczy już się nie kłęło. Weszły w dzień powszedni, wgryzły się jak kleszcz pod skórę. Na kolację podano niekraszone kartofle i kwartę mleka. Stary przyniósł ze swej wędrówki trochę pieniędzy, ale niczego z produktów.

Jedli milcząc. Raz tylko milczenie przerwał Abbas pytaniem skierowanym do teścia:

- No, co słysząc?
- Gdzie?
- Gdzie chodziłeś.
- To samo.

Po kolacji Ali odsunął się na drugi koniec stołu i wrócił do zeszytów. Ula raptem westchnęła i cichym głosem powiedziała w przestrzeń:

- Co stało się z mamą i Rają o tym wiadomo...
- Csssyt! — syknął Abbas.
- Ale ot, co z braćmi? Saszka, Mitia czy jeszcze żyją?

— ciągnęła nie zwracając uwagi na męża. — Bogu jednemu wiado...

— Csssyt! — przerwał jej ponownie Abbas i oczami wskazał Alego. Ula uśmiechnęła się, przegięła na stołku i wyciągając rękę pogładziła czarne, z lekka kędzierzawe włosy:

— Ucz się, ucz się synku. Co masz dziś zadane?

— O Leninie, mama.

— O Leninie, dziecko, to ja wiem, bo często się uczysz. Ale co dzisiaj? — Ali wypchnął łokieć naprzód i wsparł głowę na poplamionej atramentem dłoni.

— Taka powiastka jedna, jak kiedyś męczono biednych ludzi — objaśnił ziewając.

Niespodziewanie stary Kolcow złożył dłonie w pięści.

— Będę żył — powiedział cicho. — Do stu lat dożyję... — i tak zacisnął palce, że jego starcze, brudne paznokcie pobielwały zupełnie.



W ubiegłym wieku, w czasie gdy o tym zaczęto już głośno mówić w zachodniej Europie, a więc pomiędzy rokiem 1823 i 1877, czyli w przeciągu 55 lat, rosyjski rząd carski zesłał na Syberię — 598.000 ludzi...

Po obaleniu rządu carskiego i wybuchu rewolucji bolszewickiej, Rada Komisarzy Ludowych, kierując się osobistymi instrukcjami Lenina, ogłasza dnia 20 grudnia 1917 roku dekret o powołaniu „Nadzwyczajnej Komisji do Walki z Kонтrewolucją i Spekulacją” powszechnie znanej pod skrótem: CZEKA.

15 kwietnia 1919 roku, Wszechrosyjski Centralny Komitet Wykonawczy, znany pod skrótem: WCIK, ogłasza pierwszy dekret o utworzeniu „Obozów Pracy Przymusowej”, rozszerzony następnie i rozpracowany szczegółowo dekretem z dnia 17 maja 1919 roku, za podpisem ówczesnego przewodniczącego WCIKu Awanesowa. Na razie powstaje 97 obozów koncentracyjnych.

6 lutego 1922 roku uchwałą IX Zjazdu Najwyższego

Sowietu, CZEKA przemianowano na „Specjalny Państwowy Urząd Polityczny”, czyli w skrócie OGPU.

Dekretem z dnia 10 lipca 1934 roku OGPU zostaje pod nazwą GUGB (Główny Urząd Bezpieczeństwa Państwowego), włączony do ogólnego Komisarjatu Spraw Wewnętrznych NKWD. Jednocześnie dla ułatwienia walki z kontrrewolucją wyłoniono specjalne tak zwane „Kolegia Orzekające” — OS (*Osoboje Sowieszczanje*), wydające wyroki w trybie administracyjnym. Liczba skazanych w tym trybie na śmierć, lub odsiadujących karę w obozach koncentracyjnych przed wybuchem drugiej wojny światowej, czyli w przeciągu dwudziestu dwu lat wynosi przeszło dwadzieścia dwa miliony ludzi.

Ilość obozów koncentracyjnych przekracza cyfrę 200, dzieląc się ponadto na pod-obozy, czyli „Łagpunkty”. A w tej liczbie znajdują się takie kolosy jak Kołyma, mieszczące około trzech milionów skazańców.

Ogólne straty ludności poniesione wskutek rewolucji, poprzez wojnę domową, terror, ofiary kolektywizacji, głód i obozy koncentracyjne wynoszą — w ciągu tych samych dwudziestu dwu lat, przed drugą wojną światową — około czterdziestu milionów ludzi.



Prócz wyroków sądowych i pozasądowych „specjalnego kolegium”, powołano w roku 1930 tak zwane „Trójki Milicyjne”, które na podstawie art. 35 sowieckiego kodeksu karnego, przeznaczone zostają do walki z SOE (*Socjalno-Opasnyj-Element*), czyli z elementem socjalnie niebezpiecznym. Do roku 1936 liczba aresztowanych na podstawie tego dekretu wynosi mniej więcej dwa miliony ludzi.

Pod pojęcie SOE podpadała między innymi również kategoria obywateli już uprzednio karanych za przestępstwa przewidziane w prawie sowieckim. W ten sposób, dnia 31 marca 1932 roku zostaje niespodziewanie aresztowany Mitia. W jego osobistej ewidencji figuruje bowiem adnotacja, że swojego czasu został ukarany zamknięciem w „poprawczo-pracowniczej kolonii dla małoletnich”. Było to ze strony władz oczywiście fałszywa interpretacja SOE i zastosowanie paragrafu zupełnie niesłuszne. Zanim jed-

nak nieporozumienie wyjaśniono Mitia przesiedział rok i jeden miesiąc. Potem wypuszczono go, nawet dobrotliwie poklepując po ramieniu.

Ale władza rewolucyjna jest przewidująca. Między innymi przewiduje, że jeśli komuś stała się istotnie jakowaś niesprawiedliwość lub krzywda, to powstają obiektywne przyczyny aby ten ktoś odczuwał niechęć względem tej władzy, a wskutek tego może się stać jej czynnym wrogiem. Takiego więc należy mieć z góry na oku. A więc fakt omyłkowego aresztowania pociągnął za sobą wzięcie Miti pod bardziej ścisłą inwigilację niż innych obywateli: „Czy aby nie wykazuje swego niezadowolenia, nie rozgłasza, nie prowadzi antysowieckich rozmów”.

Mitia, choć o tym nie wiedział, milczał z przyzwyczajenia.

Dopiero kiedyś, po trzech latach, goląc się przy otwartym oknie, w lipcu, gdy do pokoju płynął strugą zapach rozkwitłych lip, oraz gęganie i ranny trzepot kołchozowych gęsi na stawie, powiedział:

— Kanalia.

Było tak, że żona jego Lidia, opowiadała mu właśnie, że ich syn Piotr, czyli Pietia opowiadał, że na wczorajszym zebraniu „Pionierów” omawiano bohaterski czyn niejakiego Pawlika Morozowa, że wsi Gierasimowka, gdzieś tam w tajdze.

— Ty słyszałeś o tym?

— Nnn... — mruknął Mitia nie rozwierając namydlonych ust.

— A ja słyszałam już dawno. No, wydał w ręce GPU własnego ojca, kułaka tejże samej wsi, Trofima Morozowa, i bardzo się tym zasłużył władzy radzieckiej. Ty wiesz, że właśnie wczoraj Pietia opowiadał, że mają mu postawić pomnik. A nawet sztukę o tym będą pisać, czy film kręcić, zapomniałam już... Pietia! Pietiaaa! — zawołała Lidia.

Mąż w tej chwili podgalał dolną wargę, wydał ją swoim zwyczajem ku przodowi i w tym właśnie ułożeniu ust, rzucił owe:

— Kannnalia. — Wypowiedział to zupełnie spokojnie, ale wyszło dobitnie i nawet jakby trochę tubalnie. Później ani rusz nie mógł sobie przypomnieć dlaczego to powiedział. Przez nagłe roztargnienie? Zaćmienie umysłu? Czy w ogóle był myślami gdzie indziej, w ten poranek, gdy

czworokątny wykrój okna słoneczną plamą leżał na podłodze i tak silnie pachniały lipy? Czy też podświadomie, dlatego, że i on miał małego synka? Małego, kochanego synka, o spieszonym imieniu Pietia. A okno...

— Kto kanalia? — spytała Lidia.

— Niiic, tak sobie. Czemu ty trzymasz okno wiecznie otwarte!

— Co tobie? Ciepło, lato, ślicznie na dworze, a on nie chce, żeby okno było otwarte!

— Ale nie wtedy gdy się gołę!

— Ech, z tobą Mitia, to trzeba jak z drugim dzieckiem — żona wstała z małej kanapki, na której siedziała z wciągniętymi nogami.

— No już nic, wszystko jedno. Teraz już skończyłem się golić. Zostaw, niech będzie otwarte. Daj mi wody do umycia.

Aresztowano Mitię następnego dnia, a raczej nocy, po uprzedniej rewizji. Tym razem już nie jako „socjalniebezpiecznego” ale za działalność kontrrewolucyjną przez rozgłaszanie wrogich władzy sowieckiej hasła.

W więzieniu w Stalinogorsku skazany został przez obwodowe kolegium specjalne NKWD, drogą administracyjną z par. 58 punkt 10 Kodeksu, na piętnaście lat łagru.

Mitia przyjął wyrok z właściwą sobie rezygnacją.



Zesłany został do Solikamska, grupy obejmującej około 50 punktów obozowych, w każdym przeciętnie po 1.500 skazańców. Trafił do punktu: Gołownoj, oznaczonego numerem 244/16/9, na zachodnich stokach Uralu. Praca włącznie przy wyrębie lasów, a także przy budowie mostów. Praca była ciężka, bo od 6-ej rano do 8-ej wieczorem bez obiadowej przerwy.

Z końcem roku 1937 rozpoczął się okres najcięższy. Czystka i ponowna fala zwiększonego terroru w całym kraju, odbiły się też na wewnętrznym régimie'ie łagrów. Głodowe normy wyżywienia przy jednoczesnym wycieńczeniu organizmu pracą ponad miarę, wywoływały masowe zachorowania na suchoty, wrzody żołądka, hipertrofię i dystrofię. Śmiertelność dochodziła do 30%. Zarazem wzmógł się terror ze strony wewnętrznych władz łagru.

Według oficjalnych danych GUŁAGu, czyli głównego zarządu obozów, rozstrzelano w tym okresie na terytorium całego imperium przeciętnie 10% więźniów, za różnorakie przewinienia. W niektórych łagrach wyroki śmierci zabierały około 25%. Rozprężenie moralne, wszy, głód, donosicielstwo, rozpacz opanowały miliony skazańców. W tym czasie, z wyjątkiem grudnia 1938, wstrzymano zwalnianie po odsiedzeniu terminu kary. I wszyscy zrozumieli, że — nie ma już żadnej nadziei.

Mitię uratowała od śmierci jego twarda przeszłość, która go zahartowała. Ale głównie dziecinny okres przebyty w „bezprizornych”.

Bodaj największą plagą wszystkich łagrów sowieckich był element kryminalny, tak zwani „urki”. Terroryzowali oni współwięźniów politycznych bardziej niż administracja, a korzystali z warunków lepszych niż polityczni. Otóż Mitia potrafił zjednać ich sobie doskonałą znajomością języka „błatnego” czyli kryminalnego żargonu, którego się nauczył jeszcze w Odessie. Zaprzyjaźnił się też z pewnym kryminalistą, który również był kiedyś w odeskich „bezprizornych” i znał nawet herszta, czyli Zegana, bandy, w której przebywał Mitia. Człowiek ów, skazany teraz za podwójne morderstwo i ograbienie kooperatywy, miał duży wpływ w łagrze i otoczył Mitię swoją protekcją.

W styczniu 1939 wezwano Mitię do kancelarii. Tam podsunęto mu do podpisu pewien dokument. Chodziło o to, że ma przyjąć do wiadomości kroki rozwodowe jakie wszczęła żona jego, Lidia Bondariewa, nie chcąc pozostać nadal w związku ślubnym z „wrogiem ludu”. Mitia podpisał i zapytał, czy jeszcze będą wymagane od niego jakieś formalności do spełnienia?

— Odprowadzić — zwrócił się kancelista do konwojenta, nie odpowiadając i nie patrząc na Mitię.

Wracali do baraku. Śnieg skrzypiał pod nogami. Niebo na zachodzie lśniło lodowatą zielenią. Termometr wskazywał 38 stopni mrozu.

R o z d z i a ł I V

WIELKA RADOŚĆ

Minęły dwa lata. Znow przysła wiosna. Bardzo zresztą spóźniona. Nazbyt długo leżały głębokie śniegi, tając po wierzchu, zamarzając w nocy grubą skorupą, po której szybko i bez końca można było biec na nartach. Za to gdy nastąpiło przesilenie, to od razu zrobiło się ciepło jak latem.

— Czemu to — zastanawiał się odeski kryminalista — czemu to tak urządzone na świecie, że nic w naturze nie ginie. Weź ciepło: nie było go, ale nie zginęło. Znaczy zachowało się, i teraz podwójną porcją nas częstuje.

— A ty myślisz, że my, za to że siedzieliśmy w łagrze i traciliśmy wolność, później kiedyś, będziemy mieli jej więcej? Za to właśnie?

— A to jakże! Naturalnie. Weź normalnego człowieka, wolnego, chociażby o tu, z Solikamska. Idzie drogą, nos powiesił, patrzy pod nogi i żadnej nie odczuwa radości. A niech by nas, bracie z tobą, nagle puścili! Czy my byśmy tak szli? Szlibyśmy piejąc-przyśpiewując, na każde drzewko spoglądając, na każdą trawkę, za każdym ptaszkiem wolnym śledząc. Ta sama droga byłaby dla nas szczęściem. Znaczy skupiło się w nas ono, nie przepadło, a wybuchło naraz. A dla wolnego, co? Codzienna bałanda i rzygać mu się chce od tego życia.

— A jak nie wypuszczą wcale, do końca życia? To gdzie się podzieje twoja zaoszczędzona radość? A?

Morderca podrapał się w głowę. Splunął, idąc, pod nogi i jakiś czas szli w milczeniu w kolumnie więziennej, mimo niedzieli, na pracę.

— Otóż to jest ćwiek właśnie. Już nad tym myślałem, nie bój się, że nie myślałem. Zastanawiałem się. I czort ich wie, tych popów wszystkich z ich wieczną brechtą; ale kto wie, wiesz, czy oni nie mają trochę racji... Bo dobrze mówisz: gdzie to ginie? A według prawa zginąć nie może. To znaczy, cholera wie, może naprawdę na tamtym świecie jakąś za to zapłatę wydadzą... Nie myślisz?

— Myśleć to można. Ale domyśleć się... truuudno.

Na zmurszałe dachy baraków „Łagpunktu” 244/16/9”, na wyszki po rogach ze sterczącymi w nich wartownikami, padało niczym niezmacone, czerwcowe słońce. Polewało swym blaskiem linie drutów kolczastych, burych od rdzy jak łodyżki jesiennych badyli. Po całym zachodnim stoku Uralu szedł suchy wiatr, od którego kołysały się zuby sosen i ostre, do nieba wyciągnięte szydła świerków. Ale niebo było wciąż granatowe i wiatr nie nawiewał ani chmur wilgotnych, ani nawet obłoczków. Szedł tylko i szumiał lasem. Granitem skrzyły się skały na górach.

Niewidoczne w eterze, biegły razem inne fale. Fale radiowe. Przemawiał Wiczesław Michajłowicz Mołotow, Związku Radzieckiego Ludowy Komisarz do spraw zagranicznych. Zawiadamiał o wybuchu wojny. Kalendarz w kancelarii obozowej wskazywał na ścianie: 22 czerwiec 1941.

Od jak dawna spodziewano się tej wieści? Od pierwszych powikłań po 1 września 1939? Od wkroczenia mocarstw zachodnich do wojny? Od wybuchu wojny fińskiej? Od takiej, czy innej, złudnej, zmyślonej, najgłupszej plotki co miesiąc, co tydzień, co dzień? Czy może zgoła od dwudziestu czterech lat, zawsze.

Nic w przyrodzie nie ginie. To co się skupiło w ciągu tych lat milczącego oczekiwania, wybuchło naraz z tym zwiększoną siłą. Działo się coś, czego władze obozowe nie oczekiwały: wśród najbardziej zmiażdżonego, zbitego, skorumpowanego i schorzałego elementu więźniów — wśród tej masy ledwo powłóczących nogami donosicieli, tych konfidentów notorycznych za blaszaną zgniłego kapuśniaka, czy kawałek gliniastego chleba — pojawiły się teraz, pisane na murach i płotach wezwania: „Hitler nas

uratujel", „Reżym bolszewicki zginie od broni niemieckiej!", „Nie sprzeciwiajcie się wojnie!"

Trudno, bardzo trudno jest dziś, po tylu latach, które przeklinają wojnę i zbrodniarzem przezywają każdego kto by do niej namawiał... Ach, jakże trudno jest przypomnieć sobie prawdę o tym, jak bezmierną, wielką radość słowo: „Wojna!" — wywołać mogło od zachodnich do wschodnich krańców Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Od Niemna po ujście Amuru. Od Murmańska po górę Ararat!

— Wojna! Słyszeliście: wojna! Co za szczęście nie do wiary!

Nie tylko w turmach, więzieniach, łagrach, izolatorach, katorgach i kazamatach. W miastach i kołchozach ludzie stawiali z twarzą zwróconą na Zachód wpatrzeni w nadchodzącą wojnę, jakby oczekiwali od niej cudu. Po dwudziestu czterech latach niewoli — czekali wyzwolenia. Po dwudziestu czterech latach bolszewizmu — czekali jego końca. Wszystko jedno kto: zły, czy dobry, lewy czy prawy, Hitler czy Churchill, byle każdy kto pierwszy wypowie słowo: „wojna".

Byli tacy co budowali bramy triumfalne. Zrywali na łąkach kwiaty. Przyjmowali zwycięzców chlebem i solą. Nie Niemców, nie Anglików, nie Francuzów, Japończyków, czy Murzynów... Oni witali: wojnę!

.....

Już nazajutrz, 23 czerwca, gdy Mitia zlaźł z przyczki o świcie by udać się do ustępu, zdziwiła go mnogość napisów kredą na ciemnym, węglem na jasnym tle: „Precz z władzą radziecką!", „Śmierć Stalinowi!", „Niech żyje wolność!". Nerwowy skurcz mięśni wywołany podnieceniem, przy jednoczesnym wycieńczeniu organizmu, nie pozwalał mu się załatwić i długo siedział w cuchnącej latrynie, choć bał się, że i na niego może paść podejrzenie za te napisy.

Władze zastosowały drakońskie środki. Funkcjonariusze III-go oddziału operacyjnego KGB aresztowali każdego, przy kim znaleziono kawałek węgla, kredy, lub resztkę ołówka. Później każdego, kto miałby chociaż plamkę małą na ubraniu od węgla, kredy lub wapna. Doszło ponownie

do masowych rozstrzeliwań w łagrach, tak jak w latach 1937 i 1938. Nie pomogły jednak te środki zapobiegawcze, ani inne, ani stosy donosów piętrzące się w kancelariach wydziałów bezpieczeństwa. Napisy pojawiały się dalej. Z drugiej strony nieomal co trzeci więzień składał podanie o wypuszczenie go z łagru, gdyż: „Jego największym pragnieniem jest iść na front, aby walczyć za partię, ojczyznę i ukochanego wodza Stalina”...

Takie same podanie w identycznie napuszonym stylu napisał również Mitia. Niestety już w sierpniu 1941 roku wydane zostało okólne rozporządzenie, aby powstrzymać dalsze zwalnianie na front, gdyż stwierdzono, że zwolnieni korzystają tylko z pretekstu i pierwszej okazji, aby uciec na przeciwną stronę.

Naturalnie, że poważni funkcjonariusze NKWD i NKGB od razu się tego spodziewali. Dlatego już od pierwszego dnia wojny wydany był rozkaz, ażeby więźniów z zachodnich połaci Związku Sowieckiego, których się nie da ewakuować przed inwazją niemiecką, „likwidować”. W ten sposób w czerwcu-lipcu 1941 doszło do masowej masakry więźniów w Prowieniskach na Litwie, w Budślawiu, Wilejce, Lwowie, Mińsku, Kijowie i tak dalej, i tak dalej.



Napisy na ścianach, niezdarnie pisane ulotki i wezwania do obalenia ustroju bolszewickiego, pojawiały się w całym kraju. Przeważnie nie były drukowane. Były masowo pisane ręcznie.

Tymczasem armie niemieckie parły naprzód i w październiku zajęły Możajsk. Dnia 16 października wybuchły w Moskwie rozruchy. Tłum opanował ulice. Poczęto rozbijać sklepy państwowe i fabryki. Na ulicy Sadowej rozgromiono sklep dla uprzywilejowanych wyższych urzędników „Select” a następnie „Prodmag” żywnościowy dla zwykłych obywateli. Na ulicy Twerskiej, Miasnickiej, Pokrowce, Marosiejce wybijano witryny, łamano drzwi. Leciały w okna brukowce i cegły. Wybuchły pożary. Czarne kłęby dymu, zmieszane z kurzem snuły się między kamienicami ponad rozkołysanym tłumem.

— Gromi! Gromiii! Uraaa!...

Na miejskich rogatkach zatrzymywano uciekające maszyny z dygnitarzami, wyższymi funkcjonariuszami partyjnymi, oraz dobrem państwowym. Rabowano i odbierano im wszystko cokolwiek chcieli wywieźć. Tego rodzaju zastawy rogatkowe ktoś przezwiał żartobliwie: „Stacja Bieriejajka-Wylezajka”.

— Wyłaaazić! Ty! Dosyć się nażarłeś i napiłeś naszej krwi! — I wszechwładni jeszcze wczoraj dostojnicy partyjni wyłazili potulnie, ciesząc się, że wolno im ująć z życiem.

Komsomolcy i członkowie partii, którzy pozostali w stolicy, darli w pośpiechu swoje legitymacje, palili dokumenty, a marksistowską literaturę wyrzucali z okien wprost na ulicę. Wiatr podrywał papiery i roznosił je daleko po jezdni.

— Aaaaa! Ha-ha-ha! — wył tłum.

Deptano po okładkach, ozdobionych profilem Lenina i Stalina. Zrywano z murów państwowe wezwania i plakaty. Niszczono oficjalne portrety.

Ale była to rewolucja bez organizacji i bez wodza.

Komendant Moskwy, generał Silinow, został osobiście wezwany przez Stalina i otrzymał rozkaz zgniecenia za wszelką cenę rozruchów. Rzucił tedy na miasto specjalne oddziały NKWD uzbrojone w pistolety automatyczne. Dnia 17 października opanowały one sytuację w stolicy całkowicie. A następnego, 18 października, spokój został przywrócony w Moskwie. Tylko stróże miejscy, wielkimi miotłami zmiotli na kupy zmierzwiłone w błocie, zmieszane z odłamkami szkła wielkie masy literatury komunistycznej i okładki legitymacji partyjnych.

Była to rewolucja bez wodza i organizacji.

Armie czerwone, które na poszczególnych odcinkach stawały zaciekle opór i walczyły nawet dzielnie, w najważniejszej, swej masie nie tylko nie wykazały należytej odporności, ale czasem wyraźną niechęć do walki. Liczba jeńców rosła niepomrotnie. Dnia 10 lipca w jednym tylko kotle Białystok-Mińsk wyniosła ona 323.898. Do końca miesiąca wzrosła do liczby 895.000. W początku sierpnia pod Humaniem złożyło broń 600.000. Do końca bitwy o Ukrainę 665.000. W październiku, w bitwie pod Azowem Niemcy zagarnęli 100.000 jeńców. A operacja zakończona 17 października w rejonie Wiaźma-Briańsk przyniosła kapitulację 67-miu sowieckich dywizji piechoty.

6-ciu dywizji kawalerii, oraz 7-miu dywizji i 6-ciu brygad pancernych. Były to cyfry dotychczas w dziejach wojen nienotowane w tak krótkim przeciągu czasu.

Wytworzył się specjalny typ żołnierza sowieckiego, który już po kilku tygodniach wojny otrzymał rozpowszechnioną nazwę: „Nurik”. Coś na kształt, choć nie dosłownie: nurka, który rzucał broń, dawał nurka w przestrzeni i tłumie, a wypływał dopiero pod okupacją niemiecką i zlewał się z pozostałą ludnością, aby przeczekać i doczekać — zanim zniszczony zostanie system bolszewicki. Tego rodzaju nieaktywna masa jest zjawiskiem psychologicznie naturalnym w przewrotach, którym brakuje jednolitego kierownictwa, oraz wyraźnie zarysowanego celu i hasła. Nie umniejsza to jednakże potencjału nastrojów antysowieckich, a jedynie charakteryzuje ich tło w tym właśnie okresie.

Kontrrewolucja antybolszewicka w latach 1941-1944 stanowiła ruch typowo oddolny. Jeżeli przewrót w Rosji 1917 przygotowała właściwie inteligencja rosyjska, a przewrotu bolszewickiego dokonał talent organizacyjny i żelazna wola Lenina, jeżeli utarło się przekonanie, że każdą rewolucję robi właściwie jakaś intelektualna góra, która dopiero narzuca ją następnie masom, to ta ostatnia kontrrewolucja rosyjska stanowić by mogła szczególny wyjątek w historycznej regule.

Była autentyczną rewolucją dołów, rewolucją mas, bez biografii i fotografii przywódców, które by zdobić mogły przyszłe podręczniki. Pod tym względem, prawem paradoksu, kontrrewolucja antybolszewicka tych lat, potwierdzała raczej historiozofię marksistowską... o oddolnym charakterze ruchów masowych. Na jej historię składała się wyłącznie historia życia niezliczonych jednostek szarego człowieka.

Już w tym czasie zaczęto mówić: „Gdyby Hitler wystąpił z jakąś konstruktywną, polityczną koncepcją pozytywną...” Ale i tego nie byłoby potrzeba do obalenia ustroju bolszewickiego. Wystarczyłoby gdyby nie dławili już w zarodku każdej organizacji tego ruchu i aby swymi metodami i własną polityką nie podcinał go u nasady, odbierając mu wszelki sens, i nadzieję na osiągnięcie celu.

Biskup Polikarp włodziński na Wołyniu, biskupi i arcybiskupi prawosławni Litwy, Kijowa, Narwy i Mitawy w piśmie do Hitlera zapewnili go, iż modły będą wznosić do Najwyższego, aby zechciał użyć zwyczajstwa tym, którzy podjęli heroiczną walkę z bolszewikami.

Na ręce generała von Mansteina, zdobywcy Krymu, delegacja Tatarów złożyła dary w postaci drogich tkanin, z prośbą aby zechciał je przekazać „oswobodzicielowi spod jarzma bolszewickiego, Adolfowi Effendi”.

Szczepcy Kabardyńców i Bałkarów kaukaskich wręczyły byłemu konsulowi niemieckiemu kpt. Bräutigam, pięknie wyceylowaną, nabijaną szczerym złotem uzdę na konia, z prośbą o wręczenie tego podarku Hitlerowi w dowód wdzięczności za wyzwolenie.

I tak dalej, i tak dalej...

.....

Jeszcze przed rozpoczęciem kampanii, dnia 24 kwietnia 1941 roku, Hitler wezwał do siebie ministra Rosenberga, któremu oświadczył: „Göring opracowuje plan czteroletni dla terenów, które zdobędziemy na wschodzie. Wszystkie surowce będą natychmiast odstawione do Niemiec. Stro-ną policyjną zajmie się Himmler, który ma twardą rękę”.

Dnia 9 maja 1941 roku Hitler oświadczył: „Mnie nie obchodzą te dzikie narody kaukaskie. Mnie obchodzi tylko ich nafta”.

Dnia 22 czerwca 1941 roku sekretarz stanu Ministerstwa Wyżywienia w Berlinie, pan Backe, miał oświadczyć: „Kołchozy będą utrzymane. Gdyby ich nie wynalazły So-wiety, musiałyby zostać wynalezione dla eksploatacji wschodu, przez nas”.

Dnia 1 września 1941 roku, nowomianowany Reichs-komisarz Ukrainy, Erich Koch, oświadczył: „Ukraińcy są prasłowianami. Będę nimi rządził za pomocą machorki, wódki i nahajki”.

Według nieoficjalnych danych w obozie dla jeńców so-wieckich pod Częstochową, z trzydziestu tysięcy Turkme-nów pozostało przy życiu tylko dwa tysiące. Resztę wy-strzelały Einsatzkommando SD jako zbędnych na tym świecie „azjatów”.

Rządy Reichskomisarza Ukrainy Kocha, podlegającego de facto bezpośrednio Hitlerowi, przybrały niebawem charakter tak dalece graniczący z prowokacją prosowiecką, że w wojskowych kołach niemieckich szerokie rozpowszechnienie znalazła następująca anegdota: — „Gdy Stalin zimą roku 1942-1943 rozdawał na Kremlu ordery, pierwsze odznaczenie miał odłożyć na bok ze słowami: Tego najwyższego orderu nie mogę dziś jeszcze udzielić, gdyż zasłużył nań Reichskomisarz Erich Koch, a jest w tej chwili na swoim posterunku na Ukrainie, dla interesów sowieckich nieodzowny”.

W rezultacie, w myśl poprzednio już powziętej uchwały ukraińskiej organizacji OUN, Ukraińcy podejmują walkę nie tylko przeciwko bolszewikom, ale i Niemcom, czyli jednocześnie na dwa fronty, która zwłaszcza rozgorzała w latach 1942-1943. Do obozów koncentracyjnych w Sachsenhausen i Oświęcimiu, do więzień we Lwowie, Krakowie, Berlinie i Wiedniu spływa coraz więcej Ukraińców.

Wychodzące w zasięgu armii generała von Bocka pismo polowe „Der Durchbruch” pisało w numerze z lipca 1941, w felietonie pod tytułem „Studnia”: „Spragnieni podchodzimy do studni. Ludzie za Bugiem witają nas jakby byli naszymi sprzymierzeńcami. Nie rozumieją tego, że nam ich przymierze nie jest potrzebne. Nam potrzebna jest tylko — ich studnia”.

Adolf Hitler, który był autorem teorii o „Untermenschach”, rozciągał ją w praktyce na wszystkich ludzi zamieszkujących na wschód od Warty i Niemna. Szczególną awersję odczuwał do Słowian. Do szczerzej pasji doprowadzały go koncepcje pewnych kół wojskowych aby ruch antybolszewicki narodów wschodnio-europejskich potraktować jako równoprawnego sojusznika w wojnie przeciwko Sowietom. Istnieją pewne dane, które zdają się wskazywać, że usunięcie generała von Brauchitscha w grudniu 1941 spowodowane zostało między innymi wskutek poparcia przez niego tej koncepcji, którą potraktował jako „kriegsentscheidend” — decydującą w wojnie. Hitler zezwalał jedynie, i to z dużym wstrętem, na formowanie „pomocniczych ochotników”, których rola nie miała przekraczać czegoś w rodzaju siły pociągowej, w każdym razie podrzędnej i pozbawionej wszelkiej podbudowy politycznej. Wszystkie tereny zajęte na wschodzie miały się

stać w przyszłości kolonią niemiecką, a autochtoni traktowani, w najlepszym razie, nieco powyżej Murzynów afrykańskich.

Wieczorem dnia 8 maja 1943 roku, po zakończeniu narady sytuacyjnej, w której brali udział generałowie Keitel, Zeitzler, Schmudt i pułkownik Scherff, rozmowa zeszyła na sprawę ruchu generała Własowa. Wówczas Hitler sprecyzował rzecz w ten sposób: „Musimy unikać nawet myśli o takim rozwiązaniu... Mamy pod tym względem doświadczenie z Polską z roku 1916. Ludendorff tłumaczył się później, że chciał uzyskać 500 tysięcy żołnierzy. Ale rozsądny człowiek mógłby z góry go przestrzec: pan otrzyma owe 500 tysięcy, ale nie do walki z Rosją, Polacy wystawią armię po to aby... wyzwoić Polskę... Nie potrzebujemy żadnych niepodległych państw, których cele nie pokrywają się z naszymi celami... Poprzez front możemy robić propagandę jaką chcemy. Tam możemy wszystko robić i wszystko mówić. Ale na terenie naszego zaplecza nie ma się prawa nic dziać, co by mogło doprowadzić do powtórzenia roku 1916”.

Stąd tworzenie antybolszewickich oddziałów zbrojnych odbywało się z cichej inicjatywy poszczególnych dowódców, było dziełem nieoficjalnym, a najczęściej wręcz przed najwyższym dowództwem ukrywanym. Ten z góry nałożony hamulec nie dopuszczał naturalnie do rozwinięcia akcji na szerszą skalę. Zresztą Hitler, do którego dochodziły o niej pewne informacje, zżymając się, czekał tylko na okazję, by zadać tej akcji cios ostateczny.

Naturalnie wśród rozmaitych narodowości, oraz sfer emigracji antysowieckiej znalazło się sporo jednostek i nawet całe grupy karierowiczów i oportunistów, które — jak to wszędzie i zawsze bywa podczas wielkich przewrotów i wielkich wojen — usiłowały wykorzystać koniunkturę dla personalnych celów i ambicji, organizując narodowe „faszyzmy”, licytując się w antysemityzmie i w różny inny sposób próbując zdobyć łaski i poparcie, szukając kompromisu i przystosowania do programu hitlerowskiego. Jednak wszystkie próby tego rodzaju, potraktowane z niemińszym lekceważeniem, a za to z większą pogardą, kończyły się zazwyczaj na roli podrzędnych agentur i tym bardziej nie mogły odnieść żadnego skutku.

Hitler nie chciał kontrewolucji antybolszewickiej.

Hitler jeszcze przed rozpoczęciem kroków wojennych przeciwko Sowietom, gdy rozpracowywano dopiero plany przyszłej kampanii, i w maju 1941 gdy była mowa o podziale administracyjnym ziem, które mają zostać okupowane, wykrzyknął: „Gubernie?! Nie podoba mi się ta nazwa! Brzmi z carska... Niech się nazywają: Komisariaty.

— Ale, mein Führer, „komisariaty” przypominają z brzmienia rządy bolszewickie.

— Tym lepiej tym lepiej! Niech się nas boją jak zarazy, jeżeli mamy tam nasze panowanie umocnić. Wydałem pod tym względem Reichsführerowi SS rozkazy radykalne.

Być może nie będzie przesadą, że Hitler w głębokiej niechęci do wszelkiej „reakcji”, nienawidził kontrrewolucji w stopniu nie mniejszym niż sam Stalin. Jedyne, jak to sam przyznawał, dla przejściowych względów taktyczno-wojskowych zezwalał na stwarzanie złudzenia niejaki jej szans. I choć były to szanse bardziej niż nikłe, uchwycili się ich ci wszyscy, dla których życie w ustroju bolszewickim nie miało żadnych szans.

W ten sposób, o ile w pierwszym okresie absolutna większość obywateli sowieckich czekała tylko na hasło, aby zgodnie podjąć walkę przeciwko ustrojowi bolszewickiemu, o tyle w późniejszych okresach wojny doszło do owego rozczłonkowania, które ostrym mieczem przecięło ludy podsowieckie. Gdy pewna ich część pchnięta została wskutek polityki Hitlera do partyzantki antyniemieckiej, inna porwała za broń do akcji antysowieckiej. Partyzantka mieszała się z antypartyzantką. Na olbrzymim terenie zaplecza armii okupacyjnych, od Zatoki Fińskiej do gór Kaukazu, rozgorzała druga wojna domowa.

Tym się wszelako różniła od pierwszej, że tylko jedna ze stron, mianowicie tamta, komunistyczna, miała za sobą wodza i organizację odgórną. Bo gdyby taki wódz po tej stronie nawet się i znalazł, to albo trafiłby do Dachau, albo po prostu zostałby zlikwidowany na rozkaz Hitlera(*).



Z nastaniem roku 1942 Mitia ponowił swoje podanie o zwolnienie z łagru na front. W roku 1935, gdy po-

(*) Patrz przypisek autora str. 269.

trzebni byli bezpłatni robotnicy, przestępstwo Miti uznano za ciężkie. Teraz, w roku 1942, gdy potrzebni byli na gwałt żołnierze na front, rozpatrzono podanie Miti bardziej szczegółowo i uznano jego przestępstwo za błahe. Kolegium orzekające rehabilitowało go całkowicie. W lutym Mitia został zwolniony.

W końcu marca tegoż roku, 35-letni człowiek sowiecki, ze śladami ciężkich przeżyć na źle ogolonej twarzy, w czapce przesuniętej na bakier, w rozpiętym szynelu, z workiem na plecach i rozkazem podróży w kieszeni — kroczył ulicami miasteczka Kamyszczyń nad Wołgą. Nie odczuwał jednakże tej radości, którą przepowiadał mu jego przyjaciel i towarzysz łagiernej niewoli, podwójny morderca z Odessy. Na bardzo wysokim niebie ciągnęły się w nieskończoność drobne obłoczki jak stada białych karakułów. Nastąpiła odwilż. Pachniało mokrym śniegiem, rozjeżdżonym kołami, zmiętoszonym w zabarwione na żółto błoto. Krzyki kawek, krążących nad kopułą cerkiewną, w której dawno już przestano dzwonić, zwiastowały rychłą wiosnę. Na głównym placu kłębił się tłum ewakuowanych cywilów, maszerujących dokądś żołnierzy; zgrzytliwe porykiwanie syren samochodowych. Toczyły się furmanki konne, i na kołach i na płożach. Migało w oczach od cywilnych czapek z daszkami; papachy zimowe, baranice; szczelnie obwinięte wokół głowy chustki babskie. Tło było jednak jednostajne. Nie widziało się żywszych kolorów, tylko: czarne, szare, brudno bure, białe i znowu szare. W tym, zapowiadającym wiosnę powietrzu, rozbrzmiewał jak w ulu gwar głosów, poszurgiwanie nóg po błocie bruku, pojedyncze przekleństwa. Ktoś wołał z tłumu:

— Mitia! Mitia!

Ale on wiedział, że to nie na niego wołają. Że nie ma nikogo, kto by miał go szukać, wołać, poznać czy nawet wiedzieć, że jest tu a nie gdzie indziej. I może właśnie dlatego, idąc przez ten rynek, na którym nikt nic nie sprzedawał i nikt nie miał nic do kupienia, popadł w bardzo nierealne zamyślenie:

„Oto w tym tłumie spotyka żonę swoją, Lidię, z małym Piotrusiem, którego ona ciągnie za rączkę. Oczy jej się rozszerzają w nagłym zdumieniu: Mi... ledwo wyszeptują jej wpółotwarte wargi, Mitia?... szepcze w zdumieniu. Ty-

żeś to, Mitia?... A on, ciężko stąpając przepycha się koło niej, i ramieniem obciążonym workiem toruje sobie drogę w ścisiku i nawet nie spojrzy. Nie, nawet na syna. Skończzone. Mitiaaa! woła do niego wyciągając rękę Lidia, rodzo... ty mój! Zrozum, przecież ja musiałam... Ale ręka jej zsuwa się po szorstkiej materii szynelu, a on nieubłagany stąpa, człapie po nawozie rozpułniętym w odtajnym śniegu, gniecie żdźbła słomy, już jest o krok dalej, dwa, trzy, cztery: idzie w tłum i nawet się nie obejrzy. Żeby tylko zaciska, żeby nie rzucić w tę twarz, ongiś ukochaną, szczelnie obwinietą chustką, wytartą na uchodźczym szlaku: Ty z kim... przez te wszystkie lata, gdy ja..."

— Ty! Wrono bezskrzydła! Gdzie się pchasz?! Dziecko chcesz zdeptać?! — odpycha go nagle młoda kobieta z głową szczelnie opatuloną w chustkę, trzymając za rękę małego chłopczyka. Mitia uniósł ciężki wzrok, oderwał go od wewnętrznych myśli:

„Nawet, żeby choć trochę podobna. Ale nic a nic...” — zauważył. Nie odpowiedział jej słowa i przepchnął się dalej. „A Pietia już teraz nie taki mały przecie. Zaraz, który to mu rok idzie?”... „A jednak iść bez konwojenta wciąż sprawia dużą przyjemność. Nawet w tym tłumie, smagany niedolą. Chcesz: zawrócisz na prawo; chcesz: skrećisz na lewo, tym oto zaułkiem pozbawionym tro-tuarów”...

Takie myśli i taki psychiczny stan Miti trzeba wziąć pod uwagę, jeżeli się zechce zrozumieć dlaczego pozornie: ni stąd ni zowąd skrecił z nakazanej marszruty, i od Kamyszczyzna począwszy zaczął się różnymi środkami komunikacji kierować na stację Kachalińską. „Stamtąd, sądził, do chutoru Jaglickiego jakoś już trafi”. Zbłąkanych ludzi w tym czasie było bardzo dużo. Sprawdzić wszystkich dokumenty i personalia, prawie niepodobieństwo. Mimo za-ostrzonych praw wojennych, kontrolowano przeważnie na większych szlakach i to głównie tych, którzy się przedostawali z rodzinami na wschód. W kierunku przeciwnym, na zachód, z dokumentem podróży w kieszeni, nie było nazbyt trudno się posuwać. Często Mitia umyślnie zgłaszał się nawet na posterunki kontrolne, że się to niby zabłąkał, wsiadł nie do tego pociągu, i teraz prosi o wskazanie prawidłowego kierunku. Znał się na tego rodzaju podróży.

W ten sposób doszło do innego spotkania niż to, o którym się zamyslił w Kamyszczyźnie.

Wiorst miał sporo do przebycia. Nastrój w kraju, jak gdyby coś ukrywający pod zewnętrzną powłoką milczenia i podejrzliwości. Czasem milkły rozmowy, gdy on, nieznamy, zbliżał się do ludzi. Czasem uchwycił zdanie, jak to na przykład:

„Gorzej nie będzie...”

Sam dużo nie gadał. Na przygodnych noclegach ściągał buty i nakrywał się z głową szynalem. Rano szedł dalej, u dobrych ludzi poczęstowany kawałkiem chleba lub nawet miską czegoś gorącego; szedł pod orzeźwiającym podmuchem; czasem po nocnym przymrozku buty jego miażdżyły kruchy lodek na drodze, czasem grzęzły już w błocie rozgrzanym wiosennym słońcem. Ku południowi zwrócone stoki pól uwolniły się od śniegu. Tu i ówdzie przeświecała młoda trawka.

Jaglickiego prawie nie poznał. Był teraz kołchozem imienia Kirowa. Powstały nowe budynki: długa, niekształtna obora; szkoła, sądząc po świeżych belkach i wiórach dokoła, niedawno wzniesiona; jeszcze jeden-dwa budynki, na froncie których wisiały szyldy. Natomiast stare chaty podupadłe, dachami kłoniące się bardziej do ziemi. Jakże w nich poznać dawne, wesołe kurenie! Płoty przyzagrodowe świecące dziurami, bramy pochylone na bok. Domu z zielonym dachem ani śladu. W tym miejscu, gdzie musiałby stać, w fundamentach kałuża po stajałym śniegu i dwie pływające w niej kaczki. Mitia minął kałużę, ujadającego psa odpędził leszczynowym kijem i poszedł na mostek koło młyna, gdzie widział grupę ludzi. Jeszcze wtedy nie wiedział, co im powie.

Wielu z nich było wyraźnie w wieku poborowym, jakby tylko co wyszli z ukrycia. Wśród starszych, oparty o barierę stał starzec o dużej, siwej brodzie. Mitia mimo woli gęsto zamrugał powiekami i pomyślał: „Ojciec”. Zbliżył się lewą ręką przytrzymując worek na plecach, prawą kij leszczynowy. Tamci patrzyli bez słowa. Rozmowa się urwała między nimi.

— Nie wy, czasem, będziecie Kolcow? — zapytał Mitia, zwracając się do stariego.

Starzec zimno zmierzył go wzrokiem:

— A tobie jaki tutaj interes? Jakich Kolcowych szukasz?

— Moje nazwisko — odparł Mitia — Kolcow.

— Koolcow?... A nu, chłopcy — podrzucił brodą — sprawdź co za jeden.

Tamci usłuchali, jakby tu sprawował jakąś władzę. Ale nie wyglądał na przewodniczącego sielsowietu, czy kołchozu. Wyglądał na ojca. W oczach tych, którzy podeszli do Miti tliło coś nieprzyjemnego, niedobrego. Patrzyli spode łba. On jednak, nie czekając rozkazu, przywykłym do rewizji i kontroli ruchem, opuścił worek na ziemię i skrzętnie sięgnął do kieszeni po dokument.

— Dajcie skrócić machorki, towarzysze; nie paliłem od kilku dni.

— Jeszcze zaczekaj czy szyi tobie nie skróć. Coś za jeden? — Starszy, w półwojskowym ubraniu, obracał w palcach dokument, rozprostował przytrzymując od wiatru i najpierw niemo, dla siebie, poruszając tylko wargami, a później głośno sylabizując odczytał: — Dy... mitr Aleksandrowicz Kolcooow. Tak i jest. Tu napisane.

W tej chwili badany podniósł wzrok na starca i powiedział:

— Ja, Mitia...

Twarz cała w brudach, okolona brodą, nie zmieniła wyrazu. Oczy po dawnemu pozostały barwy szarego lodu. Nastąpiło krótkie milczenie, podczas którego stali na przeciw siebie, Mitia prawie jak na baczność w czasie apelu w łagrze. Pierwszy ruch zrobił ojciec: oderwał się od poręczy mostu, podszedł bliżej, bliżej, tuż, wyciągnął palce, jakby był ślepy, dotknął nimi syna, pomacał jego ramiona, szyję, zapadłe policzki i spytał:

— Mitia?

— Ja.

Wtedy starzec oparł się całym ciężarem na ramieniu syna, spuścił głowę i patrzył w zabłocone deski mostu. Mitia stał wciąż wyciągnięty, prawie jak na baczność podczas apelu. Dopiero po dłuższej chwili ojciec, nie unosząc opuszczonej głowy, odezwał się:

— My tu, Mitia, muzyki słuchamy. Słyszysz, Mitia, muzykę?

Mitia nadstawił uszu. Hen, zza Czyru, a kto wie, może to jeszcze znad Dońca, z bardzo daleka, z zachodu, dochodził niewyraźny, przerywany podmuchami wiatru, głuchy odgłos armat.

Spotkanie z synem było niespodzianką. Ale stary Kolcow nie znalazł się przypadkowo w swoim chutorze, a obecnie kolchozie im. Kirowa.

Od chwili pierwszej wiadomości o wybuchu wojny myślał o tym powrocie nieustannie. Gdy grupa pancerna generała von Kleista uderzyła z dolnego Dniepru w kierunku Zagłębia Donieckiego i dnia 21 listopada 1941 roku zajęła po raz pierwszy Rostów, starzec, nie zdradzając swej tajemnicy nawet przed córką, zabrał szkła w drewnianych stalugach na plecy i zapowiedział, żeby go w domu nie rychło oczekiwano. Ula w czterdziestym trzecim roku swego życia postarzała się widocznie. Wychudła. Syn jej jedyny, Ali, zmobilizowany jeszcze w czerwcu, poza dwoma listami na początku, nie dawał o sobie znaku. Może lenił się pisać, a może... Ula stała się pod tym względem podobna do matki. Jak ta kiedyś tęskniła za najmłodszym Mitią, tak teraz Ula całą nadzieję, macierzyńską boleść, tęsknotę i wszystkie pragnienia swego życia łączyła z jedynym dla niej Alim. Mąż dawno już utracił właściwą mu werwę. Stał się mrukliwy, niechętny względem otoczenia. Tylko ojciec wydawał się ciągle jak ze stali ukuty i trzymał się jednako: „Czyżby istotnie zamierzał dożyć stu lat?”

Kolcow nie poszedł od razu do Jaglickiego. Wiadomość o odbiciu Rostowa przez Timoszenkę 28 listopada zastała go w Pregradnym. Ale nie poddał się pesymizmowi. Wierzył w Boga mocno. Dawne wątpliwości, na które sobie pozwalał, nie nawiedzały go więcej właśnie w miarę, gdy wszystko obracało się ku gorszemu i ludzie wokół, jeden po drugim tracili wiarę. A on ją jakby odzyskał:

— Pan Bóg nigdy nie był rychliwy — powiadał. — Ale swoje zrobi. Swój fach zna. Ludziom do jego zamiarów nie mieszać się.

— To tak jak w Egipcie. Znasz bajeczkę o Egipcie?

— Jakaż to bajeczka?

— Ano, mówią, Pan Bóg zawsze był sprawiedliwy. Faraonowie męczyli ludzi, męczyli, aż po kilku tysiącach lat, obacz, a Faraonów już nie ma. Sprawiedliwość zatriumfowała. Poczekamy i my parę tysięcy lat...

— Głupia to bajeczka, i ty jesteś głupi — znajdował odpowiedź Kolcow.

W Pregradnym miał znajomego, latami wprowadzie o wiele młodszego Kozaka, Iwana Fomina, również ukrywającego się od czasu wojny domowej. Przesiedział u niego styczeń 1942-go i dopiero w pierwszych dniach lutego ruszyli razem na Salsk, Cymlińsk do Niżnie-Czyrskiej. Długo błakali się po kołchozach wzdłuż Czyru, zanim budzące się soki wiosenne pchnęły Kolcowa do wypalonego gniazda.

Poznało go tylko dwóch najstarszych ludzi i przemilczało jak grób. Największy wróg, którego mógł się obawiać, stary Wasyl Maszczenko, deportowany został wraz z całą rodziną jeszcze w okresie kolektywizacji, i od tego czasu wszelki śluch po nim zaginął. Powiadano, że za nadto się stawiał i „rzucił”, za śmiało protestował powołując się wciąż na swe zasługi dla rewolucji i umęczonego przez białych syna. „Ja tu — powiadano, że krzyczał — nie pozwolę na to, albo na to!”.

— A czyż oni pytają kogo o pozwolenie? Śmiesznie słuchać nawet było takich słów! I to, zdaje się, stary człowiek, a takie głupstwa wykrzykiwał.

— No i jak się skończyło? — pytał Kolcow.

— Jakże mogło się skończyć. Uznano jego, tego samego Wasyla, za „podkułacznika”, że to niby sympatyzuje z kułakami przeciw kołchozom. I wywieźli. Dokąd, naturalnie nie wiadomo.

Kolcow ponuro pomilczał i dopiero po dłuższej pauzie, patrząc pod nogi zapytał:

— A... moich, żony i... Kości, gdzie?

— Zakopaaaaano. — otrzymał niechętną odpowiedź.

Nie pytał gdzie. Czy to nie wszystko jedno? Wiadomo gdzie: w ziemi, gdzieżby indziej.

Dalszy jego pobyt ułożył się sam przez się. Trudno nawet sprecyzować jak to się działo. Nikt niczego nie organizował, nikt nikogo nie wyznaczał. Nie było żadnej podziemnej jaczajki, żadnej organizowanej propagandy. A przecież raptem wszyscy wiedzieli dokładnie: cały Don powstanie przeciwko władzy radzieckiej. I stary Kolcow, choć był może jeszcze mniej małomówny od innych, zdobył nagle wielki i powszechny autorytet w kołchozie im. Kirowa. Wyglądało tak, jakby go ktoś, a nie wiadomo

kto, mianował z góry na atamana. W rzeczywistości jednak nie było ani nominacji, ani wyborów. A słowo „ataman” w dalszym ciągu było słowem zakazanym.

W dwa miesiące po przybyciu Miti rozpoczęła się ewakuacja kołchozowego dobra. Władze już od dłuższego czasu zrobiły się bardzo powściągliwe. Rygor się rozluźnił. Kozacy zebrali się w południe, jak zazwyczaj, na mostku koło młyna. Ktoś powiedział:

— E, tam. Gorzej niż przy bolszewikach nie będzie pod Niemcami. — Było to najśmielsze słowo jakie padło otwarcie i głośno.

Nikt nie odpowiedział. Słysząc było jak robotnicy MTS (Maszynowo-Traktorowej Stacji) zapuszczali motory u ciężarówek. Przewodniczący kołchozu gorączkował się i pośpiesznie ładował prywatne graty na furmankę. Nikt mu w tym nie przeszkadzał. Kilku pracowników Państwowej Hodowli Konnej przemykało z węzłkami, chyłkiem, nie patrząc na zebranych. Spieszyli się do przygotowanych wozów. Im też nikt nie zagradzał drogi. Wiadomo było tylko, że nie ośmiela się ewakuować wszystkich koni. Z rejonu przybyło zaledwie dwóch enkawudzystów dla dopilnowania ewakuacji. Szli właśnie od kancelarii Sielsowietu z przewieszonymi na ramieniu „pepeszami”. Starszy ranga, wymijając wzrok Kolcowa, który na nich patrzył bacznie, odezwał się sztucznie beztroskim tonem gdy maszerowali przez mostek:

— No cóż, chłopcy, przy ewakuacji nie pomagacie?

Odpowiedziało mu głucho milczenie zebranych. Mijając ich i schodząc z mostku na drogę, młodszy nagle wzruszył ramionami i zażartował półgłosem do towarzysza:

— Może być, że Bóg Ojciec istotnie pochodzi ze „świętej Rusi”... Z taką jak tamten, wielką brodą i takim groźnym wejrzaniem na twarzy, a?

— Ty co? Po pijanemu mówisz?

Nieprzyjemnie im było iść i udawać spokój, z namacalnym nieomal wyczuciem wroga w potylicy...

W tej chwili padły dwa, prawie jednoczesne strzały: trach-trach! Wyższy zachwiał się, przez ułamek sekundy mogło się zdawać, że zastanawia się czy ma odwrócić głowę... i wywrócił się bokiem na drogę. Niższy potknął się, chwycił dwoma rękami za kolbę i padł nosem na-

przód. Po kurzu drogi popłynęła krew, od razu oblepiając się piaskiem.

Kto strzelił, nie wiadomo. Zza węgła najbliższej chaty chyba. Tłum na mostku zaczął się powoli rozchodzić w różne strony, nie patrząc na zabitych. Jeden tylko Mikołaj Procenko, który wychynał skądś, podszedł do leżących śmiałym krokiem, poruszył trupa końcem buta, schylił się, odłożył na bok broń, a potem zaczął ściągać z wyższego jego dobry pas i uniósłszy nieco głowę znad tej roboty, krzyknął na całe gardło:

— Ej! Wy co?! Chłopcy, dawajcie łopaty! Waniaaa! Łopateęę!! Mitia! Dawaj, dawaaaj!

Mitia uśmiechnął się mimo woli na ten okrzyk, tak personalnie i bezpośrednio do niego skierowany, wesołym zadzierzystem głosem, jakim nań dawno już nikt nie wołał.

W koniczynach za kołchozem pokrzykiwał derkacz. Z niekoszonych traw ciągnęło zapachem ziół i miodu. Słońce stało na niebie samotne, jeżeli nie liczyć jedyne go, nie wiadomo skąd nawianego obłoczka. Był malutki i zastygły nieruchomo. Pogoda była bezwietrzna. Tylko na pozostałych wciąż jeszcze i rozrostłych topolach przy dawnej chacie Maszczenki, drgały nerwowo listki, czy to nie mogąc przyjść do siebie po strzale, czy też nie mogąc uspokoić się na widok rozciągniętych trupów.

— I co teraz będzie? — mruknął trochę zaleknionym głosem Iwan Fomin, popatrując z boku na Kolcowa.

Stary spojrzał w niebo i rozpostarł ramiona:

— Co ma być. Widzisz, pogoda jaka. Od pogody najwięcej zależy. Pogoda więcej na ludzi wpływa niż kazania w cerkwi. Ech, słoneczko nasze, rodzone!

I tak się zaczęło.

R o z d z i a ł V

WIELKI ODWRÓT

Prawdopodobnie nigdy nie uda się ustalić dokładnej daty, kiedy mianowicie i gdzie, na olbrzymich przestrzeniach Rosji pojawiły się pierwsze, antysowieckie oddziały zbrojnej ludności podczas drugiej wojny światowej. Być może do jednych z pierwszych zaliczyć by wypadało batalion ochotniczy pod Briańskiem. Być może sześć sotni kozackich uformowanych w Mohylewie pod dowództwem byłego majora armii czerwonej, Kononowa. Na obszarze całego zaplecza armii niemieckich, wszędzie gdzie na rozkaz Moskwy zrzuć spadochroniarze organizowali partyzantkę, samorzutnie i żywiołowo powstają oddziały antypartyzanckie.

Już w październiku 1941 roku, pierwszy oficer sztabu niemieckiej grupy „Środka”, płk. von Tresckow, opracowuje memoriał, który przedstawia następnie wyższemu dowództwu, projektując stworzenie na razie 200.000-jej rosyjskiej armii antysowieckiej. Ze znanych dobrze względów, projekt von Tresckowa nie był nawet rozpatrywany...

Dnia 28 czerwca 1942 rozpoczyna się wielka ofensywa niemieckiej grupy południowej. 5 lipca osiąga Don poniżej Woroneża. Stamtąd 4-ta armia gen. Hotha, łącznie z 1-szą armią pancerną von Kleista, przekracza 11 lipca rzekę Doniec i 24-go tegoż miesiąca zajmuje Rostów. W tym samym dniu 6-ta armia gen. von Paulusa forsuje Don na zachód od dawnego Carycyna, obecnie Stalingradu. Wyłoniła z grupy południowej tak zwana Grupa Wojskowa A. wkracza na Kubań, zajmuje 8 sierpnia Armawir.

W następnych dniach Majkop, Piatigorsk, Noworosyjsk. 22-go osiąga szczyty Elbrusu i posuwa się ku wschodowi aż do Groźnego. Wszędzie przyjmowana jako oswobodzicielka spod jarzma bolszewickiego.

Po obu stronach Donu, jakby nagle ze stepu wyrosli, pojawiają się Kozacy, całymi grupami, które ukrywały się przed poborem do armii czerwonej. Wygrzebywana jest stara broń i nawet stare mundury. Regularne formacje konnicy kozackiej przechodzą z armii sowieckiej na stronę niemiecką. Z ukrycia wychylają się dawni, postarzali już uczestnicy wojny domowej. Duchowni wszystkich wyznań wkładają przynależne swemu stanowi szaty. W cerkwiach odprawiane zostają pierwsze, uroczyste modły. Wśród Kozaków pojawia się niespodziewanie były ataman polny, Kułakow, i znany bohater wojny domowej, gen. Szkuro. W miejscowości Wojenstroj-Sieleszczina organizuje się prowizoryczny obóz centralny, do którego ściągają Kozacy, pojedynczo, grupami, oraz całe oddziały zbrojne. Powstaje organizacja polityczna pod nazwą „Kazackoje Nacjonalno-Oswoboditielnoje Dwiżenje”.

Formuje się 16 samodzielnych szwadronów kałmuckich. Kozacy Stawropola, Tereku i Kubania, Czerkiesi, Karaczaje, Bałkarzy, Osetyńcy, Dagiestańcy, Karabdyńcy, Ingu-si, Czeczeńcy, Azerbejdżanie i Gruzini chwytają za broń w oczekiwaniu jakiegoś uroczystego manifestu, jakiejś „Wielkiej Karty”, celem podjęcia jednolitej, świętej wojny przeciwko bolszewikom.

Ale Wielkiej Karty nikt nie ogłasza. Manifestu nikt nie rozkleja ani w miastach, ani stanicach, chutorach, kołchozach, ani nigdzie.

Spotykają się tylko z mglistymi obietnicami, utrzymanymi w nieco zakłopotanym tonie ze strony poszczególnych dowódców niemieckich. Z nieśmiałymi próbami organizacji wojskowej, podjętymi przez niektórych oficerów, działających na własne ryzyko i odpowiedzialność.

Nikt nie wie — co ma być?

W lipcu 1942 Mitia wraz z grupą okolicznych Kozaków zgłosił się do obozu Wojenstroj-Sieleszczina. Nato-miaś ojciec, osiemdziesięciodwuletni Aleksander Kolcow, nie czekając nawet na wiadomość o zajęciu przez Niemców Armawiru, powłókł się za zwycięską armią na Kubań. Ubzdurał sobie mianowicie, że odbuduje swój dom i gos-

podarkę w Jaglickim przy pomocy córki i zięcia. W tym celu postanowił ich niezwłocznie sprowadzić.

W kołchozie im. Kirowa obdarzono go nawet niezłym koniem i wozem. Ale że stary znał się co-nieco na sprawach wojennych, więc omijał proste drogi i główne szlaki. Kluczył bokami, a nawet stepem, żeby mu czasem, choć je za sojusznicze wojsko poczytywał, nie odebrali Niemcy i konia i wozu. Zanim dojechał miało się już pod jesień. Ulę zastał w rozpacz. Jej mąż, Abbas-Malek pojechał był do Krasnodaru na spekulację i tam go Niemcy za to, czy też za inne jakieś wykroczenie, rozstrzelali! A może stało się to z poduszczenia Gikiejewa. Ów Gikiejew, góral kaukaski, który nie złożył broni przez cały czas trwania władzy sowieckiej, obecnie wyszedł z ukrycia w aureoli bohatera, i obdarzony został przez miejscowego komendanta niemieckiego szeroką władzą lokalną. Zaczął naturalnie od porachunków osobistych. Podobno: formalnie szalał!

— Boże, Boże! Taki Gikiejew, bandyta! Zwierz! — I Ula zalała się łzami.

Kolcow poszukał oczami, znalazł w kącie izby wywieszoną ikonę Bogurodzicy Dońskiej, dotychczas ukrywaną w skrzyni, i chyląc siwą głowę uczynił potrójny znak krzyża, choć prosił o spokój duszy dla niewiernego muzułmanina.

— Od Alego — ciągnęła przez łzy córka — do końca nie było żadnej wiadomości. Może już zabity...

— Może w niewoli — pocieszył ojciec.

Ula westchnęła ciężko i bezradnie spojrzała na swe wyciągnięte na kolanach ręce z siniejącymi pod skórą żyłami.

— No, a jak teraz? — stary położył nacisk na słowo „teraz”. — Jak tutaj u was, w mieście?

— Ach — machnęła ręką za całą odpowiedź.

Ojciec opowiedział jej o spotkaniu z Mitią, a następnie wyłożył swój plan powrotu i odbudowania gospodarki.

— Jakże on wygląda, Mitia?

— Dobrze wygląda.

— Bardzo postarzał?

— A czyż on stary? Nie, nie postarzał. A co się tyczy gospodarki... — podjął, ale urwał spotkawszy wzrok Uli. Malowało się w nim szczerze zdumienie. — „Boże mój,

myślała w tej chwili, i on ma osiemdziesiąt dwa lata!” Powiedziała jednak tylko niechętnie:

— A czyż oddadzą?

— Jakto? Dlaczego?...

— Ludzie teraz gadają, że Niemcy kołchozów nie rozpuszczą. A gdzie nawet i rozwiązali to na nowo zapędzą.

— Łżą, bolszewickie agenty — odpowiedział z przekonaniem ojciec.

Zanim jednak za wojskami niemieckimi zdążyło nadejść wielkie rozczarowanie z niemieckiego zarządu cywilnego, i wszystkie nakazy „czteroletniego planu” Göringa, wypadki historyczne potoczyły się odmienną koleją losów.



Zazwyczaj jako punkt zwrotny wojny niemiecko-sowieckiej przyjęto uznawać klęskę Niemców pod Stalingradem. Niewątpliwie był to największy z zadanych dotychczas ciosów. W tej jednak sytuacji strategicznej, jaka się wówczas przedstawiała, właściwy zwrot nastąpił nietylko wskutek zniszczenia 6-ej armii gen. Paulusa — której końcowy los przypieczętowany został 1-go lutego 1943 roku, a — dnia 18 grudnia 1942 roku. W tym to bowiem dniu potężne zgrupowania armii sowieckich, mianowicie „Woroneski Front” pod wodzą gen. Golikowa i „Południowo-Zachodni” gen. Watutina, przekroczyły górny Don na odcinku od stanic Kazańskiej i Wiesznieńskiej do ujścia Chopru, przełamały opór 1 i 2 armij rumuńskich, zniosły i rozpedziły 8-mą armię posiłkową włoską, które stanowiły osłonę lewego skrzydła niemieckiego, zepchnęły grupę gen. Hollidta i — runęły w dół, na południe i południowy zachód. W ten sposób zagroziły nie tylko przecięciem przepraw przez rzekę Doniec, ale zgoła odcięciem od przepraw na Donie koło Rostowa, a nawet na Dnieprze, wszystkich wojsk niemieckich rozciągniętych klinem na wschód do gór Kaukaskich.

Najbardziej eksponowana na południowy-wschód 1-sza Armia Pancerna niemiecka otrzymała rozkaz cofania się 29 grudnia. Wiadomości o klęsce Niemców krążyły już przedtem po stanicach. Teraz nie mogło być żadnych złudzeń. Tłumy wyległy na ulice miast i wsi, słuchając coraz to bardziej panicznych wieści. Wszyscy chcieli ucho-

dział przed spodziewaną zemstą ze strony bolszewików. Zaczęto też na gwałt szykować się do wyjazdu. Sprawę znacznie komplikował stan pogody: w początkach grudnia zapanowała na Kubaniu odwilż, prawie wiosna. Z początkiem stycznia ścisnął mróz.

Dnia 2 stycznia 1943 roku zorganizowano w Piatigorsku pod kierownictwem gen. Mierczyńskiego „Sztab Ewakuacyjny”. Nie mógł on jednak opanować sytuacji w tym gwałtownym natłoku. Dziesiątki tysięcy Kozaków i plemion kaukaskich ładowało kto wozy, kto sanie, pragnąc zabrać możliwie dużo dobytku; ciągnięto ze sobą bydło, pędzono nawet owce. A drogi na Rostów wypchane były cofającą się armią. Tędy nie puszczano ludzi. Trzeba było szukać dróg bocznych, okólnych. Dnia 24 stycznia przeszły przez Armawir ostatnie kolumny 1-szej Armii Pancernej. A ostatnie oddziały 50-ej dywizji piechoty zaczęły się wycofywać 31 stycznia, gdy już droga na Rostów i dla wojska była odcięta. Ruszyły więc w składzie 17-ej Armii na Krasnodar, biorąc stamtąd kierunek na Kercz.

Pomiędzy tymi dwoma głównymi nurtami cofających się wojsk, które wypełniły wszystkie drogi, nie dopuszczając na nie uchodźców, pozostał dla tych ostatnich jedynie wolny trójkąt, którego nasadę stanowiło Morze Azowskie. I w ten trójkąt wlały się niezliczone tłumy ludzkie. Kolcow wraz z Ulą wyjechali z miasta 23 stycznia, w kolasce postawionej na płozy i zaprzężonej w średniej jakości konia, którym go obdarzono w kolchozie im. Kirowa.

Kiedys po latach, protojerzej ojciec Timofiej Sojin powie o tym pochodzie w słowach podniosłych: „I szliśmy zawięją poganiani, krzepkim mrozem podkuci...” Rzeczywistość była bardziej banalna. Dni krótkie. Nawisłe nad stepami niebo, chmurne. Trwoga w sercach wielka. Życie obracało się wokół spraw takich jak furaż dla koni i bydła, chleb dla ludzi, ciepły kożuch, ostre hacele do podków. Ciągłe się ludzie trapiли aby rzemienie wytrzymały, powrozy gdzieś nie pękły, oś, koło nie złamało. Dzieci, aby nie zamarzły. Pogoda była zmienna. Bywało, padał gęsty, mokry śnieg, to znowu chwytał mróz, dał wiatr i na bezkresnych polach kurzyły się śniegi białą zadymką. Szli na Koniewsk, na stanicę Staromińską, Staroszczerbińską, na port Jejsk. Stamtąd zatoką Morza Azowskiego, po lodzie, na Azow, Taganrog, Mariupol...

Iwan Fomin, który teraz wciąż trzymał się blisko starego Aleksandra, jechał w saniach obok, zeskoczył z nich dla rozgrzewki i odrywając sopte lodu z opatulującego głowę baszłyka, zauważył:

— Idziemy jak Żydzi przez Morze Czerwone, w biblii. Nie?

— E, tamto było wąskie jak kiszka — odezwał się któryś drepzcząc również dla rozgrzewki po śniegu. — A nasze szerokie.

— Nieprawda, to na karcie tylko wygląda wąskie. A naprawdę to ono szersze od naszego.

— W biblii tam, bracie, łatwiej było — zawyrokował Kolcow. — Ciepło. A tu... — i końcem bicia wskazał ze swych sań na zwiewnie wirujący śnieg i bezkresną płaszczyznę lodów niknącą na horyzoncie.

Spod budy w kolasce wtrąciła się do wymiany zdań Ula:

— Też papa, stary, a gada bez pojęcia. A gdzieżbyśmy przez morze przeszli, żeby było ciepło i nie było zamrznięte.

— Widzisz ją, baba, a ma swoje spostrzeżenia. I słusznie — przyznał Fomin. — Widocznie Pan Bóg umyślnie dał bolszewikom zwycięstwo w zimie, żeby nam drogę lodem wymościć... He-he-he...

— Pan Bóg, jak zechce, nie takie cuda potrafi dokonywać — odparł surowo Kolcow. — Wie co robi. I jemu w karty, które on trzyma w ręku, nikt nie zagląda.

— A czyż Pan Bóg gra w karty?! He-he-he, ha-ha-ha... — roześmiano się tu i ówdzie. — Ech, nasz „ataman” starzeje się widać!

Kolcow poczuł się dotknięty, ale że, przyznał, z własnej winy, więc odrzekł pojednawczo:

— Śmiech, to dobra rzecz na rozgrzewkę.

— Wy tam śmiechem zabawiacie się — odkrzyknął któryś z przednich sań — a tu zauważcie, samolot leci.

Wszyscy podnieśli głowy. Jakoż, na dalekim niebie widniał zbliżający się punkcik i wirujący, przykry głos motoru rozbrzmiewał coraz wyraźniej.

— „Focke-Wulf” niemiecki.

— A ty okulary włoż. Czy nie będzie to czasem: „Jak”.

— Cholera go wie...

Samolot leciał na wschód. Na tej wysokości niewpraw-

ne oko nie mogło odróżnić ani jego barw, ani kształtów. Natomiast lotnik widział pod sobą rozciągnięte na płaszczynie w nieładzie, jak spłoszone z mrowiska mrówki: podwoły, sanie, ludzi i konie wędrujących narodów. Ile ich było? Sto, dwieście tysięcy?...

Od Donu i Dońca na Połtawę, na Kremieńczug... a zepchnięci z tego szlaku — na Zaporozże, Nikopol, na dniewprowskie przeprawy przy Berysławiu — ciągnęły takie same tabory. Szli kupą, lub szukali w pojedynkę wyjścia z matni, jaką im zgotował los. Starali się wyprzedzić lub przechytryć takich samych jak oni tułaczy bezdomnych ciągnących na zachód nie dla rozkoszy życia, a zwyczajnie, dla: Ratunku.

Szli zbrojno i bezbronni. Szwadrony kałmuckie zabrał po drodze dyktator Ukrainy, Erich Koch, dla swego zarządu cywilnego, aby mu strzegły linii kolejowych. Buntowali się, grabili, rozbiegali, przechodzili w rozpacz z powrotem na sowiecką stronę... Tu nie dawano wiary ich zapewnieniom w uczciwe zamiary i po krótkim badaniu, rozstrzeliwano. Z lewobrzeżnego na prawobrzeżny Dniepr, w rejonie tylko od Perejasławia do Zaporozża, przekroczyło sto tysięcy Ukraińców, uchodząc przed najstraszniejszym dla nich „wyzwoleniem” ze strony armii czerwonych.

Kolcow z córką dowlekli się do Taganrogu 30 stycznia. Dwa dni przedtem sowieckie samoloty dokonały nalotu i Ula, bojąc się, za nic nie chciała pozostać w mieście, a napierała by ciągnąć dalej. Fomin wciąż się zastanawiał, czy ataman stancyi Staromińskiej, Emelian Us, któremu bomba oderwała nogę, będzie pozostawiony w Taganrogu, czy też go zabiorą „dobrzy ludzie” ze sobą. Aż w końcu Kolcow przeciął te rozważania:

- Co jego za życie czeka bez nogi!
- Ech, a jakie życie, myślisz, czeka nas wszystkich?...
- To, bracie, zobaczymy jeszcze.
- To-to: zobaczymy, powiedział ślepy...
- Coś się rozkrakał, jak kruk nad padłem!

Fomin i Ula westchnęli prawie jednocześnie i rozmowa się urwała.

Już wtedy sformowane: 1-szy Kubański pułk konny i 2-gi Kubański pieszy, osłaniały odwrót masy uchodźczej. Szli pod atamanami Sołomachą i Biełym, na Chersoń. W linii powietrznej wynosiło to, zależnie od punktu wyjś-

ciowego, od 500 do 700 km. Zanim dociągnęli zaczęła się już na południu wiosna. Był 10-ty marzec 1943 gdy do Chersonia wkroczyły pierwsze tabory. W trzy dni później przemaszzerował tamtędy 1-szy Kubański konny.

Tymczasem poprzez przesmyk Perekopu uchodzili Tatarzy krymscy. Uchodzili ludzie na całej przestrzeni odwrotu armii niemieckich. Jednocześnie na wschodzie, rozrzućeni po różnych oddziałach, grupach i formacjach pomocniczych, walczyli przeciwko bolszewikom kozacy dońscy, kubańscy, ludy kaukaskie i inni ochotnicy wschodniej Europy.



Z wiosną roku 1943 przeprowadzono wreszcie jakąś taką segregację. Poszczególnych Kozaków poczęto wydzielać z masy uchodźczej, a także z obozów jenieckich i organizować regularne pułki. Rzecznikami tej akcji, po stronie niemieckiej, były głównie te same sfery Wehrmachtu, z których rekrutowała się polityczna opozycja nie tylko w stosunku do polityki uprawianej przez Hitlera na wschodzie, ale do jego osoby i całego reżymu, a które w lipcu roku 1944 podjęły próbę przewrotu. I właśnie płk. hr. Stauffenberg, fanatyczny katolik, późniejszy zamachowiec na Hitlera, wówczas zaś oficer wydziału organizacyjnego sztabu generalnego, przeforsował mimo zdecydowanych oporów, projekt stworzenia samodzielnej dywizji kozackiej. Jako punkt zborny wyznaczono miasto Mławę w Polsce. Na dowódcę tej projektowanej dywizji Stauffenberg zaproponował ówczesnego pułkownika, późniejszego generała, Helmut von Pannwitza. Za kadre posłużyć miał pierwszy oddział kozacki, który powstał swojego czasu pod wodzą majora Kononowa. Kozacy Kononowa przybyli do Mławy już w czerwcu 1943. Potem zaczęli ściągać inni, aby po ostatecznym sformowaniu wyruszyć jako jednolita jednostka do walki z bolszewikami.

Tymczasem stało się inaczej: nie poszli walczyć na wschód.

W tym czasie Hitler zdecydowany był położyć ostateczny kres znienawidzonej przez niego kontrrewolucji antybolszewickiej i czekał tylko okazji. Okazja taka nadarzyła się właśnie dnia 14 września 1943 roku. Sytuacja na

wszystkich frontach pogarszała się dla Niemców z dnia na dzień. Hitler postanowił ją ratować próbą rozpoczęcia wielkiej ofensywy na odcinku Kurska. Operacja, oznaczona kryptonimem „Cytadela”, przygotowywana była już od wiosny roku 1943, ale z różnych względów termin jej odkładany. Wreszcie definitywnie wyznaczony na dzień 5-go lipca. Na cztery dni przedtem, to znaczy 1-go lipca, Hitler zwołał do głównej kwatery w Prusach Wschodnich wszystkich dowódców mających brać udział w tej ofensywie. Po omówieniu strony wojskowej całego planu, strategicznych i taktycznych szczegółów operacji, Hitler przeszedł nagle na tematy polityczne i oświadczył:

— O żadnych planach, ani obietnicach dla narodów sowieckich mowy być nie może! Żołnierz niemiecki walczy na wschodzie jedynie po to, aby wywalczyć dla siebie, dla swoich dzieci i dla swoich wnuków potrzebny Lebensraum! To jest jedyny i wyłączny cel wojny. Największym błędem pierwszej wojny był właśnie brak konkretnego, wyższego celu!...

W tym oświadczeniu nie było w gruncie nic nowego, ani zaskakującego, gdyż poglądy i plany polityczne Hitlera znane były w dostatecznej mierze, i zresztą przez niego nie ukrywane, a przeciwnie wypowiadane wielokrotnie. Jednakże położenie na nich specjalnego nacisku teraz, zdaje się wskazywać, że właśnie w tym czasie dojrzała w Hitlerze ostateczna decyzja zlikwidowania kontrrewolucji antybolszewickiej, tudzież tłumaczy dalszy przebieg wypadków. A był on następujący:

Operacja „Cytadela” nie udała się. Ostatnia próba wydarcia inicjatywy z rąk sowieckich, ofensywa pod Kurkiem, uległa załamaniu. Przy tym zdarzył się wypadek, że na południowym styku armij biorących udział w tej ofensywie, przeszło na stronę sowiecką 1.300 ludzi z antybolszewickich „oddziałów pomocniczych”. I oto, gdy wspomnianego 14-go września 1943 roku omawiano w głównej kwaterze Hitlera wytworzoną sytuację wojenną i przyczyny załamania ofensywy, obecny na naradzie Himmler rzucił, jakby od niechcienia, tę wiadomość „o zdradzie oddziałów pomocniczych”. Usłyszawszy ją, Hitler dostał kolejnego ataku wściekłości. Sino-czerwony na twarzy wykrzyknął:

— Ale teraz, to mam już tego dosyć!!!... Nakazuję w tej

chwili rozbroić wszystkie tego rodzaju oddziały, i całą bandę zesłać do kopalń francuskich dla „Kohlenkratzen” — wydrapywania węgla!!

Na razie nie pomogły żadne perswazje, żadne argumenty, iż podobna operacja rozbrojenia i masowej deportacji wymagałaby olbrzymiej straty energii i czasu, że nie da się skutecznie w przeciągu nakazanych 48 godzin! Hitler szalał. Ale szaleństwo to, w zestawieniu z jego przemówieniem wygłoszonym 1-go lipca być może nie było zupełnie spontaniczne... I dlatego tym trudniej było wpłynąć na odwołanie haniebnego rozkazu. Udało się dopiero po upływie kilku dni, drogą żmudnej perswazji, zakulisowej polityki i różnych innych pociągnięć, uzyskać przynajmniej zgodę, aby: nie rozbierać i nie zsyłać do kopalń. W jednym jednak nie ustąpił Hitler: antybolszewickie, krajowe oddziały wyzwolenicze, mają być wycofane z frontu wschodniego i przerzucone na rozmaite odcinki frontów zachodnich!

W tym też sensie brzmiała definitywna i ostateczna dyspozycja wydana przez szefa sztabu gen. Zeitzlera.

Od końca września 1943 roku rozpoczęło się więc masowe rozrzucanie po całej Europie 800 tysięcy do 1 miliona ludzi. Do Grecji i do Danii, do Francji, Italii, na Bałkany, do Norwegii, na wyspy holenderskie, w Alpy...

Konsternacja i przygnębienie zapanowały w kozackim obozie w Mławie. W tym czasie, w ramach samodzielnej 1-szej Dywizji Kozackiej sformowane zostały już następujące pułki: 1-szy Doński, 2-gi Syberyjski, 3-ci i 4-ty Kubańskie, 5-ty Doński i 6-ty Terski, tudzież bateria artylerii konnej. Dywizja otrzymała rozkaz wymarszu nie na front wschodni, a na Bałkany... Ogólną instrukcję dotyczącą propagandowego rozpracowania oraz wytłumaczenia ludziom, dlaczego mają raptem rozchodzić się po wszystkich krańcach Europy, zamiast walki z bolszewikami, dla której jedynie chwycili za broń — pozostawiono do uznania poszczególnych dowódców.

Istnieje sporo charakterystyk generała von Pannwitz. Niektóre z nich mówią, że nie był człowiekiem dalekowzrocznym; raczej służbistą starej szkoły; politycznie niezbyt bystry. Żadna jednak, a zwłaszcza te pochodzące z szeregów podwładnych mu Kozaków, nie zarzucają mu iż nie był pierwszorzędnym jeźdźcem, doskonałym dowód-

cą, odważnym żołnierzem. Ponadto późniejszy przebieg wypadków zdaje się wskazywać, że stał się szczerym entuzjastą swojej, kozackiej dywizji. W tej zaś krytycznej chwili okazał również i zmysł polityczny: zwrócił się mianowicie do przebywającego na emigracji pod Berlinem generała Piotra Krasnowa z prośbą, aby zechciał przybyć do Mławy i odebrać defiladę przed wymarszem dywizji kozackiej na front bałkański.

Piotr Mikołajewicz Krasnow przeszedł do historii jako wódz kozactwa dońskiego. Przed dwudziestu pięciu laty, dnia 5 maja 1918 roku, generał Krasnow został wybrany atamanem przez ówczesne tak zwane „Koło Ocalenia Donu”. Dnia 8 sierpnia tegoż 1918 roku, już po utworzeniu samodzielnego rządu dońskiego, ponownie wręczono mu uroczyste buławę „Atamana Wszechwielkiego Wojska Dońskiego”. Na emigracji zasłynął jako pisarz, a jego powieść pt. „Od dwugłowego orła do czerwonego sztandaru” przetłumaczona została na wiele języków. W tej chwili liczył 74 lata.

Krasnow przyjechał do Mławy. Przyjął defiladę. Wygłosił płomienne przemówienie do Kozaków, wzywając ich aby gromili komunistów wszędzie tam, gdzie się tylko nadarzy okazja! Nie ulega wątpliwości, iż wierzył on szczerze w celowość i pożytek utrzymania samodzielnej jednostki kozackiej, w jakkolwiek niesprzyjających i niefortunnych okolicznościach miałyby na razie powstać. Ktoś przypisywał mu również powiedzenie, które później w trawestacji Stalina brzmiało inaczej. Ale Krasnow miał powiedzieć: „Hitlery przychodzą i odchodzą... natomiast bolszewizm raz rozbity nie powstanie już nigdy!”

Po kilku dniach transporty 1-szej dywizji potoczyły się przez Warszawę, Słowację, Węgry; wyładowały się w Jugosławii w rejonie Ossiek-Ruma, i wyruszyły pochodem do walki z komunistyczną partyzantką Tity.



Tymczasem w głównym kozackim skupisku uchodźczym, nie od razu, wszelako stopniowo zaczęto ustanawiać porządek. Większość Kozaków zdolna do noszenia broni odeszła do formacji wojskowych, głównie spłynęła do 1-szej dywizji w Mławie. Jednakże nadal ciągnęły od wschodu jednostki, bądź większe grupy; furgony, konni, nieraz całe

tabory, zlewając się z masą jak drobne strumyczki zlewają się z głównym nurtem rzeki. Wówczas to nad tą masą objął komendę pułkownik S.W. Pawłow, rodem ze stаницы Екaтepининскoй. Jednogłośnie obwołany atamanem polowym, obwieścił organizację „Kozackiego Stanu”, czyli coś w rodzaju Centrum Kozackiego. Wprawdzie po dawnemu główną ilość stanowiły kobiety, dzieci i starcy, jednakże z dnia na dzień zwiększała się liczba nowoprzybyłych mężczyzn w sile wieku.

Jako miejsce postoju wyznaczono im okolice Kamieńca Podolskiego. Miejsce było odpowiednie: podgórsko-stepowe. Inne, a przecież nie tak znów bardzo różniące się pejzażem od stron rodzinnych. Ludzie i konie odpoczęli trochę po trudach wielkiej wędrówki.

— Cóż — pocieszali się niektórzy — jeżeli o to chodzi to już i nie tak bardzo daleko... Przez Boh, Dniepr, a tam do Donu... Żeby tak dobrego konia...

Ale do Dniepru było kilometrów pięćset z okładem.

— Jaskółką nie polecisz. A najlepszego nawet konia też ochwacić można. Oj, daleko, daleko... — biedowali inni.

— Zapchali my się w mysią dziurę: Za plecami Rumunia, tam jakaś Ruś Karpacka. Nie rozpędzisz się, nie.

Na to odpowiadali bardziej rozsądni argumentem, który zresztą coraz częściej dawał się słyszeć:

— Nie narzekajcie stanicznicy, nie narzekajcie. Żeby tylko gorzej nie było...

Jakoż istotnie, po kurskiej porażce wojska niemieckie przeszły do zdecydowanej już defensywy, a sowieckie napierały gwałtownie głównie w kierunku południowo-zachodnim. I wtedy ataman Pawłow poprowadził Kozacki Stan na północ, w wyznaczony mu rejon: Nowogródek-Baranowicze.

Była wiosna roku 1944 gdy doszli na miejsce.

Dominowała białokora brzoza, od której według pewnych podań wzięła swój początek nazwa: Białejrusi. Nie dlatego, żeby brzozy było więcej. Nie, więcej było sosny i świerków, leszczyny; olchy w miejscach podmokłych; osiki w lasach mieszanych. Ale brzoza rzucała się najbardziej w oczy: młoda i strojna w zagajnikach, a stara i pochylona nad szerokim, pylnym traktem. Na lekko wzdętych płaszczyznach ciągnęły się źle uprawiane, źle zasiane pola

między lasami. Ludziom nie w głowie była uprawa, gdy ciągle i wciąż na nowo, nie wiadomo było do kogo te pola będą należeć i kto mianowicie zbierać będzie ich plony. Bez końca deptano tę sapowatą, niezbyt żyzną ziemię, jakby raptem wszystkim stała na zawadzie w osiągnięciu ich dalekich, obcych celów. A zdawało się leży na ustroniu; i lasy je ochraniają gęste, i drogi kiepskie, latem za suche, jesienią za błotniste, zimą za śnieżne, wiosną wcale nawet, bywało, nie do przebycia. Bez bogactw mineralnych, bez pretensji światoburczych, bez bydła rasowego; we wsiach słomą krytych i zwyczajnym kundlem strzeżonych. Ale nie! Wciąż pchano się do niej z wojskiem, z armatami, z ideałmi, z obcym prawem; raz z reklamą pasty do zębów, raz z drutem kolczastym, raz z okopem przez sam środek żyta.

Na Białorusi nie chowano nigdy koni dla kawalerii. W sam raz tylko byle pociągnął pług, lub chłopską drabinę. Mały krępy, nigdy nie czyszczony, biegł sobie w aureoli drewnianej duhy nad łbem, drobnym truchtem, nie kłopotując się czy gospodarz kieruje go w niedzielę do cerkwi prawosławnej, czy do kościoła katolickiego. Było miejsca dla wszystkich, i na synagogę żydowską i meczet tatarski. Ale obcym ludziom przeszkadzać poczęły: jednym cerkwie, drugim kościoły, trzeci zaczęli palić synagogi. Obcym ludziom przeszkadzała najwidoczniej zgodność pożycia: języków, wyznań i zwyczajów. Wreszcie przyszli tacy, którym nie dogadzało żadne boskie wyznanie i żaden ze starych obyczajów, nawet obyczaj własnej, rodzonej chaty... A ostatnio znów tacy, od których w ogóle już nie można było wyrozumieć co im dogadza, czy co im nie dogadza. I chłop białoruski na widok pyłu, który zakurzył na drodze, przykładął po dawnemu rękę do czoła, ale zanim rozeznał kto nowy się zbliża, ręka ta drżała w niepokoju.

Nieprzyjaźnie przyjęła ziemia Białoruska przybyszów znad Donu i Kubania. Ludzie nad Niemnem, zbiedzeni wojną, ze strachem patrzyli na ciągnącą po drodze nową plagę zbiedzonych ludzi, poczerniałych od wiatru i niewygód wędrownych. Z góry było do przewidzenia, że zaczną tratować plony, wypasać cudze łąki, wykoszać cudze koniczyny i zasłaniać się złym losem, klnąc go do wszystkich czortowych-matek, jakby zły los miał prawo służyć za legitymację do pogarszania innym ich losu.

W tym rejonie działały dwie partyzantki: sowiecka i polska; działały antypartyzanckie oddziały policji miejscowej, działały rzadko rozrzucone oddziały niemieckie. W lasach prócz tego chowali się Żydzi. Pod Iwieniec przyszli Węgrzy. Teraz kozackie tabory rozłożyły się szeroko według przynależności do wojsk: Dońskiego, Kubańskiego i Terskiego.

Wyznaczono atamanów okręgowych. Założono swoje szkoły, własne zakłady rzemieślnicze, jedną drukarnię, która zaczęła wydawać gazetę. Ojciec Wasyl Grigorjew udał się do prawosławnego biskupa nowogródzkiego Afanasja i uzyskał od niego błogosławieństwo na administrację samodzielnej kozackiej diecezji. Duchowni objęli wyznaczone im parafie. Niedzielami gęsto na ukos żegnano się świętym krzyżem prawosławnym i modlono do Boga, aby prawdą stało się to, co pisano w kozackiej gazetce, że mianowicie nie jest tak źle, że bolszewicy będą pobici i wszyscy jeszcze wrócą do swoich kureni...

Iwan Fomin z Eugeniuszem Kijowem, Kozakiem rodem znad Chopru, zaszli byli kiedyś do chaty w której kwatery stanął Kolcow i zastali go w wielkiej kłótni z gospodarzem:

— Nie trzeba mnie twojej ziemi, ani twojej koniczyny! — rozkrzyczał się stary na białoruskiego chłop. — To co, że koń zeźrał kapeczkę?! Koń musi zjeść. Sobie od ust odejmij, a koniowi daj! Nie widzisz, że wokół wojna?! — Nie zupełnie to się wiązało logicznie co wykrzykiwał Kolcow, ale Kijow domyślił się o co chodzi.

— Co on, żałuje nam trochę koniczyny? — I zwracając się ze swej strony do chłopca: — Ty co, do kołchozów zatęskniłeś? Poczekaj troszki, nie tęsknij, przyjdą twoi ukochani sowieci niebawem i zapędzą ciebie razem z twoją koniczyną... — Zakończył z groźbą w głosie.

— Ja do nich akurat tyle zatęskniłem co do was — odparł twardo chłop, odszedł do wozu stojącego na podwórzu i toporem jął zastukiwać kłonicę. — Zwalili się jak te korojedy... A Sowietami mnie nie strasz; dosyć was takich rozumnych do straszenia innych. Obacz, żebym ja ciebie nimi nie postraszył... — Widać było, że człowiek doprowadzony jest do ostateczności, a zmienne koleje wojennego losu zahartowały i jego serce.

— Co wy, prawosławni ludzie... — zaczął mitygować Fomin.

— Ja katolik, nie prawosławny — skorygował go chłop.

— A czy ta bratku mam co przeciwko twojej wierze? Bądź ty dla mnie katolik, bądź kim chcesz. Ale czy to czas na kłótnie — ciągnął pojednawczo Fomin. — Wiesz, lasy pełne partyzantów, osaczają nas jak borsuków w norze. Czy ty myślisz, że my tu z rozkoszy do ciebie przyszli? Nie z rozkoszy, bracie, a z ciężkiego losu.

— A wy dla mnie co lepszego od partyzantów? Tamci przyjdą, grabią. Wy przychodzicie i dobieracie co tamci nie zabrali.

Eugeniusz Kijow siadł na ławeczce pod chatą, wyjął woreczek z machorką i nagle zmienił zdanie:

— Człowiek ma rację. Wszyscy źli, co tu prawdę ukrywać. Tylko kto temu winien, a? — Zwrócił się do Kółcowa, częstując go tytoniem.

Tamten przysiadł się również, wziął szczyptę, nasypał w oderwany kawałek gazety i skręcał milcząc. Zapalili wszyscy, nie wyłączając chłopą, którego Eugeniusz też poczęstował. Pytanie postawione trudne było do rozstrzygnięcia, więc długo i zgodnie nikt nie zabierał głosu.

— Po mojemu to tak — odezwał się pierwszy chłop. — W tamtą wojnę, pamiętam, też ludzi nagubili masami. Ale to żołnierzy, na froncie. Tak już im od Pana Boga sądzone i przeznaczone. Też troszki grabiono, choć nie tak dużo. Ale za to, poza frontem w nikogo sprawy nie wchodziło. Co kto miał, co było jego, to jeżeli nie niszczało, jego i pozostało. Choćby nawet i źle, ale żyć było można. A dzisiaj? Co to za życie!... Z człowieka zrobili groch przydrożny: kto chce ten rwie, kto chce ten depcze. A kto tak zrobił?

I znowu pytanie pozostało bez odpowiedzi. I tylko dymki tytoniowe wiły się między ludźmi, skręcając nad pochylonymi głowami w znaki zapytania.

— Kto zrobił?... — podjął Fomin. — Ci co chcieli poprawiać...

— Co?

— Życie ludzkie. Co!

Z pobliskiego lasu, za polem koniczyzny, o której skoszenie zaczęła się kłótnia, doleciała seria wystrzelona z pistoletu automatycznego. Chwila ciszy. Potem: druga, trzecia seria... I znów cisza. Chłop dopalił cygaretkę, rzucił, przy-

deptał nogą, splunął i wstał, wziął się niechętnie do roboty przy wozie. Kozacy wciąż siedzieli milcząc.

Nie było rady. Partyzantki sowieckie kierowane i bogato zaopatrywane przez Centralny Sztab Dywersji w Moskwie, a zwłaszcza brygada Linkowa i Sidora Kowpaka, nie dawały spokoju. Ataman Pawłow zaczął więc organizować dla obrony pierwsze pułki Kozackiego Stanu. W nocy wystawiano warty.

Mitia przyjechał 7 czerwca, gdy właśnie nadeszła wiadomość o inwazji Aliantów we Francji. Walczył on początkowo nad Donem. Dnia 7 stycznia 1943 roku oddział kozacki w którym służył, łącznie z batalionem uformowanym z niemieckich celników, bronił odcinka na wschód od Nowoczerkaska. Niespodziewane uderzenie silnej grupy sowieckiej zmiotło ich i rozproszyło. Od maja tegoż roku Mitia znalazł się z kolei w kozackim oddziale dowodzonym przez pułkownika von Jungschulza i wziął udział w walce z partyzancką brygadą sowiecką w trójkącie pomiędzy rzekami Dnieprem i Desną. Brygadę rozbito doszczętnie, ale Mitia dostał odłamkiem ręcznego granatu w nogę powyżej kolana i trafił do szpitala. Rana się gnoić. Później udawało mu się jakoś przeciągać rekonwalescencję. W końcu zamiast pojechać na Bałkany dokąd odeślano jego oddział, skierowany został na tymczasowy pobyt do Kozackiego Stanu pod Nowogródkiem.

Było to jego pierwsze spotkanie z Ulą. Siostry nie znał, bo nie widział jej od lat dwudziestu ośmiu. Przywitali się jak obcy. Nie mieli sobie właściwie nic do powiedzenia. Już pierwszego dnia, po kolacji, gdy przegadano o bieżących drobiazgach życia i, jak to bywa po krótkim milczeniu, narzucała się jakaś poważniejsza wymiana myśli, Mitia, gniotąc w palcach gałkę czarnego chleba powiedział utkwivszy wzrok w stół:

— Zgubią nas ci Niemcy...

Na to stary odchrząknął, pogładził brodę i odparł po dłuższej chwili:

— Poczekaj jeszcze. Nie jedni Niemcy są na świecie.

— To znaczy: kto poza nimi?

— A ci, tam... — uczynił ruch głową wskazując małe okienko chaty, za którym czerwono nad dalekim błotem zachodziło słońce. — Co wylądowali we Francji.

— A cóż oni pomogą? — wtrąciła się do rozmowy Ula.

— Et, tam, z babami gadać. Co ty się rozumiesz na polityce! — odpalił ojciec.

— Od wielu to już lat ja tylko to i słyszę: „To baba, to nie rozumiesz się, to głupia” i tak w kółko! A ja bardzo dobrze nie tylko rozumiem, ale i widzę co się dzieje. Tamci — i gwałtownym ruchem głowy też wskazała w kierunku zachodu za okienkiem — pomagają bolszewikom ze wszystkich sił; A ci, tu, traktują nas jak bydło. Nie chcą nas i koniec, co tu gadać. Ani waszych atamanów, ani waszego wojska „wszechwielkieego” kozackiego... Jasne chyba dla wszystkich. I trzeba było siedzieć cicho, a nie wsadzać palce między drzwi. A teraz przystremili i spróbujcie wyciągnąć. — Wstała, energicznym ruchem zbierając talerze.

Wstał też i Mitia. Nic nie odpowiedział na przemówienie siostry. Wyszedł do sieni, stamtąd stąpając ociężale zszedł z ganku i siadł samotnie na ławeczce. Na zachodzie, wciąż się jeszcze nad błotem-lasem ciągnął pas czerwieni. Soczyste, wilgotne opary wieczoru prawie odurzały. Z gaju brzoźowego o gęstym podszyciu szły, raz klekoczące, raz miłe jak flet głosy słowika. Odpowiedział mu drugi, trzeci... Pod lasem, het za wsią, odpowiedział czwarty. Mitia zasłuchał się. Odpowiedziała im jedna-druga seria automatu. Pojedyńczy strzał karabinowy. Później znów tylko słowiki. Później znów gdzieś seria z automatu, tym razem dalej. Echo. Cisza. I znów słowiki.



Front niemiecki łamał się i kruszył. Przebijany w kilku miejscach naraz, zwijał się i cofał, mimo szaleńczych i wciąż ponawianych rozkazów Hitlera, aby się trzymać terenu do ostatniego naboju! Pod wpływem tych klęsk zaszło wiele zmian. Do jednej z nich zaliczyć by wypadało, że obecnie niewątpliwie druga osoba w państwie, najpotężniejszy po Hitlerze, Heinrich Himmler, uznał za konieczne zrewidować cokolwiek swe poglądy na teorię o „Untermenschach”, której był dotychczas jednym z najgorliwszych wyznawców. W rezultacie tego przeobrażenia udało się pewnym sferom wojskowym, które dotychczas bezskutecznie usiłowały wpływać na zmianę polityki wschodniej Hitlera, przeforsować przynajmniej pół- czy ćwierć-środk. Znalazło to swoje odbicie przede

wszystkim w zaktywowaniu ruchu Własowa. Wszystko już dawno spóźnione...

Między innymi dnia 31 marca 1944 roku zezwolono na utworzenie Głównego Zarządu Wojsk Kozackich, aktem podpisanym przez generała kawalerii Köstringa. Naczelnikiem tego Zarządu wybrany został generał Piotr Krasnow. Jako członkowie weszli: gen. Naumenko, płk. Pawłow, płk. Kułakow. Kozacki Stan podporządkowany został bezpośrednio rozkazom tego Zarządu.

Dnia 17 czerwca wydarzyło się nieszczęście: Ataman polny, Pawłow, objeżdżając w nocy posterunki, został zastrzelony, nie wiadomo czy przez nieuwagę własnych placówek, czy też przez partyzantów sowieckich. Na jego miejsce gen. Krasnow mianował atamanem wojskowego starszyne (później generała-majora) Timofieja Iwanowicza Domanowa. Jemu to też przypadło w udziale wyprowadzenie Kozackiego Stanu z nadniemeńskich stron, po kilkumiesięcznym tam obozowaniu.

Nie było już innych kierunków, jak tylko jeden: Tą jedyłą, dostępną jeszcze drogą odbywała się w dalszym ciągu wędrówka ludów Wschodu na Zachód.

.....

Jeszcze we wrześniu roku 1943 rozpoczęła odwrót tak zwana Brygada Kamińskiego, utworzona w rejonie Briańska przez byłego kapitana armii czerwonej. Kamiński urodzony w Poznaniu w roku 1896 z matki Niemki i ojca Polaka, opanował zaraz po wkroczeniu Niemców obszerny rejon i za cichym zezwoleniem dowódcy 2-ej armii pancerniej, gen. Schmidta, przeobraził ten teren w rodzaj mikroskopijnego państewka, z własnym zarządem i własną armią. Pod naciskiem ofensywy sowieckiej Kamiński postanowił się cofać wraz z całym „krajem”, w liczbie 30 tysięcy uchodźców, na Lepel. Tu, obciążony taborem kobiet, dzieci i wszelkiego dobytku, wpadł w okolicę opanowaną nieomal kompletnie przez partyzantów sowieckich. Rozpoczęła się walka na śmierć i życie. Już wtedy Kamiński zasłynął z odwagi, ale też i z okrucieństwa. Jego brygada, której nadał patetyczną nazwę: RONA (Russkaja Oswoboditielnaja Narodnaja Armia), w odróżnieniu od ROA generała Własowa (Russkaja Oswoboditielnaja Armia), niszczała jednak w tych nieubła-

ganych, leśnych walkach, pełnych podstępu, zdrad i zasadzek, nie tylko fizycznie, ale też moralnie. Rozgoryczeni wielokrotnie doznanymi zawodami, utraciwszy rodzinny grunt pod nogami i wszelką nadzieję na powodzenie „sprawy”, a przede wszystkim zdemoralizowani doszczętnie życiem z grabieży, które było w istocie jedynym materialnym oparciem ich istnienia, ludzie ci przeistoczyli się w pół-bandytów. Na domiar złego sytuacja ich rodzin przedstawiała się rozpaczliwie. Zdarzały się też coraz częstsze wypadki przechodzenia na stronę partyzantów, bunt. Kamiński krwawo potrafił je dusić, ale sytuacji przez to ani zmienić, ani naprawić nie mógł. Przeciwnie, sam popadał w rodzaj krwawego oszołomienia walką, bez widocznego sensu i celu.

W tym stanie rzeczy zwrócił na niego uwagę szef SS na Białorusi, von Gottberg. Zaproponował Kamińskiemu włączenie jego brygady do formacji SS wzamian za rangę wojskową, a jego ludziom mundury, wyżywienie, lepszą broń i żołd. Ponadto przyrzekł zorganizować dla ich rodzin spokojny pobyt gdzieś na Węgrzech. Kamiński zgodził się od razu. Wiosną roku 1944 rozpoczął się pochód dawnej RONA przez Białoruś na południowy zachód. Ale obiecany transport na Węgry nie doszedł do skutku. Dojechali tylko do Śląska i tam ugrzęźli. Gauleiter Bracht odmówił żywienia „tej rosyjskiej bandy”. Doszczętnie skorrumpowana brygada Kamińskiego dostała się wreszcie pod komendę SS-Obergruppenführera Bach-Zalewskiego i rzucana przeciwko powstańcom warszawskim zasłynęła niesłychanym wprost okrucieństwem gwałtem i grabieżą. Przekroczone zostały wszelkie granice. Ani jego ludzie, ani sam Kamiński nie widzieli już przed sobą żadnego innego celu. Uczepiwszy się miasta, które mogli łupić bezkarnie, nie chcieli się dać od niego oderwać i przestali słuchać niemieckich rozkazów, gdy Niemcy wszczęły pertraktacje z polskim dowództwem. Groziło to zerwaniem rokowań o kapitulację powstańców. Himmler rozkazał tedy aresztować Kamińskiego. Uprowadzony, uciekał on w Karpaty. Ale na południe od Tarnowa dopadli go ludzie szefa krakowskiego Gestapo, Bierkampa, i zamordowali. Brygada zaś, wraz z całym taborem cywilnym, odesłana została później

.....

do Münsingen, koło Ulm i włączona do armii Własowa.

Tegoż 1944 roku wyruszył na zachód starowiec Zujew, starosta wsi Zaskorki w Połocczyźnie, Kroczył na czele swojej „republiki” której niezależność — zarówno od władz niemieckich jak band partyzanckich, wywalczył srogo przy pomocy broni, którą zgromadził w roku 1941 po odwróceniu armii czerwonej. Historia tej „republiki” to również jeden z niezwykłych rozdziałów, ilustrujących paradoksalne komplikacje tej wojny. Zujew, który cieszył się dużym autorytetem wśród ludności, potrafił połączyć kilka wsi zagubionych w lasach w jeden „niezależny kraj”. Niemcom zapowiedział, że dostarczy im żądanych kontyngentów żywności, pod warunkiem jednak by go nie nachodzili i do spraw ludności się nie mieszała. Gdy raz uczynili taką próbę, Zujew odparł wysłany oddział ogniem. I od tego czasu miał spokój. Natomiast partyzantów sowieckich tępił bezlitośnie, tak że w końcu nie odważali się zbliżać w jego stronę.

Wczesnym latem 1944 „republika” Zujewa przekroczyła Dźwinę i uchodziła wraz z rodzinami, bydłem i dobytkiem przed spodziewanym „wyzwoleniem” ze strony armii czerwonych.

.....

Uchodził podobny, „niezależny kraj” ze wsi Sapigi, rejonu Głuchowskiego... Uchodzili masowo ludzie z Newla, po krwawej rozprawie uczynionej nad tamtejszymi mieszkańcami przez bolszewików jeszcze jesienią roku 1943. Uchodziły z Wietrowa silne formacje antypartyzanckie, do których po drodze, w miarę zbliżania się armii czerwonych, przyłączali się nawet ciż sami partyzanci sowieccy... Cofał się Legion Ukraiński pod wodzą płk. Andrzeja Melnyka. Cofały się oddziały Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) i niezliczone rzesze cywilnych uchodźców ukraińskich.

Od Zatoki Fińskiej, z gór Wałdajskich, z lasów briańskich, białoruskich, litewskich, poleskich, ze stepów ukraińskich, z Podkarpacia... uchodzili ludzie przed bolszewikami. Ilu ich było?

Nie ma takiej statystyki. Nie istnieje, i — z tak zwanych „dobrze zrozumiałych względów” — istnieć nie może. Można by zaryzykować twierdzenie, że ani jeden z tych ludzi, po roku 1945 nie przyznał się do dobrowolnej uciecz-

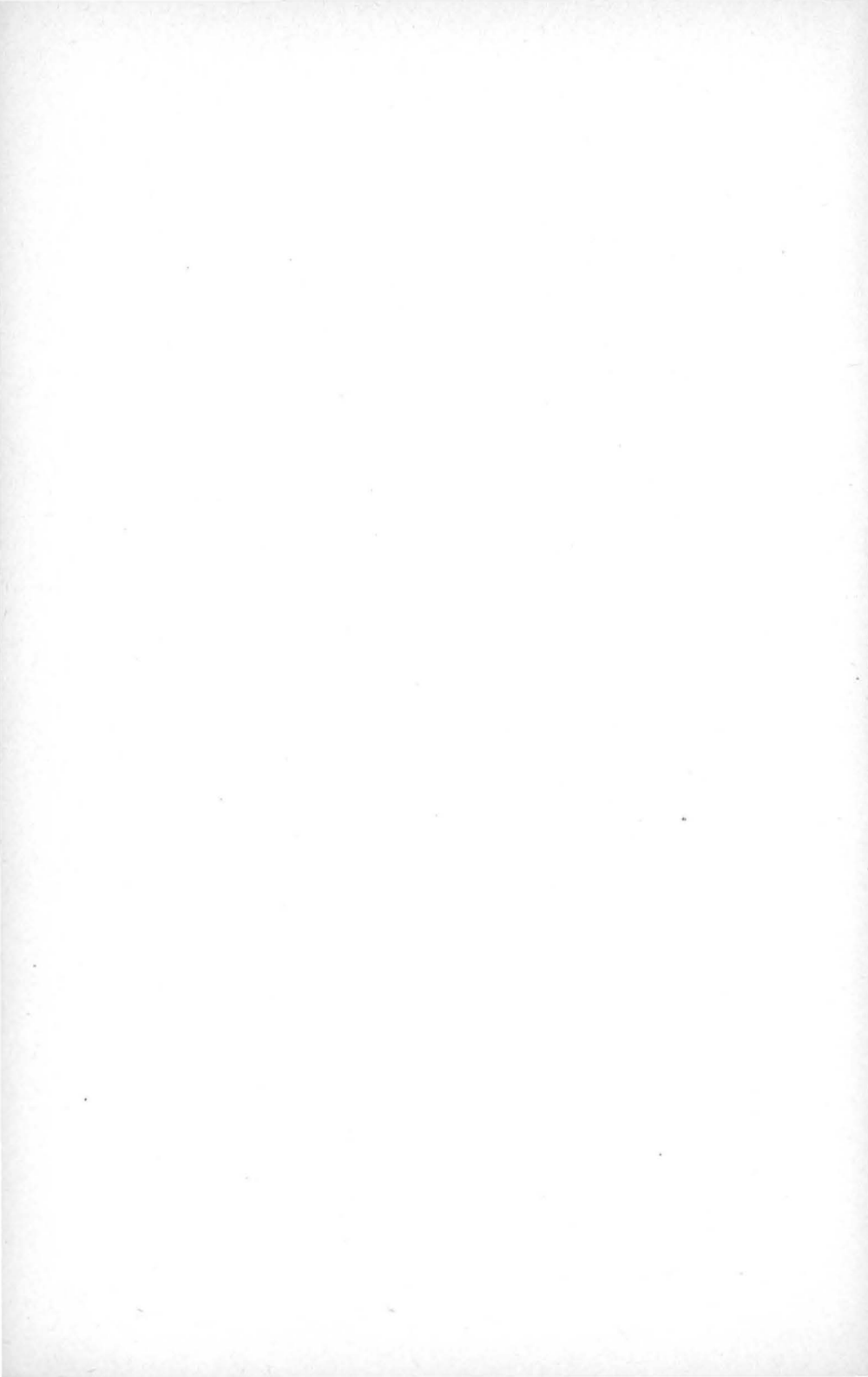
ki. Ani po tamtej, ani po tej stronie Żelaznej Kurtyny. Wszyscy podali się za przymusowo wywiezionych na roboty do Niemiec, nie tylko dlatego aby uzyskać pomoc materialną UNRRA i mleko w proszku dla swoich dzieci. Ale i dla wielu innych powodów — które częściowo obowiązują do dnia dzisiejszego — przyjęli za prawdę, prawdę numer 2, która stała się oficjalna, a więc obowiązująca. Nie istniała też żadna strona, która byłaby zainteresowana w ujawnieniu takiej statystyki, a może mniej od innych strona właśnie tych, którzy tej statystyki stanowić by mogli przedmiot.



Kozacki Stan pod wodzą atamana Domanowa wyruszył z rejonu Nowogródek-Baranowicze w początku lipca 1944 roku, kierując się w głąb Polski i zajął prowizoryczne legowiska w Zduńskiej Woli koło Łodzi. W czasie tego pobytu dowództwo niemieckie usiłowało wykorzystać Kozaków do walki z powstaniem w Warszawie. Kozacy oparli się temu żądaniu, między innymi tłumacząc, że jako formacja głównie kawaleryjska, szczególnie nie nadają się do walk ulicznych w mieście. W rezultacie udało się Bach-Zalewskiemu uzyskać tylko nieznaczny oddział pod wodzą płk. Bondarenki.

We wrześniu tegoż roku Główny Zarząd Wojsk Kozackich otrzymał zgodę od rezydującego w Trieście Obergruppenführera Globotschnika, który sprawował władzę nad tamtym terenem, na czasowe osiedlenie Kozaków we Włoszech północnych.

Rozpoczął się tedy czwarty etap tułaczki. Tysiące furmanek konnych, rozciągniętych sznurem na przestrzeni 15 kilometrów, pociągnęło w głąb Europy zachodniej, tym razem ku prastarej kolebce jej kultury, do Italii. Bezpośrednim celem był rejon Gemona-Tolmezzo w prowincji Friuli, której część ludności do dziś dnia posługuje się na co dzień językiem staroromańskim.



CZĘŚĆ DRUGA

SPŁYNEŁO WODAMI DRAWY

Rozdział I

Z SZABLĄ W RĘKU...

— Mitia — powiedział Kolcow do syna w styczniu 1945 roku, gdy się już na dobre zadomowili we wsi Olesso. — Mitia, jestem bardzo stary. Jedź, synek, do Jugosławii, kto wie, może Bóg pozwoli tobie odszukać Saszę. Porozmawiam z wojskowym starszyną Rotowym, żeby tobie dali komenderówkę.

Mitia uniósł ze zdziwienia brwi i zwrócił uwagę, że Rotow mianowany atamanem dońskich stanic w Italii, wyjechał, zdaje się do Udine.

— Wszystko jedno, z zastępcą pogadam, z Charytonowym, a nie to choćby z samym Domanowym. Jedź, przed śmiercią moją raz jeszcze może coś o Saszy usłyszę... Wiem, mówili Kozacy, że on w Belgradzie był. Tylko ani adresu, ani nic pewnego. Ale tak coś mnie podpowiada, że chyba żyje jeszcze.

— Ile jemu lat już teraz będzie?

Stary ściągnął zmarszczki na czołe, przechylił trochę głowę obliczając w myśli, i odpowiedział nie od razu:

— Czterdzieści dziewięć...

— Hohooo! — Mitia wyrzekł to jakby z pewną dezaprobatą. Ale zgodził się pojechać raczej chętnie.

W tym czasie Głównemu Zarządowi Wojsk Kozackich z gen. Krasnowym na czele podlegał tylko Kozacki Stan we Włoszech. Natomiast Kozacy, którzy wymaszerowali z Mławy w roku 1943 na Bałkany, pod wodzą Pannwitz — jakkolwiek on sam utrzymywał z Krasnowym kontakt prywatny — wyjęci byli spod władzy Głównego Zarządu

i podlegali wyłącznie dowództwu niemieckiemu. Gdy ostateczne załamanie Niemiec zdawało się już tylko kwestią czasu, z różnych ośrodków naraz podjęto próby wzajemnego skontaktowania się ponad głowami władz niemieckich, a to w celu porozumienia się i skoordynowania wspólnego stanowiska rozsianych po całej Europie poszczególnych oddziałów antysowieckich, a także rozmaitych grup, formacji i komitetów politycznych. Do porozumienia takiego nigdy nie doszło, nie tylko ze względu na trudności komunikacyjne i brak czasu przed szybko zbliżającym się końcem wojny, ale głównie przez wzgląd na głębokie różnice polityczne i narodowościowe, odmienne aspiracje, wzajemne animozje, nienawiści i rozbieżne cele polityczno-narodowe. Tym niemniej powstawały, niezrealizowane zresztą, plany wspólnego frontu, w każdym zaś razie w łonie tych samych grup etnicznych. Ze swej strony ataman Domanow próbował też doprowadzić do zespolenia dwóch głównych ośrodków kozackich i mówiono, że w tym celu zamierza wysłać grupę łącznikową z Italii na Bałkany dla porozumienia się z generałem Kononowym, a z pominięciem dowództwa niemieckiego.

Te pogłoski miał właśnie na myśli stary Kolcow, chcąc, aby jego młodszy syn skorzystał z okazji, włączył się do projektowanej delegacji i odszukał w Jugosławii starszego brata. Tymczasem sprawa się przeciągała i w rezultacie nie doszła do skutku, podobno dlatego, że jak powiadano, Kononow na własną rękę szukał kontaktów i wyjechał do gen. Własowa, aby od niego uzyskać nominację na atamana polnego.

Dopiero w pierwszych dniach lutego udało się Miti, drogą prywatnych protekcji, zaopatrzyć w niezbędne dokumenty i wyjechać na własne ryzyko.



1-sza Dywizja Kozacka, po wyładowaniu w Jugosławii w roku 1943, związana była do listopada tegoż roku lokalnymi walkami z partyzantką Tito w okolicach Fruskagory. Następnie jedna z brygad odkomenderowana została do ubezpieczenia linii kolejowej na Sarajewo, zaś druga skoncentrowana w rejonie Brody nad rzeką Sawą. Walki przybierały charakter coraz bardziej zażarty. Komunistyczne

oddziały Tity — wkrótce potem gdy polityka mocarstw zachodnich w stosunku do gen. Michajłowicza, wiernego rządowi królewskiemu, uległa zmianie — zaopatrywane były obficie w materiał wojenny zarówno przez Wielką Brytanię jak i Amerykę. Potęga wojskowa Tity rosła z miesiąca na miesiąc. Wiosną roku 1944 Kozacy przesunięci zostali w rejon Zagrzebia, a latem 1-sza Dywizja zgrupowała się na północ od Sissaku nad Sawą. Ale i jej siły rosły, mimo poniesionych strat. Nieustannie ścigali nowi ochotnicy. Brakło tylko takiego wyposażenia, którym rozporządzał Tito.

W lipcu 1944 von Pannwitz udał się do Berlina, ażeby uzyskać coś dla swojej kawalerii. Sytuacja była zła. Nikt nic nie miał do zaofiarowania i nie myślał tego czynić zwłaszcza dla Kozaków! O jakiejś interwencji w naczelnym dowództwie nie mogło być naturalnie mowy. Poza wszystkim co było wiadome o stosunku Hitlera do politycznego aspektu sprawy, dochodziła jeszcze okoliczność specjalna. Mianowicie Hitler osobiście nie znosił kawalerii i kawalerzystów. Jak wielu współczesnych dyktatorów o tendencji radykalnej, odczuwał niepohamowaną awersję do rzeczy przypominających mu w czymkolwiek, choćby tylko brzękiem ostróg, „starą reakcję”... Był entuzjastą cyfr, ścisłej statystyki, motorów i produktów chemicznych. Dla koni, jakiejś tam tradycji kawaleryjskiej, a tym bardziej — Kozaków!... miał więcej niż wzruszenie ramion, bo: szczerą wzdargę. I w tym więc wypadku nie podzielał poglądów Napoleona, ani jego ministra duc de Vicence markiza Ludwika de Caulaincourt, który wykrzyknął w roku 1812: „Rosja zawdzięcza swe zwycięstwo Kozakom!...” Pozornie, w sto trzydzieści lat po klęsce Napoleona, Hitler miał rację. Prawdopodobnie nie brał jednak pod uwagę pewnego szczegółu, lekceważonego zresztą przez wielu, że mianowicie ostatnia wojna, najbardziej zmodernizowana ze wszystkich dotychczasowych, była zarazem wojną, w której prymitywne działania partyzantek osiągnęły skalę nie notowaną nie tylko w wojnie 1812, ale w ogóle w dziejach wojen.

Gen. Pannwitz skonstatował, że materialne zasoby Wehrmachtu świeciły pustkami. Po cichu poradzono mu aby zwrócił się do jedynej instancji, która u progu ostatecznego załamania próbowała kurczowo utrzymać inicjatywę

w swoich rękach, i w ostatniej jeszcze chwili, a wbrew dotychczasowym schematom politycznym, szukała nowych względnie pogardzonych przedtem, dróg ratunku. Tą jedyną instancją rozporządzającą w rosnącym chaosie pewnymi jeszcze środkami materialnymi, były tak zwane „Bronie-SS”. Na własną odpowiedzialność zaczęły teraz gorąckowo organizować i zbroić w swoim zakresie „krajowe” oddziały antybolszewickie.

Podporządkowanie Kozaków „Leitstelle SS” nie miało już ani z względu politycznego, ani formalnego żadnego znaczenia. Dla samych Kozaków była to sprawa w ich sytuacji idealnie obojętna, o ile w ogóle doszła do ich wiadomości. Natomiast praktycznie oznaczała dla Pannwitza nie tylko wydatny zastrzyk w dziedzinie uzbrojenia, ale nade wszystko możliwość wyrwania z różnorakich kątów Europy rozproszonych oddziałów kozackich i zespolenia ich w większą całość.

W ten sposób, jesienią roku 1944, dawna dywizja została przeistoczona w XV-ty Kozacki Kawaleryjski Korpus w ilości początkowo dwóch dywizji a od zimy 1945 — trzech dywizji. W skład 1-szej weszły pułki: 1-szy doński, 2-gi syberyjski i 4-ty kubański pod wodzą płk. Wagnera, W skład drugiej: 3-ci kubański, 5-ty doński i 6-ty terski, pod wodzą płk. von Schulza. Wreszcie trzecia dywizja składała się z dwóch płastunskich (*) pułków 7-go i 8-go Kononowa.

Później zaczęły nadciągać inne jeszcze oddziały kozackie, a między nimi wyciągnięte z Francji.



Sasza Kolcow dwadzieścia lat emigracji przemieszczał w Belgradzie, mając się kolejno różnych zawodów. Powodziło mu się względnie nieźle. Tu też młodo się ożenił z Rosjanką, z którą miał syna i dwie córki. Jedna z nich Maria, umarła w wieku lat ośmiu, a druga, Prakseda, wyszła za mąż za Serba. Syn, Michał, pozostał przy ojcu kończąc szkoły. Po zajęciu Belgradu przez Niemców, dnia 13 kwietnia 1941 roku, wśród masy skupionej tu emigra-

(*) „Płastunami” przezywano w dawnych czasach pieszych Kozaków straży pogranicznej na Kaukazie. Od tego czasu piechota kozacka zachowała tę tradycyjną nazwę.

cji rosyjskiej nastąpił zrazu zamęt i poważne rozbieżności co do orientacji politycznej. Gdy jednak w czerwcu tegoż roku wybuchła wojna niemiecko-sowiecka, a w związku z nią odrodziły się stare nadzieje na wyzwolenie Rosji spod panowania bolszewickiego, absolutna większość opowiedziała się za orientacją niemiecką. Od razu też powstał projekt stworzenia rosyjskiego korpusu narodowego. Ku wielkiemu zdumieniu i z niepojętych na razie względów, władze niemieckie ociągały się z daniem zezwolenia na organizację takiego korpusu. Dopiero w następnym, 1942 roku takie zezwolenie zostało udzielone, ale z zastrzeżeniem jeszcze bardziej dziwnym:

„Korpus będzie walczył przeciwko komunistom, jednakże tylko w Jugosławii... Do Rosji przerzucony nie zostanie...”

Jakkolwiek dotkliwie było to rozczarowanie dla emigracji rosyjskiej, większość wypowiedziała się za formowaniem własnej jednostki bojowej nawet w tych okolicznościach, gdyż — jak powiadano — okoliczności mogą się zmienić, a korpus w każdym razie będzie faktem dokonanym... Tegoż roku został on uformowany w sile 15 tysięcy ludzi, pod wodzą rosyjskiego generała Sztajfona.

Kolcow, choć należał do starszego rocznika, bez wahania wstąpił do korpusu razem z synem. Gdy jednak po roku zjawiała się w Jugosławii 1-sza dywizja kozacka, syna pozostawił w korpusie, a sam przeniósł się do Kozaków.

I wśród starych i wśród młodych rodaków przybyłych z kraju, próbował Sasza dowiedzieć się czegoś o rodzinie i o kraju rodzinnym. O kraju opowiadano mu dużo, przeważnie rzeczy nieciekawe. Natomiast o rodzinie nikt mu nie potrafił udzielić żadnych informacji, poza jednym piegowatym Iwanem Awdoszką, który zapewniał iż słyszał od swego ojca, że chutor Jaglicki został podczas wojny domowej doszczętnie spalony, a wszyscy jego mieszkańcy łącznie z dziećmi, wymordowani przez bolszewików. Jednakże, jak się później okazało, Awdoszka lubował się w opowiadaniach „siłnych”, mogących robić wrażenie wśród słuchaczy, i z tego względu jego relacje nie zawsze zasługiwały na zaufanie.

Czterdziestokilkuletni, podstarzały Sasza, który od dwudziestu lat nie dosiadał konia, naturalnie utracił dużo ze swej dawnej brawury. Jednakże nadspodziewanie dobrze

trzymał się w siodle, w zachowanej randze starszego uradnika. Nie chciał też przejść do proponowanej mu kilkakrotnie służby tyłowej, w taborach bądź w kancelarii, czy intendenturze. Uparł się i pozostał w szeregu.

Mitia nie miał łatwej sprawy z odszukaniem brata. W miejscu postoju sztabu nikt mu konkretnych informacji udzielić nie mógł. Nastrój panował mrukliwy i niechętny. Zresztą dziwić się temu nie było można, gdyż istotnie sytuacja, jak słusznie powiadano, była „parszywa”...

Już 8 sierpnia ubiegłego roku przestali strzelać Rumuni; 4 września Finowie; 5-go Bułgarzy odwrócili broń i witali w Sofii bolszewików. Na Bałkanach panował nieopisany chaos, gwałt, mord, rabunek. Zdawało się na pierwszy rzut oka, że wszyscy walczą przeciwko wszystkim. W tych warunkach udawać się gdziekolwiek i podróżować w pojedynkę było niemożliwością. Należało czekać jakiejś okazji. Mitia poradził sobie w ten sposób, że dowiedziawszy się w końcu w którym pułku służył jego brat, zgłosił się po prostu na ochotnika, i przesiedziawszy kilka dni w etapie, odesłany został wraz z kolumną amunicyjną na linię bojową pułku.

Wyjechali w południe w kierunku na Warażdin. Tam, mówili Kozacy, mocno naciskają ni to titowcy, ni to regularne wojska sowieckie od Węgier, ni to czerwoni Bułgarzy, ni to to czort wie kto... Chyba, mówili, głównie Bułgarzy. O zmierzchu dojechano do miejsca gdzie droga rozwalona była niedawnym bombardowaniem. Wypadło przeładowywać amunicję i samym przesiadać się na dwukółki. Pojechali dalej góorskimi drożynami i bezdrożem. Noc lutowa zapowiadała się wyjątkowo ciepła. Zapanowała odwilż. Niskie chmury przysłaniały góry. Zabroniono było palić. Po bezsennie spędzonej nocy usłyszeli przed samym świtem daleki terkot ciężkich karabinów maszynowych, który dochodził z kierunku w jakim jechali.

Wozy zatrzymały się w kamienistym osiedlu. Było mroczno, czarnym, przedświtowym mrokiem. Wilgotno, nieprzytulnie, nigdzie ognieńka. Mitia zlaźł z dwukółki, rozprostował zasiedziałe nogi, minął jakiś załom muru, potknął się na kamienistym gruncie, wpadł na jakiegoś Kozaka, który go skłął. Powoli dopiero rozeznał, że pod domami stoją wszędzie zluzowane konie. Zanim je dojrzał, wprawione ucho pochwyciło charakterystyczne postukiwanie

kopyt, gdy przestępują z nogi na nogę, ciche żucie i prychanie w podwieszane worki z obrokiem. Ogień karabinowy za wsią przycichł na chwilę. Jakiś oficer, niewidoczny w ciemności, wykrzykiwał rozkazy podnieconym, załamującym się głosem. Mitia domyślił się, że tu zapewne stoją konowodzi spieszonej sotni i poszedł na głos oficera. Nie rozeznając dystynkcji chciał go o coś zapytać. Ale tamten, nie zwracając uwagi na słowa pchnął Mitię w kierunku grupy stojących w pobliżu Kozaków:

— Do tyraliery! Do tyraliery! — krzyczał ochryple. — Marsz, taka wasza mać! Za dużo tu was zebrało się po nocy, za murami się chować!

Grupa Kozaków z karabinami w ręku ruszyła ku wylotowi wsi. Mitia zsunął swój z ramienia i prawie postukując kolbą po kamieniach, powlókł się z tyłu, przyłączając do grupy.

Zaczęło się rozwidniać. Bardzo powoli wstawał szary świt. Na spadzistej płaszczyźnie po zżętej kukurydzy widać było, jak tu i ówdzie unosili się i na przemian zapadali w tyralierze swoi, strzelając w kierunku innej wsi ledwo majaczącej w oddali. Wkrótce przestali się posuwać. Z tamtej strony nikt teraz nie odpowiadał na rzadki ogień tyraliery. Z lewa, o 50 metrów na ukos przed własną tyralierą widniała mała, pojedyncza chałupa kryta słomą. Tuż przed nią ułożony z głazów rodzaj murku, bez początku i końca. Widocznie gospodarz zaczął kiedyś układać to ogrodzenie i dał spokój. Strzelano coraz leniwiej.

— Ej tam!! Jacenkoooo!... — dał się słyszeć głos oficera leżącego wśród badyli. — Obsadzić punkt obserwacyjny! Natychmiast!

Opodał uniósł się na kolana podoficer i powiódł wzrokiem po tyralierze, przez chwilę się namyślając kogo z Kozaków wyznaczyć do tej funkcji. Mitia, nie przypadając do ziemi, podszedł do niego i powiedział:

— Ja pójdę. — Miał przy sobie dobrą zeissowską lornetkę, którą ukradł z taboru gdy przebywał jeszcze w sztabie, w Sissaku. Podoficer nie tracąc czasu na rozeznanie w półmroku kto mówi, odkrzyknął:

— Waliaj! Na dach tej chałupy, widzisz?!

— Widzę.

Chałupa była opuszczona przez mieszkańców. Mitia wlaź po przystawionej drabince, rozłożył się na niewy-

godnym ukosie słomianego dachu, przytknął do oczu lornetkę i patrzył: widział przed sobą rząd domów osiedla, w którym leżał nieprzyjaciół. Na froncie, w samym środku tego rzędu, rosło olbrzymie drzewo. „Ciekawe co to za drzewo, pomyślał, może dąb?”. W tej chwili koło pnia dostrzegł figurki ludzkie, coś tam czyniące w nachylonej postawie. „Jak nic, ustawiają cekaem”. Przesunął szkła bardziej w lewo: wysadzana topolami droga, okopana rowami, prowadziła do osiedla. Nigdzie nikogo. Odjął lornetkę i spojrzał wzdłuż własnej tyraliery. Leżeli w wyciągniętych pozach, niektórzy poprawiając się co chwila. Jaśniało. Spojrzał w górę: chmury szły w kilka warstw u dołu ciemniejsze, wyżej jasne, wiatrem południowym gnane na północ. Była cisza i pachniało obcą, nieznaną w zapachach wiosną. Poczuł się jakoś lekko na duszy, mimo niewyspania, nieomal dobrze. Wyciągnął się na niewygodnej, zrudziałej ze starości słomie pod nawisłym niebem i omal nie zasnął od strzępków myśli, które nachodziły i odchodziły. Bardzo daleko na wschodzie zaczęło ledwo prześwitywać słońce, może gdzieś promienie jego padały już nawet na ziemię. Znowu się poprawił, przerzuciwszy lewą nogę poza szczyt dachu, by się umocnić w swojej pozycji i wysunął naprzód karabin. Postrzępione myśli, podobnie jak postrzępione nad nim chmury, przechodziły i nie zatrzymywały się. Usiłował którąś z tych myśli przytrzymać: „Właściwie kiedy mu było dobrze w ciągu całego życia? Kiedy mu było naprawdę lepiej niż na tej nieznannej strzesze, nieznannej ziemi?...” Z ocknienia wyrwał go jeden, drugi, trzeci strzał na linii. Tyraliera kozacka zaczęła znowu leniwie strzelać. Teraz już nie potrzebował przykładać szkła. Rozjaśniło się na tyle, że gołym okiem widział cztery figurki kręcące się koło wielkiego drzewa, za zasłoną jakichś wielkich traw. Chwilę myślał o celowniku, później oparł się na łokciu, długo celował, brał na muszkę i — huknął strzał! — Figurki schowały się. Zarepetował i jeszcze raz strzelił. Później potoczył wzrokiem: „Echeee... Przebiegają między domami”...

Z punktu obserwacyjnego regulamin zabraniał strzelać, ale Mitia strzelał raz po raz.

„A tam, tam!... Na drodze, na białym koniu, nie kryjąc się, między topolami!” Targnęła nim nagle jakaś wewnętrzna zaciętość, złość, może za całe swoje marne życie,

a może po prostu dlatego, że nie widział skutku swych strzałów. Uniósł się na spadzistości dachu, celował dokładnie: Rrraz go! Na białym koniu zjechał do rowu, ale toczył się dalej. I wciąż z tamtej strony nikt nie odpowiadał na strzały. Co się właściwie zaczęło w nim dziać, wewnątrz Miti?! Wstał wyzywający, wparł się mocno nogami po obydwu stronach stropu i wystawiając w ten sposób całą swą postać, przykładając kolbę do policzka i strzelając z pozycji stojącej; strzelał coraz bardziej nerwowo. Wpychał właśnie czwartą łódkę do magazynka, gdy poczęto wreszcie odpowiadać. Nic się nie bał.

„Pak, -ccjuuuu! Pak, pak-tjuuuu, cjuuu!...” Koło samej głowy. „Strzelają tylko z karabinów ręcznych. Nie strzelają z maszynowych, żeby nie zdradzić ich stanowiska”, zdążył pomyśleć. „Pak, tjuuu... pak, pał, bak, pak ...tjuuu, ciuuu, fliii...!” „Właściwie to każda kula ma inny dźwięk w locie... Teraz naturalnie wszyscy celują we mnie”. Z rozważnym spokojem położył się i wrócił do dawnej, spłaszczonej pozycji na dachu. „Tjuuu!...” Bardzo blisko przeleciał pocisk, tuż, prawie ogrzał jego ucho.

Nawet nie zauważył jak po drabinie wdrapał się do niego na dach Jacenko. Przyłgnął bokiem, obejmując łokciem szczyt i dopiero przelotnie spojrzawszy w twarz Miti wyraził zdziwienie:

— A ty? Kto?

— Dziś. Na ochotnika przyszedłem.

— Acha. — „Tcjuuu!” — Jacenko nie miał czasu, wtulił instynktownie głowę w ramiona. — No, co stąd widać? — zapytał prędko.

— Tam, zdaje się, pod tym wielkim dębem musi być gniazdo karabinu maszynowego. Ale jeszcze go maskują.

— To... Skąd wiesz, że dąb? — Jacenko zmrużył oczy. — Masz dobry wzrok.

— Nieee... Tak sobie tylko. Słuchaj, gdzie tu szukać w pułku Aleksandra Kolcowa, Kozaka. Podoficer on. Starszy już człowiek. Z pierwszej emigracji. Musi tu być.

— Jest. Tylko w niespieszonej sotni. Starszy urzędnik. Oni nas, widzisz, z wieczora nacisnęli, Bułgarzy z bolszewikami. My tu ledwo front utrzymaliśmy w pieszym szyku. A tam, dwie sotnie z prawa, zaraz ich w konnym bracie powinny; atakiem z flanku. A tobie po co Kolco...

„Ffyych”! — kula bez gwiźnięcia wparła się pod samym

łokiem Jacenki, rozczapierając żdźbła słomy jak szczoteczkę.

— Ohoho, gorąco tu, bracie, u ciebie... — mruknął, zsunął się z dachu po drabinie i chowając głowę w ramionach, przeskoczył murek z usypanych głazów, popełznął z powrotem do swoich w tyralierze.

Jakiś ruch najprostszy, jakieś najprostsze słowo zagra, bywa, raptownie na klawiszach nerwów ludzkich. Wyzwoli niespodziewaną wyobraźnię. Nikt nigdy nie wie kiedy i dlaczego może się to stać? „Gorąco”: słowo jak tysiące innych, które się z milion razy słyszało i mówiło w życiu. Nagle sparzyło ono Mitie! Ogarnął go straszny lęk. Lęk przeszedł w panikę: „Teraz zabijają... W tej chwili zabijają na pewno!...” Zrzucił karabin z dachu, aby mu nie przeszkadzał, a sam, ledwo łapiąc szczeble drabinki, stoczył się w dół i rozpląszczył na ziemi. Musiał skoncentrować następnie całą siłę woli, aby zmusić się do uniesienia i przeskoczenia kamiennego murku, za którym był już bezpieczny. Pod jego osłoną leżał ciężko dysząc. Żył. Oddychał. Nigdzie go nawet nie drasnęło. Przychodził do siebie. Nie pamiętał jeszcze, żeby się kiedykolwiek tak bał. Trwało zaledwie kilka minut, gdy usłyszał zrazu urywany, następnie zgodny, długo rozciągnięty okrzyk het, z prawa: „Hurrraaaaaaa... aaa... ha!!!

Strach, który go był nawiedził, znikł równie raptownie, widocznie odleciał do umierających. Mitia powstał, otrząpał się, podjął karabin, przelazł przez murek i wdrapał się z powrotem na dach. Zresztą teraz nikt doń już nie strzelał. Przeciwnik cały ogień skierował w prawo, na skrzydło. Już i karabin maszynowy przeniesli, i grzał on teraz wściekając się, nerwowo (Mitia wyobraził sobie jak drga cały!), długimi seriami skądciś, zza domów. Przez szkła widać było wyraźnie jak ławą szła szarża kozacka. Wielowarstwowe chmury w dalszym ciągu przysłaniały słońce, dlatego wzniesione i wymachiwane nad głowami klingi szabel nie dawały blasku i wyglądały jak drobne, stałowe cienie.

Rozbicie i odepchnięcie nieprzyjaciela w rejonie Warażdin było dużym sukcesem taktycznym, osłaniającym od granicy węgierskiej odwrót lewego skrzydła cofających się wojsk. W sotniach biorących udział w konnym ataku zgi-

nęło trochę Kozaków i kilkudziesięciu było lżej lub ciężiej rannych. W tej liczbie starszy urzędnik Aleksander Kolicow. Mitia dowiedział się o tym zaraz, gdy ruszyli na przód i zajęli opuszczoną przez Bułgarów wieś, do której już znoszono z pola trupy i rannych jeźdźców. Najpierw ryży, piegowaty Kozak odpowiedział mu na pytanie pytaniem:

— A ty co? Czego właściwie chcesz?

Gdy Mitia wyjaśnił mu, że jest bratem, Iwan Awdoszka rozdziawił gębę, a później niepewnym ruchem ręki wskazał grupę czterech ludzi, którzy nieśli kogoś na rozciągniętym brezentie trzymając go za cztery rogi. I jeszcze długo przypatrywał się plecom, a później dobrym butom oddalającego się w tym kierunku przybysza... Brata nieśli nie dbale, trochę za nisko głową, ze zwisającymi z drugiej strony nogami. Mitia zobaczył twarz zupełnie mu obcą, starą, w tej chwili brudno-zielonej barwy, jaką namaszcza skórę zbliżająca się śmierć. Dostrzegł masę zbiegających się, szarych jak popiół zmarszczek z kresą czarnej krwi zastygłej już w kącie ust. Na piersiach widniały też dwie plamy, a jedna pośrodku uda. Znać musiała go trafić cała seria z maszynki. Ten widok nie wzbudzał w Miti żadnych uczuć. Prawie obojętnie rejestrował tylko fakty. Zabitych widział już zbyt wielu. Po prostu ktoś obcy zabity na wojnie. Nie poznałby go przecie nigdy, nie domyśliłby się nawet, że tak ma wyglądać ów „Sasza”, o którym tyle się nasłuchiwał od ojca. Ten nagle otworzył oczy, ale po to tylko by w agonii przewrócić je sinymi białkami do góry; przez ciało przebiegł ledwo dostrzegalny dreszcz. Kozacy opuścili brzemień ostrożnie na ziemię, trzymając wciąż za rogi brezentu.

— Skończył — powiedział jeden i podniósł rękę do czoła jakby z zamiarem uczynienia znaku krzyża, ale się rozmyślił i tylko poprawił papachę na głowie.

— No, czego stanęli?! Nieście, nieście! — wołał z tyłu podoficer, w biegu przytrzymując pochwę szabli lewą ręką.

Wiadomość o przybyciu brata i dramatycznym spotkaniu na polu walki po dwudziestu dziewięciu latach niewiedzenia, wywołała małą sensację. Wypadek był istotnie niecodzienny i Kozacy skupili się aby popatrzeć.

— Ot jak spotkali się braciszkanie...

— Taaak... Bywa.

— Stary był człowiek, siedziałby w domu... Żyłby jeszcze.

— Nnno, chciał walczyć.

— Za kogo, ja pytam? A? Za kogo?!

Ktoś splunął. Ktoś próbował nawet żartu pod adresem Miti:

— Ale zdążył! W sam raz na stypę!

Nikt się nie uśmiechnął.

— Niech bierze jego konia.

— Już tam amator, zdaje się, znalazł.

— Na konia, czy na sakwy?

Sotnik, człowiek w średnim wieku, milcząc uściśnął Miti rękę. Ten zestawiał służbowo obcasy odpowiadając na uścisk. W tej chwili podszedł Jacenko.

— Kolcow? A ja miałem kolegę, Kolcowa, w kadeckim korpusie w Odessie.

— Jacenko?... — zaczął sobie przypominać Mitia jak przez mgłę. — Zaraz, zaraz... Poczekaj...

Dogadali się i poznali nie od razu. Wania Jacenko był młodszy od Miti, ale jako zdrowy, wyjątkowo wyrośnięty i dziarski, poszedł wówczas z grupą generała Wasiljewa.

Mitia dostał jednak w końcu bratowego wierzchowca, choć z wypróżnionymi już przez kogoś sakwami u siodła. Popołudniu jechali kolumną marszową w obojętnym kierunku. O kilka długości końskich w tyle: młodszy urzędnik Jacenko i Mitia, strzemię w strzemię.

— A pamiętasz — pytał Mitia — był taki Saszka Bieracki, syn dyrektora?

— Był, a jakże.

— Co z nim teraz? On też przecie do Belgradu się kierował. Nie zabili po drodze?

— Jego nie. Ale sam się zabił.

— Jakto?

— Zwyczajnie. Zastrzelił się.

— Dlaczego?!!

— To widzisz, o sprawę ojca poszło. Mówili, że ojciec przeszedł później do bolszewików. No to Saszka wziął to strasznie do serca i popełnił samobójstwo.

— Co ty mówisz! Przecież ojca, jak słyszałem, pod przymusem tylko zabrali na wykładowcę do ich akademii wojskowej. Więc tylko tyle było tego „przejścia”...

— No, a Saszka nawet tego przeżyć nie chciał.

— Ach dureń, ot dureń! Głupiec! — Mitia się uniósł, zdenerwował, mimo woli ściągnął cugle i dał ostrogi, aż koń się poderwał, przysiadł na zadzie i z kamienia uderzonego podkową poszły skry.

— No, to wiesz... Jakby to powiedzieć: zależy od przekonania. Za co jego, świętej pamięci, wymyślasz? Złoto był chłopak.

— Za co, za co! A za co on miał się strzelać?! Co mógł ojciec zrobić? Rozkrzyżowywać się za świat? Za jaki świat? Ginąć tak jak mój brat dzisiaj? Jak my wszyscy ginimy, gdy ten świat całuje gdzieś... Stalinowi! A może za tych Niemców, którzy nas tak wykierowali!

— Na próżno, na próżno tak mówisz. Niemcy „wykierowali” nas, to prawda, ale i siebie wykierowali do zguby. Tu kropka. Tylko, że z nami wcale nie jest jeszcze tak źle, jak twierdzisz.

— Jakto: „nie źle”?!

— A takto, mój drogi, że z tym „całowaniem” przez cały świat, to jeszcze zaczekaj trochę. Na szczęście nie jest tak prosto. Dziś Zachód chrześcijański staje się potężniejszy niż kiedykolwiek bądź.

— „Zachód”! A ty pamiętasz Akerman? Pamiętasz jak nas gnali precz jak psów w ręce bolszewików? I to nas, wówczas prawie dzieci. Pamiętasz tego konia zamarniętego w Limanie? Pamiętasz Rumunów? To też był przecie „Zaaachód”! Wtedy też wierzyliśmy w „Zachód”, a ojciec tego Saszki, pamiętam, krzyczał wtedy w nocy, gdy nas pędzono na łód: „Cały świat cywilizowany dowie się o tym jutro!” Ot, tobie, i dowiedział się. Ot tobie i masz „jutro”. Po tym „jutrze” jedziemy my dziś z tobą o, na tych koniach, hemoroidy od siodła wysiadując. I do czorta czerwonego dojedziemy. Tamci pomagają, a Hitler wygnał nas won i nie pozwolił nawet walczyć z Sowietami. Czy ty wiesz co wyrabiało się na naszych ziemiach?

— Fiuuu! A żebyś wiedział co się wyrabia tu, na Bałkanach! Ohoho! Tylko, że z obydwuch stron...

— Słyszałem. A ty mówisz: „Zachód”. Rrrrumuni, tacy jedni jak drudzy.

— Słuchaj Mitia. Ty się unosisz, denerwujesz i ja ciebie rozumiem. Dziś zresztą twego brata zabili i tak dalej. Ale jak ty możesz zestawiać, porównywać jakichś tam

Rumunów, czy tych Bałkanów, z tym co rozumiemy pod słowem: „Zachód”, „zachodnia kultura” itd. Ty się nie obraż na mnie, ja nie wiem czyś ty... To znaczy tyś był cały czas zamknięty w Sowdepit. A ja, widzisz, skończyłem uniwersytet, czytałem masę, zetknąłem się z tym światem. Ja go znam. Ja byłem w Rzymie. Cztery lata mieszkalem w Paryżu, dwa lata w Londynie. Gdybyś ty naprawdę poznał ten świat! Przecież to, co dziś z siebie przedstawia ten Zachód... no, w Ameryce nie byłem, ale też się orientuję... Przecież to, i Bolszewia, to są dwa światy zupełnie nie do pogodzenia. Nie-do-współ-ży-cia, mój drogi. Oni tylko taktycznie popierają dziś Sowiety. Ale jak pobiją Niemców, jak się zetkną z Sowietami, nno! Może już pojutrze, może jutro. To wtedy, bracie, pójdzie nie tak jak przy Hitlerze! Oni nie są przecie tacy głupi. Mało tego: ty mówisz, że nam nie dali Niemcy walczyć z Sowietami... A ja tobie odpowiem, wiesz co? Chwała Bogu, że nie dali! Chwała Bogu, że Hitler był taki głupi. Chwała Bogu, że nie dał się nam wykrwawić dla swoich interesów na froncie wschodnim, a wygnał nas wszystkich na zachód. Ty wiesz co on przez to zrobił? On przez swoją głupotę zrobił z nas najlepszy, jaki tylko mógł zrobić, prezent dla Churchilla i Roosevelta! Formalny prezent. Bo teraz dopiero, po rozgromieniu Niemiec, mocarstwa zachodnie całą swą potęgę skierują przeciwko bolszewikom. A my, którzy znajdziemy się na zachodzie, my najbardziej tym mocarstwom będziemy właśnie potrzebni. Oczywiście nie jako czynnik wojskowy, ale ideowy, moralny. My, ideowi antybolszewicy.

— Ee, słyszałem już te pogaduszki nieraz. Ale kto wie, czy moja siostra nie miała racji, gdy raz powiedziała, że „nie trzeba było wsadzać palców między drzwi”.

— Nie, nie miała racji. Tu nie chodzi o pogaduszki. Chodzi o fakty. — Jacenko ściągnął cugle i wstrzymał nieco konia, gdyż zbyt zbliżyli się do końca kolumny, a potem podjął na nowo:

— Czy ty wiesz co się dzieje w armii Własowa? Alianci bombardują całe Niemcy, a przelatują nad zupełnie otwartymi obozami w Münsingen i Heuberg, gdzie ta armia stoi, i... ani jednej bombki. — Zniżył głos choć i tak nikt obcy nie mógł usłyszeć: — Tu, w rosyjskim korpusie

obok, jest oficer nazwiskiem Bezkarawannyj. On jeździł do sztabu ROA. Tam otwarcie się już mówi, że mają nie tylko kontakt z Anglikami, ale wprost zapewnienie samego Churchilla, że zaraz po zakończeniu działań przeciwko Niemcom, zwrócą się przeciwko bolszewikom i że Własow im będzie potrzebny. Bezkarawannyj osobiście rozmawiał z Własowym. Wiesz co jemu powiedział? Że z Anglikami ustalony jest już nawet rejon, ma to być gdzieś w południowej Austrii, gdzie wszystkie antysowieckie oddziały winny się zgrupować.

Mitia wyjął nogi ze strzemion i wyprostowując je, poruszając w kostkach stopy, przyglądał się milcząc swoim nowym butom. Gdzieś, niezbyt daleko, zaczęła bić artyleria. Jacenko uniósł głowę i przysłuchiwał się.

— Wygląda jakby nasza, konna bateria.

Przejechali kilka staj, gdy nagle koń Miti rzucił się w bok z taką gwałtownością, że ten ledwo się utrzymał na siodle chwytając za przedni łęk i grzywę.

— A nie wypuszczaj strzemion na wojnie! — zaśmiał się Jacenko, którego wierzchowiec również przysiadł na zadzie i chrapiąc usiłował się cofnąć. Jacenko dał mu ostrogę.

— Czego one?... — zaczął Mitia i urwał pytanie, gdyż dostrzegł przyczynę: Spod krzaków wyglądała ku nim roz-puchła, pozieleniała twarz trupa o straszliwie nieruchomych oczach, w których zastygło wszystkie przerażenie walki i śmierci. Usta były szeroko otwarte czarno-krwistą jamą i, to co najokropniejsze: wysterczało z niej jak potężne cygaro, obłamane drzewce lancy. Mitia złapał prawą nogą strzemię, a lewą przytrzymał ręką i wsadziwszy w nie koniec buta, zapanował nad koniem.

— Co to wy, z lancami jeszcze wojujecie?

— Jest kilku amatorów. Z drzewa sobie sami strugają.

Trup leżał w krzakach, tylko głowa wypadła na drogę. Obok drugi z twarzą ku ziemi, zarąbany najwidoczniej cięciem po czaszce. A o kilka kroków dalej głowa odcięta od tułowia i sznurkiem za włosy podwiązana do gałęzi. Jak wynikało z mundurów, byli to titowcy. Mitia przyjrzał się im i zauważył tylko:

— Ależ i wy... Zdorowo ich tu...

— Oni z naszymi, jak złapią, robią jeszcze gorzej.

Przed wszystkim wycinają, wiesz co... A ostatnio znaleźliśmy naszego tak: Brzuch żywcem rozpruty, a do środka, do kiszek nasypało się piasek. Taką tu wojnę prowadzimy, bracie.

.....

Dnia 8-go, tegoż samego lutego 1945 roku, w krymskim pałacu (należącym ongiś do zamordowanego przez bolszewików Mikołaja II, który był ciotecznym stryjem panującego króla Wielkiej Brytanii, imperatora Indii i Fidelis Defensor, Jerzego VI) powstał minister Jego Królewskiej Mości, Winston Churchill, i wzniósł kielich:

„Nie jest to z mojej strony przesada, ani kwiecistym komplementem, gdy powiem, iż uważamy życie Stalina za coś najbardziej drogiego dla naszych nadziei i naszych serc... Wyrażam szczerą wiarę, że Marszałek zachowany zostanie i dla Związku Sowieckiego i dla tego również, aby nam pomógł iść naprzód ku mniej nieszczęśliwym czasom niż te, któreśmy niedawno przeżyli. Osobiście kroczę poprzez ten świat z większą śmiałością i nadzieją, gdy jestem pewny przyjaźni i zażyłości z tym wielkim człowiekiem, którego sława rozbrzmiewa dziś nie tylko na całą Rosję, ale i na całym globie ziemskim!...”

◆

W kilkanaście dni po bitwie w rejonie Waraźdin Mitia wystarał się za pośrednictwem sotnika, który mu ścisnął rękę przy śmierci brata, o jakieś powrotne dokumenty, pożegnał się serdecznie z Jacenką, poklepał po raz ostatni bratowego konia, i wyruszył do Włoch.

Po drodze, na stacji węzłowej w Villach przesiedział dwie i pół godziny w schronie pod „dywanowym” bombardowaniem lotniczym. Dojechał pociągiem jeszcze do stacji Tarvisio, ale dalej tory były już zniszczone. Szczęśliwie jednak zdołał się dostać na wojskową ciężarówkę niemiecką i wrócił do Olesso bez większych przygód, zdrów i cały.

Przed ojcem nie ukrył prawdy, tylko ją trochę podkolorował na pociechę starych jego lat. Zapewnił mianowicie, że na własne oczy widział jak Sasza, z gołą szablą

w rękę leciał na czele kawaleryjskiej szarży i dokonywał cudów bohaterstwa.

Ojciec zapłakał. Nie zdarzało się to z nim nigdy, przynajmniej nigdy nie widział go Mitia płaczącym. Może nie tyle ze smutku co z rozrzewnienia, a może nawet z dumy. Może jednak po prostu stalowe siły zaczęły go już opuszczać? Wierzchem dłoni wytarł załzawione oko i odezwał się nadszpiewanie spokojnie:

— Cóż, komuniści zabili mi żonę, córkę, teraz syna...

Ażeby odwrócić jego uwagę od ciężkich myśli, Mitia szybko zmienił temat i zaczął mu opowiadać wszystko to co słyszał pocieszającego od Jacenki o perspektywach politycznych. Ula, obecna przy rozmowie, słuchała milcząco z wyrazem ponurego niedowierzania, lecz nie odezwała się słowem. Kolcowa bardzo zainteresowała relacja Miti, podczas której kiwał potakująco głową.

— Jasne, jasne... Od dawna to sam miarkuję. Inaczej by i być nie mogło. A powiedz mnie jeszcze... Żonę on, dzieci, miał jakie? Chybaż nie żył w kawalerskim stanie. Musiał się ożenić.

— Od umarłego miał się dowiedzieć?! — wtrąciła brutalnie Ula. — Przecież opowiada, że w agonii, nieprzytomny był i zmarł w kilka sekund.

W tej chwili przez otwarte okno wsunął głowę Iwan Fomin:

— Aaa, Dmitrij Aleksandrowicz, moje pozdrowienia z okazji powrotu! Słuchajcie, mili moi, jak będzie w tym ich italskim języku, torba?

— Nie wiem, Iwan, nie wiem — odparł stary Kolcow. — Nie uczony jestem.

— No sakwa, no worek, kabura, juki — upierał się Fomin. — Cokolwiek takiego, jak po tutejszemu, żeby nasycać coś do środka?

— A czort ich wie! — dlaczegoś z rozdrażnieniem zaklął Mitia. — Bierz sam i nie pytaj jak się nazywał

R o z d z i a ł 11

„DON CAMILLO”

Przyszła wiosna. Ostatnia wiosna drugiej wojny światowej. Inna niż wszystkie poprzednie, niewidziana jeszcze przez Kozaków. Wokół zamiast klonów rosły platany, zamiast sosen — pinie, zamiast topoli — cyprysy wysmukłe. Wiosna bez tającego śniegu, bez długo zastałych kałuż. Wiosna pod południowym niebem, w górach gdzie wprost ze skały wyrastały kaktusy i agawy; w murach wąskich uliczek zieleniły się już pędy pelargonii. Powietrze było lekkie i może wskutek tego słabo oddawało zapachy ziemi i roślin.

Skargom, lamentom ludności włoskiej nie było końca. Od czasu wielkich wędrówek ludów nie zdarzyło się chyba tak dziwnego najazdu na ziemię włoską.

Według spisu jeszcze z września 1944 roku, zjechało w okolice Tolmezzo 15.590 ludzi. W tym zbrojnych, pod wodzą atamana Domanowa było 7.155, uformowanych w następujące pułki: Dywizjon przyboczny — 386 ludzi, 1-szy konny pułk — 962, 1-szy doński — 1.101, 2-gi doński — 1.277, 3-ci kubański — 1.136, 4-ty tersko-stawropolski — 780. Oddział zapasowy — 376 ludzi, 9-ty pułk w stanie rozformowania — 803, sztaby i administracja — 334. Ludności cywilnej — 8.435.

Od tego jednak czasu napływ wzrastał. Przybyły pułki 8-my i 10-ty. Przybył 3-ci zapasowy pod wodzą wojskowego starszyny Łobysiewicza, w składzie 8 sotni, przy 3 działach, łącznie około 2.500 Kozaków, głównie kubańskich. W ciągu zimy ściągnęły różne oddziały i oddziały

na własną rękę, które bądź wlały się do istniejących już pułków, bądź też trzymały się „niezależnie” korzystając z narastającego chaosu. Ludność cywilna w granicach Kozackiego Stanu zwiększyła się do 20 tysięcy, co łącznie z wojskiem zaokrągliło cyfrę do około 40 tysięcy ludzi.

Poza tym ścigali do północnych Włoch uchodźcy z różnych krajów Europy wschodniej. W Wiedniu, bombardowanym dzień w dzień przez lotnictwo alianckie, przepełnionym tymi uchodźcami oraz masą ludzi wywiezionych przez Niemców na roboty przymusowe, znaleźli się pośrednicy, którzy za opłatą wystawiali fałszywe dokumenty podróży. Tego rodzaju „kozacki” dokument kosztował przeciętnie 3 tysiące marek i ufatwiał ucieczkę za Alpy. Według prowizorycznych obliczeń ilość uchodźców, nie mających nic wspólnego z Kozakami, ale trzymających się w bliskości Kozackiego Stanu we Włoszech, wynosiła 25 tysięcy osób. Wszystko to chciało jeść, spać pod dachem, chciało żyć. Wreszcie niezależnie od tego głównego zgrupowania, stacjonowały rozrzucone w dorzeczu rzeki Po pułki 162-giej dywizji Turkmeńsko-Azerbejdżańskiej, przeważnie skupione na odcinku Riccione-Ravenna, później w okolicach Rimini. Pułk rosyjski „Wariag” i inne temu podobne formacje.

W górach, w rejonie Paluzzo, rozłożył się obozem Korpus Kaukaski pod wodzą Sułtan Kelecza Gireja. Stanice kubańskie pod płk. Łukjanienko zajęły okolice Covazzo. Ośrodek doński rozmieścił się w Olesso, przezwano to miasteczko „Nowoczerkask”, pozmieniał nawet nazwy ulic. Sztab Domanowa stanął w mieście Tolmezzo, dokąd też w lutym przybył gen. Krasnow, wraz z żoną Lidią Fiedorową. Pułki wysunięte zostały na południe i zajęły stanowiska u wybrzeży morza Adriatyckiego. Zaczęła wychodzić gazeta pt. „Kazackaja Ziemia”, pod redakcją podesauła Bołdyriewa.

Ale nie była to „kozacka ziemia”! Ziemia była obca z gruntu, z wyznania, z narodowości, temperamentu, z jadła i napojów, a nade wszystko z aktualnych nastrojów politycznych. W tym czasie prawie wszystkie łańcuchy górskie, poczynawszy od Genui i francuskich Alpes-Maritimes, poprzez Turyn, Como, Dolomity i dalej na wschód, opalone zostały przez partyzantów włoskich. Wytworzyła się sytuacja, która w sposób może bardziej rażący niż gdzie

indziej odzwierciedlała paradoksy ostatniej wojny. Partyzanci zaopatrywani byli w broń, amunicję i instruktorów przez Anglików; natomiast w agitatorów, ulotki i hasła polityczne przez bolszewików. W więcej niż 60% była to partyzantka jednostronnie komunistyczna; walcząc z okupacją niemiecką zwalczała jednocześnie faszystów ówczesnej krótkotrwałej republiki Mussoliniego, ale z równą zaciętością zwolenników króla. Rzadkie, włoskie flagi narodowe wznoszone obok masy czerwonych, ziały dziurami po wyciętym w środku herbie Domu Sabaudzkiego. Natomiast istniało przymierze pomiędzy komunistami i katolikami. Z „czerwonymi koszulami” szły ręka w rękę mniej liczne „niebieskie” organizacji katolickich. Syn marszałka Timoszenki który uciekł z niewoli niemieckiej, kroczył ramię przy ramieniu z księdzem „Don Camillo”. Stąd napisy malowane w nocy kredą na ścianach ulic głosiły obok: „Viva il Papa!”, i „Viva Stalin!”.

Zgodnie z ówczesną interpretacją nie tylko wszystko to co było bliskie komunizmowi, ale zarazem wszystko co mówiło o dalekiej „Rosji”, o „Zwycięskim Wschodzie” i „wyzwoleniu” ze strony sowieckiej, było ubóstwiane na szczytach partyzanckich gór. Tymczasem działa się rzecz dziwna: oto tuż, w dolinach, we własnych wsiach i miasteczkach, rozłasował się ów brodaty, po rosyjsku mówiący „Wschód”, ze swym przeciętym na ukos ortodoksyjnym krzyżem kościoła wschodniego, pałający nienawiścią do wszystkiego co komunistyczne.

Obydwie strony patrzyły na siebie ze szczerym nieraz zdumieniem: „Więc to tak ma wyglądać ów chrześcijański zachód, jedyna ostoja i nadzieja przed jarzmem bolszewickim?”... rozdziawiali gęby Kozacy i nie-kozacy, spoglądając na rozchełstane, czerwone koszule partyzantów, przewiązanych taśmami kulomiotów na modłę i fason rewolucji z 1917 roku.

„Więc taki to jest ów „Wschód” uszczęśliwiony najlepszym i najsprawiedliwszym ustrojem na globie?”... szepotali podwładni partyzanckiego generała Fenulli i zwolennicy wielkiego Ercole-Ercoli.

Pod tym właśnie pseudonimem przybył z Moskwy przywódca komunistów Togliatti i przywiózł instrukcję, aby włoska partia komunistyczna nie tworzyła odrębnych organizacji bojowych, lecz weszła w skład ogólnego „Comitato

di Liberazione Nazionale", w myśl taktyki tak zwanych „wspólnych frontów", ułatwiających następnie skomunizowanie kraju od wewnątrz. Ustalone też zostały wspólne wytyczne propagandy, zmierzające do zneutralizowania owego rozczarowania przy zetknięciu z antybolszewickim wschodem.

Włosi, na ogół nie tędzy w geografii, dawali sobie wmawiać, że wszystko co przychodzi z tamtej strony Alp i nie zna języka to po prostu „Tedeschi" — Niemcy. Amerykanie miażdżyli czołgami w bitwie przy Via Aurelia Turkmenów, rozpuszczając pogłoski, że to — Japończycy. Dezerterzy, lub Kozacy wzięci do niewoli przez partyzantów, zaklinali się naturalnie na Boga, ludzi i własną głowę, że zostali przymusowo przez Niemców wygnani i przymusowo wcieleni do szeregów! Bo komuż ta własna głowa nie jest miła?... W ten sposób kłopotliwa konfrontacja została od biedy załatwana, w myśl obowiązującej prawdy. A że przeczyć jej głośno nikt nie miał ochoty, albo żadnej ku temu możliwości i prawa, więc też przeszła do obowiązującej historii.

Kozacy natomiast, na trapiące ich pytania musieli szukać odpowiedzi raczej z własnego konceptu. W propagandę hitlerowską o „żydowsko-plutokratyczno-bolszewickim spisku" dawno już nikt nie wierzył i dawno już w ogóle nikt wierzyć nie chciał. Zbyt liczne były zawody i zbyt wielkie panowało rozgoryczenie. Na ogół, raczej w milczeniu słuchano rozpowszechnianych pocieszeń, że to tylko czasowa taktyka ze strony aliantów, że w gruncie rzeczy są oni przeciwnikami bolszewików. Kiwano głowami, potakująco. Gnębiące wątpliwości i gryząca niepewność życia, która groziła przeistoczeniem się w nastrój beznadziejności, usiłowano pokrywać zewnętrznym pozorem. Co rano echo górskie w Covazzo odbijało dźwięki trąb i chóru: „Oj Kubań, ty nasza ojczyzno!..." W Olesso jedna z ulic nosiła nazwę im. Bakłanowa, druga: „Płatowskijskij Prospekt". W kościele ustawiono ikony św. Mikołaja Cudotwórcy i Bogurodzicy Dońskiej... Nie wszystkie stаницe jednak zachłannie odnosiły się do „kozackiej ziemi". W niektórych ciasno i niewygodnie, ale żywano się z włoskimi gospodarzami. W innych, zdarzało się, wyrzucano ich precz, rekwirovano nie tylko domy, ale i dobytek. Późniejszy ataman dońskich stanic, gen. Fetisow, zacznie

projektować zasiew na wiosnę włoskich pól i przemysliwać nad sprowadzeniem nasion... Ale do zrealizowania tych planów nie doszło.

Zaczęło się od tego, że w końcu kwietnia naleciały raptem angielskie samoloty i zbombardowały Olesso-„Nowoczerkask”.

Mitia przebywał wówczas w 1-szym konnym na południu. Ula i ojciec siedzieli w płytkiej piwnicy, wstrząsani ogłuszającym hukiem i straszniejszym odeń pogwizdem zbliżającej się z nieba bomby... Ledwo wydostali się z gruzów i ukryli w zagajniku słodkich kasztanów. Gdzieś, niezbyt daleko od nich rozdzierającym głosem krzyczał ranny osioł.

Nikt właściwie nie wiedział kto dał hasło i zrobił początek. Ale nagle, zaledwie odleciały bombowce, cała stanica kozacka zaczęła pakować rzeczy. Zrzucano dobytek w wielkim podnieceniu na ocalałe wózki, wozy i innego rodzaju wehikuly. Kto ich nie miał, ten zarzucał worek na plecy i ruszano na północ, w kierunku wsi Ovaro.



Dnia 9 kwietnia 1945 roku 8-ma armia brytyjska, a dnia 14-go — 5-ta armia amerykańska, przeszły do zdecydowanej ofensywy. Odrzuciły nieprzyjaciela na całym froncie i zajęły Bolonię. Dnia 21-go obrona niemiecka załamała się na całej linii. Dnia 28-go w miejscowości Dongo nad jeziorem Como zamordowany został Mussolini. Tego samego dnia SS-Obergruppenführer, Karol Wolff, który od dłuższego czasu prowadził już zakulisowe pertraktacje przy pośrednictwie Allana Welsh Dullesa, kierownika amerykańskiego OSS w Szwajcarii, udał się do Głównej Kwatery Aliantów w Casercie. Nazajutrz, z upoważnienia głównodowodzącego Wojskowej Grupy C., gen. barona von Vietinghoffa, podpisał kapitulację w imieniu wszystkich wojsk niemieckich na terenie Italii.

Tego samego dnia, o godzinie 9-ej rano, generał Piotr Krasnow ociężałym krokiem wszedł do gabinetu atamana Domanowa w Tolmezzo i poprosił o rozmowę w cztery oczy. Szef sztabu, gen. Siemion Mikołajewicz Krasnow, daleki krewny Piotra Krasnowa, opuścił pokój.

— No więc, Timofiej Iwanowiczu — zagadnął przybyły — jak pan ocenia sytuację?

Tuż za oknem wiatr targał liśćmi dużej, ale suchotniczej palmy. Wydawały blaszany odgłos, podobny do metalowych liści na cmentarzu. Domanow obracał w palcach jakiś papier gęsto pokryty pismem maszynowym. Odrzucił go niedbale, wstał.

— Są dwie sytuacje — odpowiedział powoli. — Wojskowa i polityczna. Wojskowa już nas w tej chwili nie obchodzi. Dotyczy Niemców i jest przez nich przegrana beznadziejnie. Z kretelem. Jeżeli zaś chodzi o sytuację polityczną, która nas dotyczy... — położył nacisk na słowo „nas”, — to jest niewątpliwie trudna, ale nie uważam jej za beznadziejną. Raczej byłbym dobrej myśli.

— Na czym pan opiera swoje nadzieje?

— Na zdrowym rozsądku — uśmiechnął się Domanow.

— Rozporządza pan jakimiś konkretnymi informacjami dla poparcia tego rozsądku?

Domanow zatrzymał się przed Krasnowym i rozłożył ręce:

— Pan, Piotrze Mikołajewiczu, mnie o to pyta? Pan, ze swą znajomością Zachodu i swymi stosunkami? Pan, który zna osobiście marszałka Alexandra? To ja właściwie powinienem oczekiwać od pana „konkretnych informacji” na poparcie mojej tezy. Czyżby przypuszczał pan choć przez chwilę że świat zachodni pogodzi się z panowaniem bolszewickim w Europie?! Że nie rozpocznie z tymi bolszewikami walki? Mnie się zdaje, że to się rozumie samo przez się. Jak i logiczny wniosek, że wtedy właśnie wybije nasza wielka godzina.

— Hm. Czy nie godził się dotychczas?

— Dotychczas! Dotychczas bolszewicy nigdy nie sięgnęli tak daleko! Dziś zagrażają okupacją pół Europy.

— Pan pytał o moje przypuszczenia. A więc przypuszczam, że się pogodzi z tym panowaniem. I że nie tylko nie wybije nasza wielka godzina, ale może nasza czarna godzina. To są przypuszczenia, naturalnie.

— W takim razie ja już nic nie rozumiem! — Domanow podjął przerwana wędrówkę tam i z powrotem po pokoju. Liście palmy za oknem wciąż pobrzękiwały cmentarno.

— Mój drogi... — Krasnow zakaszłał się, wyjął chu-

steczkę i wytarł głośno nos. — Ja przeżyłem już 76 lat na tym świecie, który może zbyt pochopnie przezwano: „bożym”. I niech mi pan wierzy że też nie dużo z niego rozumiem. Chyba tylko jedno, rosyjskie przysłowie: „Wiek żyjesz i wiek się ucz”, ale... „durniem umrzesz”. Schował chusteczkę do kieszeni, rozpiął dwa guziki munduru i patrzył w okno. Domanow przemierzał w dalszym ciągu pokój: od drzwi do kąta, w którym wisiała ikona, i od ikony do drzwi. Krasnow nie odrywając wzroku od okna, zapytał jakby chciał zmienić temat rozmowy:

— Co to za papier rzucił pan tam na biurko?

— Ach... Od Globotschnika! Rozkaz! Chce żebyśmy mu zajęli taki to i taki front... To już nie ma znaczenia co on tam chce! Przeciwnie, wydałem właśnie rozkazy, ażeby... Ale zaraz: więc pan przypuszcza, generale, że...

— Timofiejju Iwanowiczu, ściśle między nami: Widzę naszą przyszłość w najbardziej czarnej perspektywie. Daj Boże. Ale główna rzecz: niech to zostanie między nami. Naturalnie trzeba zrobić wszystko i osobiście zrobić wszystko, żeby odwrócić najgorsze. Ale, ale co ja właściwie mogę zrobić?...

— Marszałek Alexander...

— Ach! — Krasnow machnął ręką. — W każdym razie trzeba ratować ludzi i nie dopuścić do rozpaczliwych i nieprzemyślanych kroków. Pan mówił coś o wydanych rozkazach? — zapytał rzeczowo.

— Tak, właśnie chciałem panu zdać relację. — Domanow podszedł do mapy rozłożonej na stole. Wstał i Krasnow, nachylił się, ciężko opierając o blat. — Jak panu wiadomo — Domanow ciągnął ołówkiem po mapie — pod naciskiem ostatnich wypadków ludność cywilna naszych stanic, de facto znajduje się w potencjalnym odwrocie. Zwłaszcza obawia się wpaść w ręce komunistycznych partyzantów. Dla jej ochrony obsadziłem szkołą junkierską linię wzdłuż górnego biegu Tagliamento, tu, od Forni di Sopra, Ampezzo, Villa Santana. Jednocześnie wydałem rozkaz wszystkim pułkom na południe od Udine, aby śpiesznym marszem ruszyły na północ dla pokrycia odwrotu całego Kozackiego Stanu. A tu jeszcze taki szczegół: część naszych z Olesso pociągnęła na oślep drogą na Ovaro. Tymczasem właśnie silna banda partyzantów otoczyła w Ovaro jedną z sotni i szpital, który tam mamy.

Grozić to może masakrą. Pchnąłem więc spiesznie na pomoc dwie sotnie Kozaków, pół sotni junkrów i dwa działa. Zanim podciągnie reszta wojska.

— Taaak... Słusznie — przytaknął Krasnow.

— Ogólny plan pozostaje niezmienny. Tak jak już o tym mówiliśmy z panem: wycofać się całym Stanem na północ, do Austrii, ażeby wyjść możliwie najprędzej ze strefy opanowanej przez komunistycznych partyzantów, to znaczy w ogóle z Włoch. Tu nam grozi największe niebezpieczeństwo. Jeżeli wpadniemy w ich ręce to i... Anglicy mogą nic nie pomóc... — Urwał i spojrzał z ukosa na Krasnowa, ale ten w dalszym ciągu stał pochylony nad mapą, i nie powiedział słowa. — W żadnym wypadku nie możemy się dać rozbroić, ani... poddać... komunistom. Pozostała nam jedna wolna droga na przełęcz Plöcken-Pass, o tu, tedy. Chciałbym, żeby pan, Piotrze Mikołajewiczu, wyjechał razem ze stanicami. Ja doczekam wojska i będę się cofał z ariergardą. Dopóki nie dojdziemy do Austrii o żadnej kapitulacji mowy być nie może. Już przepędziłem kilkakrotnie tych czerwonych parlamentarzysty... A tam, cóż, zobaczymy.

— Zobaczymy, Timofiej Iwanowiczu. Dobrze, pojedę. — Krasnow oderwał się od stołu, westchnął po starczemu, podszedł do Domanowa, objął go ceremonialnie i pocałował w obydwa policzki, opuścił gabinet.

W ogródkach różowym kwieciami kwitły migdałowe drzewka. Niebo było granatowe, bez chmurki. Po nim, sterując ku północy na bombardowanie miast niemieckich, dudniły ciężko ładowane eskadry amerykańskich bombowców. Na ulicach Tolmezzo z wolna obracały się wysokie koła taborów jakiejś niemieckiej formacji, ciągnięte przez woły o szeroko rozstawnych, ogromnych rogach.



O świcie dwie sotnie, wzmocnione junkrami, ruszyły z Villa Santina górzystą drogą do odległego o 9 kilometrów na północ Ovaro. Droga zaprząszone była masą kozackich kolasek i ludzi pieszych obciążonych swoim dobytkiem. Wszystko to stało w miejscu bezradnie, siedziało w rowach przydrożnych, rozłaziło się po skalistych zboczach, ażeby czym prędzej umykać w wypadku napadu

partyzantów. Wieś Ovaro była mianowicie przez nich otoczona. Piękny, górski pejzaż oddawał echem dalekich strzałów.

Pułkownik z trudem przecisnął się przez tłum uchodźców. Zatrzymał sotnie przy podejściu do wsi i wysłał parlamentariusza, niezbyt rozgarniętego junkra, który wszelako najbieglej władał językiem włoskim. Ten wrócił niebawem z oznajmieniem, że oddziałem partyzanckim dowodzi nie komunista, a ksiądz katolicki. Że rozmawiał z nim osobiście i że ten oświadczył mu, iż nie może być żadnego gadania: „Armia niemiecka słyszała przez radio, podpisała kapitulację. Niech więc składają broń, a wtedy będzie rozmowa”.

— A nasi oblężeni, szpital? Jak tam?

— Bronią się jeszcze — odparł junkier.

Na stokach żółciły się krzewy żarnowca. Z lewa, po przez gęstą plataninę dzikiego orzecha, pinii, bluszczów i twardych liści rododendrona, prześwitało w głębi urwisko rzeczki. Jej plusk wiosenny słyszać było nieustannie. Z prawa, nad szczytami, pióropusz chmur oświetlony wschodzącym słońcem. Ładnie było.

— Ech, żeby tylko nie taki los, a żyć by można... — westchnął któryś z Kozaków. Pułkownik spoznał na niego w zamyśleniu, ale zwrócił się do junkra:

— Pójdź do tego księdza jeszcze raz i powiedz mu tak: że my nie Niemcy; że nas wyгнаło z kraju prześladowanie religijne. Wyraźnie tak powiedz: prześladowanie religii chrześcijańskiej. Chrześcijańskiej, nie zapomnij. Że my z nim walczyć nie chcemy. Niech tylko odstąpią, oczyszczą nam na chwilę drogę, a my wychodzimy wkrótce z jego kraju. Powtórzysz?

Sotnik, który siedział na zboczu i wycinał scyzorykiem litery na liściu agawy, krzyknął ze swego miejsca:

— I że nie wrócimy aż do sądu ostatecznego! A powiedz jemu, że do naszej broni gównu jemu do tego! Nie od niego dostaliśmy!

— Nie trzeba! — przeciął ostro pułkownik. — Przeciwnie! Grzecznie tak powiedz, kulturalnie. Bez żadnych tam... Rozumiesz?

— Tak jest.

Junkier zawrócił.

— A chusteczkę weź czystą, białą, bo w tę pewnie wysmarkałeś już! — krzyknął Kozak.

— Może lepiej czerwoną!

— Ha-hahaha!... — śmiano się z tyłu.

— Ty, junkier! Byle czarną onucą nie machaj! Bo pomyślą, że faszysta i przestrzela, wiesz co... tobie.

Junkier szedł nie odwracając się na okrzyki z tyłu. Tym razem trwało dłużej zanim powrócił. Ludzie pozłazili z koni, ale nie zdejmowali jucznych karabinów maszynowych. Czekali. Z tyłu zaczęli napierać tłumnie uchodźcy cywilni, dopytując się ciekawie, czy prędko będzie droga wolna? Z szeregów odpowiadano im dwcipami:

— Na tamten świat już jest wolna!

— Odstąpcie stanicznicy. Pogrzejcie się lepiej na słoneczku włoskim, pomarańczkę sobie zjedzcie, Chiantim popijając!

— Co to wy, obywatele najwolniejszego kraju na świecie! Mogliście kiedy marzyć o takiej wycieczce turystycznej? Do Itaaalii... Kiedyś hrabiowie tylko, albo książęta jeździli, a teraz, widzisz, po rewolucji i prosty naród pozwolić sobie może...

— Rzeczywiście, że tak. A oni już uciekać chcą!

Śmieli się, bo ranek był wyjątkowo jasny, powietrze lekkie.

W tłumie płakało dziecko. Zbiegowie z Olesso nie uśmiechali się na te żarty. Jakaś kobieta westchnęła głośno:

— Ach, Boże mój, Boże.

Parlamentariusz wrócił i powtórzył co mu oświadczył ksiądz:

„W Sowietach wprowadzono teraz wolność religii i wcale uciekać stamtąd nikomu nie było potrzeby. On wprawdzie, jako katolik, potępia wschodnią schizmę, ale oglądał w pismach fotografie, że księża prawosławni chodzą z krzyżami na piersiach i w cerkwiach wolno się modlić. Tylko propaganda — mówił — hitlerowska łże, że jest inaczej. A co do tego, że wy nie jesteście Niemcy, to — powiada — słyszałem o tym. Ale to jeszcze — powiada — gorzej niż Niemcy. Bo tamci choć bronią swoich spraw. A wy — mówi — zdrajcy jesteście własnej ojczyzny. Zdrajcy, co zaprzędali się za srebrniki, jak ten Judasz z... z...” — no, jak ta miejscowość, wyleciało mnie z głowy!

— Kaeeeeemy!! Zdejmować! — krzyknął wysokim tenorem sotnik, zrywając się jak oparzony spod agawy i nie zwracając już uwagi na pułkownika. — Konowodziiii!... — machnął trzymanym jeszcze w rękę szczyorykiem. — Cofnąć tam cywilnych ludzi! Konie za skały! Druga sotnia w piechym szyku! Za mną!

Pułkownik zmarszczył się, zakręcił na miejscu, ale nie zaprzeczył. Zaczął wydawać jakieś rozkazy artylerzystom dwóch działek.

Punktualnie o godzinie 10-ej rano rozpoczęła się bitwa. Dzielny ksiądz fachowo rozstawił własne stanowiska broni maszynowej, krzyżowym ogniem osłaniając dostęp do Ovaro. Junkrzy zalegli wzdłuż szosy i nie mogli się podnieść do frontowego ataku. Lewe skrzydło było chronione przez urwisko rzeki. Do dwóch armatek zabrakło wkrótce pocisków. Pozostawało jedynie rozwinąć prawe skrzydło i przedzierać się w głębokim obejściu zboczami gór. Partyzanci nie żałowali amunicji, znać było, że posiadali jej poddostatkiem. Echo górskie rozciągało w nieskończoność wystrzelane taśmy. O godzinie 1-szej popołudniu Kozacy zdobyli jedno z dominujących wzgórz. Słychać było, że przystąpiła również do kontrataku sotnia obleżona we wsi. Ale posunąć się dalej nie było można ze względu na głęboki, skalisty parów, umocniony po drugiej stronie, który okazał się kluczowym stanowiskiem obrońców. Włosi, których wartość bojową oceniano zazwyczaj nisko, stawiali tym razem zacięty opór. O przekroczeniu płynącego na dnie jaru górskiego potoczku mowy być nie mogło. Komendę sprawował tu sam ksiądz. Widać go było czasami, jak nieustraszenie przebiegał od stanowiska do stanowiska, krępy, w krótkiej do kolan sutannie i w płaskim, angielskim hełmie na głowie. Serie kul rozpryskiwały się o głowy, idąc dalej rykoszetem z właściwym mu fałszywym pogwizdywaniem, ale księdza się nie imały.

Alosza Gołowacz z drugiej sotni wpelznął już od dawna do jaru i rozplaszczony jak jaszczurka, co chwila zamierający w miejscu jak jaszczurka, szukający jak jaszczurka schronienia między kamieniami, zlania się z terenem, przecież podpełzał do wzniesienia po tamtej stronie. Jego oczy zwięzły się do dwóch, ledwo świecących szparek. Jego ręce i ubranie darły się o kamienie i stokroć gorsze od nich kolce roślinne. W jednej z tych rąk ciągnął

za sobą pęk połączonych granatów ręcznych. Na rozkaz sotnika Kozacy w tym miejscu utrzymywali nieustanny, huraganowy ogień broni maszynowej, aby osłonić jego ruchy, nie dać się opamiętać przeciwnikowi, ani zbyt wycofywać ponad krawędź wzniesienia, a także odwracać jego uwagę. Alosza był coraz wyżej. Gdzieś znikł w rozpadlinie zupełnie. Później można go było zobaczyć jak podpełzał dalej.

W pewnym momencie, raptownym ruchem z pozycji leżącej, zamachnął się w tył ręką i nie zginając łokcia, cisnął z tego zamachu pękiem granatów! Pęk trzepnął akurat o trzy kroki od przykucniętego w tej chwili księdza, wybuchł z ogłuszającym hukiem! Ksiądz padł na twarz, próbował się podnieść na rękach, hełm zsunął mu się na bok, spomiędzy guzików sutanny wydostał się na zewnątrz koniec prostego, srebrnego krzyżyka i głowa opadła z powrotem ku ziemi.

— W samego popa... — szepnął jeden z Kozaków w tyralierze, ale sotnik nie dał się opamiętać ani swoim, ani wrogowi.

— Naprzód Za mną! Hurraaa! — i rzucił się pierwszy w jar.

Za nim pobiegła poderwana z miejsca sotnia. Stało się to o godzinie wpół do czwartej po południu. O czwartej bitwa była skończona.

— Bratcy! — wołał podniecony jeszcze walką Alosza, rozczapierzając pokrwawione, brudne, w ziemi i kurzu, palce u dłoni. — Dajcie no jakiej wody, na miłość Boską, obmyć! I cholera ich wie, z piekła rodem w tym kraju bierze się chyba taka masa tych kolczastych roślin!

Droga była wolna. Obłączeni uwolnieni. Uchodźcy tłumem minęli wieś i poszli na północ. Sotnie, nie czekając rozkazu z Tolmezzo, poszły dalej dla ochrony cywilnych stanic. W Ovaro pozostał tylko szpital, do którego dołożono jeszcze kilku swoich rannych.

— Z tyłu idą wojska — pocieszano ich. — Zabiorą was. Odwrot całym Stanem już pewnie nakazany.

Ale tego dnia nie był jeszcze nakazany. W nocy wrócili partyzanci, zamknęli drzwi szpitala i podpalili budynek. Dwudziestu kilku rannych i chorych Kozaków spłonęło żywcem.

A mówiono przecie Aloszce: „Zostań! Ręce masz pokaleczone i opuchłe jak diabeł od jakichś jadowitych kolców. Opatrzysz sobie należycie w szpitalu, zastrzyk dadzą, a to, czego-dobrego, gangreny się nabawisz. A zresztą i odpoczniesz dobrze dzionek-dwa”.

„He-he!...” podśmiewał się tylko i mrużył jedno oko. „Dzieci swoich ucz, co mają robić. A ja sam wiem”. Dłonie obwiązał szmatami, włożył jakoś na siodło, cugle zarzucił za zgięty łokieć.

„Miał szczęście, że nie został” — mówiono później.

R o z d z i a ł 111

PLOECKEN-PASS

Pułki kozackie zeszyły z pozycji na południe od Udine samorzutnie, nie doczekawszy rozkazu atamana Domonowa. Już wcześniej bowiem doszła ich wieść o kapitulacji armii niemieckiej z jednej strony, a z drugiej o niebezpieczeństwie w jakim znalazły się rodziny kozackie w rejonie Tolmezzo.

Marszałek Kesselring, dowodzący obszarem wojennym „Południe”, nie uznał kapitulacji podpisanej przez Wolffa w dniu 29 kwietnia w Casercie. Odwołał ze stanowiska dowódcy Grupy C. generała von Vietinghoffa i mianował na jego miejsce generała Schultza. Zanim jednak zarówno odwołanie jak nominacja doszły do skutku, otrzymał wiadomość o śmierci Hitlera. A tymczasem szef sztabu Grupy C. generał Röttiger wydał rozkaz zaprzestania ognia na całym froncie o godzinie punkt 22-ej dnia 1 maja.

Łał deszcz. Nie darmo od pewnego czasu gromadziły się na horyzoncie chmury. Nad prowincjami Veneto, Venezia-Giulia, Friuli, nad Dolomitami, w górach Cadare i Carnia rozwarło się niebo i łał deszcz, łał strumieniami. Pułki szły po rozmiękłym gruncie, obryzgate błotem po końskie brzuchy.

— Ot, tobie, i święto pierwszomajowe... — zgrzytano zębami w szeregach.

— Jedź, jedź, nie oglądaj się. Żebyś nie dożył gorszego.

Deszcz zalewał oczy, zaciekał pod siodła. W tych warunkach łatwo było odparzyć konia. Przemaczał ubranie, przedostawał się za kołnierz munduru. Ciągnęli byle jak,

ledwo zachowując sztyk marszowy. Rozkaz Domanowa dosięgął ich już w drodze. Przechodzili przez Tolmezzo spieszenie, podzwaniając trenzlami, wystukując odwieczną melodię końskiego tupotu po bruku. Szli dalej we wskazanym im kierunku, w góry, na Paluzza.

Nie wszystkie jeszcze stacje uchodźców cywilnych zdolały się zabrać. Spóźnieni pakowali pod ulewnym deszczem na wozy dobytek, zaprzęgali konie, rabowali kolaski i dwukołowe, włoskie arby. Wśród nawoływań i przekleństw, żegnano się znakiem krzyża na drogę i zacinano batem. Znaczna część ludzi nie miała wszakże własnych podwód, i ci szli piechotą, najczęściej pchając przed sobą ręczną taczkę, wózki dziecinne swoje, wyproszone lub ukradzione od Włochów. Inni nieśli tylko worki na plecach. A deszcz lał. Dzień i noc.

Nie było suchego miejsca, by przysiąść gdzie i odpocząć. Zdarzali się swojacy, którzy pomagali drugim, litowali się, zabierali na przeładowany wóz jeszcze jakąś kobietę z dzieckiem, lub starca. Ale ludzie w biedzie i panice pod każdą szerokością geograficzną są podobni do siebie: mijają bez słowa, na molestowanie odpowiadają tylko nerwowym pociągnięciem lejc, lub zacięciem konia. Starają się wyprzedzić jeden drugiego i ciężkimi słowami klną tych, którym zdarzyło się nieszczęście, złamało koło lub oś u wozu, przez co zagradzali innym drogę. Co chwila powstawały zatory, gdyż w tym tłumie pędzono w dodatku bydło, owce, kozy.

Był to z kolei piąty etap wędrówki, licząc od wyjścia z rodzinnych chat. Najgorszy ze wszystkich. Ze strony włoskiej puszczo pogłoskę, że kto do dwunastej w nocy nie przekroczy granicy austriackiej, to po tej godzinie stanie się jeńcem partyzantów i odda cały swój dobytek. Wierzano i nie wierzano. Na wszelki wypadek każdy się jednak spieszył, jedno brał, drugie porzucał jeszcze w domu, lub dopiero w drodze, na drodze, w rowie, na polu i szedł, i jechał byle prędzej.

Pułki dopędziły główną masę uchodźców cywilnych już w górach. Droga była raczej wąska. Objechać, ominąć w ciasnych wąwozach nie było jak.

— Prawa wolna! Prawa wooolna! — ryczał wachmistrz zachrypnięty od deszczu i niewyspania, domagając się oswobodzenia prawej strony dla przemarszu wojska. Nikt

go nie słuchał i słuchać nie chciał. Jeźdźcy miesza-
li się z wozami i powiększali jeszcze chaos.

Dopiero nazajutrz udało się ten pochód dziesiątków ty-
sięcy ludzi i koni jako-tako uporządkować. Przodem puszczo-
no sztabowy autobus wypełniony zresztą po brzegi ro-
dzinami oficerów. Później jechały warsztaty, następnie sta-
nice według przynależności krajowej: dońska, kubańska,
terska. Regularne oddziały powstrzymano i cofnięto, aby
zamykały przemarsz z tyłu. Generał Krasnow jechał w oso-
bowym „Fiacie” razem z żoną i adiutantem. Pierwszy
nocleg wypadł im w małej wioszczynie Piana D'Arta.
W nocy partyzanci strzelali na postrach, ale nie zdecydowa-
wali się zaatakować.

Ataman Domanow i dowódca wojsk kubańskich płk.
Łukjanienko pozostali jeszcze w Tolmezzo, ażeby odczekać
przejścia reszty spóźnionych oddziałów i ruszyć w arier-
gardzie. Pośpiech wskazany był teraz jeszcze z innego
względu. Mianowicie nadeszła wiadomość, że Tito zajął
rzekomo Triest i jego wojska wkraczają już do Włoch od
strony wschodniej.



Dnia 3 maja lał deszcz. Od wczoraj armia niemiecka
złożyła broń. Konwój osobisty atamana Domanowa czekał
w koszarach na rozkaz wymarszu. Strugi wody ściekały
z dachów. Opustoszałe ulice Tolmezzo świeciły rozlanymi
kałużami. Domanow i Łukjanienko, słuchając komunika-
tów przez radio, oczekiwali w sztabie na wiadomość o lo-
sach 3-go zapasowego pułku z Gemony, oraz na przybycie
ostatniego oddziału szkoły junkierskiej, który dłaczegoś się
spóźniał.

Raptem w mieście padły strzały. Skoczyli do okien. Nie
było nic widać poza deszczem. Odgłos strzałów dochodził
z kierunku koszar konwoju. Domanow machinalnym ru-
chem poprawił futerał pistoletu na pasie i zamierzał
właśnie wezwać oficera ordynansowego, aby wyjaśnić przy-
czynę alarmu, gdy dał się słyszeć nagły hałas w korytarzu,
krzyki, padł jeden strzał i zanim ataman zdążył się opa-
miętać, drzwi rozwarły się na oścież pod gwałtownym

naporem... Do pokoju wtargnęli partyzanci włoscy uzbrojeni po zęby!

Zaskoczenie było kompletne. Jak się okazało niebawem, wpadli oni do Tolmezzo niespodziewanie, otoczyli konwój w koszarach, a jednocześnie podkradli się cichaczem do siedziby sztabu. Manewr był wykonany precyzyjnie.

Dowódca partyzantów zażądał od Domanowa natychmiastowego złożenia broni przez wszystkie oddziały kozackie znajdujące się jeszcze na terytorium Włoch. Ultimatum swe poparł krótkim oświadczeniem, że od wczoraj już armia niemiecka skapitulowała; wszelkie ruchy wojsk nieprzyjacielskich są zakazane; wszystkie nie-niemieckie formacje walczące po niemieckiej stronie uznane zostały za formacje nieprzyjacielskie i nie przysługują im żaden inny statut, ani przywilej.

Wszystko to było prawda. Tego wszakże czego nie wiedział, to była okoliczność, że właśnie w tej samej chwili gdy przedstawił swoje ultimatum, wkraczał do Tolmezzo ów spóźniony oddział junkrów. Na jego widok partyzanci rozbiegli się bez strzału. A ich dowódca wraz z grupą oficerów, sami znaleźli się, w sposób najbardziej dla siebie nieoczekiwany, w potrzasku. Teraz z kolei Domanow dyktował ultimatum:

„O żadnym złożeniu broni przez Kozaków mowy być nie może. Wycofują się oni zbrojnie z terytorium Włoch do Austrii, wraz z taborami i całym dobytkiem prywatnym. Dowództwo partyzanckie zobowiązuje się im w tym ruchu nie przeszkadzać, i nie podejmować żadnej zaczepnej akcji wojskowej. O ile natychmiast nie podpiszą tego zobowiązania, nie wyjdą stąd i będą traktowani jako jeńcy wojenni”.

Włosi żądanie przyjęli. Po ich odejściu Domanow próbował jeszcze połączyć się z 3-cim zapasowym w Gemona, ale bez skutku. Komunikacja była odcięta, a przewody zerwane. Wiadomo było tylko, że jedna sotnia tego pułku, stacjonująca w Osoppo, przebiła się szczęśliwie na północ i połączyła z główną siłą cofającą do Austrii. Dłużej oczekiwać było niepodobieństwem, wobec wytworzonej sytuacji. O godzinie 2-jej po południu Domanow opuścił Tolmezzo i ruszył na czele konwoju i oddziału junkrów na Plöcken-Pass.

Łał deszcz.

Poprzedniej nocy z 2-go na 3-go maja, w górach, do odchodzących Kozaków strzelano z ciemności. Nie było nic widać. Droga była kręta i wąska. Łączność pomiędzy oddziałami co chwila się rwała. O godzinie wpół do czwartej w nocy pluton w którym jechał Mitia zatrzymał się raptownie na drodze. Nikt nie wiedział co zaszło. Podobno maszerująca przodem szpica natrafiła na jakąś barierę, niektórzy mówili, że zasadzkę, inni że po prostu zrobił się na drodze korek. Chodziły też jednak słuchy, że od czoła przecięły drogę jakoby większe siły nieprzyjacielskie. Nic dokładnego w każdym razie. W tak ciemną noc strach ma zawsze wielkie oczy. Z drugiej strony ludzie byli zbyt pomęczeni, aby okazać większe zainteresowanie. Wszyscy zatrzymali się machinalnie i machinalnie stali. Niektórzy z jeźdźców oparli się na przedni łęk, spali na deszczu. Inni pozłazili z koni i nie zwalniając popręgów, pokładli się po omacku tuż, na kamienistym, rozmokłym gruncie, koło kopyt własnego wierzchowca. Mitia uczynił to samo. Po blisko dwóch dniach i nocach niespania nie mógł sobie dłużej poradzić z przygniatającym go ciężarem senności. Naciskał mu mózg, kłuł pod brwiami. „Na jedną chwilkę, pomyślał. Na jedną, małą chwilkę”. Prawie w ciągu sekundy przeniósł się w inny świat, gdzie panują inne wymiary, inna, odmienna logika wydarzeń; prawa widziadeł sennych opartych na strukturze im tylko właściwego łańcucha przyczyn... I choć był to tylko pół-sen zmieszany z deszczem, zimnem, chrzęstem kopyt przestępujących z nogi na nogę koni i podzwanianiem wędzideł nad głową, tym bardziej może przelatywał przez mózg jakąś niesamowitą taśmą karabinową, w której zamiast zwykłych ładunków tkwiły najprzedziwniej skojarzone obrazy życia. Ludzie i przedmioty nie były właściwie ani ludźmi, ani przedmiotami, nie miały żadnego sensu, a przecież rządziły się wzajemnie żelazną konsekwencją... Lecząc oto ktoś splątał figla: w taśmę snu powсадzał raptem zamiast widziadeł prawdziwe ładunki; taśma zaskoczyła w łożysko karabinu maszynowego, i seria, każdemu na wojnie znanego strachu, przebiegła po nerwach. Nerwy szarpnęły cugłami mięśni. Mitia zerwał się, choć spał dalej. Uchem słyszał gwałtowny terkot maszynki, gwizd kul, wiedział nawet, że celownik jest wzięty za wysoko, sercem odczuwał panikę, nogami i rękami wykonywał najniezbęd-

niejsze ruchy. A przecież świadomość spychała go jednocześnie w głębię sennego koszmaru. O co chodziło? Nie jest na jawie? Owszem, jest. Tylko czuje, że koszmar uczepił się z kolei jego pasa, trzyma i nie puszcza. Mitia widzi, że deszcz przeszedł w śnieg, że wiatr gna zamieć śnieżną, że jest czarna noc i że zostali napadnięci przez partyzantów, że ludzi i konie opanowała niepokonowana panika. Wszystko to widział, odczuwał i słyszał. Taki szok zdarzał mu się często przy przebudzeniu jeszcze od dzieciennych czasów, gdy pewnej nocy zbudzony został przez Rumunów w Akermanie. Ale dotychczas żaden z koszmarów nie trzymał go tak mocno. Wiedział, że teraz chodzi o jedno: „byle na konia!” „Za wszelką cenę na konia, bo inaczej stratuja, zdepczą, zmiotą kopytami z powierzchni świata!” Ręce były mu posłuszne: lewa chwyciła za przedni łęk, prawa za tylni... Ale koszmar nie puszczał! Uczepił się w dziwny sposób: bo za każdym razem gdy próbował wzniesić się na siodło, on ściągał go w dół... Było bardzo ciasno. Potok koni zaczął się w konwulsyjnym ściśnięciu posuwać po drodze. „Jeżeli w tym ścisku ułapię lewą nogę strzemię, to mimo wszystko będę uratowany”... Mitia nieomal wisiał teraz między dwoma ściskającymi go końmi: własnym, który szedł po środku i lewym w trójce, który go naciskał. Tracił już siły, gdy wręczcie namacał nogą strzemię: „Teraz odbić się mocno i...” Ale koszmar go nie puścił i ściągnął znowu w dół! Wtedy włosy zjeżyły mu się na głowie, pot pociekł po twarzy, a ręce zaczęły słabnąć. Kule gwizdzą, seria idzie za serią, krzyk, tarmoszenie koni. Zimny śnieg na czole. Wszystko tratując się nawzajem posuwa się w czarnym wąwozie na oślep. A Miti coś przeszkadza dosiąść konia!... CO?!

I nagle zrozumiał wszystko. Przyczyna koszmara była prosta: rękojeść jego własnej szabli na pasie, z chwilą gdy unosił się, aby wleźć na siodło, dostawała się, w panującym ścisku, pod prawą, przednią sakwę u siodła sąsiedniego konia, i w ten sposób nie puszczała go w górę, a ściągała w dół. W ostatniej chwili lewy koń przesunął się o krok naprzód, rękojeść przestała wpadać pod sakwę i Mitia znalazł się na siodle.

Wytań rękawem śnieg i pot z czoła, machinalnie przebiegł palcami lewej ręki po fatalnej szabli, poprawił ją,

zgiął się w siodle na kark koński przed gwizdającymi kulami i — był szczęśliwy! Tymczasem potok jeźdźców nie mógł się ani zatrzymać, ani ratować, ani wykonywać rozkazów. Parł ślepo naprzód. Dopiero za pierwszym zakrętem zrobiło się luźniej. Wtedy Kozacy zaczęli zrywać karabiny z pleców i palić w ciemność, w niewidoczne góry po bokach.

W kwadrans później wszystko się opamiętało. Mitia poczuł się nawet jakby wyspany. Strzały umilkły. Zagadka całego incydentu się wyjaśniła:

W pochodzie przed nimi, około czterysta rodzin nie posiadających własnych wozów, nie miało sił iść dalej i rozkwaterowało się na noc w Covazzo. Łączność z przednimi oddziałami się urwała, a tylne nie nadeszły. Powstała luka. Partyzanci, korzystając z ciemności otoczyli wieś, zegnali wszystkich uchodźców do budynku szkolnego, obrabowali doszczętnie, i otoczyli strażą. Słyszając zbliżający się od południa oddział Kozaków, wysłali mu na spotkanie silny patrol, wzmocniony lekkimi karabinami maszynowymi, z zadaniem powstrzymania go w wąwozie przez zaatakowanie flankowe z gór, pod przykryciem nocy. Zadanie zostało wykonane, z tym jednak rezultatem, że Kozacy pod gradem kul, zamiast uchodzić wstecz, ratowali się ucieczką naprzód i wpadli do Covazzo.

Odsiecz przysłała w samą porę. Na jej widok partyzanci uciekli nie próbując nawet stawiać oporu. Zamknięci w budynku szkolnym zostali uwolnieni, i o świcie ruszyli w dalszą drogę na północ.

Mitia, opuściwszy cugle na przedni łęk, obydwoма rękami skrzył cygaretkę, poślinił, zapalił i zwrócił się do lewego w szeregu sąsiada tonem wyraźnie zaczepnym:

— Ty co wozisz tam, w tej twojej zafajdanej prawej-przedniej sakwie u siodła? Co?!

Tamten spojrzał ze zdziwieniem, ale pod wpływem nastawliwego akcentu zapytania, odparł równie szorstko:

— Tobie czego trzeba?

— Pewnie wypchałeś jakimś skradzionym-nagrabionym chłamek włoskim.

— A twój jaki za...ny interes?! Pilnuj swego. Kaznodzieja się znalazł! Powieś krzyż na szyi i idź do cerkwi kazać!

— Ech, chłopcy — odezwał się prawy w trójce. — Co

tam do sakwy można nagrabić... Ot ci, co mają wozy, to co innego.

Mitia zmilkł i odwrócił twarz ku wschodowi. Ale deszcz ze śniegiem pokrywał świat. Było można dostrzec zaledwie jaśniejszą poświatę z tej strony.

Z południa oczekiwano już tylko Domanowa z ariergardą. O reszcie 3-go zapasowego pułku w Gemonie nie było żadnych wieści.



Dnia 3 maja, na wysokości 800 metrów deszcz ze śniegiem przeszedł w zadymkę. Po obu stronach drogi pociągnęły się drzewa bardziej znajome: wróciła sosna, świerk, białokora brzoza. Ale trudno je było widzieć za zasłoną wilgotnego, lepkiego śniegu. Zaczęło się to nie od razu. Najpierw chmury poszły zupełnie nisko, tuż pomiędzy skałami, tak, że zdawało się wystarczy unieść się w strzemiionach i złapać taką za postrzępiony ogon. W dzień zrobiło się ciemno i nie tylko góry, ale nawet wierzchołki drzew znikły sprzed oczu. Później krzewy żarnowca poczęły drżeć i zaraz położyły się na bok, jakby je kto ciągnął za włosy... Powiało wichurą, która przeistoczyła się niebawem w zawieję śnieżną. Jechać było trudno, a iść prawie nie możliwie. Ludzie siadali w rowach przydrożnych, kryli się za występami skał, rzucali w rozpacz ostatni swój dobytek. Byli i tacy co kładli się z wyczerpania, czekając rychłej śmierci. Przyginiatał ich nie tylko śnieg i własna niemoc. Dobijała beznadziejność, przeczuwana podświadomie bezcelowość tego marszu.

— Bo co w Austrii?! — krzyczała histerycznie kobieta ciągnąc za rączkę ośmioletniego chłopca, który ślaniał się u jej nóg. — Po co do Austrii?! Co nas tam czeka? Czegośmy jeszcze nie widzieli w Austrii?! — Wiatr porywał jej słowa, śnieg zamykał usta. Idący wymijali ją apatycznie nie wnikając w sens wykrzykników. Konni, jak widma oblepione bielą wyprzedzali pieszych. Po bokach zdarzały się już pierwsze trupy zmarłych z wyczerpania. Setki ludzi zaczęło się rozłazić, szukać schronienia w osiedlach; woleli raczej oddać się na pastwę niepewnego losu i partyzantów niż iść dalej. Poczęły też padać pierwsze konie.

Środkiem drogi twardo kroczył były naczelnik garnizonu

w Tolmezzo, pułkownik Czebunajew. Szedł pieszo, oddawszy swą furmankę na użytek kobiet i dzieci. Zatrzymał się, w milczeniu podniósł siedzącego w śniegu ośmioletniego chłopczyka i posadził na wóz. Matka poczłapała z tyłu, uchwyciwszy się ręką za bok wozu. Dla niej nie było już miejsca.

Dzień Wielkiego Czwartku według kalendarza prawosławnego miał się ku końcowi. Śnieg wciąż padał, wielkimi, mokrymi płatami.

Ostatnia wieś włoska Timau leży na wysokości 831 metrów. Dalej kościółek Il Christo. Dalej most na potoku i w górę, w górę do kapliczki na wysokość 917 metrów, później do kapliczki na 1.106 metrów i stąd dopiero rozpoczynają się najcięższe wiraże wiodące na przełęcz o wzniesieniu 1.360 metrów — Plöcken-Pass. Granica austro-włoska.

Motor starego „Fiata”, w którym jechał gen. Krasnow odmówił posłuszeństwa. Przyczepiono go do sztabowego autobusu i pociągnięto na linie. Była godzina 22.30 gdy czoło pochodu kozackiego osiągnęło pierwsze wsie austriackie Mauthen-Kötschach, położone po obu stronach rzeki Gail. Sztab rozmieścił się w hotelu „Bahnhof”. Nie było żywności dla ludzi. Nie było karmy dla koni.

Nazajutrz rano, dnia 4-go maja generał Krasnow wyszedł z hotelu i chciał zarządzić rewję przeciągających oddziałów. Wszelako to co zobaczył był to wynędzniały tłum ludzi i różnoszerstnych koni. Wymęczone oblicza zbrojnych i bezbronnych Kozaków, ciągnących apatycznie, bezładnie. Pułki były częściowo przemieszane, nie zachowujące szyku marszowego. Krasnow stał przez chwilę i patrzył jak szli i jechali, później machnął ręką i odwrócił się z wyrazem zniechęcenia na twarzy.

— Nie myślałem, że to tak wygląda — powiedział do adiutanta.

— Przegraliśmy wojnę, wasza ekscelencjo — odpowiedział tamten tonem, w którym odczuć było można gorzką ironię.

— Tak. Przegraliśmy — przytaknął poważnie Krasnow. Zgarbiony, zrezygnowany miał już wstąpić na schody hotelu, gdy raptem spostrzegł coś od czego żyły nabrzmiały mu na skroniach. Kilku Kozaków, a między nimi oficer łącznikowy z armii Własowa, zatrzymało gwałtem

przechodzących ulicą żołnierzy niemieckich jakieś rozproszonej w nieładzie formacji, i poczęło ich grabić.

— Wy!!... — krzyknął Krasnow i krew nabiegła mu do twarzy. Postąpił dwa kroki. — Kanalie! Leżącego bijecie?! Bezbronnego grabicie?! Hańba dla munduru! Bydło!

Oficer łącznikowy zbłądł, podszedł i stanął na baczność.

Generał spojrzał nań ciężkim, złym wzrokiem:

— To są nasi sojusznicy!

Po twarzy oficera przebiegł kurczowy grymas:

— Jak długo jeszcze? — spróbował rzucić zuchwale.

— Milczeć! Won z moich oczu!!

Była to ostatnia rewia jakiej dokonał w życiu sędziwy generał.

Wieczorem tegoż dnia przybył ataman Domanow z ariergardą i stanął również w hotelu „Bahnhof”. Było za późno na powzięcie jakieś decyzji jeszcze przed północą. Nazajutrz zwołano naradę, podczas której nadeszła wiadomość, że z Włoch posuwa się za nimi wojsko angielskie.

Dnia 6 maja ataman Domanow wysłał na Plöcken-Pass podjazd dla rozeznania sytuacji, a także parlamentarzysty z białą flagą celem nawiązania pierwszego kontaktu z Anglikami.



8-my Batalion szkocki, czyli oficjalnie Argyll and Sutherland Highlanders 8-th Battalion, miał za sobą długą, bojową przeszłość w ostatniej wojnie. Zwłaszcza odznaczył się w walkach w Tunisie. Z chwilą wkroczenia wojsk sojuszniczych na terytorium Włoch, 8-my batalion znalazł się w końcu w składzie 78-ej dywizji brytyjskiej, której dowódcą od października 1944 roku mianowany został brygadier, późniejszy generał-major R.K. Arbuthnott. W marcu 1945, 78-ma dywizja, w ramach 8-ej armii, otrzymała trudne zadanie sforsowania umocnionej przez nieprzyjaciela rzeki Senio, a następnie Santerno; z ogólnym kierunkiem marszu na Ferrarę i osiągnięcia rzeki Po. W tym czasie dowódca 8-go batalionu Lt. Col. Malcolm otrzymał urlop i pojechał do Anglii. Batalion poprowadził znany z energii major Leask. Po przekroczeniu Senio, w ciągu dwunastu dni drugiej połowy

kwietnia, tracąc około stu ludzi osiągnął on przeprawę na Po-di-Volano koło Ferrary, gdzie zdał batalion przybyłemu z urlopu płk. Malcolmowi, i gdzie ich zastała jednocześnie wieść o kapitulacji wojsk niemieckich we Włoszech.

W kilka dni później 78-ma dywizja, ciągle w składzie 8-ej armii brytyjskiej wysunięta została naprzód z operacyjnym zadaniem przekroczenia przełęczy górskich od strony włoskiej i opanowania Karyntii i wschodniego Tyrolu. Po drodze miała dokonać rozbrojenia wszystkich napotkanych formacji niemieckich, które by jeszcze do tego czasu nie złożyły broni. Zwłaszcza specjalnym zadaniem obarczono 8-my batalion, który słynął z tradycji, że każdy rozkaz nawet w rzeczach nieprzyjemnych, wypełniał zawsze ochotczo i bez szemrania.

W tym wypadku oficerowie zostali uprzedzeni, że w rejonie ich marszu znajdować się będzie „dywizja” — słowo to wymówione było w z lekka ironicznym tonie — a właściwie horda, składająca się z przeciwników obecnego ustroju w Rosji, którzy przeszli na stronę wroga i stali się najmitami niemieckimi. Ponieważ oddanie się do niewoli oznaczałoby dla nich wydanie Rosji, a więc konsekwentnie: śmierć, tedy należy się obawiać, że mogą nie złożyć dobrowolnie broni i stawiać opór.

— *I see* — powiedział płk. Malcolm, wysłuchawszy rozkazu.

Dnia 7 maja „Argyll and Sutherland Highlanders 8-th Battalion” opuścił zajęte uprzednio Tolmezzo i w szyku taktycznym ruszył na północ. Deszcz przestał już padać. Przechodziły ostatnie chmury, ale przeświecające lazurem niebo zapowiadało piękny dzień. Wszystko co było zielone śpieszyło się, pięło ku górze na wyprzódki, jakby obawiało się że zostanie pozbawione widoku wiosny. Perliły się jeszcze krople wody w delikatnej siatce olbrzymich modrzewi nad głowami. Liście przydrożnych oleandrów lśniły wymytą czystością. Kamienne wsie jak gniazda uczepione do skał, zawsze z wieżyczką kościelną wysuniętą ku niebu na chwałę boską, za stworzenie kraju tak pięknego. W dole, głośno pluskając po kamieniach biegły potoki.

Płk. Malcolm posuwał się z czołowym ubezpieczeniem o dwie godziny marszu przed batalionem. Nigdzie nie napotkano oporu, ani śladu nieprzyjaciela. Spotykali tylko rozjaśnione twarze mieszkańców. Czarnowłose signoriny

powiewały chustkami, a ciężko obwieszeni amunicją partyzanci, z czerwonymi szmatami uwiązanymi wokół szyi, schodzili z gór i w malowniczej pozie wznosili sztywno rękę o zaciśniętej pięści, jak nakazuje tradycyjny komunistyczny gest powitania.

Zanim przekroczono przełęcz, zjawił się w oddziale pierwszego rzutu dowódca 36-ej brygady piechoty, brygadier Musson. Omówił szczegółowo sytuację wojskową, oraz ustaloną, aktualną dyzlokację „dywizji” kozackiej i zlecił 8-mu batalionowi zająć miasteczko Lienz po tamtej stronie austriackich Dolomitów. Jednocześnie przejąć odpowiedzialność za rozbrojenie tych ludzi: Jest rzeczą jasną, że sprawa wymagać będzie specjalnego podejścia i wykonania jej w sposób charakterystyczny...

— Yes, sir.

— Ładną mamy pogodę, pułkowniku. Mam nadzieję, że przemarsz był przyjemny.

— O, yes, sir. Dziękuję, sir.



Tego samego dnia wieczorem powrócili do Kötschach wysłani przez atamana Domanowa parlamentariusze. Zдали oni sprawozdanie z wypełnionego zlecenia. Zetknęli się mianowicie z jakimś brytyjskim generałem brygady, który im oświadczył, że Kozacy mają schodzić z gór w dolinę rzeki Drawy, w okolice miasta Lienz. Że na razie nie może przewidzieć szczegółów dalszego ich losu, jednakże może zapewnić, iż w żadnym wypadku nie zostaną wydani w ręce Sowietów.

Po tylu ciężkich przeprawach i cięższej od nich gnębiącej niepewności, była to istotnie nowina radosna! Nie potrafił też tej radości ukryć ataman Domanow, jakkolwiek usiłował przybrać wyraz twarzy, który się zazwyczaj przybiera na wiadomość dawno spodziewaną, dając w ten sposób do zrozumienia otoczeniu, że: „Przecież zawsze to przepowiadałem, a nawet byłem tego pewny”.

W chwilach wielkiej radości nikt nigdy nie pyta, skąd się bierze raptem wino szampańskie?! Może wydobyto je z prywatnych bagaży niektórych oficerów sztabu, może z ukrytych w piwnicy zasobów gospodarza hotelu „Bahnhof”. W każdym razie postanowiono szampanem uczcić

wielką i radosną nowinę tego wieczoru. W restauracji hotelowej zgromadził się cały sztab. Strzelili korki.

Gdy już wypito po pierwszym kielichu, jeden z oficerów krzyknął:

— Ach Boże! A gdzież jest generał Krasnow?! Gdzież jest Piotr Mikołajewicz?!

— Jak można było zapomnieć o nim w takiej chwili!

— Biegnij na górę!

Oficer pobiegł po skrzypiących schodach zajazdu na piętro. Wrócił z wiadomością, że Piotr Mikołajewicz czuje się niezdrowszy, dziękuje, ale się już położył.

— No! Co za szkoda! Właśnie w tak radosnym momencie!...

Tylko ataman Domanow uśmiechnął się dyskretnie, jakby się domyślał, że stary człowiek nie chce się może przyznać to porażki swego starczego, upartego pesymizmu.

— Cóż robić, panowie! — powiedział. — W jego wieku... Nie można się dziwić. Po tylu trudach. A więc... I podjął w górę kielich.

R o z d z i a ł I V

CZEKOLADA DLA DZIECI I SŁOWO HONORU DLA STARSZYCH

Ula prawie z każdym dniem stawiała się coraz bardziej zgryźliwa. Twierdziła, że jej klimat nie służy. Starzała się w sposób nieprzyjemny dla otoczenia. Prawda, że ojciec utracił wiele ze swej żelaznej wytrzymałości. We Włoszech zachodziła nawet obawa, że osiągnąwszy 85-ty rok życia, raptem zramoleje. Ula musiała więc coraz więcej czasu poświęcać ojcu i niewątpliwie ciążyły jej jego starcze kaprysy. Ponad wszystko jednak zżerała ją wewnętrzna, nieutulona tęsknota za synem. W przejawach tej tęsknoty robiła się coraz bardziej podobna do matki z okresu wojny domowej, gdy to stara Kolcowa ryzykowała nawet życiem w nadziei odszukania Miti. W Uli jednak tęsknota łączyła się ponadto z fanatyczną nostalgią za krajem i wiązała z głęboką niechęcią do świata, w którym wypadło jej żyć. Zdarzało się coraz częściej, że w rozmowach o przeszłości, gdy potępiano przy niej minione życie w ustroju sowieckim, zagryzała wargi, a potem z niepohamowaną namiętnością wywlekała dla porównania wszelkie złe strony życia zachodniego.

— Tak, kobiety nie pojmiesz, choć to i własna córka — mawiał w takich wypadkach stary Kolcow. — Bolszewiczka się zrobiła, czy co?

— Ależ Ulo Aleksandrowno — perswadowała młoda Woskobochnikowa, lekarka rodem z Kubania, która od pewnego czasu roztaczała opiekę nad zdrowiem Kolcowa, i z którą Ula zaprzyjaźniła się szczerze. — Czyż to jest

życie, którym my żyjemy? Czyż można porównywać? Po pierwsze wojna, a po drugie tułaczka. To są zestawienia niewspółmierne.

— I po co ja, głupia, wyjeżdżałam! — wykrzykiwała Ula. — Syn poszedł do czerwonej armii, trzeba było i mnie siedzieć i czekać na jego powrót! A nie wycierać kąty po tej całej Europie... Teraz wojna się kończy, a ja mogę go już nigdy nie zobaczyć!

Ojcu krew nabiegała do twarzy:

— Jak chcesz to możesz wracać! Droga jak obrus leży otworem. Nikt ciebie nie trzyma.

— Et, takie gadanie... Teraz! Teraz powróciwszy to mogłabym tylko zaszkodzić Alemu.

O tym iżby mógł być zabity na wojnie nie było już więcej nigdy mowy. Tej myśli teraz nawet nie dopuszczała. Zresztą codziennie oglądała go we śnie i nazajutrz każdy, kto był właśnie obecny, musiał przebiegu tego snu wysłuchiwać. Mitia, który nigdy siostrzana nie widział na oczy, skręcał zazwyczaj papierosa i wychodził, bo od pewnego czasu cknęło go od wiecznych biadoleń siostry.

W czasie przeprawy przez Plöcken-Pass, kryzys nerwowy Uli osiągnął punkt szczytowy. Ledwo udało się ją powstrzymać od rozpaczliwego, czy nawet samobójczego kroku. Minął dopiero, gdy po kilku dniach zaczęli schodzić z gór w dolinę rzeki Drawy, gdzie w myśl dyspozycji dowództwa angielskiego rozłożyć się mieli tabor. Słońce, które znów się ukazało, i ciepło, wytworzyły nastrój bardziej pogodny; udzielił się on również Uli.

Były święta prawosławnej Wielkanocy. Niebo bez chmurki. Szary asfalt austriackiej szosy sprowadzał ich serpentynami w dół. Gęsto tupotały podkowy i zgrzytały koła na gospodarskich, łańcuchowych hamulcach. Dolina leżała jak na dłoni, wśród gór posypanych jeszcze cukrem śniegu.

— Ech, zielooooono! — wzdychali ludzie. A konie rozdymały chrapy, wciągając zapach dalekich, soczystych traw.

Silnie oddawały żywicą na słońcu iglaste drzewa po obu stronach drogi. A w dole szmaragdowa płaszczyna, w kwiatkach, przecięta wstęgą pełnowodnej o tej porze Drawy. Czyste, nieruszone wojną, bieliły się domki na stokach; odbijając promienie słoneczne świeciły się szybko

hoteli kurortów i willi. Jak okiem sięgnąć wystrzelały iglice kościółków, znacząc pobożne osiedla na lewo w Oetting, na wprost w Oberdrauburg, w Simmerlach, powyżej w Rosenberg i na przeciwnych stokach górskich w Schrottenberg, Vorderdorf, Zwichenberg...

Ktoś raptem w pierwszych szeregach zaciągnął dawno już nie śpiewaną naiwną pieśń. Chór go podtrzymał:

*Pod wolne sztandary
Ochotniczych pułków
Od Kubania i od Donu
Szły kozackie sotnie.*

*Nad polami Ukrainy
Zabłyły ich klingi...
I znów jak na obrazie:
Burki, szable, baszłyki...*

*Nie za wraźką kremłowską klikę
Złoczyńców i podleców,
Lecz za naród, kozackie piki
Będą kłuć bolszewików!*

*Za shańbione cerkwie,
Za rozstrzelanych ojców,
Za padłych w bojach
Kubania i Dońców!*

*Do ostatniej walki na śmierć
Gromadzą się oni —
Donu, Tereka i Kubania
Prawosławne syny!*

Zgrzytając przykro żelaziwem poczęły mijać ich angielskie, lekkie tankietki.

— Odstawić! — krzyknął któryś z tyłu, i pieśń zamarła. Tankietki wyprzedziły ich szybko. I znów tylko klekot podków, turkot kół, niezbyt ożywiony gwar ludzkich głosów i coraz wyraźniejsze trele skowronków nad polami w dolinie.

Miasto Lienz przecięte jest wzdłuż rzeką Iselą, dopływem Drawy. Opodal mostu na Iseli, w hotelu „Pod Złotą Rybką” stanął sztab atamana Domanowa. Generał Krasnow wraz z żoną i osobistym adiutantem otrzymał, zawiadzając uprzejmości płk. Malcolm, willę w odległości kilku kilometrów od miasta. W centrum, po prawej stronie Iseli, zajął kwatery sztab 8-mego batalionu szkockiego. Miejsce postoju oddziałów kozackich zostało ściśle przez Anglików wyznaczone: W pobliskiej miejscowości Am-lach, za Drawą, umieszczono szkołę junkierską. Bliżej, Kozaków konwoju i 1-szy pułk konny. Pozostałe pułki i stancie miały się rozciągnąć wzdłuż dolnego biegu Drawy, na jej lewym brzegu od Lienz aż do Nikolsdorf. Najpierw żandarmeria kozacka, a później pułki: kubańskie, dońskie i terskie. Odcinek od Nikolsdorf do Oberdrauburg zajął Legion Kaukaski, który tu przybył już wcześniej. Niektóre rodziny roztarasowały się biwakiem w namiotach, szałasach, koło własnych wozów. Większość jednak stanic cywilnych, a zwłaszcza osoby nie posiadające furmanek i koni, umieszczono w obszernych barakach po-wojskowych w Peggetz, odległych o 2 kilometry od Lienz.

Mitia pozostał przy 1-szym Konnym, natomiast Ula wraz z ojcem, dla którego pobyt w szałasie, czy namiocie nie był wskazany ze względu na jego wiek i stan zdrowia, znaleźli pomieszczenie w baraku, w Peggetz, w najbliższym sąsiedztwie Woskobojskiej. Komendantem baraków mianowany został Ignat Maksymowicz Biedakow ze stancy Tamańskiej na Kubaniu, były oficer armii czerwonej, obecnie awansowany do rangi generała przez Krasnowa. Polubił on Aleksandra Kolcowa i często, bywało, zachodził pogawędzić ze starym.

W kilka dni po rozpoczęciu tego nowego życia, zaszedł, też za przepierzenie, które skonstruowała Ula i zapytał:

— No co, stary? Zdrów?

— Bogu dzięki.

— Zapalimy?

— To można zawsze. Ale u mnie tytoń kiepski, włoski.

— Włoskie „Nazionali” to gorsze od najgorszej naszej machorki. Ale ja mam tu doskonały, angielski fajkowy.

— Cóż, generał musi mieć dobry tytoń — Kolcow uśmiechnął się zmarszczkami zbiegającymi do oczu.

— I mam. I poczęstuję.

— Bóg zapłać.

Skęcili cygaretki i zapalili. Przyszedł, jak zwykle o tej porze Mitia. Zestawił obcasy przed generałem, a później siadł na narach.

— Czy to prawda — zapytał — że broń mamy здаwać?

— Prawda — Biedakow wypuścił kłęb dymu.

Przyszedł Iwan Fomin, przywitał się, uściśnął dłoń generała i wtrącił się do rozmowy:

— Bez broni, znaczy się, teraz będziemy?

— A weksel jest? — spytał Kolcow.

— Jaki weksel? — Biedakow spojrzał nań zdziwiony.

— Po mojemu to tak: w cywilnym życiu pieniędzy, a w wojskowym broni nie wolno oddawać inaczej jak pod weksel. Pod solidny weksel.

— No, uczyli nas za młodu inaczej — uśmiechnął się złośliwie Fomin — że dobra wiara i góry zruszać potrafi z miejsca...

— Co wy, moi mili! — Biedakow poszukał oczyma popielniczki, a nie znalazłszy jej, rzucił niedopałek na podłogę i starannie zacisnął butem. — Co wy?! Zapomnieliście już? A jakby nas, w takiej sytuacji, jak jesteśmy, nasi kochani bolszewiczekowie potraktowali, co? Weksel staremu się zechciało! A kimże my tu jesteśmy jak nie jeńcami wojennymi? Przecież Anglicy nie mogą inaczej, chociażby dla formy. A i tak obchodzą się z nami jak z puchem gęsim. A wybyście chcieli żeby jeszcze z bronią pozostawili! Śmieszne pretensje. Trzeba znać umiar.

— A oficerom?

— A oficerom zostawili. I żandarmerii naszej. A jakże.

— No to teraz ja powiem, choć pan jest generałem, ale błędnie komentuje. — Kolcow również skończył papierosa i też zacisnął niedopałek butem. — Jeżeli oficerom zostawili broń, to znaczy, że nie traktują nas jak jeńców. I nawet nie jak internowanych. Bo czy słyszana rzecz, żeby jeńcom, albo chociażby internowanym broń zostawiać! Takiego prawa, i takiego zwyczaju nawet, nie ma. Znaczy traktują nas za coś lepszego. Zaufanie mają. Więc po co raptem broń od ludzi odbierać?

— Dziwak. Jak źle, to jest źle. A jak dobrze, to u was też, wychodzi źle.

— Bardzo dobry tytoń — pochwalił Iwan Fomin.

— Dobry.

— Angielski? Jednakże to grzeczny naród, Anglicy.
— Grzeczny, co tu gadać.
— No, muszę i ja iść, swoją zdawać. — Mitia wstał.
— Co? — spytał ojciec.
— Broń, no.
— A ty byś swoją... — stary przymrużył jedno oko —
gdzieś tak pod skałkę, pod gałązkę jaką.

Mitia uśmiechnął się i wyszedł.

Złożenie broni nastąpiło bez żadnych przeszkód. Natomiast pozostawienie jej oficerom napawało raczej otuchą. Dyscyplina, z małymi wyjątkami, utrzymana została wzorowa. Oficerowie tłumaczyli Kozakom w sposób zresztą przekonywujący, że od zachowania tej dyscypliny i dobrego wrażenia jakie teraz wywrą na Anglikach może zależeć dużo, a nawet bardzo dużo, jeżeli nie cała ich przyszłość. O możliwości wydania w ręce bolszewików przestano nawet mówić. Rzecz stała się w ogóle nieaktualna; chodziło jednak o rodzaj służby jaki im przeznacza Anglicy.

Major Davis, z Y. kompanii 8-go batalionu, wyznaczony obecnie oficerem łącznikowym ze sztabem Domanowa, zapewnił już kilkakrotnie, że o żadnym wydaniu mowy być nie może, natomiast nie nadeszły jeszcze dokładnie sprecyzowane rozkazy dotyczące dalszego losu „kozackiej dywizji”.

Tak minęły pierwsze dni pobytu nad Drawą w zgodnym współzyciu Kozackiego Stanu z 8-ym Argyll and Sutherland batalionem szkockim, który sprawował okupacyjną władzę wojskową, wśród rosnącego z dniem każdym optymizmu i omawianiu przeróżnych możliwości:

„Czy wojna z Sowietami wybuchnie zaraz, czy też nie jest jeszcze rzeczą zupełnie pewną? — Czy trzeba będzie na tę wojnę, pomiędzy mocarstwami zachodnimi i bolszewikami, długo czekać? — Czy wypadnie w międzyczasie przejść w stan cywilny, czy też jako jednolita jednostka wojskowa?” W szkole junkierskiej powodzenie miała zwłaszcza pogłoska o wysłaniu do kolonii brytyjskich. Młodym, jak to młodym, marzyły się przygody w zamorskich, egzotycznych krajach.

Tymczasem liczne duchowieństwo prawosławne, przebywające w Kozackim Stanie, zajęło się poważnie stroną duszpasterską. Pobudowano polowe cerkiewki, odmodlono

i odśpiewano należycie święta Wielkiej Nocy. Z dniem 15 maja zaprowiantowaniem zajął się brytyjski Czerwony Krzyż, głównie ze składów wojskowych pozostawionych w Lienz przez Niemców. Racje wydawane były według codziennego spisu stanu ludności, gdyż ciągle nadciągali nowi rozbitkowie i cyfra się zmieniała. Początkowy stan według spisów angielskich wynosił: 15.000 mężczyzn, 4.000 kobiet, 2.500 dzieci, 5.000 koni i 12 wielbłądów. Kozacy i ich rodziny otrzymywali: mąkę, galety, cukier, masło, szmaliec, konserwy mięsne i rybne.

Pewnego popołudnia lotem błyskawicy obiegła następująca wieść: Do 4-go pułku tersko-stawropolskiego przybył dowódca brygady gen. Tichockij, po rozmowie odbytej w sztabie angielskim. Oficer z 7-ej sotni zapytał o nowiny?

— Dobrze — miał odpowiedzieć Tichockij. — Anglicy polecieli, aby Kozacy podjęli na nowo normalne ćwiczenia wojskowe, gdyż niezadługo już może... przydadzą się... — i zmrużył znacząco oko.

O generale Krasnowie powiadano, że w ustroniu swej willi zabrał się do pisania wielkiego dzieła, które ma ukoronować jego dotychczasowy dorobek literacki. W rzeczywistości Krasnow nosił się z taką myślą, na razie jednak zabrał się do napisania obszernego listu do marszałka Alexandra, i list taki w pierwszych dniach pobytu nad Drawą wysłał.

Być może uczynił to tylko z obowiązku, do którego się poczuwał wobec swoich Kozaków. Być też jednak może, iż zapewnienia wypowiedziane wielokrotnie przez Anglików, że w żadnym wypadku do wydania w ręce Sowietów nie dojdzie, zachwiały i w nim poprzednio zgromadzony pesymizm. Ostatecznie czyż nie on, kiedyś szef „Wolnego Donu”, przyjmował w Nowoczerkasku (nie w tym, przemianowanym z włoskiej wsi Olesso, ale w autentycznej, kozackiej stolicy!) misję brytyjską z generałem Poolem na czele? Czyż w dniu 7 grudnia 1918 roku nie zapewniał na bankiecie kapitan Bond, że: „Państwa Sprzymierzone pomogą wszelkimi siłami w bohaterskiej walce z bolszewikami”? A 26 grudnia tegoż 1918 roku, czyż nie mówił generał Pool, że: „Mam nadzieję że przy naszej pomocy zdołacie ostatecznie wykorzystać bolszewizm?...” Dawne to czasy. Bardzo dawne, to prawda... I później szefem misji

został komandor Briggs, który... Tak, czasy się zmieniają i dziś zmieniły się jeszcze bardziej i gruntowniej. Ale też z drugiej strony, wówczas bolszewizm zagrażał jednej tylko Rosji, a dziś...

Krasnow ocknął się z zamyslenia, potarł ręką czoło i zakończył swój list utrzymany w stylu być może nieco staroświeckim, prosząc Jego Ekszelencję aby zechciał wejrzeć w sytuację polityczną, w jakiej znalazły się pułki i uchodźcy kozaccy, i ułatwić im egzystencję godną człowieka w wolnym świecie.

Na list ten nie nadeszła żadna odpowiedź.

Natomiast ze strony dowództwa 8-go batalionu szkockiego i brytyjskiej komendy miasta Lienz, mnożyły się objawy życzliwości. Optymizm wśród Kozaków wzrastał. Zachowanie Anglików komentowano jako logiczny wynik wytworzonej w Europie sytuacji politycznej. Przy powitaniach zacierano ręce i dzielono się dobrymi nowinami:

— Już niedługo!...

— I ja tak myślę.

— Nie skończą jeszcze rozbrajać Niemców, jak dadzą bolszewikom w ogon i grzywę! O, oni są mądrzy. Teraz to już nie pójdzie tak jak przy Hitlerze...

— Kto wie, może i tych samych Niemców nie będą rozbrajać... do końca.

— Wszystko być może. Dałby Bóg aby najprędzej.

Pod wpływem ogólnego nastroju i Mitia zrewidował swe dotychczasowe zapatrywania. Wypoczął i po raz pierwszy może czuł się jakoś zabezpieczony w życiu. Spokojny. Po raz pierwszy zaczął się interesować dniem jutrzejszym. Codziennie wpadał do baraków w Peggetz a ojciec oczekiwał go z utęsknieniem, gdyż zawsze przynosił jakieś nowe, krzepiące wiadomości. Nawet Ula, która przeważnie zachowywała ponure milczenie, wszelako przestała sączyć przez zęby złośliwe uwagi i przykre horoskopy.

W tym pierwszym okresie pobytu nad Drawą tylko jeden przykry wypadek zamaćił pogodne dni. Oto huknął raptem pojedynczy strzał! Wiadomość o tym samobójstwie rozeszła się lotem błyskawicy. Kozacy zgromadzili się wokół zwłok pułkownika Pawła Siergiejewicza Gałuszkina, rodem ze stancy Umańskiej. Pałnął do siebie z karabinu, wkładając lufę w usta. Czaszka została brzydko zniekształcona. Na zewnątrz wyłaził mózg, obficie polany krwią.

Mitia stojąc w gromadzie gapiów, zauważył opodal podesauła Gołowińskiego, adiutanta 1-szo konnego pułku, który patrzył na trupa z wyrazem kamiennego zamyślenia na twarzy. Podeszedł do niego i zapytał:

— Co mu się stało? Chory był chyba, czy co?

Gołowiński oderwał wzrok od trupa i spojrział na Mitę dziwnie przymglonymi oczyma.

— Kto wie. Może zdrowszy od nas wszystkich. — Za czym odwrócił się i odszedł uderzając prętem po cholewie buta.

Mitia popatrzył za nim zdziwiony i wzruszył ramionami. Nie zrozumiał.



W Peggetz, wśród licznych uchodźców znalazł się domorosły rzeźbiarz, który przystąpił do lepienia modelu przyszłego pomnika „Kozacko-brytyjskiej przyjaźni”. Podśmiewano się trochę z tej manii wielkości, ale raczej przyjaźnie poklepywano artystę po ramieniu.

Dnia 20 maja major Davis obwieścił, że na dzień następny zaprasza do lokalu byłego niemieckiego „Arbeitsamtu” wszystkich ludzi pióra, jacy by się znaleźli wśród Kozaków, a to celem omówienia sprawy wydawania gazety. Przyszło dwanaście osób. Davis kazał odczytać tłumaczowi deklarację programową zamierzonego czasopisma, które miałoby posłużyć ku większemu, wzajemnemu zbliżeniu i zapoznaniu: Brytyjczyków i Kozaków. Środki materialne na tego rodzaju wydawnictwo są, oświadczył, zapewnione, jak również pensje i honoraria dla współpracowników. Naturalnie wszyscy zgromadzeni wyrazili swą zgodę.

— Proszę mi teraz wręczyć spis dziennikarzy, ich pochodzenie i dokładnie wyszczególnić gdzie zamieszkują? Na przykład numery baraków itd.

Obecny na zebraniu redaktor Eugeniusz Tarusskij przysiadł przy bocznym stole i spisywał nazwiska. Ten i ów podpowiadał i uzupełniał dane, aby sprawę załatwić jak najszybciej i składowiej. Po czym Tarusskij wręczył listę.

— *Thank you very much* — powiedział major Davis odbierając z jego rąk dokładny spis.

Również z inicjatywy majora Davisa zabrano się do organizacji chóru kozackiego i orkiestry. I na to miały się

znaleźć odpowiednie kredyty. Major prosił tylko o wyszukanie i wskazanie mu odpowiedniego lokalu w Lienz, nadającego się na salę koncertową. Sala taka została wytypowana i Davis obiecał przystąpić natychmiast do jej remontu. Nie zapomniał również i o sprawach bardziej praktycznych: Kozacy biwakujący na przestrzeni wielu kilometrów pod otwartym niebem, w namiotach i szałasach, przygotowywali dotychczas swój posiłek sposobem prymitywnym, przy ognisku. Major Davis zapowiedział budowę specjalnych płytek ceglanych, jedną na pięć rodzin, i kazał zwozić materiał. Zajął się też urządzeniem odpowiednich dla kultury zachodniej ustępów, z wygodnymi sedesami. Deski na ten cel znalazły się obficie w okolicznych tartakach. Zwieziono i złożono je w pobliżu baraków w Peggetz.

W tym czasie ściągnęło nad Drawę jeszcze sporo uciekinierów uchodzących od bolszewików. W tej liczbie 5-ty zapasowy pułk kozacki, który przybył dnia 23 maja.

A dnia 24 maja zdarzył się taki wypadek: grupa uzbrojonych żołnierzy brytyjskich podeszła do wolno pasących się koni i zaczęła sobie wybierać dowolnie poszczególne okazy. Zakaz wdawania się w spory, a tym bardziej bójkę z żołnierzami angielskimi był surowo przestrzegany przez dowództwo Kozackiego Stanu, zresztą ze względów aż nadto zrozumiałych. Właściciele koni nie reagowali zatem na miejscu, a pobiegli ze skargą do swego sztabu. Ataman Domanow wysłał natychmiast oficera do sztabu brytyjskiego. Rozmawiał on tam z kimś bardzo energicznym, być nawet może, iż był to major Leask, znany ze swej lakoniczności, gdyż wrócił niebawem i przyniósł następującą odpowiedź:

„Kozacy są jeńcami Jego Królewskiej Mości. A ich konie są własnością Jego Królewskiej Mości”.

Tenor tego oświadczenia stał w jaskrawej sprzeczności z dotychczasową praktyką i tenorem zapewnień majora Davisa. Nic też dziwnego, że zaniepokoił atamana Domanowa. Udał się tedy do generała Krasnowa z prośbą, aby mimo braku odpowiedzi na pierwszy list, zechciał wysłać drugi do Sir Harolda Alexandra i prosić go o możliwie szybką decyzję i rozstrzygnięcie losów dziesiątków tysięcy Kozaków i ich rodzin.

— Niech pan napisze, Piotrze Mikołajewiczu, że Kozacy są wdzięczni z całego serca za dotychczasową pomoc i opiekę ze strony władz brytyjskich. Ze wszelako przeciągająca się niepewność co do dalszych ich losów, sprzyja stanowi chronicznego zdenerwowania, a także nieprzychylnym pogłoskom, jakie mogą się zrodzić i znaleźć rozpowszechnienie. Bądź co bądź minęło już prawie trzy tygodnie, odkąd sprawa znajduje się wciąż w stadium zawieszenia...

List w tym sensie został wysłany i — nie doczekał się żadnej odpowiedzi.

Tymczasem w dwa dni później, 26 maja, przed lokal prywatnego, polowego banku kozackiego zajęła ciężarówka w asyście kilkunastu uzbrojonych żołnierzy 8-go batalionu, którzy zażądali kluczy i wydania całej zawartości kasy. Kierownik banku zaprotestował. Tłumaczył, że bank zawiera wyłącznie oszczędności Kozaków i ich rodzin i że wkłady te stanowią prywatną ich własność. Ale sierżant nie wdawał się w te rozrachunki, zasłaniając się otrzymanym rozkazem. Kazał żołnierzom zwalić na ciężarówkę kasę i odjechał. Kasa zawierała około 6 milionów lirów włoskich i takąż mniej więcej ilość marek niemieckich. A więc sumę nie przedstawiającą większej wartości dla skarbu Jego Królewskiej Mości, a tym mniejszą ze względu na znaczne zdewaluowanie tych walut.

Od tego dnia wypadki potoczyły się szybko. Zanim wieść o konfiskacie prywatnych pieniędzy rozeszła się wzdłuż obozowisk nad Drawą, przyćmiła ją inna, raczej radosna: Oto tegoż samego dnia przybył z Salzburga do Lienz, słynny z pierwszej wojny domowej, generał Andrzej Grigorjewicz Szkuro. Był on przez wielu, zwłaszcza Kozaków kubańskich uważany za bohatera narodowego. Wjechał, stojąc w malowniczej pozie w otwartym samochodzie, w kubance na głowie, we wciętej w pasie czerkiesce z kindżałem i z drogą, srebrem wykładaną szablą u boku.

— Niech żyje! Niech żyje baćko Szkuro!

Tłum wiwatując doprowadził go zbitą ciżbą aż do siedziby sztabu w hotelu „Pod Żłotą Rybką”. Entuzjazm nie był może pozbawiony kompletnie względów bardziej realnych: Wiadomo było bowiem powszechnie, że generał Szkuro, emigrant po pierwszej wojnie, który nigdy obywatelem sowieckim nie był, a zatem wolny od wszelkich

ewentualnych pretensji ze strony rządu sowieckiego, znany był jednocześnie brytyjskim sferom wojskowym. Przed wielu laty, w okresie wojny domowej, oraz interwencji mocarstw sojusznicznych w Rosji, Szkuro, który odznaczył się w walkach z bolszewikami, otrzymał, wręczony mu za pośrednictwem ówczesnej misji brytyjskiej, order od króla Jerzego V. Niektórzy twierdzili, iż był to jakowyś „św. Michała”, inni, że zgoła „Order Podwiązki”... Zresztą nie ważne, rozprawiano, jaki. Ważny jest sam fakt, a ten fakt związany z obecnym przyjazdem daje dużo do myślenia...

— Tak jest — przytwardzali inni. — Szkuro może dużo przyczynić się do szybszego rozwiązania sprawy.

— Oho, on już potrafi z nimi gadać. Jego cenią.

— W sam raz przyjechał!

Tak to sobie gadano i komentowano w szeregach pospolitych Kozaków. A stała się rzecz najmniej oczekiwana.

Wieczorem ataman Domanow podejmował generała Szkuro małym bankietem. Wznoszono toasty i pito do późna. Podobno goście rozeszli się o trzeciej w nocy i podobno generał Szkuro zastukał potem do pokoju generała Sołomachina, który z reguły w żadnych bankietach ani popijawach tego rodzaju nie brał udziału. Sołomachin już spał. Szkuro go zbudził. Dokładny przebieg rozmowy nie jest znany, ale ponoć Szkuro, przysiadłszy na krawędź łóżka na coś się skarżył, czy obwiniał Domanowa, czy nawet płakał starczymi, gorzkimi łzami. A o godzinie 6-ej rano podjechał samochód wojskowy brytyjski i generał Szkuro został aresztowany.

Wiało jeszcze chłodem niedospanej, podgórskiej nocy, gdy wśród wiernych kubańców zaczęły krążyć najbardziej fantastyczne pogłoski:

— Domanow jego wydał!

— Sprzedał go Anglikom!

— Dlaczego nie uciekał?!

— A jakże mógł uciec, kiedy Dońcy Domanowa obstawili wskroś całą „Złotą Rybkę”!

— Gadanie, bracia! O jakim sprzedaniu może być mowa! Po prostu wywieźli do innego obozu. Przecież my jeńcy jesteśmy.

— Nieprawda! Żadnych drutów nie ma. Żadnej straży.

Chcesz możesz iść w góry gdzie oczy poniosą. To jacyż my jeńcy?! Jego aresztowali specjalnie.

— Może nie aresztowali, a powieźli na jakąś ważną naradę z angielskim generałem. Teraz siedzi, kawę popijając i z cygara ciągnąc. A wy zaraz: „aresztowali”!...

Domysłów było dużo. Żaden nie znalazł potwierdzenia. Działo się to jednak rankiem 27-go maja, a dzień ten miał przynieść jeszcze inne niespodzianki. Około godziny 8-ej rano powiadomiono wszystkie pułki, tabory i baraki cywilne, że z dniem dzisiejszym wydawana będzie zwiększona racja żywnościowa, zrównana z racją żołnierzy brytyjskich. Pod wpływem tej, może bardziej znamiennej niż nawet pomyślniej wiadomości, od razu prysnęły wszelkie podejrzenia. Zrównanie racji żywnościowych, skomentowano w ogóle jako: „zrównanie”...

— Hurraaa!

Wozy ładowane żywnością już podążały do punktów rozdzielczych. Ażeby radością obdzielić sprawiedliwie wszystkich, i także by dzieci mogły w niej wziąć właściwy sobie udział, rozdano im z brytyjskich zapasów: pomarańcze i czekoladę.

— No, choć to jedno przynajmniej — mruknęła Ula — że jeść dają dobrze.

Była godzina 10-ta rano, gdy do baraku wpadł Mitia. Czapka na bakier, wystawały z spod niej niesforne włosy. Potrafił czyjeś dzieci umazane czekoladą. Dziewczynce, która trzymała pozostały kawałek w dwóch rączkach przy twarzy, omal on nie wypadł. Spojrzały na niego z przerażeniem.

— Papa! — krzyknął wpadając za próg przepierzenia, w którym mieścił się pokój Kolcowa. — Oficerom broń odbierają!

Ula przystanęła po środku z garnuszkiem mleka w ręku. Ojciec spoznał z łóżka, z którego nie wstawał od kilku dni. W jego szklistych nieco oczach zamigotał wyraz niepokoju.

— Jakto... odbierają. Dlaczego?

Wbiegła Woskobojnikowa słysząc podniesiony głos i zatrzymała się w progu, ze złożonymi przy piersiach dłońmi, jakby się chciała zasłonić od ciosu. Za nią wyglądała jej 14-letnia siostra z nieobraną jeszcze pomarańczą w ręku.

— Do sztabu Domanowa przyszedł rozkaz od Anglików: oficerowie mają natychmiast zdać pistolety i szable. A nasza żandarmeria wszystkie karabiny!

— A jak raz czekoladę dzieciom wydali... — wtrąciła niezupełnie do rzeczy Woskobojsnikowa.

— Zła wiadomość — zawyrokował stary.

Nastąpiła chwila milczenia. Mitia rzucił czapkę z głowy na parapet okna i siadł na jedynym krześle, opuszczając ręce między kolana.

— A zdawało się wszystko jak najlepiej.

— Tyś dlatego przyszedł dziś tak wcześniej? — zapytał po chwili milczenia ojciec.

— Nieee... Dowiedziałem się po drodze. Ja chciałem właściwie zastać, żeby nie wyszła z kancelarii, Olgę Dmitrjewną, w sprawie kursów języka angielskiego.

— Chcesz się uczyć?

Mitia miał lat 38. Życie, które przeszedł czyniło go o wiele starszym z wyglądu. Był dojrzałym mężczyzną i ani w rysach twarzy, ani w jego ruchach nie dostrzegłby człowiek postronny żadnego śladu, który się czasem zataja i trwa do późna, z okresu dzieciństwa. Ale w odpowiedzi na ostatnie pytanie uczynił, siedząc na krześle, taki jakiś mimowolny bezradny ruch głową i ramion, z przymieszką pewnego zawstydzenia, że pamiętliwe oko ojcowskie dostrzegło w nim raptem obraz innego Miti, tego z pociągu idącego do Kijowa, przed wielu, wielu laty... Było mu przyjemnie i zarazem bezgranicznie żał swego syna. Jak wtedy odczuł całą jego słabość wobec otaczających, przemóżnych mocy losu. Wówczas mógł na nie jeszcze wpływać jako ojciec, dziś, sam bezradny, stary i chory, chciałby go tylko czymś pocieszyć, ale nie znajdował słów.

— Ona jest jeszcze. Nie wyszła; widziałam — wtrąciła Woskobojsnikowa. Bo główna tłumaczka w kancelarii baraku nr 6 przy majorze Davisie, Olga Dmitrjewna, chodziła codziennie do szkoły junkierskiej wykładać angielski. Obecnie znalazło się dużo chętnych pomiędzy Kozakami, którzy by chcieli uczyć się tego języka, zainicjować jakieś zbiorowe kursy. I o tym właśnie mówił Mitia.

Ale nie ruszył się z krzesła. Nagle Ula odezwała się tonem niespodziewanie pojednawczym:

— To co z tego, że odbierają? Co to, i w czym to, zmienia? Cóż oni z tymi szablami swoimi mogliby zdzia-

łać? Odbierają, znaczy taki przepis przyszedł. Ja tu nie widzę nic strasznego.

„Śmiesznie, jak rzeczy i okoliczności się powtarzają” — pomyślał Mitia. „Zupełnie jak wtedy, pod Nowogródkiem, Ula zabiera głos, gdy w ważnej sprawie nastaje raptowne milczenie...” A jednak nie powtórzyło się dosłownie. Bo ojciec nie ofuknął tym razem córki, nie nawymyślał jej od „babskich rozumów”. A przeciwnie odezwał się, raczej łagodnie:

— Tak, może to i nic złego... Może być, że Ula ma słuszość.

„Och, postarzał się” — pomyślał Mitia. Młoda lekarka podtrzymała pogląd tamtych:

— To racja. Przede wszystkim trzeba dowiedzieć się czegoś konkretnego.

Mitia pragnąłby z całego serca przyłączyć się do ich zdania. Ale jakoś odeszła mu ochota do rozmowy w sprawie kursów języka, i nie poszedł do kancelarii.

Jakkolwiek rozkaz oddania broni przez oficerów nie zawierał, sam w sobie, nic niezwykłego, jego raptowność i brak uprzedzenia w tej sprawie, wywołał w pierwszej chwili zrozumiałe zaniepokojenie. Wkrótce jednak, na zaпытanie Domanowa, otrzymano wprawdzie nieoficjalny, ale pocieszający komentarz ze sztabu brytyjskiego:

„Odebranie broni ma wyłącznie charakter czasowy i porządkowy. Różnorodna i często przestarzała broń, jaką posiadają, zastąpiona im zostanie przez bardziej nowoczesną i jednolitą”.

Być może w innym dniu tłumaczenie tego rodzaju wydałoby się wielu trochę podejrzanę. Albo zgoła: naiwne. Ale 27-go maja, gdy właśnie „zrównano” Kozaków z żołnierzami brytyjskimi w racjach żywnościowych, gdy powszechny optymizm doszedł bodaj do punktu kulminacyjnego, wszyscy prawie uwierzyli w to, w co najbardziej wierzyć pragnęli. Znaleźli się nawet tacy, którzy wzmiankę o „bardziej nowoczesnej broni” skomentowali jako bardzo znamienne i dużo obiecującą.



Dzień 28-go maja był dniem wyjątkowo pogodnym. Niebo już od samego rana rozciągnęło granatowy bal-

dachim ponad góry i dolinę. Mgiełka przyrzeczna razem z pierwszym świtem poszła w krzaki, roztopiła się w otaczającej zieloności. W górę pociągnęły tylko dymki kozackich obozowisk w śniadaniową porę. Na łąkach pasło się tysiące koni, bydło, dalej, za Nikolsdorfem chodziły po trawie wielbłądy Astrachańców. W kościołkach katolickich oddzwoniono na primarie. Całość pejzażu, obramowana koronką dumnych skał, kontrastowała wrażeniem zarówno dzikim, jak pokojowym, zarówno egzotycznym jak dziwnie swojskim, swojskością powszedniego dnia ludzkiego.

Major Davis przybył również wyjątkowo wcześniej do kancelarii w barakach w Peggetz. Olga Dmitrjewna wręczyła mu zwykły raport dzienny. Davis wykazał wyraźną skłonność załatwienia przychylnie wszystkich spraw bieżących, oraz okolicznościowych prośb. Następnie zwolnił tłumaczkę, która jak zazwyczaj o tej porze, udała się za rzekę do szkoły junkierskiej, aby wygłosić codzienny wykład języka angielskiego. Wykład ten jednak nie miał dobiec do końca...

O godzinie 11-ej wezwano Olę Dmitrjewnę w sposób nagły z powrotem do Peggetz. Gdy śpiesznie powróciła do kancelarii, generał Biedakow z lekka pobladły na twarzy i widocznie zaaferowany, oświadczył:

— Przed chwilą przyszedł rozkaz ze sztabu Domanowa, aby wszyscy oficerowie, urzędnicy wojskowi i lekarze wojskowi byli, co do jednego, gotowi na godzinę 1-szą po południu do wyjazdu na ważną konferencję z wyższym dowództwem angielskim.

— Gdzie?!

— Podobno w Villach, czy coś podobnego... Robią na gwałt spisy oficerów, gdyż od tego zależy ilość maszyn, które mają być podane. Gońcy rozesłani już zostali do wszystkich oddziałów. — Biedakow przełożył bez potrzeby jakieś przedmioty na biurku. Był bardzo zdenerwowany.

— Olgo Dmitrjewno... — zaczął po chwili i urwał.

— Słucham pana.

— Jak pani myśli, czy to... Czy to ku czemuś lepszemu, taka konferencja, czy też gorszemu?...

Tłumaczka nic nie odpowiedziała. Widocznie usiłowała zebrać rozbiegane myśli. Trwało dłuższe milczenie. Z zewnątrz dochodziły głosy wesoło bawiących się dzieci. Biedakow westchnął:

— Muszę już iść. Muszę się przecież stawić. Zostawiam tu wszystko na pani opiece. Niech mnie pani... niech mnie pani przeżegna.

Olga Dmitrijewna ruchem zdradzającym drżenie ręki uczyniła w powietrzu znak krzyża świętego. Od słońca, przez okno na podłogę, padał ciemny krzyż ram okiennych. Czuć było kurzem i wystygłym w popielniczce popiołem.

Większość oficerów przyjęła rozkaz wyjazdu na konferencję jako wielką sensację dnia. W obozie i na kwaterach oficerskich zapanowało niecodzienne podniecenie. Głansowano do błysku buty, wdziewano najlepsze mundury, szlify, odznaki bojowe; kto je miał przyczepiał ordery jeszcze z cesarsko-rosyjskiej armii, przyszywał epolety i spieszył na miejsce zbiórki wyznaczonej na godzinę 1-szą po południu, aby się nie spóźnić. Każdy chciał się też czym prędzej dowiedzieć jakichś szczegółów. Na razie domysłom i komentarzom nie było końca. Według słów majora Davisa, które podawano sobie z ust do ust, na konferencji uczestniczyć mają wysocy generałowie brytyjscy i zapaść podobno ważne decyzje. Kto wie, przypuszczano, może od ręki rozdawane będą jakieś stanowiska? I dlatego każdy chciał być obecny aby nie zostać pominiętym. Przybyli nawet dwaj duchowni. Przyszedł redaktor Taruskij.

— A pan czego?

— A czyż ja nie jestem oficerem?

W samo południe zajechał przed hotel „Pod Złotą Rybką” przedstawiciel sztabu brytyjskiego, potwierdził raz jeszcze rozkaz przekazany uprzednio za pośrednictwem majora Davisa i spytał atamana Domanowa:

— Czy mogę być pewny, że moja prośba dosięgnie również w odpowiednim czasie generała Piotra Krasnowa?

— Tak jest. Posłałem umyślnego, aby go zawiadomić.

— Jestem panu bardzo wdzięczny.

Na placu przed hotelem, gdzie gromadzili się wyżsi oficerowie Kozackiego Stanu, generał Poliakow zagadnął półgłosem generała Siemiona Krasnowa:

— Co pan o tym myśli?

— Wie pan, że nic wielkiego. Sądzę, że Anglicy za-

proponują nam po prostu służbę pomocniczą w Austrii, albo Niemczech. A może w koloniach.

— A nie przypuszcza pan, że...

W tej chwili, gdzieś niezbyt daleko, gruchnął pojedynczy strzał. Rozmawiający mimowoli odwrócili głowy, ale już w następnej chwili gwar głosów podjął na nowo ożywione dyskusje. Nikt się jeszcze nie domyślał, że to zastrzelił się z własnego pistoletu, którego nie oddał wbrew rozkazowi, podesauł Gołowiński... Nagle zrobiła się cisza. Do zebranych wyszedł ataman Domanow. Był trochę blady, ale spokojny. Równym głosem odczytał tekst rozkazu, który otrzymał o wyjeździe na konferencję.

— Czy rzeczy brać ze sobą? — padło z tłumu niezręczne pytanie, boć przecie major Davis zapewnił, że konferencja potrwa tylko kilka godzin. Pytanie to jednak, jakkolwiek wydawało się nierzeczowe, a które padło tak nieoczekiwanie, popsuło nieco beztroski nastrój i wyzwoliło utajone najwidoczniej gdzieś w głębi duszy wątpliwości.

— Nie, nie trzeba rzeczy — odparł sucho Domanow. Ale sekundy milczenia przeciągały się. Nagle przerwał je głos generała-majora Tarasienki, który zapytał wprost:

— Co nas czeka?

— Sądzę, że nic zbyt dobrego — Domanow nie zmienił intonacji w głosie. — Zapewne druty.

Znowu nastało milczenie, a po nim pytanie pułkownika Gołubowa, dowódcy 1-szego pułku konnego:

— A co robić z oficerami, którzy nie zawierzą i zaczną uchodzić w góry?

— Pan jest dowódcą pułku — odparł Domanow. — Pan mnie zrozumiał.

Gołubow zawahał się, ale nic nie odpowiedział. Zapewne nie zrozumiał. Zresztą wśród oficerów kozackich, którzy by nie chcieli zawierzyć słowu honoru oficerów brytyjskich, znalazłyby się w tej chwili bardzo nieliczne jednostki. Ale się znalazły:

Sotnik niedawno przybyłego pułku zapasowego postanowił nie jechać i zamierzał się ukryć. Wziął go jednak pod ramię wojskowy starszyna Żurawlow:

— Ech, i cudak, że z pana! Nie wiesz jaka tam konferencja będzie ważna? Będą rozdawać stanowiska w angielskich koloniach... Leć się przebierać póki jeszcze czas.

I sotnik zmienił zdanie, pobiegł na kwaterę, aby włożyć lepszy mundur, a stamtąd pośpieszył na miejsce zbiórki. W tej chwili podchodził oddział terski. Przodem kroczył mały, drobny ataman okręgowy, Zimin, w eleganckiej czerkiesce. Za nim, jak na paradzie, również wszyscy w czerkieskach, maszerowali w nogę oficerowie.

Po starca, generała Piotra Krasnowa, wysłano specjalną maszynę. Siadając do niej powiedział do żony:

— Nie trzeba się smuć.

W Oberdrauburg wywołano sędziego generała Sułtan-Kelec-Gireja. Wyszedł do Anglików w czarnej czerkiesce z białym pod nią beszmetem, cienki w talii, z epoletami cesarskimi na ramionach. Przyjął do wiadomości rozkaz wyjazdu na konferencję i ani jeden muskuł suchej twarzy nie zdradził jego myśli.

Do szkoły junkierskiej skierowano oddzielne maszyny dla zabrania tamtejszych oficerów w liczbie 21. W tym momencie zaszedł nieoczekiwany wypadek: Gdy wszyscy już byli gotowi, któryś zbladł raptownie, cofnął się i poprosił o kilka minut czasu. Koledzy wiedzieli, że ma nerwy nie w porządku i poza tym, że z dwóch posiadanych pistoletów oddał tylko jeden. Kogoś tknęło przeczucie, że zapewne chce się zastrzelić i porwał go za ramię. Inni obstąpili kołem. W tej chwili porucznik angielski, widząc zamieszanie i domyślając się może, acz niejasno, jego przyczyn, podszedł z uśmiechem:

— Zapewniam pana słowem honoru brytyjskiego oficera, że jedzie pan tylko na konferencję.

Były to słowa w dostatecznej mierze przekonywujące. Tym większe zatem zdziwienie wywołało zachowanie się dowódcy szkoły. Mianowicie na zalecenie, ażeby pozostawił jednego oficera jako dyżurnego, zwrócił się do starszego już wiekiem pułkownika ze słowami:

— Pan zostanie. Pan ma małe dzieci.

Ktoś, słysząc te dziwne słowa wzruszył ramionami:

— Co on przez to chciał powiedzieć?

— Właśnie; co mają dzieci wspólnego z konferencją?...

Tymczasem na głównym placu zbiórki w Lienz padł wreszcie rozkaz:

— Do maszyn, panowie oficerowie!

Większość wsiadała z ochotą. Padły żarty. Duchowny, ojciec Aleksander, mówił:

— A ja wziąłem szczotkę do butów. Panowie przyjeżdżacie na konferencję w zakurzonych, a ja jeden będę miał czyste. Ot, jak to sobie obmyśliłem.

Przy wsiadaniu do trzeciej ciężarówki, jeszcze raz zapytano:

— Czy jednak szyneli nie trzeba było wziąć?

— Nie. Skąd! Gorąco dziś. Zaraz przecie wracamy.

Ataman Domanow i generał Piotr Krasnow wsiadli do specjalnie im podanego, osobowego auta. Podeszedł do nich oficer angielski i przykładając rękę do czapki zapytał grzecznie:

— Panowie pozwolą, że siądę razem?

— Ależ naturalnie. Prosimy.

Już zaciągano brezenty na pozostałych ciężarówkach. Już zapuszczano motory. Na placu pozostały tylko rodziny, które odprowadzały mężów. Już tu i ówdzie powiewał ktoś chusteczką. Raptem dał się słyszeć rozdzierający krzyk małej dziewczynki. Wyrwała się z rąk matki i biegnąc, potykając się z wyciągniętymi rączkami do maszyny, wołała:

— Papo!... Papo!...

Sekunda, a ogólny nastrój groziłby przeistoczeniem w coś, co się nie dało przewidzieć. Kobiety zaczęły nagle płakać. Żony obstały Olgę Dmitrjewną:

— Niech pani przetłumaczy! Niech pani, na miłość Boga, raz jeszcze zapyta oficerów angielskich, czy nasi mężowie wrócą i kiedy?

— Proszę uspokoić żony — odparł oficer brytyjski. — Nie ma żadnych obaw. — Rozstawił palce i zaczął wyliczać: — W ciągu dwóch godzin będą na miejscu. Konferencja potrwa godzinę, półtora. No, droga powrotna zajmie... O godzinie 5-ej, 6-ej, powiedzmy kwadrans po szóstej będą z powrotem. Daję na to moje oficerskie słowo honoru.

Wydłużona kolumna ciężarówek już ruszała główną szosą, wzdłuż dolnego brzegu Drawy, na Villach.



Długo jeszcze rozprawiały zgromadzone żony na temat charakteru i możliwych wyników tej ważnej konferencji, na którą trzeba było zwołać aż wszystkich oficerów.

Przyszła godzina 5-ta po południu. Nikt nie wracał. Przyszła i minęła 6-ta. Siódma wieczór... wpół do ósmej. Nikogo. Nikt z konferencji nie wracał. Dławiące uczucie strachu nie pozwalało już dłużej na spokojne rozmowy. Strach, strach! Najgorszy ze stanów ludzkiej psychiki! Kto-to i gdzie-to obiecywał ludziom wolność od strachu po wygranej wojnie?... Ale nikt nie miał ochoty do rozpraw na tematy polityczne. Matka przykrywała córeczkę kocem w baraku i szeptała jej na dobranoc:

— Papa wróci, wróci na pewno, papa.

Zwolna zaczęli się też gromadzić Kozacy. Schodzili się, tworzyli grupy, rozchodzili. Stali. Czekali. Rozmowy toczyły się dla czegoś półgłosem. Jeden drugiego pytał o zdanie, żaden jednak nie potrafił go skonkretyzować. Częściej przerywali sobie, aby milcząc nadśłuchiwać turkotu motorów powracających maszyn. Ale cisza panowała od strony dolnej Drawy, w ten majowy wieczór.

Słońce, które o tej porze dawno już zwykło zachodzić za kompleks Villgratner-Berge rozdzielających Isełę od Drawy, kładło w dolinę zarysy czarnych cieni.

Raptem, o godzinie 8-ej wieczorem, spiesźnie zawiezano tłumaczkę do kancelarii majora Davisa.

R o z d z i a ł V

WIECZNE PIÓRO CHORAŻEGO JACENKI

W czasie, gdy wypadki te zachodziły we Włoszech i Wschodnim Tyrolu, XV Kawaleryjski Korpus Kozacki wycofywał się z Bałkanów. W pierwszych dniach maja 1945 roku znalazł się na północ od miasta Celje, na prawym brzegu Drawy. Tak się już bowiem złożyło, że rzeka tej nazwy wiązała się wciąż na nowo z losem kozackim, jak niegdyś rodzinny Don, zwany „prawosławnym” lub „cichym”. Ale Drawa była burzliwa i szumiąca; trudno ją „cichą” było nazwać. Siły Korpusu wynosiły ponad 25 tysięcy, a dokładnie obliczyć się nie dały ze względu na straty w bitwach z jednej strony, z drugiej zaś na stały dopływ nowych oddziałów. Tak na przykład 29 marca przybył 360-ty pułk kozacki z Francji, włączony został pułk kałmucki i inne pomniejsze formacje.

Dowódca korpusu, generał von Pannwitz, mimo swego wrodzonego optymizmu utracił już dawno resztkę wiary w powtarzaną do znudzenia propagandę o „tajemniczej broni Hitlera”. Utracił też wszelką nadzieję w możliwość uniknięcia przez Niemcy zupełnej klęski. Wokół rozpościerał się obraz pogromu, rozkładu i chaosu. Cofały się z Grecji resztki korpusów XXII i LXVIII stanowiące ongiś trzon tak zwanej Grupy Wojskowej „E” generała Löhra. Cofały się niedobitki XXI korpusu górskiego generała von Leyser, który wchodząc kiedyś w skład Grupy „F” feldmarszałka von Weichsa, po jej rozwiązaniu utknął w Albanii i przebił się do Sarajewa, gdzie jeszcze w marcu 1945 stawiał opór armiom Tity. Bo to już teraz nie były

„bandy”, a raczej świetnie wyekwipowane, regularne wojska. Pod ich naciskiem wywieranym wspólnie z armią bułgarską, oraz napierającymi od strony Węgier: „II-gim Ukraińskim Frontem” pod wodzą generała Malinowskiego, i od strony Rumunii: „III-cim Ukraińskim Frontem” generała Tołbuchina, syna Burjatki i Rosjanina, cofał się łącznie z Niemcami różnobarwny tłum formacji wojskowych: Rosyjski Korpus złożony ze starych emigrantów, teraz pod wodzą generała Rogożina; Niemiecko-Kroacki Legion; Kroaccy „Domobrani” i Ustaszi; oddziały Ukraińskiej Armii Narodowej, pod wodzą generała Pawła Szandruka, ze Styrii; 1-szy Gruziński Batalion; 842 i 843 bataliony Północno-Kaukaskie; serbscy Czetnicy Loticza i wierni królowi, generała Michajłowicza; wraz z olbrzymim taborem kobiet, starców, dzieci i rannych. Wszystko to zaprószało i bez tego złe drogi, tarasowało przełęcz górskie, stanowiło obiekt nieustannych krwawych rozpraw, lokalnych bitew, swarów, represji i kontrrepresji, strasznych mordów, które na Bałkanach przybrały charakter okrutniejszy niż na innych zewnętrznych i wewnętrznych frontach drugiej wielkiej wojny światowej.

W powodzi tego chaosu XV Korpus Kozacki cofał się w porządku wzgorodnym. Niektórzy przypisywali ten fakt osobistym zdolnościom wojskowym generała von Pannwitz i jego, nie dającej się zaprzeczyć, dużej popularności wśród Kozaków. Inni znowuż skłonni byli przypisywać ten objaw naturalnemu odruchowi zespolenia, któremu ulegali Kozacy w morzu otaczających ich, obcych żywiołów. Żołnierz niemiecki ciągnął bądź co bądź w kierunku własnego domu; bałkański miał te domy rozrzucone wokół siebie, choć splamione bryzgami bratobójczej krwi. Oddziaływać więc mogły w tych wypadkach prywatne, ośrodkowe tendencje rozprasające. Natomiast kozackie kurzenie leżały het, w odległości i sferach nieosiągalnych. Ich domem pozostawał na razie wyłącznie — Korpus.

Generał von Pannwitz, czy to pod wpływem nastroju, pokrewnego psychicznym tendencjom neofity, który się żyży z obcym środowiskiem, czy też z kawaleryjskiej tradycji, czy też ze szczerej miłości do „własnego” korpusu — ale stał się jego „patriotą” i gorącym rzecznikiem. Nie tylko więc nie myślał o jego opuszczeniu i ratowaniu własnej osoby w perspektywie nieuchronnej i bliskiej już klęski

ostatecznej, ale dał się całkowicie wciągnąć w jego sprawy i jego losy. Istnieją pewne dane, które pozwalają przypuszczać, iż w pewnym okresie nosił się nawet z równie romantycznym, co naiwnym planem zjednoczenia, jeszcze w ostatniej chwili, wszystkich wschodnich, antybolszewickich formacji do wspólnej akcji zbrojnej. On to bodaj sam namówił generała Kononowa, aby udał się do Własowa dla nawiązania z nim łączności, nie tylko wojskowej, ale i politycznej. Wypadki jednak potoczyły się szybko. Było już nie pięć minut, a dużo, dużo więcej po dwunastej! Trzeba było pomyśleć o planach bardziej realnych.

W końcu kwietnia von Pannwitz deleguje kilku, kolejnych parlamentarzystów do Anglików, a w tej liczbie księcia Schwarzenberga. Instrukcje brzmią jednak po dawnemu naiwnie:

„Walka ze światem bolszewickim nie jest skończona, a dopiero właściwie teraz się zacznie. Kozacy okażą się w niej niezbędni. Nawet, gdyby okres przejściowy mieli przeczekać w koloniach Afryki, czy Australii. Leży więc w interesie Wielkiej Brytanii, aby przyjąć ich jako jednolitą formację, bądź udzielić prawa azylu”.

Żadnej odpowiedzi na te propozycje Pannwitz nigdy nie otrzymał, a utracił tylko jedynego „Fieseler Storch’a”, jakiego posiadał w rozporządzeniu swego sztabu, a który ofiarował na ostatnią próbę nawiązania kontaktu z Anglikami.

Dnia 8 maja Kozacy przebijają się do słoweńskiego Gradecu. Tegoż wieczoru następuje oryginalny, a charakterystyczny dla warunków wojny na tamtym terenie wypadek: za pośrednictwem nieuszkodzonej linii telefonicznej włączył się oficer 8-ej armii wojsk Tito i zawiadomił o ogłoszonej kapitulacji na wszystkich frontach i jednoczesnym zakazie ruchów dla oddziałów strony kapitulującej: Mają stać w miejscu i złożyć broń. O godzinie 23-ej nadchodzi potwierdzenie tej wiadomości ze strony dowództwa niemieckiego. W odpowiedzi generał Pannwitz wydaje rozkaz:

— Wszystkie dywizje korpusu! Na koń!

Jest północ. Kolumny 1-szej dywizji ruszają w ciemności na zachód. Słabe oddziały titowskie próbują je zatrzymać, zostają jednak zniesione. 2-ga dywizja przebija się w kierunku bardziej północno-zachodnim. Natrafia na silniej-

szego nieprzyjaciela, wikła się w walki i ponosi znaczne straty.

Dnia 9 maja, o godzinie 10-ej rano czołowe ubezpieczenia 1-szej dywizji natykają się na pierwsze placówki 11-ej brytyjskiej dywizji pancernej. Westchnienie ulgi przechodzi przez szeregi Kozaków. Pannwitz udaje się natychmiast do sztabu angielskiego. Przyjmuje go tam generał Acher, dowódca brytyjskiej dywizji. Jest lodowato-uprzejmy, odmawia wszelkiej dyskusji na tematy polityczne, ale zezwala Kozakom na przekroczenie linii brytyjskich. Pannwitz wraca dopiero następnego dnia i wydaje rozkaz marszu dalej na zachód.

I oto na zachód od miasta Klagenfurt w Karyntii, na szosie od wsi Griffen do odległego o 10 kilometrów Völkermarkt, odbywa się swoiste widowisko: Przed czołgami brytyjskimi i grupą oficerów, przemaszerowują pułki kozackie w pełnym uzbrojeniu, z oficerami na czele, jak na paradzie. Pannwitz stoi obok Anglików i jest dumny z tej rewii, która ma im uplastyczyć jakich to ludzi będą mieli po swojej stronie w spodziewanej rozgrywce z bolszewikami. Szef brytyjskiej artylerii dywizyjnej Col. Hills patrzy na maszerujących jeźdźców z wyrazem ironicznego smutku na twarzy, z domieszką pobłażania i być może szczerego współczucia.

2-ga dywizja przebija się górami w kierunku 1-szej. Tymczasem części 3-ej dywizji, łącznie z przydzielonym do niej 360 pułkiem kozackim, walczą jeszcze z napierającymi na nie pancernymi oddziałami Bułgarów. Odrzucają je w kierunku północnym i odrywają się od nieprzyjaciela. Ale już następnego dnia, 10 maja, zostają zaatakowane przez silne zgrupowania titowców. Kozacy tracą czterech zabitych i piętnaście wozów taboru. Od trzech dni nie ma już wojny, ale 3-cia dywizja odrzuca wszystkie żądania kapitulacji i przebija się na zachód. Dnia 11 maja osiąga Völkermarkt i dopiero 12-go o godzinie 10-ej rano składa broń w ręce Anglików.

Powściągliwe, lecz raczej życzliwe stanowisko władz wojskowych brytyjskich pozwala wnioskować, że XV Korpus Kozacki traktowany jest nie tyle jako zabrany do niewoli, a po prostu internowany. Już bez broni, tym niemniej w pełnym składzie koni i taborów, otrzymuje wyznaczone sobie miejsce postoju w trójkącie: Klagenfurt-St. Veit-

Feldkirchen. 2-ga dywizja nieco na północ, na odcinku Neumarkt do Althofen, wzdłuż szosy prowadzącej do Judenburgu. Sztab korpusu staje w Althofen. Poszczególne pułki zmuszone są kilkakrotnie zmieniać kwatery ze względu na wypas koni. Kozacy zaopatrywani zostają w żywność z byłych niemieckich składów wojskowych, przejętych obecnie przez władze brytyjskie.



W myśl zadawnionej tradycji Kozacy sami sobie wybierają dowódców. Ich ataman polny, czy jak go nazywają: „marszowy”, nie pochodzi z nominacji, a z wyboru. Tak chce tradycja, nie wszędzie i nie zawsze na przestrzeni dziejów respektowana. Naturalnie nie była też respektowana w warunkach w jakich powstał XV korpus. Generał von Pannwitz nie był żadnym atamanem, ani pochodził z wyboru, tylko zwyczajnym generałem z nominacji wyższego dowództwa niemieckiego. Kto i po co zwrócił na ten szczegół uwagę władz brytyjskich pozostanie być może na zawsze tajemnicą. Niemniej tajemniczy był cel, w jakim na dzień 24 maja, we wsi Althofen, z inicjatywy tych władz, wyznaczono wybory atamana. Faktem jest jednak, że ogół Kozaków potraktował tę inicjatywę za dobry znak.

Zgromadzenie odbyło się na obszernym dziedzińcu. Delegaci wszystkich pułków ustawili się w czworobok w obecności pułkownika 34-ej dywizji brytyjskiej.

Kozacy jednogłośnie na swego atamana wybrali — generała Helmut von Pannwitzal

W obliczu i stopniu tej klęski wojennej, którą ponieśli Niemcy, wybór właśnie generała niemieckiego, świadczyć może istotnie o niezwyklej popularności, jaką cieszył się Pannwitz wśród szeregowych Kozaków. Krążyła niesprawdzona pogłoska, że Anglicy licząc się z tą popularnością, umyślnie zainicjowali wybory, aby w ten definitywny sposób rozstrzygnąć przynależność osoby von Pannwitzal, co do której mogła naturalnie zachodzić różnica w interpretacji, czy winien być traktowany jako oficer niemiecki, czy kozacki?... Ale były to tylko pogłoski.

Jeden z Kozaków głosujący za Pannwitzem sprecyzował w ten sposób swój prywatny pogląd:

— Niemcy i Anglicy, choć oni tam i wojują ze sobą,

ale zawsze to ludzie, jak powiadają: zachodni. Już jemu tam łatwiej dogadać się będzie z nimi, Pannwitzowi, niż naszemu bratu, który ani języka zna, ani co. Niech broni naszych interesów.

W każdym razie przebieg ceremonii był zarówno znamienny, jak uroczysty. Pannwitz wystąpił z przemówieniem dziękując za wybór i zaufanie, a następnie oświadczył:

— Drodzy Kozacy! Jest między nami przedstawiciel armii brytyjskiej. Ponieważ nie umie on po rosyjsku, więc pozwólcie, że jego słowa oddane zostaną w tłumaczeniu. Brzmiały one jak następuje:

„Kozacy! Brytyjski rząd Jego Królewskiej Mości bierze was pod swą opiekę. Niech nikt nie wierzy pogłoskom, że was mają wydać Sowietom! Rząd brytyjski zamyśla przenieść was do Kanady, lub do Australii. Sprawa nie jest jeszcze rozstrzygnięta. Na razie was mało znamy. Dlatego proszę, abyście zachowali dyscyplinę i posłuszeństwo waszym dowódcom. Własnym swoim zachowaniem najskuteczniej obalić będziecie mogli oskarżenie, wysunięte przeciwko wam ze strony Związku Sowieckiego, że jesteście nie armią, a „bandą”. Przeprowadźcie dowód, że tak nie jest”.

— Hura! Uraaa! Niech żyje Wielka Brytania! — rozniosło się po małej, austriackiej mieścinie Althofen. Następnie wystąpił przedstawiciel Kozaków, który prosił o przetłumaczenie prośby, jaką przedkłada w imieniu wszystkich pułków kozackich:

„Dziękujemy rządowi brytyjskiemu za opiekę i prosimy aby nas nie rozdzielano, lecz dokądkolwiek mamy być wysłani, do Kanady czy Australii, to wszyscy razem. Prócz tego, żeby nam pozwolono zachować nasze zwyczaje i tradycje”.

— Dobrze — odparł pułkownik. — Przekażę waszą prośbę memu rządowi i raz jeszcze proszę o zachowanie ścisłej dyscypliny, aby nie wypadło mi się za was czerwieni.

Zgodne: „Uraaa!” było ponowną odpowiedzią na replikę oficera brytyjskiego.

Nie istnieją żadne dane, które by pozwalały twierdzić, że pułkownik wiedział już 24 maja, jakiego rodzaju umowa zawarta została w Wiedniu, dnia poprzedniego, 23 maja 1945 roku.

Po wyborze Pannwitz przeniósł się z Althofen do pobliskiej miejscowości Mülln, gdzie wraz z najbliższym otoczeniem sztabu stanął kwatery w budynku szkolnym. Zaś przybocznicy Kozacy rozmieścili się w domach sąsiednich.

.....

W dwa dni później, 26 maja, o godzinie 9-ej rano przed budynek szkolny w Mülln zajęły dwie lekkie i dwie ciężarowe maszyny angielskie. Z pierwszego samochodu wysiadł pułkownik, opierając się na lasce wszedł po stopniach do szkoły, i pozostawał tam około godziny. W międzyczasie wjechały do wsi tankietki angielskie.

Pannwitz i oficerów jego sztabu wsadzono do dwóch lekkich maszyn, a Kozaków do ciężarówek. Samochody otoczone zostały przez tankietki i żołnierzy na motocyklach uzbrojonych w pistolety automatyczne. Cała kolumna skierowała się drogą do Neumarkt, a stamtąd główną szosą w kierunku Judenburg na rzece Mur. Po tamtej stronie rzeki stały już posterunki sowieckie.



Zanim wieść o tym wypadku dotarła do szeroko rozrzuconych, poszczególnych jednostek XV korpusu, nazajutrz to znaczy dnia 27 maja dowódca 1-szego dońskiego pułku major Ostrowski był jak najlepszej myśli. Anglicy pozostawili mu do dyspozycji jego własny samochód, którym podążał na inspekcję syberyjskiego i kałmuckiego pułków oddanych mu czasowo pod komendę. W rejonie Feldkirchen postanowił skrócić do miejscowości Simnitz, gdzie kwatrował sztab 1-szej dywizji kozackiej z jej dowódcą pułkownikiem Wagnerem na czele. Chciał się dowiedzieć jakowychś nowin, których łaknął w tym okresie każdy. Może już nadeszły informacje co do dalszego losu XV korpusu?

— Długo wypadnie zaczekać? — spytał szofer.

— Nie, niedługo. Zaraz jedziemy dalej.

Ostrowski zameldował się u adiutanta, został natychmiast wpuszczony do pokoju i — stanął w progu jak wryty... Pułkownik Wagner, słynący w korpusie zarówno ze swej odwagi jak potężnej budowy, miał wygląd czło-

wieka złamanego. Oczy głęboko podkrążone, skóra na twarzy jakby obwisła raptownie. Tak wyglądają ludzie po długim niespaniu lub wielonocnej hulance. Ostrowskiemu wydało się nawet, że duże, silne ręce pułkownika drżą z lekka. Będąc sam starym, bojowym oficerem domyślił się z miejsca, że musiało zajść coś złego, coś może bardzo złego. Tknięty tym przecuciem skierował na Wagnera pytający wzrok. Pułkownik niemy ruchem wskazał mu krzesło. Dopiero gdy adiutant wyszedł z pokoju, zapytał:

— Pan co zamierza robić?

— Ja?...

— O niczym pan jeszcze nie wie?

— Mianowicie?

— Proszę pana, był u mnie generał Acher i zlecił aby pułki ruszyły do wyznaczonych nowych miejsc postoju w Weitensfeld, gdzie mają zdać konie konowodom i sami rozłasować się w obozach. Dowiedziałem się, że są to obozy jeńckie, otoczone drutem kolczastym itd. Samo przez się nie ma w tym nic nienormalnego. Raczej przeciwnie. Wolałbym tysiąc razy, aby nas od początku potraktowali jako zwykłych jeńców według wszystkich praw i przepisów dla jeńców wojennych przewidzianych. Niż całą tę komedię...

— Komedię?!

— Zaraz. Bo jednocześnie dowiedziałem się, że cały kozacki korpus ma zostać wydany w ręce bolszewików. To znaczy na śmierć, lub los w każdym razie tragiczny.

Ostrowski zbladł.

— Czyżby ta wiadomość... Czyżby ta informacja — poprawił się dla czegoś — mogła być pewna?

— Niestety, najzupełniej. Uzyskał ją szef naszego wydziału wywiadowczego major Tritsch ze źródeł nie ulegających wątpliwości. Radzę panu uchodzić do rosyjskiego korpusu Rogożina, który składa się z samych starych emigrantów. Póki czas. Podobno starych emigrantów nie będą wydawać. O tym również wywiadził się major Tritsch.

— A pan, pułkowniku?

— Ja też nie będę czekał. Wszystko przygotowałem. Biorę jednego jucznego konia, swego luzaka i spróbuję przebijać się konno, górskimi tropami do Bawarii. Najważniejsza rzecz jednak to powiadomić ludzi. Ze swej strony poinformowałem wszystkich kogo mogłem osiągnąć

o mającym nastąpić wydaniu, pozostawiając im wolną rękę w wyborze decyzji. Chodziłoby jednak o najszerze rozpowszechnienie tej informacji wśród szeregowych Kozaków. Między innymi chciałem też pana prosić o pomoc w tej sprawie. Za wszelką cenę trzeba powiadomić Kozaków.

Ostrowski wstał. Podniósł się też Wagner, podszedł do majora i objął go na pożegnanie. Ostrowskiemu się zdało, że w jego oczach dostrzega łzy.

Niebawem drogi ich się rozeszły. Pułkownik Wagner ruszył konno leśnymi ścieżkami, na przełaj, w góry, biorąc kierunek północno-zachodni. Major Ostrowski kazał jechać najpierw do miejsca postoju Korpusu Rosyjskiego, ażeby uprzedzić o możliwej zdradzie, a stamtąd skierował się do swego 1-szego dońskiego pułku.

Była godzina 10-ta wieczór.



Iwan Jacenko, kolega Miti z Korpusu Kadeckiego, z którym się spotkał pod Warażdżin, mianowany w ostatnich dniach przed kapitulacją chorążym, przeniesiony został do innego pułku. W sztabie 1-szego dońskiego znalazł się tego dnia raczej przypadkowo. Jak inni oficerowie korzystał z względnie dużej swobody ruchów. Znając język, rozmawiał z wieloma Anglikami, którzy stali w tym samym hotelu i cieszyli się, iż spotyka z ich strony objawy szczerzego współczucia, a także zrozumienia dla sytuacji, w jakiej znaleźli się antysowieccy emigranci, czy raczej bojownicy o wolność własnej ojczyzny. Z pewnym porucznikiem brytyjskim sfotografował się nawet wspólnie i długo tłumaczył mu zawiłe problemy polityczne, oraz krzywą linię rozdzielającą ideowe fronty świata.

— *I see. I see* — powtarzał Anglik.

Później Jacenko dał mu się przejechać na swoim koniu, co tamtemu sprawiło widoczną radość.

Było już po kolacji, gdy major Ostrowski zawezwał wszystkich oficerów pułku na naradę. A właśnie dopiero przed chwilą otrzymał ów rozkaz od dowództwa brytyjskiego, o którym mówił Wagner, że pułk ma następnego dnia zmienić miejsce postoju. Ostrowski w kilku słowach uprzedził o jaką to zmianę „miejsca postoju” chodzi i za-

wiadomił zebranych o mającym nastąpić wydaniu. Wrażenie było piorunujące. Po kilku rzeczowych pytaniach nastąpiła długa, nękająca chwila milczenia. Jacenko był obecny; nie uwierzył. Ale jako nienależący do pułku głosu nie zabrał.

— Chciałbym usłyszeć zdanie, jak nam, oficerom, wypada w tej sytuacji postąpić? Proszę młodszego chorążego... — zwrócił się w myśl tradycji rad wojennych do najmłodszego rangą z obecnych.

Tamten wstał i wypowiedział zdanie, że honor i obowiązek oficera nie zezwala na opuszczenie w takiej chwili szeregowych Kozaków. Z tym zdaniem zgodzili się kolejno wszyscy oficerowie. Po czym nastąpiło znowu kłopotliwe milczenie. Oczekiwano na rozkaz dowódcy. Ostrowski wstał:

— Rozkazuję jutro w czasie wymarszu powiadomić Kozaków o groźbie wydania ich w ręce bolszewików. Jednocześnie zwolnić ich od obowiązku służby. Każdy z nich może postąpić według własnego osądu. To samo, od jutra, dotyczy wszystkich oficerów. Narada skończona.

Jacenko raz jeszcze chciał wyrazić swą wątpliwość i raz jeszcze zmilczał.

Ranek 28 maja wstał błękitno-jasny, zapowiadający dzień upalny taki sam, jak w odległym o 100 kilometrów na zachód Lienz. W lekkim, górskim powietrzu pachniało żywicznym lasem. Na hotelowym podwórzu piał kogut, niezjedzony dotychczas przez żadne z walczących wojsk. Z łąki dochodziły głosy i poszczekiwanie kawaleryjskiej uprzęży. Kozacy po raz ostatni kulbaczyli swe konie. Ostry pisk jastrzębia unosił się nad lasem. Po bokach drogi, którą wypadło maszerować stały warty brytyjskie, gniazda karabinów maszynowych, krążyły lekkie tankietki, gdzie-niegdzie widziano czołgi.

Przodem ruszyło 9 socien 1-szego dońskiego, zatem grupa pancerna ROA, grupa Ukraińców, 3-cia kubańska konna bateria i tabory. Czekwały na swoją kolejkę wymarszu: 2-gi syberyjski i kałmucki pułki. Rozbrzmiał po szosie tak dobrze znany klekot końskich podków. Szli bez śpiewu, którym zazwyczaj rozpoczynali marsz w tak piękny jak ten, poranek. Rozmowy w szeregach były przyciszone. Oficerowie zaczęli rozjeżdżać wzdłuż rozciągniętej kolumny i mówić do Kozaków coś, czego Anglicy nie mogli rozumieć. Jacenko widział jak twarze niektórych nagle bladeły pod

wpływem zasłyszanych słów; inni wzruszali tylko ramionami. Ten i ów splunął pod kopyta. Ten i ów zaklął brzydkimi wyrazami. Kilku otworzyło usta w zdumieniu; kilku przybrało twardą, złą maskę oblicza i nie poznać, nie wyczytać z niej jaką powezmą decyzję. Ale kolumna szła dalej. Jak dreszcz tylko przebiegał po niej szept, podobny z daleka do szepu zeschniętych liści.

Kolumna szła w ordynku marszowym. Jacenko w duszy nie wierzył jeszcze. Na razie z nikim nie rozmawiał, nie przytaczał argumentów politycznych, które niegdyś wykladał Miti. Odłożył je na później, schował w głęboką skrytkę rozsądku, ażeby nie rozpraszać się. Na razie skupił całą świadomość i ześrodkował wysiłek, aby nie wierzyć. Nie wierzyć w aktualny, wszystko inne przesłaniający, oczywisty dla niego: absurd. Nie mógłby w tej chwili powiedzieć co ma nastąpić, ale: nie to, nie to!

Pierwszym był Kozak, który zeskoczył z konia i piechotą dał nura w gęstwinę leśną. Jego koń posłuszny nakazom służby, którą spełniał od dawna, poszedł w szeregu bez jeźdźca. Potem, w miejscu gdzie odchodziła w lewo leśna dróżka, pokryta zieloną trawą (taką typową, jasną trawą, która nagle odbija naiwną świeżością od czerni jodłowego lasu) raptownie skrzyły dwie sekcje Kozaków ze starym wachmistrzem na czele i poszły w głąb lasu, raniąc podkowiami zieloną trawkę. Anglicy nie widzieli. Nie wszędzie wzdłuż drogi stały w jednakowym odstępie ich warty. Jeszcze w jednym miejscu odbił się i pocałował w góry pół-pluton, jeszcze tu i ówdzie uciekał pojedynczy konno lub pieszo. Ale kolumna szła dalej.

„Nie wierzą tak jak ja”, pomyślał Jacenko. „Czy tylko boją się odbić od stada?”

Wielka jest siła przyciągająca tłumu. Masa ludzka rządzi się innymi prawami, i innym rozumem niż pojedynczy człowiek. Czy ilość zmienia się w jakość? Nauka marksizmu twierdzi, że: tak. A bolszewicy budują na tej nauce swą praktykę. Oni wiedzą dużo takich rzeczy, które ukryte są dla oka jednostki. Wielką jest siła przyciągająca zbiorowiska. Czasem równa tej, co przyciąganie ziemi. W kupie jest pewniej. A tam, tam... zobaczy się jeszcze. Kolumna szła i szli z nią dalej wszyscy oficerowie. „Ze ja nie uciekam, to zrozumiałe, ale oni, czemu nie?”, zastanawiał się Jacenko.

Te rozmyślenia przerwał mu niepoliczony z kolei zakręt drogi, za którym wyłoniły się zabudowania tartaku w Weitensfeld. Od razu rzuciło się w oczy miejsce przeznaczone na obóz, otoczone gęstym parkanem z drutów kolczastych. Tu zatrzymano wszystkich oficerów i odłączono od wojska. Kozacy mają iść dalej, niezbyt daleko, w drugi identyczny, o wiele tylko obszerniejszy kwadrat otoczony drutem kolczastym. Tam ich spieszą, a wyznaczeni specjalnie konowodzi poprowadzą konie na łąki. Pozostali ich już nie zobaczą. Tabory porzucono w nieładzie.

Oficerowie mają prawo zabrać ze sobą po jednym ordynansie. W liczbie około 190 mężczyzn znalazły się też cztery kobiety. Dwie z nich to żony, jedna wdowa po oficerze-lekarzu, i jedna córka duchownego. Jacenko złązi leniwie z konia, przywykłym ruchem podciąga regulaminowo strzemiona, żeby się nie bełtały po bokach, zakłada w nie rzemień, odwraca się i idzie z innymi za druty. No i co teraz?

Oficerów ustawiają w dwuszerę przed barakiem sztabowym i zaczyna się rewizja osobista, którą przeprowadzają rośli żołnierze walijskiej gwardii królewskiej. Każdy z rewidowanych musi podnieść rękę do góry. Rudawy sierżant z grubą pałką w rękę wymachuje nią przed twarzą i wymyśla, gdy się natychmiast nie spełnia jego rozkazów. „Jacy oni tam oficerowie”, usłyszał Jacenko, jak sierżant mruknął pod nosem do żołnierza, „po prostu zdrajcy”. — „Tak, to chyba prawda, co mówił major Ostrowski”, pomyślał.

Chłopcy walijskiej gwardii obszukują każdego i zabierają co się komu podoba: zegarki, pieniądze, drobiazgi osobiste... Grupa oficerów brytyjskich stoi oddzielnie i paląc, nie patrzy w tę stronę. Gdy przyszła kolej na Jacenkę, poczuł z największą przykrością iż nie potrafi opanować drżenia podniesionych do góry rąk. Ale to nie ze strachu i nie z poniżenia. Na gorsze, o wiele gorsze niż te tu, napatrzył się rzeczy w ciągu wojen. I od tego napatrzenia przywykł już sam. Nie dlatego też, że raptem uwierzył w mające nastąpić wydanie w ręce bolszewików. O tym znowu przestał myśleć. Coś innego uwiera go w tej chwili na duszy i w jakiś dziwnie osobisty sposób jego tylko dotyczy. Jego, po dwudziestu pięciu latach przebywania w Europie zachodniej... Żołnierz walijskiej gwardii kró-

lewskiej przeszukał mu kieszenie i z lewej górnej zabrał drogie wieczne pióro. Jacenko mimowoli zmrużył oczy.

Można już opuścić ręce, rewizja osobista skończona. Przy nikim nie znaleziono ukrytej broni. Oficerowie kozaccy rozchodzą się bezmyślnie po trawie obozu, lub stoją grupkami, coś do siebie mówiąc półgłosem. Major Ostrowski wystąpił z oficjalnym protestem przeciwko zabieraniu prywatnej własności. Gestykulując nerwowo przedkłada swój protest brytyjczykom, im, którzy tak bardzo nie lubią ożywionych gestów i machania rękami.

Jacenko czuje, że nastąpił w nim jakiś przełom wewnętrzny, jakiś wybuch, którego nie potrafi już dłużej opanować. Może to reakcja na poprzednio zbyt długo zachowane milczenie. Musi teraz mówić, dużo mówić, mniejsza o to do kogo. Szybko podchodzi do stojącego samotnie podpułkownika kozackiego, którego przelotnie poznał zaledwie wczoraj i zaczyna mu się prędko zwierzać:

— Pan wie, mnie ukradli wieczne pióro...

Pułkownik o skroniach przyproszonych siwizną, spojrzał nań z ukosa, obojętnie, i odjąwszy od usta papierosa, odpowiedział wypuszczając dym:

— Nie panu jednemu.

— Tak, ale to jest... To jest coś... Pan rozumie, pułkowniku: wieczne pióro...

— Mhm, to nie jest jeszcze najważniejsza rzecz w życiu.

— Nie o to chodzi... Nie chodzi naturalnie o wagę, o cenę. Chodzi... Pan rozumie, że ja byłem w Anglii, ja mieszkalem kilka lat w Londynie... I wie pan na stacji kolejki High Street Kensington...

— Nie byłem nigdy w Londynie — przerywa mu pułkownik przyglądając się jakiemuś szczytowi górskiemu.

— To jest stacja kolejki podziemnej, no... Wsiadam właśnie z Circle Line i śpieszę się. Pan wie? A coś tam notowałem na brzegu gazety. To znaczy to było tak: podjeżdżam i widzę już na niebieskim otoku napis: High Street Kensington... Tu naturalnie plakaty reklamowe. Oni mają nawet ładne plakaty. A miałem wysiadać. Więc zrywam się, w pośpiechu zostawiam gazetę i wyskakuję na peron. Później biegnę po schodkach... Tam są schody zwykajne, nie ma tych co same jadą. Musiałem się śpieszyć bo umówiłem się z kimś u Barkers'a...

— U? Gdzie? — pyta od niechcenia pułkownik zajęty najwidoczniej swoimi myślami.

— Ach, pan nie wie. Barkers to taki jeden z największych magazynów uniwersalnych w Londynie. Tam zawsze olbrzymi tłum. Tłum zresztą wielki o tej porze i na całym Kensingtonie. I oto gdy już jestem w tym magazynie, w tym największym tłumie, dotyka mnie za łokieć jakiś pan: „*I am sorry*, mówi, to znaczy przykro mi, mówi ledwo pana dopędziłem. Zostawił pan w kolejce swoje pióro”. Nowiutkie, złote pióro.

— Mhm.

— Ja mówię: „Ach, jakżeż mam panu dziękować! I tak się pan fatygował!” A on: „Cieszę się, że udało mi się pana dosięgnąć”. Ja jemu mówię: „Serdecznie dziękuję” a on mi odpowiada: „*Thank you*, też, dziękuje”. Więc pan rozumie, co to za ludzie i co za kultura! Gdzieżby tak u nas, w jakimś Woroneżu, na przykład!

— A pan z Woroneża?

— Nie o to chodzi, pułkowniku! Przecież nie o to chodzi. Chodzi o to, że tu, nagle, teraz, gwardzista królewski kradnie mi to samo właśnie wieczne pióro... Mnie, bezbronnemu oficerowi, jeńcowi!

— A mnie zegarek.

— No więc jakże to być może, do diabła! Przecież ostatecznie... Czym się tłumaczy? No, niech pan powie czym pan to tłumaczy? Jakies tłumaczenie musi być. Co to wytwarza? Czy tylko tak zwane: „prawa wojny”?

Pułkownik od poprzedniego niedopałka zapalił drugiego papierosa.

— Myślę — odpowiedział — że to prawa... Jakby to powiedzieć: raczej prawa typowo ludzkie. Ale zaraz, coś tam ogłaszają. — I poszedł w stronę gdzie gromadziło się właśnie najwięcej oficerów. Jacenko bezwolnie ruszył za nim z tyłu.

Oficer brytyjski obwieścił przez tłumacza, że niniejszy obóz jest przejściowy. Na jutro rano wszyscy muszą być gotowi do dalszej drogi.



Nikt nie spał tej nocy. Człowiek znękany podobny jest drzewu, które nadgryzają u korzeni jakieś złośliwe owady.

Bo takie są już prawa natury, że zawsze można w nich dostrzec analogie. Czasem bardzo oddalone, ale zawsze jakieś: pomiędzy człowiekiem, zwierzęciem, rośliną.

Rankiem 29 maja ustawili się na placu z rzeczami, jakie kto jeszcze posiadał. Młoda wdowa po zabitym w Chorwacji oficerze-lekarzu miała nawet gramofon, z którym nie chciała się rozstać i woziła go ze sobą. Niebawem wkroczył oddział żołnierzy brytyjskich i ustawił się na przeciw. Zjawiła się też grupa ich oficerów. Starszy, z generalskimi odznakami na mundurze, wystąpił przed front oficerów kozackich i w słowach krótkich oświadczył zimno:

— Na mocy umowy zawartej pomiędzy rządem Jego Królewskiej Mości i rządem Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich, wszyscy Kozacy, za równo oficerowie jak szeregowi, a także ich rodziny, zostaną przekazani władzom sowieckim.

Nastąpiła śmiertelna cisza. Cisza wywołana wielkim skupieniem w sobie, jaka zapada często po wygłoszeniu wyroku śmierci. Anglik mówił jeszcze coś o porządkowej stronie załatwienia sprawy, ale mimo trwającej ciszy nikt go nie słyszał. Pierwszy wystąpił major Ostrowski. Najwidoczniej z trudem dobierał słowa i z jeszcze większym wysiłkiem usiłując zachować pozory zewnętrznego spokoju — zaprotestował uroczystość w imieniu oficerów i żołnierzy. W imieniu wszystkich Kozaków. W imieniu praw i godności ludzkiej... Zaczął mówić coraz szybciej i coraz bezładniej. Wszyscy pojęli że to co mówi nie ma żadnego znaczenia i nie odniesie żadnego skutku. On sam to pojął i raptownie urwał. Anglicy słuchali co powtarza tłumacz z wyrazem lekkiego znudzenia na twarzy. Im się spieszyło aby możliwie najprędzej zakończyć tę scenę, która niewątpliwie dla wielu z nich, musiała być osobiście przykrą.

— Niestety — oświadczył generał — jestem tylko wykonawcą rozkazów jakie otrzymałem. Wszyscy muszą zostać wydani dobrowolnie, lub przy użyciu siły.

W tej chwili na plac zajechały ciężarówki.

— Proszę wsiadać do maszyn!

Nikt się nie ruszył. Wtedy na dany znak, stojące w pobliżu tankietki skierowały na oficerów kozackich lufy armatek. Żołnierze przyjęli postawę gotową do strzału. Ale nikt się nie ruszył.

Po twarzy Anglika przebiegł nerwowy tik. Zmarszczył brwi i oświadczył ostro:

— Powiedziałem, że wszyscy będą wydani i zostaną wydani. Żywi lub umarli. Dlatego proponuję: kto chce żyć, proszę, niech odchodzi na prawo. A kto woli być rozstrzelany, na lewo.

Jeszcze chwila ciszy. Jeszcze przez chwilę nikt się nie ruszył. Być może większość szczerze nie wierzyła w możliwość strzelania. Nagle dał się słyszeć rozdarty rozpaczą głos kobiety:

— Przeklęci, zdrajcy, sprzedawczycy!!! — krzyczała histerycznie młoda wdowa po lekarzu. — Do ojczyzny! Do ojczyzny! Nie ma dla nas życia nigdzie! — I uderzeniem obcasu usiłowała miażdżyć leżący koło niej gramofon. Ale i obcas i uderzenie były widocznie za słabe, bo gramofon wywrócił się tylko na bok i nie poddawał zmiażdżeniu. Wtedy zaczęła kopać i rozrzucać wokół swoje rzeczy.

Pierwszy ruszył do maszyn duchowny, ojciec Eugeniusz. Za nim jeden po drugim większość oficerów. Pomiędzy nimi trzecim z kolei był Jacenko. W wewnętrznej pustce nie odczuwał żadnej ochoty do stawiania oporu. Idąc myślał: „Strzelać nie będą, oczywiście. To tylko na postrach”. Ale szedł, gdyż nie dostrzegał przed sobą żadnego innego sensu. Milcząc wdrapał się do maszyny i skulił w jej rogu. Załadowane ludźmi ciężarówki wyszły na drogę i zatrzymały się w odległości 800 metrów od obozu.

Na placu pozostała nieduża grupa oficerów wokół majora Ostrowskiego. Pod jej adresem padły nowe groźby. Wówczas pewien sotnik podszedł do generała i zwracając się do tłumacza prosił o wydanie po jednym naboju dla każdego, aby mogli popełnić samobójstwo. Generał i tym razem wysłuchał do końca, uczynił przeczący ruch głową i dał komendę miotaczom ognia. Puszczono strugi spalające wokół trawę.

— Lepiej się — powiedział ktoś. — Nogi bolą. Niech nas palą. — Skazańcy rozsiedli się na murawie. Ktoś z duchownych począł głośno odmawiać modlitwy, jakie się odmawia w godzinę śmierci.

Miotacze jeszcze ze trzy razy plunęły wokół ogniem na postrach, nie odniosły wszakże skutku. Wtedy padł nowy rozkaz do żołnierzy, na razie przez siedzących niezrozumiany. Żołnierze pozostawili broń i dokądś pobiegli. Po

krótkiej chwili pojawili się ponownie z pękami sznurów i drutów. Zaczęli wiązać pierwszego z brzegu. Major Ostrowski zerwał się z pianą na ustach, jał wymyślać generała brytyjskiego. Usiłował przy tym dobierać przekleństwa włoskie, bo znał ten język, a sądził, że generał może go również poznać w kampanii włoskiej. Ktoś go odciągnął za rękaw:

— Nie trzeba! Niech nie wiąże! Z wolnymi rękami łatwiej będzie uciekać.

Wtedy skapitulowano. Porzucając rzeczy, ostatnia grupa udała się do samochodów. Anglicy najwidoczniej byli zadowoleni. Idący koło Ostrowskiego oficer gwardii poradził mu poufnie:

— Niech pan lepiej zdejmie wstążeczki orderowe.

Major jednym pociągnięciem zerwał je wszystkie i rzucił na spaloną trawę. Wtedy Anglik nachylił się z uśmiechem, podniósł je, strzepnął i schował do portfela.

— To sobie zachowam na pamiątkę — powiedział zyczajnie.

Ostrowskiemu krew uderzyła do twarzy i pociemniało w oczach. Rozerwał kołnierz munduru, cisnął pod nogi papachę i omal nie uderzył w twarz oficera.

— Ale teraz — krzyknął — mam już tego dosyć! Teraz możecie mnie spokojnie rozstrzelać! Nigdzie się nie ruszę!

Uznano go za niebezpiecznego sangwinika. Dwuch żołnierzy chwyciło za ręce, trzeci przyłożył pistolet automatyczny do pleców i w ten sposób doprowadzono i wsadzono go do maszyny. Samochody ruszyły.

Zaledwie jednak zdążyły odjechać i przyłączyć się do czekających na drodze uprzednio załadowanych ciężarówek, gdy coś niezwykłego zaczęło się dziać z tyłu: padły jakieś okrzyki, gwizdek, krótka syrena. Widziano jak przyleciał do obozu goniec na motocyklu, pokryty kurzem. Po krótkim zamieszaniu konwój wstrzymano i wezwano majora Ostrowskiego z powrotem do komendy brytyjskiej. Tu mu oświadczono, iż przyszedł rozkaz, że starzy emigranci mają prawo pozostać i wydani nie będą.

— Podjedziemy teraz do kolumny — powiedział generał i niech pan przedstawi listę grupy oficerów, tej z ostatniej maszyny. Kto z nich jest starym emigrantem?

— Dobrze.

Gdy major zbliżył się do ciężarówki, w której siedziała grupa „opornych” i dał do zrozumienia, aby wszyscy podali się za emigrantów sprzed 1938 roku, ktoś zawołał z wewnątrz:

— Panie majorze! Sotnik Popow zwariował! — Wy-niesiono na rękach plującego pianą, o błędnych oczach i posiniałej twarzy byłego oficera Niżnie-Nowgorodzkiego dragonów, późniejszego Francuskiej Legii Cudzoziemskiej, ostatnio XV Korpusu Kozackiego.

— Tu go położyć! Niech się napatrzy! — skomenderował Ostrowski. Popowa położono u nóg generała brytyjskiego.

— *Well* — powiedział ten. — Do szpitala. Proszę o listę. Po chwili Ostrowski wręczył żadaną listę.

— Wszyscy starzy emigranci? *Well*, mogą wysiadać.

— A reszta?! A ci w przednich maszynach?! Generale, przecież tam większość też starych emigrantów!

— A, nie! To ich nie dotyczy. Oni przecie dobrowolnie zgodzili się jechać. — I dał tamtym maszynom znak do odjazdu.



Jacenko, siedząc z boku, widział dokładnie ze swego miejsca co się działo z tyłu. W ostatniej chwili, gdy grupa „opornych” poczęła wysiadać, straszliwa tęsknota za wolnością, za życiem, targnęła go za serce, może tak wielka nawet, że raptowny ból wydawał się nie do wytrzymania i przeszedł w kojące otępienie rozpacz.

.....

Zdaje się, że to było w Zwischenwässern na rzece Gurk, jeszcze 65 kilometrów przed Judenburgiem, w chwili gdy przejeżdżali most, gdy raptownie się wychylił, błyskawicznie uchwycił za krawędź maszyny, uczynił ostatni, największy wysiłek swego życia, i z całego rozmachu skoczył w przepaść!

Siedzący w samochodzie wstrzymali na chwilę dech w piersiach. Ktoś zasłonił dłonią oczy. Ktoś krzyknął mimowoli. Konwojujący żołnierze wychylili się gwałtownie. Ale

ciężka maszyna, nie zatrzymując się, potoczyła się dalej.

— Ech — odezwał się po chwili sotnik, który znalazł Jacenkę — poszedł Wania w dół...



Tegoż samego dnia, 29 maja 1945 roku, wyprowadzono z za drutów pułki kozackie XV korpusu. Niektóre zapewniano, że zostaną załadowane i powiezione do Włoch. — „Dlaczego do Włoch”? — pytano. — „Tam są już wasi oficerowie”. Większość Kozaków wierzyła. W rzeczywistości jednak skierowano ich w stronę przeciwną. Mianowicie do Judenburgu, gdzie za mostem, na lewym brzegu rzeki Mur, stały już posterunki sowieckie.

Rozdział VI

„KONFERENCJA”

Na zapowiedzianą konferencję z wyższymi władzami brytyjskimi wyjechała z Lienz dnia 28 maja 1945 roku następująca ilość oficerów kozackich: generałów 35, pułkowników 167, podpułkowników (wojskowych starszyn) 283, esaulów 375, podesaulów 460, sotników 526, chorążych 756, urzędników wojskowych 124, personelu lekarskiego 15, fotografów 2, oficerów łącznikowych z ROA 5 i dwóch duchownych. Łącznie — 2.750 osób.

Dopiero zajmując miejsca w ciężarówkach, niektórych coś tknęło. Były bardzo niewygodne. Część oficerów musiała stać. Mimo gorącej pory zaciągnięto brezenty. Koło szoferów siedli żołnierze uzbrojeni w pistolety automatyczne. Po przejechaniu 12 klm. kolumna zatrzymała się. Zbliżyły się lekkie czołgi, które towarzyszyły jej w dalszej drodze. Jechali wzdłuż Drawy przez Greifenburg-Steinfeld-Sachsenburg-Möllbrücke...

— Dokąd my właściwie jedziemy? — zadawano sobie kilkakrotnie pytania.

— Diabli ich wiedzą. Mówili, że do Villach. Ale...

Zwątpienie rosło. Przerzucić się z jednej skrajności w drugą nie jest łatwo. Z poczucia bezpieczeństwa w strach, z zaufania w rozpacz. Na przeszło dwa tysiące oficerów tylko pięciu gruntownie zmieniło zdanie. Zeskoczyli w drodze z maszyn i uszli w lasy.

Od Möllbrücke, wciąż korytem Drawy, droga skręca raptownie na południowy wschód i o 13 klm. dalej leży miasto Spittal. Samochody wjechały w bramę obozu oto-

czonego potrójnym rzędem drutów kolczastych. Wszędzie gęsto rozstawione posterunki. Zaczął się wyładunek. I jeszcze znaleźli się tacy, którzy rozprostowując nogi i oglądając się wokół pytali:

— Więc to tu ma się odbywać ta konferencja?...

Oficer, lekarz brytyjski, zawołał:

— Czy jest tu dr Djakonow i profesor Wierzbickij?

— Jest!

— Zechce pan profesor udać się do swego chorego generała.

Generałem chorym na serce okazał się generał Szkuro, który aresztowany w Lienz 26 maja, przewieziony został do Spittal już wcześniej.

— Jestem zupełnie zdrow — szepnął Szkuro prof. Wierzbickiemu. — Chciałem się tylko dowiedzieć kogo przywieźli?

— Wszystkich. Wszystkich oficerów Kozackiego Stanu.

— A więc jednak... — Dalszą rozmowę utrudniała obecność konwojenta angielskiego, który przyprowadził profesora. Wierzbickij dla niepoznaki zbadał generała Szkuro i wyszedł.

Tymczasem oficerów podzielono według rang, przydzielając każdej grupie osobny barak. Wewnątrz panował brud i nieład; na ziemi leżała stara słoma.

— Więc oszukali. — Z baraku wyszedł postawny oficer otrzepując żdźbła słomy, które przyłgnęły do jego mundur z wstążeczkami orderów. — Zamiast konferencji mamy obóz jeniecki. Ale dlaczego, do wszystkich diabłów, nie pozwolili zabrać rzeczy, czy chociażby płaszczy?

— Wtedy nie byłoby oszukaństwa.

— Oby nie gorzej. Gdy z celi NKWD wywołuje: „biez wieszczej”, bez rzeczy, to raczej zły znak!

W tej chwili oficer brytyjski zaanonsował przez tłumacza:

— Proszę generałów: Piotra Krasnowa, Domanowa i Tichockiego!

Powiedziano mu, że Krasnow źle się czuje.

— W takim razie wystarczy dwóch.

Domanow i Tichockij poszli. Przedstawiciel armii brytyjskiej oświadczył im łodowatym głosem:

— Proszę powiadomić wszystkich oficerów, że zgodnie z umową zawartą między władzami wojskowymi Zjedno-

czonego Królestwa i Związku Sowieckiego, przekazani zostaną do rozporządzenia sowieckich władz wojskowych. Odjazd ze Spittal nastąpi jutro o godzinie 4-ej rano.

— Kiedy taka umowa została podpisana? — spytał równie lodowatym głosem Domanow.

— Dnia 23 maja roku bieżącego.

Tichockiemu zrobiło się słabo i upadł.

Gdy wiadomość ta zakomunikowana została oficerom kozackim, w pierwszej chwili nikt nie odezwał się słowem. Kto siedział właśnie, ten się nie ruszył. Kto stał, ten stał dalej. Zaskoczenie ludzi, przywykłych do zaskoczeń wojennych przeszło wszelkie oczekiwanie i wszelką ich dotychczasową praktykę. Pierwsze rozmowy utrzymane były raczej w tonie spokojnym:

— To jest jednak, mimo wszystko, coś niezwykłego.

— Ale nas podeszli, co?

— Gdzie ta umowa została zawarta?

— W Wiedniu.

— Nie chodzi o to gdzie! Ale: kiedy!!... Wyobraźcie sobie panowie: już 23 maja! Nie mieści się w głowie! A nas w ciągu tych wszystkich dni kołysano w przekonaniu, że...

— Ech tam. Co tu rzecz taić: samiśmy się dali ukołysać. Trzeba było wcześniej przewidzieć i strzelać do gadów i raczej zginać!

Wzburzenie narastało. Skądś uzyskano nawet szczegóły: Ponoć umowę z bolszewikami podpisywał właśnie generał Alexander.

— Tfu! A nasz stary do niego listy pisał! W tym czasie.

— Rzecz nie jest w podejściu — mówił młody podesauf, niedawno z Rosji i wychowany już w ustroju sowieckim — ale w rodzaju tego podejścia. Czy NKWD nie potrafi podejść? Potrafi i jeszcze jak! Ale tu coś takiego... — i nie umiając dobrać odpowiednich słów, strzepnął tylko palcami.

— Słusznie, o to właśnie chodzi — podtrzymał go pułkownik ze starej emigracji. — Dali nam pałką po głowie i ogłuszyli. Ale na czym ta pałka polega? Na stylu, proszę panów, na stylu załatwienia „tej sprawy”. Oto czego nikt z nas nie mógł się spodziewać! To tego stylu właśnie. Byliśmy świadkami gorszych rzeczy. Co wyrabiało

NKWD? Co wyrabiał Gestapo? No, co tu gadać, straszne rzeczy! Może by w odwróconej sytuacji postąpiono z nami gorzej, pięć, dziesięć razy gorzej. Ale nie właśnie: tak! Nie tak, panowie, nie tak, nie tak, nie tak!

— Według mnie to bardzo prosto: NKWD, czy Gestapo biłoby nas pałkami, a Anglicy pobili: „słowem honoru”!

— Mnie się jeszcze nie mieści w głowie: przecież to „gentlemani”! Przecież całe pokolenia wzorowały się właśnie na tym: „stylu”.

— To jest po prostu coś... Odrzućmy prawa, moralność. To są wszystko rzeczy już dawno wyrzucone na śmietnik. Ale żeby w ten sposób...

— Panowie! Panowie oficerowie! — krzyknął nagle młody sotnik. — Będziemy się bronić do ostatniej kropli krwi! Raczej umrzemy! A nie damy się wydać na szubienicę! — Miał rozpięty kołnierz polowej bluzy i gestykutował zapamiętale.

— Czym bronić? Gołymi rękami? — Stary pułkownik przysiadł na pustej skrzyni i splótł dłonie na kolanach. — Nikt, proszę panów, palcem nie ruszy. Jesteśmy skazani na śmierć, a skazańców opanowuje zawsze w ostatniej chwili paraliżująca niemoc. Kto się broni kiedy w chwili szubienicy czy katowskiego miecza? Nikt. Słyszał pan kiedy, sotniku, o takich? Ja nie. Odczytali wyrok śmierci i klapka zapadła. Szlus. Skazaniec to już jest inny gatunek człowieka. Najtrudniej się bronić, gdy nie ma żadnej nadziei. Pan wie, sotniku, ilu oficerów polskich w Katyniu miało związane ręce? Tylko cztery procent. A byli tam też przecie ludzie gorącego serca, możesz pan być pewien.

Jakoż istotnie, nikt nie przygotowywał się na razie do rzucenia na Brytyjczyków z gołymi rękami. Natomiast poczęto zrywać z siebie dystynkcje oficerskie, szarpać paradne mundury włożone na „konferencję”, zdzierać czerkieski, zrywać ordery. Niektórzy wprost z szyi na brudną podłogę baraków rzucali nawet krzyżyki święte. Deptano po wyrzuconych dokumentach, rwano listy i fotografie, jakie kto miał przy sobie.

Pierwszy powiesił się dziennikarz Eugeniusz Tarusskij. Ten sam, który zaledwie parę dni temu wręczał majorowi Davisowi spis dziennikarzy.

Starzy emigranci próbowali redagować jakoweś petycje

na jakowyś adres. Nowi emigranci wytykali im za to „tchórzostwo i brak solidarności”. Dochodziło do gorszących kłótni, zupełnie zresztą bezprzedmiotowych, albowiem petycji tych nie tylko nikt nie rozpatrywał, ale nawet nie przyjmował. Przez pewien czas ostatnią nadzieję pokładano znów w generale Krasnowie, ze względu na jego bądź co bądź głośne nazwisko i ciągle tę rzekomą, osobistą znajomość z generałem Alexandrem. Kto pierwszy wpadł na ten pomysł, nie wiadomo, ale postanowiono przywołać zza drutów, któregoś z wyższych przedstawicieli armii brytyjskiej, żeby Krasnow mógł z nim porozmawiać.

— Piotrze Mikołajewiczu, pan się zgodzi?!

— Zrobię co chcecie. Tylko stary już jestem bardzo... — uśmiechnął się z wyrazem winy. — Nie ustoję długo, czekając na tego oficera.

Wyszukano więc krzesło, wyniesiono je i ustawiono koło bramy obozowej. Ale wartownik brytyjski kopnął krzesło i rozleciało się ono na drobne kawałki.

Drugi powiesił się pułkownik Michajłow. W ostatniej chwili odcięto go jednak wraz z pętlą.

Przyszła pierwsza noc po wyroku. Nikt nie mógł zmruczyć oka. Noc pełna kurczowego napięcia, zapamiętania w milczeniu, noc wspomnień, ale też głośnych rozmów, szaleńczych planów ucieczki, sporów i debat poczętych w stanie najwyższego zdenerwowania. Jedna z nich zaczęła się od tego, że wojskowy starszyna rzucił przez zęby:

— Znaczy: koniec kontrrewolucji!

Na to odparł młody sotnik:

— To, do czegośmy dążyli nazywa pan kontrrewolucją?

— A pan?

— Ja?! Postępem! Dążeniem do lepszego jutra. Do wolności, do swobody, do złamania właśnie stalinowskiej reakcji! Tak, reakcji! — zapalał się coraz bardziej. Twarz jego przybrała wyraz chorobliwego podniecenia.

— To jest takie głupie gadanie! — przerwał ze złością szpakowaty pułkownik. — Rewolucja bolszewicka jest największą z rewolucji, więc słusznie w tej chwili uchodzić może za jej synonim, za symbol. A co ona przyniosła? Najgorsze nieszczęścia jakie świat spotkać mogły! Najgorszą niewolę, największe zło. I raptem to, co było przeciw niej, przeciw temu złu, czyli kontr-złu, kontr tej przeklętej rewolucji, zaczęli różni salonowi bolszewicy piętnować

jako rzekomo „reakcyjne”, wsteczne, niepopularne... Co za idiotyzm! Tylko głupiec może...

— Pułkowniku! Żądam, żeby pan cofnął swoje słowa!

— sołnik wstał dysząc przepalonym od tytoniu oddechem.

— Nie cofnę! Nie cofnę! — pułkownik tupnął nogą. — Kto dziś przemawia przeciwko kontrrewolucji? Wszyscy marksiści, socjaliści, mieńszewicy, którzy twierdzą, że Stalin rzekomo „zdraadził rewolucję”. A dlaczego „zdraadził”?! Dlatego, że ich nie posadził na swoje miejsce, oto dlaczego są źli! Mieńszewicy i inne łajno, to nie żaden przeciwnik, to tylko konkurent bolszewizmu. Tak samo jak wszyscy faszysci, narodowi socjaliści i inna hołota, która jest też przeciwko „kontrrewolucji”. I widzimy do czego doprowadzili.

— Jednak ja żądam, żeby pan odwołał rzucone pod moim adresem...

— A ja pluję na pańskie żądanie! Krew przelewałem za kontrrewolucję. A on mi tu...

— Panowie! — wtrącił któryś z oficerów też powstając ze słomy zaścielającej podłogę. — Po pierwsze tak nie można. Po drugie, pułkowniku, jest przecie nie tylko marksizm i faszyzm, ale jeszcze demokracja, która...

— Demokracja?!!! — Pułkownik gwałtownie zatoczył wokół ręką. — Ma pan tę swoją „demokrację”?! Pilnuje w tej chwili drutów kolczastych. Ja pytam: czy za czasów tak zwanej „najczarniejszej reakcji” można by było postąpić w ten sposób z tysiącami oficerów, politycznych bojowników jakiejś idei, którzy proszą o azyl! Jak z nami postąpiono? I to postąpiła „najdoskonalsza demokracja w Europie” ta właśnie, wychwalana angielska?! Ja żądam odpowiedzi na...

W tej chwili pchnięte z siłą otwały się drzwi z podwórza:

— Panowie! Zastrzelił się generał Siłkin!

Nastąpiła cisza. Ktoś wyjął chustkę i wytarł nią nos. Ktoś inny szepnął: „A jednak zachował swój pistolet”. Pułkownik wyszedł do przyległej izby, trzasnąwszy za sobą drzwiami. W głębi, ktoś zgarbiony, z głową ukrytą na kolanach, zaczął nagle płakać. Ten płacz męski wydawał się bardziej niż przykry, w tej chwili nie do zniesienia i aby go nie słuchać, wielu podniosło się i poczęło rozchodzić.

Czwarty z kolei powiesił się oficer kozacki nazwiskiem Charłamow. Umocowawszy pętlę wokół belki u pułapu w pustym baraku.



Nazajutrz, 29 maja o świcie, dwaj duchowni prawosławni, protojerej Aleksander i ojciec Wasyl, wyszli na plac przed barakami, i rozpoczęły się uroczyste modły do Boga o zmiłowanie. Wokół stłoczył się tłum zarówno prawosławnych jak muzułmanów.

W tym czasie pewien pułkownik zamierzał ukryć się w szafie, która leżała przewrócona dnem do góry w kącie jednego z baraków. Uczynił jednak fatalnie, że zdradził się z tym planem przed innym, który go wyprzedził. Zrozpaczony pułkownik ukrył się wtedy pod kupą śmieci. O tej samej porze jeden z sotników dońskich, odczekał aż wszyscy wyjdą na modlitwę, i próbował przecisnąć się za odstającą deskę sufitu, którą upatrzył zawczasu. Otwór okazał się jednak zbyt mały i sotnik w nim utknął. Akurat wchodzili do baraku żołnierze brytyjscy. Strach dodał oficerowi sił: Targnął się ku przodowi z całej mocy i w ostatniej jeszcze chwili zdołał wślizgnąć się pomiędzy sufit i pokrycie dachu. Słyszał jak jeden z żołnierzy opowiadał jakiś żart, a inni się śmieli. Podczołgał się do zewnętrznej ściany. Tu była szpara, przez którą mógł obserwować co się dzieje na placu przed barakami.

Zapowiedziane ciężarówki przybyły nie o 4-ej a o 6-ej rano. Na wezwanie do zajęcia miejsc w maszynach wszyscy jednogłośnie odmówili wsiadania. Wówczas na dany rozkaz zaczęli zbliżać się żołnierze uzbrojeni w pistolety i grube pałki. Oficerowie kozaccy stłoczyli się, ujawszy się pod ręce, starym, ale nie zawsze skutecznym sposobem. Żołnierze poczęli bić pałkami, bić po tych złączonych rękach i po głowach, po głowach! Wyrwano pierwszego z brzegu i wrzucono do samochodu. Wyskoczył. Wtedy bito go i zapędzono powtórnie. Znowu wyskoczył. Wówczas uderzeniem kolb i pałek powalono go na ziemię i skopano butami, aż zastygł bez ruchu w kałuży krwi. Podniesiono go i wrzucono na dno ciężarówki jak worek.

Ludzie zaczęli dobrowolnie wsiadać do maszyn.

Niektórzy z Brytyjczyków zaciskali zęby i mrużyli oczy.

Łatwo było odgadnąć, że masakra ta budzi w nich wstręt. Inni bili z zaciętrzewieniem, systematycznie. Był taki, który miał łyzy w oczach. Był inny, który miał koszyk w ręku. Z tym koszykiem podszedł do Kozaków i wyciągając paczki papierosów z obszernych kieszeni swego battle-dress'u, proponował:

— Za papierosa, ręczny zegarek!

Cóż po zegarku!... A wszyscy już prawie wypalili papierosy, które wzięli ze sobą na „konferencję”, gdyż przecież nie miała trwać długo. Brali tedy papierosy i rzucali ręczne zegarki.

Generał Krasnow nie wyszedł na plac. Siedział w otwartym oknie baraku i patrzył, milczący. Żołnierze brytyjscy zauważyli go w ostatniej chwili i skoczyli, by go z tego okna wyciągnąć. Kilku oficerów kozackich odepchnęło żołnierzy i wzięło swego atamana na ręce. Major angielski podszedł do Sułtan Kelec-Gireja:

— Wyznaczam pana szefem i jednocześnie odpowiedzialnym za zachowanie oficerów kaukaskich.

Sułtan Kelec-Girej splunął mu pod nogi.

Zwolnionych zostało: jeden duchowny, dwóch urzędników wojskowych i dwunastu lekarzy, w tej liczbie profesorowie Wierzbickij i Tichomirow. Wypuszczono także wyrostka, kozaczka-spadochroniarza, o przezwisku „Ryżeńki”.

O godzinie 8-ej rano ładowanie oficerów było zakończone. Do każdej ciężarówki wsadzono po trzydzieści do pięćdziesięciu osób. Ogółem zajechało: 4 sztabowe autobusy i 58 ciężarówek. Transport ochraniało: 25 lekkich czołgów, 105 motocyklistów, 140 szoferów i pomocników uzbrojonych w pistolety automatyczne; 70 żołnierzy z takimiż pistoletami, w ciężarówkach; uzbrojony oddział na czele kolumny — 30 żołnierzy, oraz w końcu kolumny — 60 żołnierzy. Ilość ogólna uzbrojenia: 310 automatycznych, 125 karabinów maszynowych, 21 armat lekkich. W ten sposób zabezpieczony konwój wywiódł ze Spittal przeszło dwa tysiące oficerów, z których tylko 32% stanowili byli obywatele sowieccy, a 68% starzy emigranci, którzy nigdy obywatelami sowieckimi nie byli. Żaden rozkaz zmieniający postanowienie w stosunku do tych ostatnich, nie nadszedł.

Konwój skierował się szosą do Judenburga. Ludzie opo-

wiadali później, że dwóch oficerów otruło się po drodze, a 19-tu próbowało uciekać. Z tej liczby ponoć tylko czterem udało się dosięgnąć lasu, a 15-tu zostało zastrzelonych przez wartowników brytyjskich.



Z obozu w Spittal, w okolicznościach bliżej nieznanych, udało się uciec pułkownikowi czerkiesów Kuczuk-Ułagaj. Tymczasem sotnik ukryty pod pułapem, odczekał aż ostatnia maszyna wyjechała za bramę i wylazł z ukrycia. W baraku było pusto. Cichaczem wyjrzał na zewnątrz: zauważył, że żołnierze na wieżach wartowniczych patrzyli na jakowyś nowy, zbliżający się transport. Nie było chwili do stracenia! Skoczył pod druty, w miejscu, gdzie zarosły wysokimi chwastami. Pierwsze dwa rzędy dało się stosunkowo łatwo przejść. Trzeci znacznie trudniej. Podrapany do krwi, ale niezauważony wydostał się poza ogrodzenie i ukrył w pobliskim ogrodzie warzywnym. Stamtąd, po pewnym czasie, odpocząwszy i zebrawszy siły, zaczął pełzać i dotarł do domu pewnego Austriaka. Ten nie wiadomo, czy bardziej z litości, czy przerażenia, dał mu się umyć i przebrać.

Mniej więcej tą samą trasą uciekał pułkownik ukryty uprzednio w przewróconej szafie, i również wydostał się przez nikogo niezauważony. Gorszy los spotkał jego towarzysza pod kupą śmieci, w rogu baraku. Wykryli go tam żołnierze brytyjscy i chcieli odprowadzić do aresztu. Przeżył on ciężkie chwile, ale ostatecznie wykupił się złotym zegarkiem, który na szczęście miał przy sobie.

Tak się skończyła „konferencja” w Spittal.

R o z d z i a ł V I I

1-go CZERWCA 1945

— Czy tłumaczka już przyszła? — spytał o godzinie 8-ej wieczorem 28 maja, major Davis, głosem z lekka zdenerwowanym.

— Yes, sir.

— Zawołać proszę.

— Yes, sir.

Przed kancelarią stała ciężarówka, jedna z tych, która wywoziła oficerów na konferencję. Powróciła pusta. Olga Dmitrijewna spostrzegłszy ją pobladła i weszła do kancelarii.

— Gdzie są nasi oficerowie? — zapytała pierwsza, nie wypowiadając życzenia „dobrego wieczoru”.

— Oni tutaj nie wrócą — odparł major.

— A gdzie są?!

— Nie wiem.

— Pan przecie zapewniał, że będą najdalej o godzinie 6-ej wieczorem. Więc pan oszukiwał?

— Droga pani, my wszyscy jesteśmy tylko żołnierzami i wykonywujemy rozkazy naszych przełożonych. Obawiam się, że nie będę miał w tej chwili czasu na dłuższą z panią dyskusję. Według moich wiadomości, pozostała w obozach jeszcze pewna ilość oficerów. Proszę wygotować ich spis.

Zaproszenie na konferencję pozbawiło żołnierską masę kozacką jej kierownictwa. Do godziny 2-ej w nocy ludzie chodzili z miejsca na miejsce i gadali, a później poszli

spać. Nazajutrz, 29 maja, o 9-ej rano zjawił się w zastępstwie majora młody oficer brytyjski i wręczając tłumaczce tekst odezwy, nakazał ją natychmiast rozpoznać. Ulotka brzmiała:

„Kozacy! Wasi oficerowie okłamywali was i prowadzili fałszywą drogą! Zostali aresztowani i już nie powrócą więcej. Teraz, uwolnieni spod ich wpływu i nacisku, możecie swobodnie napiętnować kłamstwa, którymi was karmili i nareszcie wypowiedzieć nieskrępowanie waszą wolę i wasze pragnienia. Wszystkim wam dane będzie powrócić do ojczyzny...” Dla ludzi obznajmionych z tego rodzaju stylem nie ulegało wątpliwości, że tekst ulotki zredagowany musiał być przez władze sowieckie. W końcu następowało upomnienie o bezwzględne podporządkowanie się rozkazom brytyjskim.

O godzinie 10-ej rano major Davis oświadczył, że 31 maja, o godzinie 7-ej rano, z nakazu wyższego dowództwa, rozpocznie się repatriacja pułków kozackich i ich rodzin do Sowietów.

Było jasno, ciepło, pogodnie. Wiadomość wydała się więc dosłownie przysłowiowym piorunem z jasnego nieba! Powstała panika, chaos, lament, płacz dzieci, które z przeżeniem obserwowały swoich rodziców miotających się w najwyższym zdenerwowaniu. W baraku nr 6 obozu w Peggetz, zwołano prowizoryczną radę. Na wodza ad hoc organizowanej akcji biernego oporu wysunięto podchorążego Kuźmę Połunina. Następnie ogłoszono powszechną głodówkę. Ażeby ją skuteczniej manifestować, rozklejono plakaty pisane w języku angielskim:

„Wolimy umrzeć z głodu, niż powracać do Związku Radzieckiego!”

We wszystkich stanicach i obozach wywieszono czarne flagi. Na placach obozowych zbudowano prowizoryczne ołtarze i duchowni poczęli odprawiać przy nich dzień i noc nabożeństwa, spowiadając i udzielając komunii. Naturalnie nie obeszło się bez pisania zbiorowych petycji: Do króla i królowej, do biskupa Canterbury, do Churchilla, do papieża, do króla Piotra jugosłowiańskiego, do generała Eisenhowera, wreszcie do parlamentów krajów demokratycznych. Co chwila ktoś proponował jeszcze innego adresata. Wojskowa kancelaria brytyjska petycje przyjmowała. Następnie major Davis rzucał je do kosza z papierami.

Mitia wieczorem zaszedł do baraku, siadł swoim zwyczajem na krawędzi pryczy. Ojca zastał na nogach. Ubrany w kozackie szarawary z lampasami i w czapce z otokiem, wychodził on właśnie aby napić konia.

— Czuje się lepiej, co? — spytał Mitia siostry, gdy za ojcem zamknęły się drzwi.

— Prawie, że tak. Ale czyż to na jego wiek wytrzymać tę głodówkę, którą wymyślili! Jutro zlegnie chyba i już więcej nie wstanie. Nigdy.

Mitia zaszedł właściwie by pogadać o planach ucieczki. Nie była ona trudna, ale największą przeszkodę przedstawiał ojciec, stary i chory. Nie można go było zostawić samego przecie, a z drugiej strony jakże iść z nim w góry? Na ten temat chciał się naradzić z siostrą. Gdy jednak spojrział w jej wyszarzałą, zniechęconą do ostatnich granic twarz, doszedł do przekonania, że do udzielenia żadnej rady nie będzie zdolna i prawdopodobnie też sama nie zechce uciekać. Można było wprawdzie wypełnić czas pustym gadaniem, ale na to właśnie nie miał w tej chwili ochoty.

— Powiedz mu, jak wróci, że przyjdę jutro rano. — Z tymi słowy wstał i wyszedł.

Na placu między barakami zbliżył się do większej grupy Kozaków, aby posłuchać co mówią. Wszędzie to samo:

„Trzymajmy się, trzymajmy się! Nie rozchodzić się! Trzymajmy się razem, a nic nam nie zrobią. Nie dopuszczają przecie do ostateczności!“. Tam, gdzie w grupie stał jakiś duchowny, dodawał niezmiennie: „Nie dopuści Bóg! Nie dozwoli przelnajświętsza Bogurodzica Dońska, Kazańska, Ikona św. Pokrowa Matki Bożej, Znamieńska, Tabyńska...”

Tu i gdzie indziej, po barakach, namiotach, pod wozami, w szałasach, przy niezapalonych ogniskach z powodu ogłoszonej głodówki, rozdmuchiowano iskry nadziei. Tak minął dzień 30 maja.

Nazajutrz nic się nie zdarzyło. Już wieczorem poprzedniego dnia major Davis zakomunikował, że wskutek przypadającego na 31 maja katolickiego święta Bożego Ciała, termin repatriacji został przesunięty na dzień 1-szy czerwca. Odroczenie to nastąpiło na skutek interwencji duchowieństwa katolickiego, któremu zależało aby uniknąć w dzień tak uroczysty dla miejscowej ludności, za-

mieszania i akcji, zdaniem niektórych, obrażającej boskie i ludzkie prawa.

Tonący — powiada przysłowie — i słomki się chwytą. Takżę i Kozacy fakt odroczenia o jeden dzień przyjęli z ulgą, ale i otuchą w sercu, że może do przymusowej deportacji w ogóle nie dojść. Ktoś rozpowszechnił pogłoskę jakoby przez radio słyszano wiadomość, iż ambasador amerykański opuścił Moskwę! Wysłano więc delegację do majora Davisa z zapytaniem, czy to prawda?

— Zdaje mi się, że nic o tym nie słyszałem.

— A czy przysłała odpowiedź króla na naszą petycję?

— Obawiam się, że jeszcze jej nie ma.

Mimo tych nadziei, przez całą noc i dzień chaos się potęgował. Ludzie zaczęli uchodzić w góry. Niektórzy ładowali juczne konie, inni rzucali wszystko i szli pieszo. Ale byli i tacy, którzy wracali z gór, z powrotem, zniechęceni: bo dokąd iść właściwie? Las, za lasem śnieg, za szczytem dalsze szczyty, a drogi strzeżone. — „Słusznie! Nie trzeba się rozchodzić!” wołano. „W kupie pewniej!”

Termin deportacji nie został po raz drugi odroczoney.

Wieczorem 31-go władze brytyjskie wyłączyły dopływ wody w barakach. W nocy zebrali się na naradę delegaci pułków i ustalono, że Kozacy od świtu gromadzić się będą w Peggetz, aby bronić kobiet i dzieci.

Od świtu dnia 1-go czerwca utworzyła się ogromna procesja, która ruszyła do kaplicy polowej ustawionej na placu w obozie. Przodem kroczyli duchowni w ornatach. Niesiono krzyże, chorągwie, księgi, zapalone świece, których wiatr nie gasił bo nie było wiatru. Patrząc na ten pochód, jeden z Kozaków stojących w tłumie pokiwał głową:

— W naszym chutorze był taki niegrzeczny chłopczyk, Dawydko się nazywał, który gdy go ojciec chciał sprząć pasem, składał pobożnie ręce i klękał do modlitwy, bo modlitwy nawet ojciec nie ma prawa przerywać. Ale to było jeszcze w tamtym wieku, bracia, przed rokiem, znaczy się 1914-tym. Nad Donem. Teraz jak patrzę, to mi się zdaje, że tego samego sposobu próbują tu tysiące dorosłych ludzi. Nad rzeką Drawą. Ale to już nie te lata, kochani moi. Mamy rok 1945 i inne poszły zwyczaje. — To powiedziałwszy wmieszał się w tłum i poszedł z innymi za procesją.

Słońce zaledwie wzeszło i różowiły się dopiero śniegi na szczytach Alp. Myczały krowy kozackie, niedojone w ogólnym zapamiętaniu. Po pastwiskach rozłaziły się niedopatrzone konie i wielbłądy astrachańców. Nad Drawą wisiała jeszcze mgła. Ludzie szli i szeptali między sobą niepisane nakazy, którymi sami siebie usiłowali przekonać:

„Postawa biernego oporu. Tylko nie ruszać Anglików! Czynny opór może jedynie zaszkodzić, a z gołymi rękami nic nie poradzimy. Obroni Przenajświętsza Bogurodzica!”

Tak też zrobiono. Modły trwały bez przerwy, ale koło godziny 8-ej rano zbliżyły się szerokim wachlarzem czołgi brytyjskie i stanęły w odległości stu metrów. Od strony baraków zjechały ciężarówki, do których miano ładować ludzi i odwozić na stację do czekających pociągów. Cały obóz otoczony został tyralierą żołnierzy uzbrojonych w pistolety automatyczne, karabiny z nasadzonymi bagnetami, oraz grube pałki. Ludzie poczęli się uciskać wzajemnie, tłoczyć. Na zewnątrz Kozacy wszystkich wojsk i junkrzy. W środku kobiety, dzieci, starcy i duchowni przy ołtarzach.

Major Davis podjechał, popatrzył, nic nie powiedział i odjechał. Jeszcze przez pewien czas trwały modły, śpiewano pobożne pieśni. Nikt właściwie nie wiedział o co się modli? O cud?... Nagle, na dany rozkaz, żołnierze rzucili się w tłum, rozrywając łańcuch rąk i bijąc kolbami i pałkami po obnażonych do modlitwy głowach, po plecach, ramionach, po twarzach. Od razu zrobiło się zamieszanie, powstała panika. Wśród krzyków i lamentu deptano i zdeptywano się wzajemnie. Tłum cofając się zaczął napierać na parkan odgraniczający obóz od pola. Parkan runął pod naciskiem. Ale na polu też stały czołgi. Żołnierze strzelali na postrach nie w górę, a pod nogi. Zbitych i okrwawionych chwymano i wleczono do ciężarówek. Jednocześnie w innych obozowiskach również rozległy się strzały. Ludzie rzucali się na oślep, uciekali w lasy, skakali do rzeki. A rzeka była wezbrana. W powszechnym tłumie rozbiegły się po dolinie tabuny koni.

Miejscowi mieszkańcy żegnali się początkowo nabożnie, gdy jednak ktoś zrobił początek, wielu rzuciło się grabić opustoszałe namioty, łapać konie, zabierać bydło. Wzburzenie doszło do punktu kulminacyjnego. Księża katoliccy kazali bić w dzwony po kościołach i nawoływali ludność do zaprzestania hańbiącej grabieży. Na wieży kościelnej

w pobliskim Dölsach pojawiła się czarna chorągiew. Anglicy kazali ją zerwać.

Główna masa Kozaków zgrupowana w Peggetz, cofając się przed zbrojnymi żołnierzami, usiłowała jeszcze wyrwać z ich rąk tych, których już schwytali. Wtedy to padł pierwszy Kozak doński przeбитý bagnetem. Tłum odpłynął na chwilę i odsłonił ołtarze. Duchowny odwrócił się i wyciągnął ku żołnierzom Ewangelię, ale piechur 8-go batalionu wytrącił mu ją bagnetem z ręki. Jeden z Kubańców zasłonił się ikoną Matki Boskiej, otrzymał jednak cios w skroń i skóra wraz z włosami zwisła mu na ucho. Trzeci próbował parować cios chorągwią św. Mikołaja Cudotwórcy. Istotnie, uderzenie pałki zerwało tylko materiał, i wdeptało Mikołaja Cudotwórcę w błoto, ale Kozak uszedł cało. W tej chwili stłoczona w tłumie kobieta, żona jednego z oficerów wywiezionych na „konferencję” dostała boleści porodowych. Litościwi żołnierze brytyjscy podnieśli ją i sanitarką odwieźli do szpitala. Tegoż dnia urodziła bliźniaki.

Improvizowana kaplica, ołtarz, obrazy święte, kielichy, wszystko to zostało przewrócone i rozdeptane na ziemi.

Mitia, który pozostawał przez noc w obrębie postoju pułku za Drawą, nie zdążył tego dnia odwiedzić swoich w baraku. Teraz, w tłumie, z rozdartym rękawem munduru, w czapce zepchniętej na tył głowy, zaciskał kurczowo pięści. Jakaś nieprzeparta nienawiść zdawała się rozsadzać mu piersi. Ze ściśniętych zębów wyrzucał nieartykułowane zgrzyty, które brzmiały jak: „Rrrrrummmuni...!” Nagle chybnął się ku przodowi, odepchnął napierających nań ludzi, wyskoczył na czoło i ryknął:

— Urrraaa!... — pochylony jak do ataku, chociaż bez konia i szabli, wyraźnie miał zamiar rzucić się naprzód.

— Uraaa! — podchwycili zgodnie i groźnie, stojący za nim Kozacy. Przez chwilę zdawało się, iż tylekrotnie uzgodniony i wypracowany bierny opór zostanie przełamany, że przeistoczy się w czynny, i Kozacy sami ruszą teraz do natarcia z gołymi rękami na bagnety i automaty. Masa bezbronnych ludzi uczyniła już pierwszy krok, jeszcze chwila... Ale w tym momencie żołnierze brytyjscy pierwsi uskoczyli w tył, podbiegli do samochodów, skąd szybko i sprawnie zdjęli i wystawili karabiny maszynowe. W tłumie zaczęto wołać rozpaczliwie:

— Co robicie! Opamiętajcie się, stanicznicy! Oni rozstrzelają kobiety i dzieci!

Istotnie, opamiętano się. Dwuch najbliższej stojących schwyciło Mitę i pociągnęło wstecz. Korzystając z chwili i ratując sytuację, jeden z duchownych wezwał czym prędzej do podjęcia przerwanych modłów:

— Będziemy prosić Boga Ojca i Przenajświętszą Bogurodziiiiceę... — zaintonował.

— Hospodi pomiłuj, Hospodi pomiłuj, Hospodi pomiłuj... — odpowiedział mu tłum klękając.

— O Twoje miłosierdzie błagamy Cię Paaanie...

— Hospodi pomiłuj, Hospodi pomiłuj... pomiłuj...

Głosy szły pod niebiosa, niebiosa o tej porze granatowe, równe, obojętne, bez chmurki.

Przez pewien czas dano im się modlić. Na wydany przez kogoś rozkaz, żołnierze skierowali główne natarcie na baraki, wywlekając ukrywających się tam ludzi i zaganiając do przygotowanych samochodów ciężarowych. Pierwszą ofiarą była kobieta, która schroniła się do baraków po masakrze na placu. Na rękę trzymała okrwawione dziecko. Jeden z żołnierzy opatrzył dziecko starannie własnym bandażem, następnie pognął matkę do maszyny. Drugim był Iwan Fomin, który ukrył się pod narami. Wyciągnięty stamtąd brutalnie, w dalszym ciągu stawiał opór. Uderzeniem pałec zwalono go na ziemię. Zerwał się ponownie, uchwyciwszy do ręki mocne polano. Po krótkiej walce wytrącono je bagnetem; od potężnego ciosu zadanego mu jednocześnie kółbą z tyłu pomiędzy łopatki, zachwiał się i padł na twarz. Dwuch żołnierzy porwało go za nogi ciągnąc po podłodze, a trzeci podpychał, trącąc końcem buta w ciemię.

Raptownie otwarły się drzwi od skleconego przepierzenia i wyszedł z nich starzec w kozackim mundurze. I wtedy stało się to, co najwidoczniej słusznie przepowiedział Tymoteusz Osmuchin, sąsiad, gdy osiemdziesiąt pięć lat temu przyszedł na świat Aleksander Kolcow w buran śnieżny o takiej sile, jakiego najstarsi ludzie nie pamiętali w okolicy... Stało się to, że starzec, ujrawszy swego przyjaciela ciągniętego za nogi niby barana, poczuł raptowny przypływ wszystkich sił, które mu Bóg chciał może zaoszczędzić i rozłożyć na jeszcze kilka lat życia. Ale Kolcow

przez chwilę myśli, krótszą niż mgnienie oka, uświadomił sobie, że mu już więcej potrzebne nie będą: „Zużyję je wszystkie za jednym zamachem, chociażby wbrew zamiarom boskim...” I tym jednym zamachem, żołnierzowi który kopął Fomina w głowę, wyrwał karabin ze słowami:

— Co robisz, gadzie?! — Młodzieńczym chwytem przekreślił kolbę do góry i chciał ją opuścić ze straszną siłą na czaszkę oprawcy, ale zaczepił o wystającą belkę pułapu. W tym momencie cios wymierzony pałą w głowę zamroził starca. Drugi powalił go na kolana. Od trzeciego i czwartego padł na ziemię, wypuszczając karabin z ręki. Piąty, z dużą mocą, od którego pękła kość na skroni, zadał mu ten sam młody, barczysty żołnierz, któremu uprzednio wyrwał broń.

W ten to sposób John Smith, rodem ze Szkocji, zabił Aleksandra Kolcowa znad Donu, za to, iż nie chciał być posłuszny władzy bolszewickiej ustanowionej we wschodniej Europie.



Spośród żołnierzy brytyjskich oczekujących na rozkazy opodał czołgów, wielu okazało współczucie. Mówiono później o jednym, który łamanym rosyjskim językiem szepnął:

— Nie dawajcie się. Oni nie mają prawa.

Mała dziewczynka podeszła do innego i podała mu kartkę nagryzmołoną niezdarnie przez osobę znającą trochę język angielski:

„Zabijcie nas, ale nie oddawajcie bolszewikom”.

Żołnierz przeczytał z trudem, schował do kieszeni na piersiach i mówił, że raptem zapłakał.

W innym miejscu opowiadano sobie o Kozakach, którzy sami rzucali się pod czołgi i byli przez nie miażdżeni. Kto mianowicie, nie wymieniano. Wzdłuż Drawy, od Lienz do Oberdrauburgu szła dalej wielka obława na ludzi, którzy mieli być wydani Sowietom. Ludzie ci masowo teraz próbowali ucieczki w góry, ale do uciekających strzelano. W ten sposób zastrzelono przypadkowo kobietę, którą pies wykrył w krzakach. Spośród chorych i rannych zwiezionych do szpitala, jeden wyskoczył z okna na bruk. Zwłaszcza

cza sporo ludzi utonęło w Drawie. Rzucano się do rzeki nie tylko, aby przedostać się na drugą stronę do najbliższego lasu, ale również w celach samobójczych.

Mitia wydostał się z tłumu i przekradał rowami nie w kierunku, w którym uciekała większość, to znaczy na most, lub wpław przez rzekę, a później w pobliskie góry, ale przeciwnie: łąkami na Dölsach i dopiero później, pod prostym kątem w lewo, uciekał w rozpadliny górskie pomiędzy masywem Stronachkogel i Ederplan. Strzelano za nim kilkakrotnie, ale nie trafiono.

O godzinie 5-ej po południu przyjechał w jeepie major Davis i przemówił do resztek tłumu w Peggetz. Na placu leżeli ranni, oraz trupy kilku załuczonych i zakłutych bagnietami. Tam gdzie się zatrzymał jeep Davisa, leżał junkier rodem z Dniepropietrowska. Obok martwe: kobieta i dziecko. Kobieta urodzona była na Kubaniu, a dziecko we Włoszech.

„Kozacy!” — powtarzał przez głośnik słowa Davisa tłumacz. „Jestem pod wrażeniem waszej bohaterskiej postawy, ale w myśl umowy wszyscy, którzy byli obywatelami Związku Sowieckiego do dnia 1 września 1939 roku, muszą zostać repatriowani! Kto jest w posiadaniu dokumentów stwierdzających, że już przed tą datą nie przebywał na terytorium Sowietów, niech je przedstawi”.

W ten sposób, poczynawszy od godziny 5-ej po południu de facto zaprzestano masakry na terenie największego skupiska, mianowicie w obozie Peggetz.

Ula nie doczekała tego momentu. Najpierw na próżno wypatrywała brata w tłumie. Potem wyrwała się z kotłowniny na placu, by biec do ojca. Umówili się, że ojciec zostanie w domu dla większego bezpieczeństwa, i nie wyjdzie do modlących się na placu, aby się nie wystawiać na przygody demonstracji. Pobieгла więc do baraków. Po drodze powiedziano jej, że tam już nikogo nie ma, że wszystkich zabrano, a że ojciec zabity. Na tę wiadomość starzejąca się kobieta obróciła się jakoś bezradnie w kółko, poruszyła bezgłośnie wargami i uczyniła niemy ruch ręką. Siwiejące włosy sterczały na jej głowie we wszystkie strony świata, chustka opadła na ramiona. Powiedziano jej, żeby tutaj nie stała, bo ją zaraz schwytają. Nie pamiętała już kto jej wskazał kierunek i poradził,

aby uciekała za rzekę, na drugą stronę Drawy, gdzie zaraz zaczyna się las i można ująć w góry. Nie pamiętała też, czy był to ten sam, możliwie jakiś dobry znajomy, który jej szepnął, że widział jak w tę właśnie stronę uciekała lekarka, Woskobojsnikowa, wraz z dzieckiem, 14-letnią siostrzyczką i starą matką. I Ula pobiegła na most.

Za sobą słyszała krzyki, nawoływania, strzały. Przed sobą słyszała też krzyki i strzały, ale biegła dalej, zdyszana, spotniała, niepamiętna już ani celu, ani sensu tego biegu nad rzekę. Przy wejściu na most zatrzymały ją strażę angielskie, ale właściwie nie to było przyczyną, że stanęła nagle jak wryta ze wzrokiem wbitym w mętne, kotłujące się, górskie wody: Drawę płynęła kobieta, na wznak, z przywiązany na piersiach niemowlęciem. Ula poznała ją: to była Woskobojsnikowa. Wzdłuż brzegu biegł żołnierz brytyjski z bardzo długą żerdzią w rękę i niezgrabnie usiłował za pomocą tej żerdzi dosięgnąć płynącą i wyłowić z wody. Ale w żaden sposób dosięgnąć nie mógł. Ula stała i patrzyła szeroko otwartymi oczyma. Uwaga jej mimowoli ześrodkowała się na problemie: wyłowi, czy nie wyłowi? Wreszcie wody zagnały płynącą w rodzaj zatoczki. Została wyłowiona. Dziecko było już martwe.

Ula nie dowiedziała się nigdy, że Woskobojsnikowa umarła w parę godzin po odwiezieniu do szpitala, a jej 14-letnia siostrzyczka i stara matka utonęły w trakcie przeprawy na zbawczą stronę austriackich Dolomitów. Nie dowiedziała się dlatego, że w tej chwili podszedł do niej żołnierz brytyjski i uśmiechając się wcale przyjaźnie mrugającymi oczami, oraz kiwając głową, pokazał jej palcem kierunek gdzie stały i czekały ciężarówki repatriacyjne. Ujął ją też lekko za ramię i odwrócił od rzeki, po której płynęło jeszcze kilka trupów.

— Dobrze, dobrze — Ula kiwnęła głową ze skwapliwą gotowością, jakby czym prędzej chciała okazać swą powolność wobec władzy. — Już idę, już idę. Pojadę, tak, do ojczyzny, do ojczyzny. — Zaczęła szybko iść przed żołnierzem, odwracając się doń co chwila i mówiąc nerwowo w niezrozumiałym dla niego języku: — Ja wracam. Chcę zobaczyć swego syna. Syna, rozumiesz? Ali się nazywa. On został, on jest teraz w Rosji. *Russia*, rozumiesz?

— O yes, yes.

- On na mnie chyba już czeka, bo wojna *kaputt*.
— *Yes, yes, kaputt. German kaputt.*
— Ali, syn, rozumiesz? — Przypomniała sobie po włosku: — *Capito? Syn, capito?*
— *Yes, capito, capito.*

Na placu nikt się już nie modlił. Ikony, chorągwie leżały połamane, porozrzucane, wdeptane w ziemię. Do długiego składu odrutowanych wagonów na stacji podjeżdżały ciężarówki zwożąc ludzi.

CZĘŚĆ TRZECIA

AZJACI

R o z d z i a ł 1

WIEDEN

Mohamed Tugaj, po wybombardowaniu z luksusowo urządzonego mieszkania przy Kärtnerstrasse w końcu stycznia 1945 roku, przeniósł się i zamieszkał w domu u wylotu Porzellangasse, w bliskości Franz-Josef Bahnhof. Niektórzy go odmawiali, twierdząc, że i ten dworzec, podobnie jak inne, stanie się obiektem ataków lotniczych, jednakże nie mieli racji. Dzielnica nie była prawie zupełnie bombardowana przez czas dłuższy i Tugaj próbował nawet powrócić do przerwanej pracy, choć mu teraz szło niesporo. Bądź co bądź kilka godzin południa należało regularnie odsiadywać w schronach. Naloty amerykańskich bombowców odbywały się prawie z punktualnością zegarka. Każdy następny dzień zdawał się coraz mniej pewny, i poświęcać się pracy naukowej w takim nastroju było prawie niepodobieństwem. W tym to czasie zapoznał i zbliżył się ze sferami rozmaitych muzułmańskich emigrantów ze wschodu, głównie z Rosji, którzy zwłaszcza w początkach 1945 roku obficie nawodnili Wiedeń.

Tugaj był synem bogatego przemysłowca z Teheranu. Przed samą wojną udał się do Europy na studia. Młody i pełen energii, interesował się zarówno ekonomią polityczną, jak też dziedziną bardzo od poprzedniej odległą: architekturą. Rodzina, z tradycji jeszcze pierwszej wojny nastrojona antyangielsko, chciała, żeby studiował w Berlinie. Zresztą ojca jego łączyły z tym miastem stare stosunki handlowe. Gdy zawiodły nadzieje na szybkie zakończenie wojny, Tugaj zamierzał powrócić do kraju. W między-

czasie jednak powikłania polityczne, okupacja Persji przez wojska Narodów Sprzymierzonych, i przymusowe wyprowadzenie przez Persję wojny Niemcom, zamiary te pokrzyżowały. Tugaj pozostał na razie w „Fortecy Europejskiej” Hitlera; dzięki dawnym stosunkom ojca i osobistym znajomościom, otrzymał prawo pobytu na wolnej stopie, a dzięki wrodzonej inteligencji i dużej dozie sprytu, potrafił wykręcić się od wciągnięcia w jakąś akcję, czy antybrytyjską agenturę polityczną. Z biegiem czasu wojna zaczęła go interesować i odkładał wyjazd do państwa neutralnego z miesiąca na miesiąc, tym bardziej, że przez banki tych państw, w dalszym ciągu otrzymywał od ojca poważne środki na utrzymanie.

Jego zainteresowanie muzułmańską, antykomunistyczną emigracją ze wschodu azjatycko-europejskiego wynikało po trochu z osobistego nastawienia politycznego, miało jednak charakter platoniczny. Nie było w tym nic z solidarności wyznaniowej, czy fanatyzmu ideologicznego. Zwłaszcza, iż przeważna część jego nowych znajomych rekrutowała się spośród sunnitów. Zbliżył się więc do nich raczej przez czystą ciekawość, pociąg do obserwacji, choć również przez szczerą sympatię dla tych ludzi. Czasem im pomagał radą lub pieniędzmi, bezpośrednio jednak w żadne poczynania aktywne się nie mieszał. Poza wszystkim jednak Tugaj wyróżniał się pewną cechą mało rozpowszechnioną wśród ludzi: lubił i umiał — słuchać. I ta cecha najwięcej mu zjednywała przyjaciół i szacunek jakim go otaczano.

Obiady starał się jadać w restauracji Rathauskeller, nie tylko dlatego, że mieściła się w podziemiu i czas codziennego alarmu można było spędzić wygodnie przy stoliku, ale też dlatego, że stanowiła podówczas w swej obszernej sali punkt zborny ludzi należących do najprzeróżniejszych narodowości, wyznań, klas społecznych i orientacji politycznych. Mówiono tam we wszystkich językach i narzeczach Europy wschodniej i Bałkanów; a słyszało się także francuski, flamandzki i języki skandynawskie; często włoski i hiszpański, a bardzo często narzecza kaukaskie i tureckie z tatarskim na czele. Poza tym restauracja była siedziskiem czarnej giełdy, na której można było kupić niezbędne dla życia kartki żywnościowe, złoto, waluty. Najbardziej poszukiwane były naturalnie dolary amerykańskie, mniej:

białe, pięćofuntowe banknoty brytyjskich szterlingów, co do których obawiano się, że pochodzą z fałszywej mennicy Himmlera. Tu handlowano też przepustkami, autentycznymi i podrobionymi dokumentami, i różnego rodzaju zaświadczeniami i papierami.

Tu również, w grudniu 1944, wśród dawniejszych znajomych, poznał skromnego młodzieńca, który się nazywał Ali Malek, rodem był z miasta Armawiru, a z pochodzenia, jak mu powiedziano, Azerbejdżanin. Ali nie brał udziału w rozmowie i w ogóle przez cały czas milczał. Raz tylko, czy dwa, uśmiechnął się, tym rodzajem uśmiechu, który zdradza wrodzoną nieśmiałość. Wydawał się też być mało wykształcony i w warunkach europejskich nieobyty. Tugaj, wsłuchany w dyskusję, nie zwrócił na niego większej uwagi.

Drugim miejscem gdzie stykał się z różnymi, egzotycznymi dla ówczesnego Wiednia typami były mieszkania prywatne, w których odbywał się inny rodzaj czarnego handlu, mianowicie towarowego; tam można było otrzymać produkty żywnościowe lub ubraniowe. Tugaj zaopatrywał się głównie u pani Pauliny Grostaczko, zamieszkałej na szóstym piętrze w domu przy Rembrandtstrasse, po drugiej stronie kanału. O pani Paulinie wiedziano tyle, że wszystko można u niej kupić po cenach niezbyt przesadnych, że ma dużą klientelę i, ponoć, stosunki z władzami, które patrzą przez palce na jej proceder; poza tym, że ma córkę na wydaniu — Lusię, że lubi nieszkodliwie poplotkować i że pochodzi ze wschodniej Europy. Natomiast trudno było ustalić skąd mianowicie: Z Rygi, Kowna, Wilna, Warszawy, Pragi, czy nawet jak ktoś twierdził, z Bukaresztu, gdyż nader często zmieniała treść własnych relacji, dotyczących ostatniej przeszłości.

Tu też kiedyś spotkał Tugaj Alego, w przejściu na klatce schodowej. Minęli się i uprzejmie nawzajem pozdrowili. Dopiero później los zetknął ich bliżej.



Ali Malek nie pisywał do swej matki w Armawirze wskutek szeregu okoliczności. Niezadługo po zmobilizowaniu do armii czerwonej, w roku 1941, znalazł się w załodze Sewastopola, a z fortecy niechętnie wypuszczano listy

poczty polowej dla licznych względów tajemnicy wojskowej.

Gdy w końcu września 1941 11-ta armia niemiecka przełamała front na przesmyku Perekopu, dowództwo sowieckie rzuciło na obronę drugiej linii na przesmyku Iszun, zagradzającym drogę do Krymu, osiem dywizji piechoty i cztery dywizje kawalerii. Wkrótce też ściągnęło drogą morską posiłki z Odessy i pchnęło niektóre rezerwy z forticy sewastopolskiej na front. Ale bitwa zakończyła się klęską. Dnia 28 października linie sowieckie zostały definitywnie przełamane i rozpoczęły bezładny odwrót. Podczas tego to właśnie odwrotu, w bitwie pod Alusztą, w pierwszych dniach listopada, Ali dostał się do niewoli.

29-go grudnia tegoż roku zaszedł jeden z tych wypadków, tak charakterystycznych dla pierwszej fazy wojny na wschodzie. Armia czerwona, w planowanym kontrataku na Krym, wysadziła niespodziewanie desant w Teodozji nad Morzem Czarnym. Manewr się udał. Niemcy zostali zaskoczeni. W tym czasie znajdowało się w Teodozji osiem tysięcy jeńców sowieckich, których konwojenci niemieccy porzucili, ratując się w ostatniej chwili ucieczką. Jednakże jeńcy, miast cieszyć się z wyzwolenia, również postanowili uciekać na zachód za swoimi konwojentami. Pierwszy okres okazał się bowiem znośny, a jeńcy obawiali się rozprawy jaka ich czeka po stronie sowieckiej za dostanie się do niewoli. Poza tym część z nich nie chciała walczyć po stronie bolszewickiej. Część nie chciała w ogóle walczyć. Zaś część wołała przejść na stronę niemiecką ze względów politycznych. Wśród tych ośmiu tysięcy znajdował się również Ali Małek.

Znalazłszy się później na tyłach, w nieludzkich warunkach w jakich trzymano sowieckich jeńców w niewoli niemieckiej, gorzko żałował swej pierwotnej decyzji. Wkrótce jednak rozmaite komitety kaukaskie i narodów muzułmańskich, powstałe pod różnymi auspicjami, często na prawach tylko wpół-legalnych, działające w sytuacji nader trudnej, w labiryncie niezbyt skoordynowanych instancji wojskowo-politycznych niemieckich, rozpoczęły starania o wydobycie ziomków z obozów i tworzenie z nich niepodległościowych legionów antysowieckich. Ali zgłosił się jako Azerbejdżaniec i już w kwietniu 1942 roku trafił do tworzonego w Zielonce pod Warszawą Legionu Azerbejd-

żańskiego. Stamtąd wyreklamował go Abdul Dżemaj. Była to jedna z wpływowych osobistości ówczesnych działaczy kaukaskich. Rozszerzając swoją kancelarię potrzebował pomocniczych sił administracyjnych. Podczas pewnej inspekcji w Zielonce wybór jego padł właśnie na Alego, więc zabrał go do Warszawy.

Od tego czasu Ali prowadził życie spokojne i zabezpieczone. Uniknął też wysłania, w ramach pułku, do Francji lub Włoch, gdy wszystkie te oddziały przerzucone zostały w głąb Europy. W chwili zbliżania się bolszewików w roku 1944 do Warszawy, uchodził jak większość jego ziomków, na zachód.



W styczniu 1945 Tugaj po raz trzeci zetknął się z Alim Malekiem. Spośród bardzo wielu twarzy widzianych tego dnia w piwnicy-schronie przy Rembrandtstrasse, żadna nie miała tego wyrazu. Może dlatego, że siedzieli na ławce ramię przy ramieniu, Ali w samym kącie, w cieniu i białych refleksach ścian pokrytych wapnem zdawał się wycięty z ram rembrandtowskiego obrazu. W chwilach śmiertelnej trwogi człowiek usiłuje często zaprztać myśl byle czym. Tugaj mrużył więc oczy umyślnie i patrząc na Alego z ukosa, starał się przypomnieć, do którego z widzianych portretów mistrza, byłby najbardziej podobny. W tym momencie zarządca kamienicy, człowiek drobny, wciągający w ramiona głowę obarczoną hełmem przeciwlotniczym, zszedł po schodkach i powiedział:

— Nad nami.

Tugaj pomyślał, że hełm na głowie zarządcy wygląda właściwie jak zwyczajny, wiedeński melonik i nie przydaje mu wyglądu marsowego, a raczej pogłębia wrażenia czegoś bardzo cywilnego. Z nieba oberwał się znany gwizd, który ma zwyczaj ze straszliwą szybkością przybierać na sile. Huk i wstrząs był taki, że na sekundę zgasło światło. Ali przeciągnął ręką po głowie i zrzucił z włosów kawałki wapna. To już przeszło, to już było nic wobec nowego gwizdu, który leciał z nieba. Dziewczyna z przeciwka uniosła nagle spódnicę zapominając, że odsłania majtki aż do pachwiny i ukryła w tej spódnicy twarz. To u niej było nerwowe, ale było w tej sekundzie

zarazem bardzo drażniące, uświadamiało bowiem obecnym ich własny skurcz nerwów uciekających od zainteresowania życiem do strachu przed śmiercią, i dlatego nikt na odsłonięte nogi dziewczyny nie patrzył w tej nagłej ciszy jaka zapadła w schronie. Tylko mała dziewczynka, stojąca obok matki, odezwała się cienkim głosem:

— Mamo, to trzeba tak jak u dentysty... Nim zabierze się do wyrwania zęba, mówi: „No, już minęło, już przeszło, już po wszystkim”. To i teraz: już minęło... już po wszystkim...

Dziewczyna gwałtownie oderwała spódnicę od twarzy, spojrzała z wyrazem bezgranicznego zdziwienia na dziecko i zdążyła zasłonić bezwstydnie odsłonięte nogi, gdy zbliżający się gwizd przeszedł w ryk powietrza. Ali szeptał:

— Nie, nie, nie nie...

Piwnica zatrzęsała się i wypełniła białym kurzem. Tugaj dopiero teraz zrozumiał, że to co odczuwa w prawym ramieniu to są palce Alego zaciskające się kurczowo. Ali nie był tchórzem, tylko tak się złożyło, że w jego kamienicy bomba, która jak wiadomo leci ukośnie, tydzień temu nie uszkadzając domu uderzyła wprost w chodnik nad piwnicą i zabiła trzydzieści osób, w tej liczbie sześcioro dzieci. Wtedy przeniósł się do innego mieszkania.

Światło zgasło, zapaliło się, zgasło i zapaliło się już nie gasnąc.

— A co, mówiłam, że minęło... — zatriumfowała dziewczynka.

„O czym to ja myślałem poprzednio?” — zastanawiał się Tugaj. Czasem ziewanie bywa nerwowe. Zakrył usta ręką i mruknął:

— Bez obiadu będziemy znowu.

— Mhm — mruknął Ali.

Następne bomby spadły dalej. Ale na odwołanie alarmu trzeba było jeszcze czekać. Wyszli późno. Było wilgotne zimno. Gdzieś ciekła woda z pękniętego rurociągu. Śmierdziało jak zawsze po bombardowaniu: wywaloną ziemią, rumowiskiem i czymś nieokreślonym, co by można zestawić z nieprzytulnością wyziębionego mieszkania. Środkiem ulicy, po niesprzątanym śniegu prowadziła ścieżka, kręta między poprzednimi gruzami. Ali śpieszył się czegoś do domu gorączkowo. Tugaj ledwo mógł za nim

nadażyć. Po wspólnym przeżyciu miał wrażenie, że go już zna bardzo dawno.

— Gdzie pan teraz mieszka? — spytał.

— Niedaleko. Koło Schwedische Brücke. — Ale adresu nie wymienił. Potknął się o sterczącą w śniegu cegłę.

— Wieczorem będzie u mnie Mehmet — powiedział Tugaj, gdyż wiedział, że Ali go dobrze zna.

— Niech mu pan powie, że dzisiaj nie dostałem dla niego tytoniu u pani Grostaczko.

— A jutro?

Spojrzał w niebo: — Przed alarmem nie zdążę chyba.

— Może później przylecą.

— Gdzie oni tam... Później! Zawsze regularnie.

Tugaj zrównał się z nim wreszcie i poszli obok.

— U niej wszystko jednak można dostać, u tej Grostaczkowej.

— Oho — odburknął z uznaniem Ali.

— Taka chyba nie zginie nigdy.

— Nie. Nie zginie.

Rozstali się przy moście na odnodze Dunaju.

Nazajutrz samoloty amerykańskie przyleciały o 11-ej rano i bombardowały do 3-ej po południu. Tugaj nie zdążył do Rathauskeller, a po alarmie wszystkie stołówki były już zamknięte. Obyło się znowu bez obiadu. W nadziei znalezienia jakiejś nielegalnej restauracyjki, o których istnieniu mu kiedyś mówiono, poszedł na Prater. Ale niczego nie znalazł. Przepychając się przez tłum Rosjan, przymuszanie przymusowo wywiezionych na roboty, spotkał Kerim-Beka, który rozmawiał z kimś po turecku. Cekał, nie rozumiejąc o czym mówią. Tamten gestykulował i mełł językiem, który odbijał mu się od podniebienia ze swoistym klaskaniem. Poprawiał przy tym co chwila barankową czapkę na zdenerwowanej głowie. Gdy się rozstali, Tugaj poszedł z Kerim-Bekiem w kierunku nieruchomego koła nad zaśnieżonym lunaparkiem. Kerim przyznał się, że chciał kupić scyzoryk, poza tym jednak pochłonięty był myślami.

— Co to za Turek, z którym pan rozmawiał? — spytał Tugaj.

— Dagiestaniec, nie Turek.

— Czego chciał, że tak machał rękami?

— A czego chcą wszyscy. — Gdy zaś uszli kawałek

powiedział z patosem, trochę niestosownym dla otaczającej ich codzienności, cytując werset z Koranu: — O Allah, prowadź nas równą drogą... — Widocznie jednak jemu samemu ten patos wydał się nie na miejscu, gdyż zrobiwszy kilka kroków poprawił z goryczą: — Co tam zresztą mówić o równej. Żeby choć krętą i za to dziękować! Niech tylko wyprowadzi.

Nazajutrz alarm był znowu o 11-ej. Mehmet ciągle się nie zjawiał u Tugaja. Natomiast po alarmie przyszedł Ali, powiedział, że Mehmet szuka kontaktu z Kozakami, aby uciekać do Włoch. Potem siedział milcząc w cieple, bo w mieszkaniu Tugaja działało jeszcze centralne ogrzewanie.

— A pan też razem z Mehmetem? — przerwał milczenie Tugaj.

— Nie. Mnie Kozacy nie interesują.

— Więc jakże będzie?

— A ot, jak — wyciągnął rękę i zrobił nią ruch tnący w kierunku szafy ubraniowej. — Prosto! Przed siebie.

— Chyba nie w tym kierunku. Tu jest wschód — uśmiechnął się Tugaj.

— Dobrze. Więc w takim razie, tak — odwrócił się i zrobił podobny ruch w przeciwnym kierunku na stół pod oknem.

— Piechotę?

— Nie jestem kaleką.

Tugaj nie bardzo mu wierzył. Miał wrażenie, że coś ukrywa. I dla jakichś powodów okazuje niechęć na wspomnienie Kozaków. Dopiero trzeciego dnia spotkał się z Mehmetem w pewnym schronie. Gdy siedzieli obok siebie nasłuchując podziemnego dudnienia spadających bomb, lub na przemian ogłaszanej w schronie „Luftlagemeldung”, zapytał Mehmeta:

— Gdzie pan przepadał przez te dni? Był u mnie Ali. To, zdaje się, pana przyjaciel?

Mehmet uśmiechnął się pobłaźliwie. Pomilczał chwilę, wciąż się uśmiechając, a później zaczął opowiadać, jak uciekali razem z Warszawy. Mehmet nie należał do tej samej organizacji. Był Tatarem krymskim, ale los zetknął ich, jak się wyraził obrazowo: „Na drodze wędrówki ludów”. Ali chciał koniecznie zabrać ze sobą worek kartofli.

— Mówilem jemu: zdurniałeś chyba, czy co? Z takim ciężarem. Ale pan rozumie: Człowiek wyrosły w Sowietach.

A później opowiadał dalej o przygodach Alego: — Chodziło o to, że gdy szedł jeszcze przez Częstochowę, jesienią roku 1944, Ali przysiadł się był na jedną z furmanek Czeceńca, czy Ingusza, którzy tamtędy właśnie ciągnęli na zachód, uchodząc do Niemiec przed armią czerwoną. Liście dopiero zaczynały żółknąć. Ciepło. Tylko nocami chłodno. Na wozie była żona, Inguszką.

— Młoda? — spytał Tugaj z roztargnieniem, bo właśnie nadawano komunikat o sytuacji w powietrzu.

— Pewnie, że nie stara. No to on tulił się do niej w chłodne noce, tulił, aż i do-tulił...

Tugaj kiwnął głową obojętnie. To był jednak tylko początek opowiadania, bo okazało się, że Ali zabrał żonę temu Inguszowi, uciekł z taboru i z nią razem znalazł się później tu, w Wiedniu.

— I co, żyją razem?

— Pewnie, że żyją, a co mają robić. Chowa ją, nie pokazuje nikomu. Boi się. Raz natknął się na Praterze na dwóch z Tichorecka, czy Majkopu, jednym słowem z tamtych stron. Przestraszył się na sam ich widok.

Tugaj wzruszył ramionami:

— To pan jego odmówił od brania worka kartofli, a takiego ciężaru nie wyperswadował?

Mehmet pokazał zęby w szerokim uśmiechu: — Mała ona, lekka.

— To dlatego adresu swego nie podaje?

— Ja znam ten adres. Ale chodźmy, słyszę odwołanie alarmu. — Wstał otrzepując spodnie na siedzeniu.

Gdy wydostali się z tłumu przed schronem, i podali sobie ręce na pożegnanie, Mehmet zapytał:

— No, a jak pan sam? Będzie uciekał, gdy bolszewicy podejść bliżej?

— Bezwzględnie tak.

— Oczywiście, panu łatwo... Cóż, pan obcy obywatel, z mocnym paszportem. Ale nam, ale nam!

— Dajmy na to, że mnie też teraz nie będzie łatwo. Zasiedziałem się trochę. Przeciągnąłem strunę. Teraz ani konsulatów, ani wiz. Chyba jakoś razem z wami.

Mehmet westchnął.

Tugaja do studiów nad ekonomią polityczną pociągnął nie zmysł kupiecki, którym przez całe życie powodował się jego ojciec gromadząc znaczne kapitały i chciał, żeby syn szedł w jego ślady. Wybrawszy ekonomię polityczną widział za nią, jak za mgłą młodzięńczych marzeń: nagromadzone w portach egzotyczne towary, okręty przybyłe z dalekich mórz, nieznane, a tajemnicze kulisy, które rządzą światem z jego bezgranicznym horyzontem różnokolorowych krajów, czyli krótko mówiąc: strona emocjonalna tej dziedziny, której właściwego sensu jeszcze nie dostrzegął. Zetknąwszy się w salach wykładowych z konkretną, trzeźwą i jakże suchą stroną sprawy, utracił do niej poprzedni zapał. Natomiast coraz bardziej poczęła go pochłaniać architektura, zainteresowanie którą zdradzał już we wczesnej bardzo młodości. Ojciec wprawdzie zgodził się, że będzie mógł w Europie zgłębiać tę sztukę, ale jedynie pobocznie, w formie niejako prywatnego hobby, nie zaś głównego kierunku studiów. Po wybuchu wojny, Tugaj śledząc jej istotne przyczyny i przebieg, coraz bardziej nabierał przekonania, że światem rządzi nie ekonomia, nie towar, nie wszechwładny rzekomo pieniądz, a — psychika ludzka i ukryte w niej siły emocjonalne. Uznał więc poprzednie studia za niewarte poświęcania im krótkiego, ludzkiego życia i przerzucił się już całkowicie na ulubioną architekturę. Zanim jeszcze powziął ostateczną decyzję i powiadomił o niej ojca, a więc jeszcze przed wybuchem wojny, zwiedził wiele miast i stolic europejskich z ich przebogatymi skarbami wielkiej, zachodniej kultury.

Podziwiał zarówno wczesny jak późniejszy gotyk, renesans, barok. Zachwycił się kopulastym ogromem starego Bizancjum. Odchodząc jednak od szczegółów, stanowiących o różnicach, podobieństwach lub analogiach poszczególnych stylów i epok, zastanawiał się wielokrotnie nad wspólnym ich sensem, czy raczej wspólnym, a charakterystycznym dla wszystkich wyrazem ludzkiego dążenia, wmurowanym w kolumny, sklepienia, wieże, łuki, postacie, okna, szczyty dachów, pomniki. I doszedł do wniosku, iż niezależnie od tego, czy Bóg stworzył człowieka, czy człowiek Boga, tą wspólną cechą łączącą wszystkie style, z rodzinnym mu maurytańskim włącznie, jest nieustanne pragnienie *wzniesienia*, imitacja nieba, zbliżenie do nieba, tęsknota do nieba i wyraz łączności z niebem, tym nad

głową. Tylko i nic więcej właściwie. Stąd począł też patrzeć trochę inaczej na XIX-wieczne, uznane za wykarykaturzone dążenia secesji *Fin-de-siècle'u*. Nie mając za sobą tradycji europejskiej, patrzył na secesję z boku, trochę innymi oczyma niż większość jego europejskich kolegów. Owszem, dostrzegał jak oni, wynaturzenia, pretensjonalność, przesadę, sądził jednak iż w wielu wypadkach wina leży po prostu w braku indywidualnych talentów, w porównaniu do minionych stylów, ale nie w kierunku samego stylu. Troszeczkę też podejrzewał, że pogarda do secesji tkwić może w modzie i w stylu, ale samych obserwatorów i oficjalnie uznanych autorytetów, które jedno każą uważać za brzydkie, a drugie za ładne. Być może też we współczesności prawie tego stylu, który, gdyby się zaliczał do epoki sprzed dziesięciu wieków, mógłby równie dobrze uznany zostać za klasyczny i piękny. I Tugaj polubił schyłkową, europejską secesję teatrów, oper, łuków triumfalnych, galopujących w przestrzeń rumaków — dostrzegając w niej raczej syntezę poprzednich wieków, niżli odskok w brzydotę. Może nieudolny, ale konsekwentny wyraz dążeń ludzkich: łączności z niebem.

I oto pewnego dnia naszła go dziwna refleksja. Nalotu nie było. Spojrzał na zegarek, a później w niebo, jakby zdziwiony szukał tam wytłumaczenia wyjątkowo spokojnego południa. Po niebie ciągnęły odwilżowe chmury. Na tle ich monotonnie przepływającej masy, tknięty został obrazem, który dojrzał, a który właściwie nosił w oczach od paru ostatnich lat przebywania w opanowanej wojną Europie: Obok świętego o wzroku z wiarą utkwionym w niebo, stał drugi bez głowy; olbrzymie anioły dmące w olbrzymie fanfary jakowys hymn triumfalny do nieba, dęły go w dalszym ciągu, choć jeden miał tylko pół trąby, a drugi leciał w ogóle bez rąk. Dumna postać na podniebnej krawędzi, wznosząca się z harfą, nie miała strun, lewej piersi, nosa i wszystkich palców u prawej nogi. Nad kompletną ruiną pewnego dachu pozostała tylko figura składająca ręce do nieba; ongiś wskazywała ludziom na dole, kierunek do którego winni dążyć, ale co robiła w tej chwili, gdy wszystko co najgorsze przychodziło z tego podniebnego kierunku? Żadna, najśmielsza karykatura nie potrafiłaby chyba dosadniej uzmysłwić w kamieniu śmieszności tej architektury obliczonej na łączność z niebem, które dziś

łamało aniołom skrzydła, świętym głowy, wieżom krzyże, i dekonspirowało niemoc symboliki. Koń na pomniku miał oderwane tylne nogi, tak że rycerz siedział tylko na jego dwóch przednich; lew był bez ogona, satyr bez brzucha, pałac bez dachu, kościół bez kopuły.

Tugaja nie łączyła wspólnota chrześcijańska z tym światem. A więc refleksje jego nie poszły w kierunku standardowym dla przeciętnego Europejczyka. Interesowała go w tej chwili wyłącznie strona architektoniczna. Przypominał sobie widzianą w jakimś piśmie fotografię kościoła w New Yorku, który ze swoją kilkupiętrową wieżą, wyglądał cudacznie, zabudowany wokół przez kilkunastopiętrowe drapacze. W ten sposób wieża ta wskazywała właściwie nie niebo, lecz świecącą reklamę kaloszy. „Opanowanie podniebnych wysokości, myślał, musi wpłynąć chyba na zmianę dotychczasowego wyrazu wszystkich architektur świata. Bo jeżeli kamienny anioł trąbić będzie do samolotu, który obrywa mu bombą skrzydła, sprowadzi ten wyraz do symbolicznego paradoksu. Oto, gdzie tkwi groteska rozwoju kultury ludzkiej, a nie w przesadnych rozmiarach pretensjonalnej secesji”. Tugaj uśmiechnął się do swoich myśli: „Czy mam jeszcze raz zmieniać zawód?” I choć myśl ta wydała mu się w tej chwili jedynie zabawna, poczuł nagle wielką tęsknotę za wydostaniem się z wojennego kotła. Zrozumiał, że dłużej zwlekać byłoby z jego strony głupotą. Natychmiast musi podjąć decydujące kroki.

Ponieważ Wiedeń objęty był w tej chwili zakazem wyjazdu dla osób cywilnych i w ogóle ruchu innego, poza celami wojennymi, więc postanowił zaraz udać się do pani Pauliny, co do której mniemał, że rozporządza różnorakimi stosunkami i możliwościami.

O Paulinie Grostaczko mówili jedni: „Ma chody baba”. Inni: „Ma chody i wychody”. A Mehmet z Krymu twierdził: „U niej to prawdziwa Europa. Jak w sklepie, pójdziesz i kupisz co chcesz”.

— Ale za pieniądze.

— Pieniądze! Pieniądze to nawet w waszej Uzbeckiej Związkowej trzeba mieć. A już co dotyczy Europy... — odpowiadał żartem.

Pani Paulina zajęta jednocześnie pokątnym handlem

i wydawaniem swej córki za mąż, też miała poczucie humoru. Raz powiedziała: „Ja, na swoim szóstym piętrze, to jak na wysokim Pamirze. Gdzie spojrzę, wokół Azja!” Ale skrzynie i walizy trzymała w piwnicy.

— Mama to też... Wszystko dla tych pieniędzy! — krzywiła się córka. — Ryzykuje, ryzykuje aż wpadnie.

— Jak nogi stawiasz! Lusiu. I wyprostuj się. Chodź tu, zobacz coś z kołnierzykiem zrobiła. — Lusiu posłusznie podchodziła do fotelu.

Nalot tego dnia istotnie się spóźnił. Był za to, choć krótki ale bardzo intensywny. Wieczorem, po dniu bombardowania niebo za oknem wyglądało się jak czoło po zmarszczkach. Gdy ostatnie chmury poszły precz, wąski sierp księżycy przestał płynąć i stanął w miejscu na tle już przechodzącym z zorzy wieczornej w zimną, przednocną zieleń. Poprzez wybitą szybę powiało mrozem. Z dworca dochodziło pogwizdywanie parowozu. Dalekie, bardzo dalekie. Radio nadawało „sytuację w powietrzu”.

Właśnie w tej chwili do drzwi frontowych zastukał Ali. Zastawszy u pani Pauliny Tugaja, spochmurniał. Widocznie jego obecność nie była mu na rękę. Z początku nie wiedział co zrobić, siadł wreszcie na fotelu i oparł się nieruchomo o poręcz. Ponieważ Tugajowi nie śpieszyło się i również siedział milcząc, więc pani Paulina kończyła monolog na wpół do córki, a na wpół zwrócony do gości:

— Czemu to młodzi muszą być zawsze idealisci. Jej się zdaje, że życie, to pójść z narzeczonym do kina...

— Wcale nie myślę o takich głupstwach! — przerwała ostro Lusiu.

— ...A my wszystko straciliśmy, wszystko... przez tych bolszewików! Wszystko. Majątek, dom, kapitały.

Robiło się coraz ciemniej. Ali poruszył się niecierpliwie w fotelu i nagle, jękając się, przerwał krótkie milczenie głosem przyciszonym i starając się na nikogo nie patrzeć.

— Proszę pani... Ja chciałem, sukienkę...

Pani Paulina przechyliła głowę z wyrazem rzeczowego wyczekiwania. Lusiu strzeliła oczami. Ali urwał.

— Słucham? — podtrzymała go Grostaczkowa, jeszcze bardziej przechylając głowę.

— Sukienkę...

— Dla młodej osoby?

— Jak? Dla... pani mówi, kogo? — i Ali ruchem bezradnym spojrział na Tugaja, ale pani Paulina poprawiła, wciąż tym samym rzeczowym tonem:

— Dla osoby, to znaczy dla kobiety, dla panienki; młodej?

— Mhm.

— Jaką, w jakim guście by pan chciał?

— No, taką mniej więcej elegantszą, jakby to powiedzieć.

— Rozumiem. Wysoka, niska, pełna? — i wyprostowawszy się w fotelu zrobiła opływowy ruch rękami wzdłuż swego ciała.

— No, chociażby, jak, powiedzieć, ot panna Lusia. Tylko że, może, piersi mniejsze.

W zmroku nie dojrzeć było czy Lusia poczerwieniała, ale odwróciła się gwałtownie i zamierzała wyjść do drugiego pokoju.

— Lusiczka, kochanie, ty byś nie wzięła kluczyka i przyniosła tę?... Wiesz, włożyła na siebie, pokazać...

— Niech mama na sobie mierzy, kiedy chce!

Radio zaczęło klaskać i pierwsze, przerywane odgłosy przed-alarmu wyraźnie doszły poprzez wypadłą szybę.

— Może zdążę jeszcze do domu. — Tugaj wstał, aby się pożegnać.

— Ot i doskonale — zwróciła się pani Paulina do Alego. — W sam raz przyszedł nalot. Zejdziemy teraz razem do piwnicy, a po alarmie, wracając, zabiorę z dołu ze skrzyni, panu pokażę.



Czas naglił. Armia czerwona zbliżała się od strony Budapesztu. Tugaj niczego nie zafatwił za spodziewanym pośrednictwem pani Pauliny. Bardzo żałowała, ale — mówiła rozkładając ręce — niestety. Ledwie sama uzyskała takie możliwości (nie powiedziała naturalnie, jakie), dla siebie i Lusi. Ale to już zawczasu. A teraz — znowu rozłożyła ręce — już jest za późno. Powstało takie zamieszanie, wszyscy się rozjechali, nikogo znaleźć... Chaos, kompletny chaos. — Bardzo żałowała. Na trzeci dzień po tej rozmowie i sprzedaniu sukienki Alemu, zniknęła z Wiednia drogą jej tylko wiadomą, i nie żegnając się z nikim.

Azerbejdżanie i Gruzini zamieszkali w pensjonacie przy Maria-Hilfe-Strasse, spakowali walizy i również wyjechali nie uprzedzając nikogo. Byli to ludzie bogaci. Na schodach Tugaj spotkał tylko Sulejmana Zaburi, człowieka bez pieniędzy.

— No i widzi pan, co to za ludzie! — skarżył się. — Żeby choć słowo powiedzieli!

— A pan ciągle nie ma możliwości?

— Ale dokąd, dokąd?

— Do Włoch, nie?

— Łatwo powiedzieć.

— Widział się pan z Dżemajem?

— On może dużo, ale czy zechce pomóc? Nie mogę go złapać. Strasznie obawiam się, że też już mógł wyjechać. Do Włoch, pan mówi? Może być, że słusznie. Jedyne ratunek. Byle do Anglików czy Amerykanów. O, znowu nalot. Chodźmy w dół.

— Ach, niech go diabli! W ten sposób nic się nie załatwi — zaklął Tugaj.

— Proszę pana, mój żołądek już zupełnie wystygł. Od czterech dni nic gorącego nie mogę dostać.

W prywatnym schronie było obszernie. Zaburi miał lat około sześćdziesięciu; siadł i złożył posłusznie ręce na nieco wystającym, owym wystygłym żołądku. Przy palcie brakowało mu dwóch guzików. Gdy nastąpiły pierwsze wybuchy, rozplótł ręce i wrywał palcami stare nitki pozostałe po tych guzikach.

— Jakim pan jest obywatelem? — spytał Tugaj, nie mogąc jak zawsze podczas nalotu, pohamować nerwowego ziewania.

— Niby to Iraku.

— Dlaczego: niby?

— Mój ojciec był sędzią w Bagdadzie, jeszcze za sułtana Abdul-Hamida. Za tureckich czasów. Pan już nie pamięta.

— Owszem, opowiadał mi mój ojciec. Dużo pan teraz płaci za pokój?

— Eee, nie dużo. No więc widzi pan: ja byłem poddany turecki i w pierwszej wojnie dostałem się pod Erzerumem do niewoli rosyjskiej. Nawet dobrze było. Dopiero gdy nastali bolszewicy...

— I co pan robił?

— Jakto, co? Uciekłem.

— Nie, ale później?

— Wykładałem języki wschodnie na...

Tugaj pochłonięty całkowicie myślami o najważniejszej sprawie wyjazdu, potarł czoło i przerwał mu pytaniem, czy nie zna Mehmeta, takiego Tatara krymskiego? — Nie, nie znał.

— A Alego-Maleka?

— Tego znam, ale nic nie wiem co się z nim dzieje. Więc, wykładałem mówię panu, nawet w wielu uniwersytetach...

Odwołanie alarmu nastąpiło nadspodziewanie szybko.



Mehmet zjawił się tego samego dnia wieczorem, z gotowym planem ucieczki, tym razem nie do Kozaków, ale wprost do Mediolanu i żartował: „Wybombowali mnie Amerykanie to ja teraz do nich: niech dadzą schronienie!” Ale plan był lepszy od żartu. Tugaj rozpatrzył go skrupulatnie i zaakceptował z miejsca.

R o z d z i a ł 11

GEMONA

Zegar wskazywał pięć minut przed dwunastą. Ali spojrzał nań z niepokojem. Była to godzina symboliczna. Dla Alego bardziej może, niż nawet dla innych. Zdawało mu się, że o jego dezercji powiadomiony jest każdy agent NKGB, aż do najwyższych instancji w Moskwie. Dżemaj obiecał mu, że go zabierze, wraz z innymi, drogą jaką sobie utorował grubymi łapówkami, wprost do Mediolanu. Jednakże Ali rozmyślił się w ostatniej prawie chwili i postanowił wybrać trasę na Udine, przez teren Kozackiego Stanu. Na tę decyzję wpłynęło wiele czynników wziętych pod rozwagę, oraz szereg informacji, które skrzętnie gromadził od dłuższego czasu. Przede wszystkim więc dowiedział się, że grupa Czeceńców i Inguszków, których się obawiał ze względów osobistych, włączona została nie do Kozaków, a do kaukaskiego korpusu stojącego gdzieś w górach, w Paluzza. Po drugie doniósł mu ten sam informator, Kozak kubański, że w obozie kozackim znajduje się ponoć ktoś z jego bliskich, czy nawet jego matka. Wiadomość była dosyć mglista i niezupełnie pewna, ale ktoś mógł w tamtych czasach wiedzieć coś na pewno, albo zgłosić za coś ręczyć? Po trzecie światli w polityce ludzie, radzili mu przedostać się do jego pierwotnej formacji, mianowicie dywizji turkmeńsko-azerbejdżańskiej, która stała we Włoszech, podobno też gdzieś w okolicach Udine. Wprawdzie to tylko supozycja, ale — powiadano — nie to jest ważne do jakiej formacji, a ważne, żeby w ogóle

trafić do jakiejś jednostki wojskowej. Przy okazji wyłożono Alemu obowiązujące rzekomo międzynarodowe prawa wojenne, zawarte przez wszystkie cywilizowane państwa, już dawno temu, w jakimś mieście holenderskim. Jeżeli więc — powiadano — dostanie się do niewoli jako żołnierz, to potraktowany zostanie jak każdy jeńiec wojenny według tych obowiązujących praw, i oczywiście ze strony Anglików czy Amerykanów włos mu z głowy nie spadnie. A że koniec wojny, więc posiedzi za drutami może miesiąc-dwa i wypuszczą na wolność. Natomiast jeżeli wpadnie w ręce jako cywil, to jeszcze nic nie wiadomo. Prawdopodobnie też go zaraz wypuszczą, bo wojna zachodnich aliantów z Sowietami wisi na włosku, ale mogą go dłużej przetrzymać i badać. A swoją kobietę ulokuje sobie gdzieś tymczasem, na parę miesięcy. Jeżeli ma trochę pieniędzy?...

Ali miał ich niewiele, ale kiwnął skwapliwie głową i postanowił tej rady posłuchać. Za spreparowaną mu fałszywą przepustkę wojskową do Kozackiego Stanu zapłacił niedużo i pięć minut przed dwunastą wybrał się w drogę, nie zwracając uwagi na alarm.

Do Gemoni przybył wraz ze swoją kobietą dnia 27 kwietnia, ale nikt mu o dywizji turkmeńskiej nic powiedzieć nie mógł, przynajmniej nic dokładnego. Także nikt nie wiedział i nie słyszał o jego matce. W Gemonie stał 3-ci zapasowy pułk, w składzie ośmiu socien, trzech dział, trzydziestu karabinów maszynowych, łącznie około 2.500 ludzi, przeważnie Kozaków kubańskich, pod wodzą wojskowego-starszyny Łobysewicza. Kilka sotni rozłożonych było w bliskości wsi Osoppo i Peonis, pilnując tam składów wojennych na rzece Tagliamento. Jedna sotnia we wsi Tarcento. Reszta, i sztab w samej Gemonie.

Nazajutrz po jego przybyciu zdarzył się następujący wypadek: trzech Kozaków idących do fryzjera w mieście, zostało napadniętych przez partyzantów i jeden z nich zabity. Wysłano natychmiast zbrojny patrol, ale partyzanci uciekli. Sytuacja była naprężona do ostatnich granic. Dnia 29-go zjawili się w Gemonie parlamentariusze w asyście osoby ubranej w mundur angielski. Udało się z nimi dojść do porozumienia, że Kozaków z bronią, przepuszczą na północ dla połączenia się z główną siłą w rejonie Tolmezzo, skąd mają się dalej wycofywać z Włoch.

Lecz nazajutrz rozpoczął się wielki deszcz. Podpułkownik Łobysewicz chciał go przeczekać... Dnia 30-go lał deszcz. Sotnie zgrupowane wokół Osoppo, nie doczekawszy rozkazu, ruszyły na własną rękę w kierunku północnym. Przebiły sobie drogę do Covazzo i połączyły się później z atamanem Domanowym. Gemonę minęły opodół pułki idące z Udine, śpiesznym marszem do Tolmezzo. O tym było wszystkim wiadomo. A podpułkownik Łobysewicz zwlekał.

1-go maja lał w dalszym ciągu deszcz. Dlaczego podpułkownik Łobysewicz nie ruszał? Istnieje przypuszczenie, że uważając sytuację za beznadziejną, nie chciał jej jeszcze pogarszać marszem na spotkanie wojsk sowieckich do Austrii. Uważał postanowienie Domanowa za błędne. Sądził, że bezpieczniej jest doczekać na miejscu przybycia Anglików i złożyć broń we Włoszech. Zagrożenie ze strony Tity uważał za przesadne, natomiast wielkim niepokojem napawała go ofensywa armii czerwonej na Wiedeń. Nikomu jednak swoich refleksji i zamiarów nie zdradzał i po odejściu kilku sotni z Osoppo, pułk w Gemonie utrzymany był w stanie alarmu, oczekując łada chwila rozkazu wymarszu. Lał deszcz.

Od 2-go maja ustały na terenie Włoch działania wojenne. Połączenie z Tolmezzo zostało przerwane. Tego dnia pojawili się ponownie parlamentariusze, tym razem z kategorycznym żądaniem złożenia broni. Otrzymali odpowiedź, że Kozacy kapitulują wyłącznie wobec regularnych wojsk angielskich, a broni partyzantom nie złożą. Nazajutrz, 3-go maja sotnia w Tarcento obwarowała się i ogniem odparła kilkakrotne próby ataków. Wieczorem otrzymała rozkaz połączenia się z grupą główną w Gemonie i przybyła do niej w szyku bojowym. Dnia 4-go maja zjawił się oficer angielski. Przedstawiając bezcelowość dalszego oporu, zaproponował kapitulację, przejmując odpowiedzialność za dotrzymanie jej warunków. Po burzliwej naradzie Kozacy, otoczeni ze wszystkich stron i nie widząc żadnego innego wyjścia, zdecydowali się broń złożyć, zachowując wszelako pistolety aż do nadejścia regularnych wojsk angielskich. Oficer zgodził się.

Prawo równi pochyłej wszędzie jest jednakie. Kto na nią raz wstąpi, ten się już zatrzymać nie może. Powzięta decyzja kapitulacji pozbawiła Kozaków nie tylko broni cięższej,

ale i rozbroiła ich moralnie. Ani pistolet, ani szabla nie mogły stanowić żadnego oparcia wobec przeważających sił. Toteż nazajutrz, 5-go maja, oddali na żądanie i pistolety. Wtedy otoczyli ich partyzanci i zaczęli grabić.



W te dni ulewnego deszczu i gnębiącej niepewności, w nocie stukające o szyby łącznie z kroplami wody odgłosem nierozpoznanych, a więc tym bardziej nękających strzałów — przecież szczęście uśmiechnęło się do Alego! Mąż signory Porolli, u której stanęli kwaterą w Gemonie, był członkiem milicji faszystowskiej i nie wiadomo żywił jeszcze, czy zginął już, a jeżeli tak: to gdzie? W każdym razie od bardzo dawna żadnych wieści o nim nie było. Za to żona bała się okropnie zemsty. Nie darmo nadeszły pogłoski z Udine, a nawet z Monfalcone, Pordenone, z Treviso. Kto je przyniósł trudno było ustalić, ale brzmiały dosyć jednolicie i to przemawiało raczej za ich autentycznością. Mianowicie, że żonom faszystów golą na początek głowy, obwożą na pośmiewisko, bicie i opluwanie powszechne, a co później z nimi czynią, to już nawet straszno powtórzyć... Signora Porolli postanowiła tedy (a był już najwyższy czas ku temu!) uciekać z Gemony, gdzie ją wszyscy znali, i szukać schronienia u dwóch młodszych sióstr i żyjącego na ich utrzymaniu starego ojca, w Mediolanie. Tam mogła się czuć bezpieczna. Tym bardziej, że siostry zmieniły niedawno mieszkanie i ani one, ani naturalnie bardzo stary ojciec, nie były zaangażowane w podobne historie i nie miały żadnych politycznych trosk na głowie.

Stało się zaś na szczęście Alego, co się staje rzadko, ale się zdarza, że utraciwszy trzy lata temu swą jedyną córkę, zmarłą na tyfus, signora Porolli od pierwszych dni zapalała jakowąś matczyną sympatią do jego Inguszeki. Roztkliwiło ją ich nieszczęście i opuszczenie, czy też może raczej — wspólne nieszczęście?... Zresztą w tych nagłych i krótkich błyskach ludzkich reakcji trudno zazwyczaj bywa doszukać się istotnych ich przyczyn. Signora Porolli, nie będąc nigdy złą z natury, nie mogła też uchodzić za to, co się potocznie rozumie pod określeniem: „dobra”, albo nawet „dobrotliwa”. Była jeszcze niestara, ale też i nie-

młoda; włoskim zwyczajem gestykulująca, ale z umiarem. W jej czarne włosy zaledwie poczęły się wplątywać siwe nitki. Dbała o siebie, oszczędna, zawsze schludna, nie odmawiała ludziom pomocy, gdy zachodziła tego skrajna potrzeba, ale również nie była do niej zbyt skora. I oto raptem, już po kilku dniach darowała kobiecie Alego ciepłą chustkę. Poiła ją gorącym mlekiem rano, w łóżku, i kazała spać do południa, żeby wypoczęła i powróciła do pełnych sił po wyczerpujących przygodach drogi.

Signora Porolli sporo lat swego życia spędziła w Bresanone, po niemiecku Brixen, stąd знаła trochę język niemiecki, może nie więcej niż się go nauczył Ali w Wiedniu, starczyło jednak do wzajemnego porozumienia. Zapadło ono ostatecznie 2-go maja, w dniu zakończenia działań wojennych w Italii. Przy zamkniętych drzwiach i zasłoniętych firankach okien, odbył się rodzaj narady familijnej, na której powzięto następujące uchwały:

Ali nazajutrz wstępuje formalnie do którejś sotni kozackiego pułku i przechodzi na statut żołnierski. Natomiast signora Porolli zabiera jego kobietę i przedostają się do Mediolanu. W drodze nie powinno im nic szczególnego grozić. Po wypuszczeniu z niewoli, co powinno nastąpić w przeciągu miesiąca-dwuch, Ali przedostaje się do Mediolanu, a później zobaczy się jak ułożyć dalsze życie. Dostał kartkę z dokładnym adresem na via Ticiano, wraz z dodanymi informacjami jak tam trafić i nawet numerami tramwajów, które signora Porolli, rodowita mediolanka, zachowała w pamięci.

Kobiety wyszły rano, 3-go maja w sposób najmniej zwracający uwagę sąsiadów. Ali oddał im cokolwiek posiadał wartościowego ze swego prywatnego dobytku i prawie wszystkie pieniądze, mało zresztą warte. Skierowały się piechotą, podnóżem gór na Maniago, aby już dalej, dążąc w ogólnym kierunku na Vicenzę i Veronę wydostać się na wielkie drogi i skorzystać z okazynego podwiezienia przez samochody, gdyż koleje wszystkie były nieczynne. Zresztą w Desenzano nad Lago di Garda miała signora Porolli również rodzinę swego kuzyna.

Tylko początek drogi okazał się uciążliwy. Zaledwie jednak wydostały się z zasięgu, w którym działały ongiś formacje kozackie, signora Porolli zmieniła taktykę. Wszędzie gdziekolwiek zachodziła tego potrzeba, a nawet tam gdzie

była zbędna, ogłaszała siebie za ofiarę faszyzmu, a ponadto za przymusowo wywiezioną na roboty do Niemiec, skąd jej nie tylko samej udało się uciec, ale oto: tu wskazywała z dumą — wyzwolić z niewoli nieszczęsną Rosjankę, którą opiekowała się jak rodzoną córką. Zresztą w to ostatnie trudno było wątpić. Tym większa więc zasługa i chwała spadała na signorę Porolli, i obydwum kobietom okazywano ze strony nowych władz wszelką pomoc. Przetłumaczano jej dramatyczne opowiadanie szoferom alianckich wozów wojskowych, którzy chętnie podwozili je na wielu odcinkach drogi. W ten sposób przybyły do Mediolanu już po upływie kilku dni.



Dnia 7 maja deszcz przestał padać. Zakończyło się również dwudniowe ograbianie Kozaków, podczas którego niektórym zabrano nawet buty. Nazajutrz popędzono ich w liczbie około 1.100 ludzi na południe. Tegoż dnia, w drodze, zabito dwóch. Dopiero na 18 kilometrów przed Udine spotkali wojska brytyjskie, które przejęły Kozaków spod straży partyzanckiej i umieściły w dawnych koszarach. Karmiono dobrze. Nastrój zaczął się poprawiać. Powrócili dawne nadzieje.

14-go maja załadowano wszystkich do ciężarówek i przez Padwę, Ferrarę, Rawnę przywieziono do Forli, gdzie za drutami w niewoli zastali już około 2.000 ludzi liczący, rosyjski, antybolszewicki pułk ochotniczy „Wariag”. Po dwudniowym postoju i pewnej segregacji, grupę, w której znalazł się Ali przerzucono do Ancony.

Olbrzymi, 50-tysięczny obóz jeniecki mówił, jak się zdało Alemu, wszystkimi chyba językami Europy wschodniej. Rozdzielono ich według narodowości. Kozaków przyjął oficer angielski władający trochę językiem rosyjskim:

- Wy kto jesteście?
- Kozacy kubańscy.
- Z jakiego oddziału?
- 3-ci zapasowy pułk.
- Musicie jechać do Rosji.
- Nie, my do Sowietów nie pojedziemy.

W ciągu następnych kilku dni próbowano wpłynąć na nich drogą perswazji. W odpowiedzi Kozacy zredagowali

obszerny memoriał, uzasadniający swą odmowę powrotu, zakończony stanowczym protestem przeciwko wydaniu ich w ręce bolszewików. Memoriał wręczono komendantowi obozu. Zrobił na nim jak najgorsze wrażenie. Wyznaczył nazajutrz apel Kozaków i zapytał:

— Nie chcecie wracać do ojczyzny?

— Bolszewicy to dla nas nie ojczyzna, a turma.

— Raz jeszcze pytam: wracacie do Rosji, czy nie?

— Nie!

— W takim razie my was rzucimy do obozu niemieckiego.

— Rzucajcie.

Alego w tej chwili najmniej interesowała strona polityczna sprawy, a nawet nie bardzo brał udział w zbiorowych protestach. Nie obchodził go los tamtych. Wiedział tylko jedno, że on, Ali, musi się osobiście za wszelką cenę wydostać. Za wszelką cenę! Pożerał go strach przed rozstaniem na zawsze, podświadome, niesprecyzowane uczucie zazdrości. Przestał prawie jeść. Pragnienie wydostania się i połączenia ze swą ukochaną było tak silne, że przestał wątpić w możliwość jego udania. Działał jak w halucynacji, ale z pewnością lunatyka. Po prostu pewnej nocy majowej przelał pod drutami, w dziwny sposób niezauważony przez strażę, i ruszył wzdłuż morza na północ. Szedł nie szosą, a trzymając się terenu pomiędzy torem kolejowym i plażą Adriatyku. Był tak skoncentrowany w tym marszu, iż nie miał czasu na rozpamiętywanie, ani złożenie radom, których posłuchał wstępując do wojska. Morze przeświecało zielonkawym lazurem, piasek był rozpalony, słońce żółte, niebo granatowe. Ale piękno pejzażu widzi się tylko wtedy, gdy znajduje ono odbicie w wewnętrznym nastroju. Gdy wewnątrz człowieka wypalone jest do popiołu, do pustki i tylko jedna myśl i jedno pragnienie kieruje jego impulsami, wszystko co zdolne rozproszyć tę myśl, a więc i otaczające piękno, drażni, niecierpliwi. O kilka kilometrów przed Pesaro uległ raz tylko raptownej panice, zastanowiwszy się nagle: ile tygodni będzie musiał iść, jeżeli całą drogę zechce zrobić piechotą?! W tym miejscu aresztowali go żandarmi w białych hełmach.

Po pierwszym szoku zaskoczenia wziął się znowu w garść. Okazał największą uległość, spokój, a nawet

symulował radość, że to niby odbił się od swego oddziału i teraz szuka właściwego obozu zbornego. Żandarmi uwieźli i wioząc go wojskowym jeepem, pozostawili go w nim samego, gdy w bliskości Mondolfo-Marotta poszli się napić wina do tratorii. Złazł powoli, z rozmysłem, wszedł najpierw na podwórze niby to w poszukiwaniu ustępu, zapytał nawet jakiegoś człowieka, rozpatrzył się po okolicy i — uciekł.

Teraz poszedł nie morzem, a w głąb łąd, górami. Przedzierał się głównie nocami, ale już za Città di Castello instynkt nasunął mu prawie identyczną taktykę, jaką stosowała signora Porolli. Zaczął się podawać za jeńca sowieckiego, którego Niemcy deportowali do Włoch na roboty i który teraz, pijany z radości wyzwolenia wraca do ojczyzny. Przeklinał Niemców, wymachiwał pod ich adresem pięścią, żywo gestykulując włoskim zwyczajem i za to wszędzie go karmiono, udzielano rad i nawet obdarzono starym ubraniem. Naturalnie trzeba było uważać, żeby trafiać na naiwnych. A i tak tłumaczyć się musiał dla czego raptem idzie samotnie, nie zgłasza się do odpowiednich władz, które mu zapewnią transport? Że przecież muszą być gdzieś punkty zborne, gdzie winien się zarejestrować? To wszystko były pytania trudne do odpowiedzi. Wyłgiwał się z nich jak mógł i przeważnie w coraz inny sposób, ratując w końcu nieznaną języcznym. Musiał też wystrzegać się bardzo punktów kontrolnych, policji, żandarmerii polowej. Udawać ciągle, że nie ma czasu na rozmowy i w dalszym ciągu prześlizgiwać się nocą.

Raz, pod wieczór to było, wyszedł na dużą szosę i wbrew zwyczajowi niezatrzymywania się w miejscowościach bardziej ruchliwych, wstąpił wskutek zmęczenia do zajazdu. Gospodarz wysłuchał milcząc jego bajeczki i nic nie powiedział. Po pewnym czasie w ulicy stanęła kolumna amerykańskich aut. Po wyrazie twarzy z jakim Ali zaczął się nagle żegnać i dziękować za gościnę i wymawiać od noclegu, Włoch musiał coś zmiarkować. Ale znowu nic nie powiedział. Ali wyszedł na szosę, był teraz w cywilnym ubraniu i mógł przejść niepostrzeżenie, zwłaszcza, że zapadł był mrok wieczorny. Zanim jednak zdążył skrócić z szosy w boczną ścieżynę prowadzącą w górskie ostępy Apeninów, czyjaś silna ręka ujęła go z tyłu za ramię. Ali nie szarpnął się i nie uciekał, a jak zawsze ześrodkowany

w sobie, odwrócił powoli głowę. Przed nim stał jego gospodarz, Włoch. Patrząc na Alego zmrużył jedno oko:

— Ty gdzie chcesz, właściwie?

— Do Mediolanu — odpowiedział machinalnie Ali.

— Piechotą nie dojdiesz. Nigdy — mówił półgłosem. — Ta kolumna amerykańska jedzie właśnie do Mediolanu. Pusta jest. Zaraz rusza. Wślizgnij się z tyłu i schowaj pod budą.

— A jak wykryją? — spytał Ali z taką szczerością, jakby z tym Włochem łączyły go od dawna zażyłe stosunki.

— Też nic nie zrobią. Może jeszcze tytoniem poczęstują. To tacy ludzie.

Ali kiwnął głową. Tamten puścił jego ramię i postukawszy palcem we własne czoło, powiedział:

— Trzeba mieć: tu.

R o z d z i a ł I I I

MEDIOLAN

Jeszcze śnieg się trzymał w górach, jeszcze był luty i marzec 1945, a różnymi szczelinami Alp spływali ku dolinie Lombardzkiej ludzie o wystających kościach policzkowych. Jeszcze gdy panowała tu faszystowska republika Mussoliniego.

Dżemaj przybył do Mediolanu jeden z ostatnich, w kwietniu. Ustawił na biurku fotografię Amin-el-Huseini, Wielkiego Muftiego Jerozolimy, którą mu ten ofiarował z własnoręcznym podpisem, trzepnął w plecy Sulejmana Zaburiego, a później zatarł ręce i oświadczył:

— Może wszystko pójdzie ku lepszemu!

Sulejman uśmiechnął się. Był szczęśliwy, że wydostał się z Wiednia. Znał dobrze Włochy i język włoski, bo przebywał tu kiedyś przez czas dłuższy, wykładając arabski na jednej z uczelni. Wprawdzie nie lubił Italii, miał do niej uprzedzenie i lekcewał Włochów, ale tym chętniej pocieszał się wielkimi planami Dżemaja i towarzyszy, według których Italia będzie tylko krótkim etapem w dalszej ich wędrówce, prawdopodobnie na Bliski Wschód. Czy ma być to Kair, czy Konstantynopol, było sprawą mniejszej wagi. Szczegół w potężnym zaiscie planie, do którego rozpracowania Dżemaj przystąpił natychmiast. Ujął go w obszernym memoriale, który zamierzał przedstawić decydującym czynnikom politycznym mocarstw zachodnich, jak tylko zjednoczone ich armie wkroczą do północnych Włoch. Główne tezy tego memoriału dałyby się streścić w następujących zarysach:

„Konflikt pomiędzy światem zachodnim i międzynarodowym komunizmem jest nieunikniony. W wojnie, która wybuchnie już w najbliższej przyszłości, decydującym czynnikiem będzie wybór kierunku natarcia na Sowiety. I dlatego właśnie, natarcie to winno być skierowane w najbardziej wrażliwą, niejako „miękką część” Sowietów, to znaczy od południa, w ich posiadłości muzułmańskie: Kaukaz i Środką Azję, gdzie cała ludność gotowa powstać jak jeden mąż przeciwko znienawidzonej władzy, prześladowanej wierze Proroka. Dla tym skuteczniejszego jednak wpływu na te narody, należy zjednać do krucjaty antykomunistycznej Ligę Arabską i wszystkie niepodległe państwa muzułmańskie Bliskiego Wschodu. Rolę łącznika pomiędzy narodami muzułmańskimi pod jarzmem sowieckim i wolnym światem arabskim obejmie najskuteczniej antybolszewicka emigracja muzułmańska, działająca w ścisłym kontakcie z odnośnymi czynnikami mocarstw zachodnich. Poza dyplomatyczną drogą odnośnych mocarstw, oni, emigranci muzułmańscy z Sowietów, podejmą się odpowiedzialnej akcji przekonania swych współbraci i współwyznawców ze świata arabskiego o wspólnym zagrożeniu przez bezbożny bolszewizm i konieczności wspólnego działania”.

Zapewne Dżemaj, który szczęśliwie uratował się spod bomb spadających na Wiedeń, widział się już w roli wielkiego działacza i dyplomaty na Bliskim Wschodzie, obficie zaopatrywanego w mocną walutę mocarstw zachodnich. Pokazał też ten memoriał Tugajowi. Ów przeczytał uważnie kilka stronik druk maszynowego i odłożył.

— Co pan o tym sądzi?

— Sądzę — odparł Tugaj — że to zbyt dobre, żeby mogło być prawdziwe.

— Czy nie jest wystarczająco przekonujące?

— Niemcy znają przysłowie: „Rachunek bez gospodarza”. Obawiam się, że pan napisał właśnie coś w tym rodzaju. Zresztą zobaczymy. Musi pan tego gospodarza najpierw poznać. Nie mówiąc już o jego istotnych zamiarach.

Dżemaj był rozczarowany i rozstali się chłodno. Wczesnym popołudniem zaszedł do Tugaja, na Viale Bianca Maria, Mehmet z kupą plotek:

„Bogaci Gruzini pokłócili się z Azerbejdżanami. Oka-

zało się, że ktoś komuś skradł walizkę w drodze, ale kto komu trudno dociec. Ponieważ są wśród nich oficerowie rezerwy, więc toczy się sprawa honorowa... Na Piazza del Duomo ustawiono nową tablicę wymieniającą ofiary bolszewizmu. Wśród nich na pierwszym miejscu jest Finlandia, na drugim Polska, ale o nas, o Tatarach Krymskich, nic nie ma”.

— No, cóż o was można powiedzieć... — zaczął Tugaj, ale Mehmet już przeszedł na temat Alego:

— Przepadł gdzieś, nie wiadomo gdzie.

— Biedny człowiek.



Wypadki potoczyły się szybciej niż się na ogół spodziewano. Już w końcu kwietnia powieszono Mussoliniego za nogi na Placu Loreto i zaczęło się wyzwolenie. Od Turynu, z gór, spłynęły fale partyzantów. Wyglądali malowniczo: bagnety, noże, taśmy kulomiotowe na krzyż, czerwone chusty, dzikie spojrzenia niegolonych twarzy. Krzyczeli i strzelali we wszystkich kierunkach. Przez trzy dni trwała kanonada wystrzelanych w powietrze ładunków, jakby toczyła się największa z bitew tej wojny. Gdy wreszcie można było wyjść z domu, miasto przybrało odświętny wyraz. Z balkonów zwisały czerwone sztandary. Portrety Lenina i Stalina na każdym kroku. Tłum wiwatował na cześć dwóch Amerykanów, którzy siedzieli w kawiarni położywszy nogi na blat stolika. Na Piazza del Duomo spalono na wielkim stosie porąbane deski propagandowej wywieszki o krajach ujarzmionych przez bolszewików. Przestraszone gołębie wirowały na tle błękitnego nieba, a dym szedł w górę jak z całopalnej ofiary miłej Bogu.

Signira Porolli zjawiła się w mieszkaniu przy Via Ticiano, trzymając za rękę Inguszkę i garbiąc się pod wypchanym plecakiem. Inguszka niosła tylko nową sukienkę w osobnym tekturowym pudełku.

Gdy Tugaj ją zobaczył po raz pierwszy, a było to na Placu D'Aosta, miała na sobie jeszcze krótki kożuszek i chusteczkę na głowie. Szła w towarzystwie signory Porolli i Mehmeta. Po przywitaniu i zapoznaniu, spytała:

— Gdzie tu jest tołkuczka?

- Nie wiem.
- Ona chce kupić korale na szyję — wyjaśnił Mehmet.
- Korale można kupić w sklepie.
- Czy w sklepie może każdy kupować? — zapytała.
- Na pewno.

— Wszyscy jej mówią, a ona wciąż nie wierzy. Bo jak raz korali nie mogliśmy nigdzie zobaczyć. Ech, duszka ty moja, sowiecka!

Bokiem przeszedł patrol czerwonej milicji, obrzucając ich spojrzeniem. Gdy minęli odwróciła się za nimi.

— Kudłaci — powiedziała.

Z ogrodu zoologicznego frunęło stadko papug, latających swobodnie i przysiadło na gzymsie zbombardowanej filii banku di Santo Spirito.

— Jak pani na imię? — spytał Tugaj.

— Zina, Zinaida znaczy.

— Zinaido — spytał — chciałaby pani wrócić na Kuban?

— Ja nie z Kubania. Ale chodźmy już.

— Żadnych wiadomości od Alego?

— Nie, żadnych — odpowiedziała tonem, którego obojętność zdziwiła Tugaja.

Świeciło zimne słońce i zanosilo kurzem od zrujnowanych domów. Tugaj pożegnał się, gdyż umówił się był na spotkanie z panią Pauliną, która zresztą przyjechała do Mediolanu o wiele wcześniej i dawno się tu zadomowiła. Często spotykali się w kawiarni Biffi, w oszklonych arkadach koło głównego placu, i przesiadywali godzinami nie mając nic innego do roboty.

Zinaida, gdy się tylko na dobre roztasowała, zabrała się do studiowania nowego życia. Kupiła słownik włoski i zaczęła od litery „A”. Wychodząc na miasto wkładała wie-deńską sukienkę. Signora Porolli dopasowała ją lepiej. Wyglądała zupełnie po europejsku, nawet elegancko. Pewnego razu przechodziła arkadami koło kawiarni i Tugaj ukłonił się jej. Odpowiedziała uśmiechem.

— Kto to? — spytała Grostaczko. — Zaraz! Poznaje moją sukienkę... Więc to ta...

— Tak. Ona.

— Bardzo dobrze leży. Widział pan?

— Owszem.

— Tanio sprzedalam. Cóż robić, biedni ludzie — westchnęła.

— Ładna dziewczyna.

— Taka sobie.

Nastały dni pogodne i coraz cieplejsze. Prawie wszystkie kobiety nosiły już letnie suknie. Tugaj chciał zamówić sobie jeszcze jedno espresso, gdy właśnie zaczęły bić dzwony kościelne. Ludzie biegli w kierunku placu.

— Chodźmy zobaczyć — powiedziała wstając pani Paulina. — Lusia, wyprostuj się.

Tugaj wstał niechętnie.

— Przejdźmy tędy — wtrącił — będzie mniejszy tłok.

Ale wszystkie chodniki zalegał wielki tłum, który chciał zobaczyć defiladę. Posuwając się wolno, odcisnięci zostali w sam środek starego miasta. Zatrzymali się wreszcie na rogu ulic Meraviglia, Dante i Placu Cordusio. I tu natknęli się na grupę Azjatów stojących w kupie. Była też Zinaida; stała koło Mehmeta bardzo niewygodnie, gdyż widok zasłaniały jej plecy Sulejmana Zaburiego z łupieżem na kołnierzu marynarki. Żeby coś zobaczyć musiała wyciągać szyję i kręcić głową. Uczesana była jak Włoszka, a na lewym ręku świeciła nowa bransoletka z tombakowego złota. Kerim-Bek wysorował się prawie na krawędź szpaleru. Dżemaj, najwyższy wzrostem, zabawnie górował nad grupą Kałmuków, których przedtem nigdy się nie spotykało. Mehmet, zobaczywszy Tugaja uchylił kapelusza o rondzie szerokim, jaki zazwyczaj noszą księża katoliccy. Wokół rozentuzjasmowany tłum wiwatował i machał. Była to wielka parada zwycięstwa.

Przodem poczęły iść kolumny czerwonych, komunistycznych koszul. Przed pierwszym szeregiem niesiono portret Stalina średnich rozmiarów. Muzyka grała. Via Dante, cała udekorowana w czerwone sztandary — wśród których z rzadka zwisały włoskie bez herbu królewskiego, angielskie, amerykańskie i francuskie — mieniła się w oczach. Jezdnią szli i szli jak czerwona rzeka. Z wież kościelnych biły dziękczynne dzwony. Za czerwonymi koszulami maszerowały w równych odstępach granatowe koszule organizacji katolickich. Niesiono portret papieża. Za katolikami znów szli komuniści.

Kałmucy wciągnęli głowy w ramiona, zupełnie tak samo jak to czynili, gdy nad ich głowami wyła bomba. Kerim-

Bek cofnął się mimowoli o jeden krok wstecz od jezdni. Dżemaj jakby zmalął w oczach. Z trudem wydobył chustkę, by otrzeć pot z czoła, bo miejsce wystawione było na promienie słoneczne. Zaburi odwrócił się i z uśmiechem naiwnie igrającym na ustach, szepnął po rosyjsku:

— *Kuda my popali...* Dokądże to trafiliśmy...

— Tss! — syknął Dżemaj.

Tugaj powiódł wzrokiem dokoła nie mogąc dojrzeć nigdzie pani Pauliny. Dopiero po chwili, wypatrując ponad głowami tłumu dostrzegł ją przy stoliku małej kawiarenki w bocznej uliczce. Siedziała tam w towarzystwie oficerów alianckich, z którymi już od kilku dni zawarła znajomość. Trzymała w ręku chusteczkę i Tugajowi zdało się, że ma łzy w oczach. Podeszedł do nich.

— Boże, Boże... — szeptała. — Co za szczęście. Nareszcie dożyć. A my wszystko straciliśmy, wszystko. Dom, majątek, kapitały, przez tych Niemców...

— A mówiła pani, że przez bolszewików? — zdziwił się Tugaj.

— Ja!

Tugaj pochylił głowę nad filiżanką i w milczeniu mieszał cukier łyżeczką.

— Lusu — zwróciła się do córki. — Ty widzisz?! Czyśmy wierzyły, że doczekamy wreszcie!... Wyprostuj się.

Major w czarnym, alianckim berecie pykał z fajeczki i uśmiechał się trochę sceptycznie spoglądając z tyłu na wiwatujący tłum.

— Dobrze panom być sceptykami — podjęła znowu pani Paulina. — Ale jak tyle lat cierpiało się nędzę... Jeść nie było co.

Major ze współczuciem pokiwał głową. Pani Paulina schowała chusteczkę i zatrzasnęła torebkę. Tugaj nie odezwał się słowem. Major wyciągnął przed siebie wygodnie nogi.

— Byłem w Hiszpanii — powiedział. — Ostatnio w Rosji, a teraz poznałem Italię. Jeżeli prawda co mówią, że nizina rosyjska jest forpocztą Azji o kulturze bizantyńskiej, to półwysep Iberyjski i Apeniński wydają mi się forpocztą Afryki o kulturze łacińskiej.

— O tak — przytaknęła pani Grostaczko. — Tu jest podobno strasznie gorąco latem.

Słynna katedra, którą zaczęto budować jeszcze w roku

1386 i skończono zaledwie przed stu laty, a minimalnie tylko uszkodzona podczas bombardowań, była rzęsiście iluminowana. Kardynał Schuster podejmował uroczystą wieczrą zwycięskich gości. Powietrze pod wieczór, z braku wiatru, stało się parne, zastałe jak sadzawka i przesycone ludzkim potem, ludzkim wydechem, ludzkim śmiechem i krzykiem. Parowały kobiece ciała i benzyna czołgów.

Przy stoliku zgadało się, że Tugaj jest Persem, pragnie powrócić do kraju i chciałby w tym celu zetknąć się możliwie szybko z odpowiednią placówką dyplomatyczną w Rzymie. Pani Paulina z dużą życzliwością sama skierowała rozmowę na ten temat, zapytując, czy któryś z obecnych panów nie mógłby mu pomóc, jeżeli chodzi o środki lokomocji?

— On ledwo się wyrwał z Niemiec w ostatniej chwili — zakończyła.

— Tak — przytaknął Tugaj. — Ledwo się wyrwałem. Oficerowie byli tak uprzejmi, że obiecali zabrać Tugaja do Rzymu swoim samochodem. Wyjeżdżają właśnie jutro wieczorem.

Tugaj nie chciał opuszczać Mediolanu bez pożegnania z ludźmi, z którymi zżył się już po trochu w ostatnim okresie. Nie miał jednak za dużo czasu, więc nazajutrz zaszedł tylko do Dżemaja, prosząc aby w jego imieniu zechciał pozdrowić wszystkich znajomych. Zastał go przed biurkiem, gdy właśnie nerwowymi szarpnięciami palców wyrwał z ramek portret Wielkiego Muftiego Jerozolimy. Podarł na strzępy, zgarnął je ze stołu do lewej ręki i stanął na chwilę zastanawiając się.

— Po co to? — spytał Tugaj.

— Trzeba.

Poszedł wrzucić do klozetu. Woda musiała źle działać, bo słychać było jak targał kilkakrotnie za łańcuch. Później zatrzaskał drzwi i wrócił. Życzył Tugajowi pomyślnej drogi, obiecał przekazać jego pozdrowienia wszystkim pozostałym. Był uroczysty.

— A pan, zostaje tu? Na długo jeszcze?

— Jeszcze nic nie wiem.

Tugaj zawahał się, ale w ostatniej chwili nie zapytał go o dalsze plany związane z wręczeniem memoriału. Ucisnęli sobie ręce.

W pierwszych dniach czerwca przybył do Mediolanu Ali. Bez trudu odszukał mieszkanie przy ulicy Ticiano, według adresu i wskazówek zanotowanych na kartce, którą strzegł w ciężkich przygodach jak drogocenny klejnot. Zaczęły się jednak zaraz ciężkie dla niego trudy i starania o jakiś prawdziwy, czy fałszywy dokument upoważniający do prawa pobytu. Trochę pieniędzy pożyczył mu Dżemaj.

Zinaida wydała mu się znacznie odmieniona. Czuła się doskonale w nowym środowisku. Miał jednak przykre wrażenie, że jakby trochę się go wstydzi... Może ze względu na ubóstwo ubrania tylko? Czy też brak pewności siebie i zastrachanie, które odczuwało się w jego ruchach. Istotnie, Ali czuł się jak złapany, odsunięty, poniżony i nieśmiały; inaczej być nie mogło, w jego sytuacji. A Zinaida zapewne chciała żyć możliwie pełnym życiem. Czy nie miała do tego prawa? On zaś nie mógł jej nic dać i niczym zaimponować. Być może nawet, że jego obecność upokarzała jej miłość własną. Podobne, choć mniej skonkretyzowane myśli przebiegały przez głowę Alego, gdy go gołącego się rano w domu zastał Mehmet i przywitał słowami:

— A czy słyszałeś, bracie, co oni zrobili z Kozakami?!

Ali domyślił się kto są ci „oni”. Odpowiedział, że nie słyszał.

— Ha! jak nie zechcieli wracać do Sowdepji, to wyrznęli prawie wszystkich! Drawa, powiadają, czerwona była od krwi jak niezabielany barszcz. Przez trzy dni trupy płynęły tak gęsto, że pies by po nich mógł przebiec na drugi brzeg suchą łapą. Ot jaki los.

— Skąd wiesz o tym?

— Tu był jeden. Uciekł stamtąd i opowiadał.

Rozdział IV

ŚWIĘTY TEODOZJUSZ CZERNIHOWSKI

Na wojnie i o wojnie, zawsze się przesadza. W cyfrach, w opisach okrucieństw, czy w cytowanych litrach przelanej krwi. To jest tradycja. Tak było zawsze. W drugiej wojnie światowej obowiązywała spuścizna przekazana jej przez wszystkie poprzednie wojny od zarania dziejów ludzkości. W istocie nie było naturalnie tak źle, jak to wynikało z relacji Mehmeta. Na głównym placu w Peggetz pozostało kilkudziesięciu zabitych i rannych. Kilkudziesięciu też utonęło w Drawie. Łącznie z samobójstwami, liczba ofiar nie przekraczała zapewne setki. Dokładnej statystyki nie ma, a jeżeli nawet gdzieś by się znalazła to chyba w rejestrach tych czynników oficjalnych, które nie są zainteresowane w jej opublikowaniu.

W nocy na 2-go czerwca znaczna część Karaczajów, stojąca obozem pod Oberdrauburg, uszła w góry wraz z rodzinami, końmi, dobytkiem, częściowo nawet z bydłem. Gdy następny dzień rozświetlił słońcem dolinę Drawy mogli widzieć, kto chciał i miał dobry wzrok, co się dzieje na dole. Powtarzały się sceny z dnia poprzedniego: widać było tyraliery żołnierzy brytyjskich, czołgi i ciężarówki, do których pakowano ludzi. Zaczęło się od Kabardyńców, później przyszła kolej na Osetyńców, później... i tak dalej. Na łąkach pozostawał rozrzucony dobytek, rozbiegane konie, kilka trupów. Siodła. Na przestrzeni wielu kilometrów stały porzucone wozy, furmanki, kibitki, bryczki; leżały rosyjskiego typu chomąta, naczynia; wiatr unosił z rozgrabionych waliz niepotrzebne nikomu papiery, listy, fotografie i różne inne drobiazgi byłego Kozackiego Stanu i Legionu Kaukaskiego.

Dzwoniono w kościołach. Echo odbija się od jednej strony gór, uderza w drugą, powraca; coraz wyżej, wyżej, coraz dalej i ciszej idzie głos do nieba, prosząc Boga o darowanie grzechów, a osiadłych ludzi upomina by ich nie popełniali, nie kradli, nie rzucali się jak sępy na porzucony dobytek:

„Grzech-grzech, bim-bom, bam-bim!...”

W Dölsach mieszkała biedna kobieta z dwojgiem małych dzieci i staruszką matką. Odkąd mąż poszedł na wojnę i pod Wielkimi Łukami położył głowę „za Führera”, stała się wyrobnicą. Nie wypłacie, nie wyprosi u Pana Boga męża z powrotem. Takie rzeczy się nie zdarzają. Więc szkoda jej było drogiego czasu na marnowanie go łzami, gdy trzeba dalej żyć i dzieciom dać żyć.

„Bim-bom, bam-bim” — niesie wiatr; płyną obłoki omijając szczyty, płynie Drawa ciskając się po twardych kamieniach. Płynie ludzkie życie.

Niepokaźny kozaczyna przyprowadził niepokązną, siwą krówkę i zastukał w okno wdowy. Długo nie mogła kobieta pojąć, czego od niej chce ten człowiek. Był taki szary jak pospolity dzień wojenny, bez wyrazu na postarzałej twarzy. Ruchy leniwe, mowa obca. W podobnych zetknięciach ludzie skłonni są kwitować się wzajemnie wzruszeniem ramion. Ale Kozak nie odchodził. Długo nie mogła pojąć kobieta, aż wreszcie tyle pojęła, że chodzi tu o tę siwą krówkę. Czy sprzedaje?

— Ile chcesz za nią? Ona nie ma pieniędzy. Dzieci?... Są, owszem. Naturalnie dzieciom mleko by się przydało, codziennie świeże. Ale, *mein Gott*, on nie rozumie: *wie-viel?!*

Kozak coś mówi i rozkłada ręce, a tu czas leci, robota nie czeka. Zniecierpliwienie malowało się na twarzy kobiety. Wreszcie przygodny tłumacz objaśnił, że on nie chce nic. Za stary, żeby uciekać w góry, a krówki mu szkoda. Niech więc przyjmie z Bogiem i doi z niej mleko dla dzieci. Nic nie chce za to, po co mu teraz pieniądze?

— Teraz *Kossak kaputt, verstehn? Nix Geld...* Niech tylko ma starania o tę małą, siwą krówkę.

Po twarzy kobiety pociekły łzy.

— O du, *mein lieber Gott!*

— *Da, da, ponimaju: Gott. Po naszemu Boh.*

Mitia wybrał fatalną trasę ucieczki. Z początku cieszył się, że las gęstnieje, że nie spotyka osiedli tylko nadpróchniałe szopy na siano. Zmęczył się pięciem w górę, przysiadł na powalonym pniu. Wokół panowała cisza. Sięgnął do kieszeni obszukując je czy nie znajdzie gdzie tytoniu, gdy raptem niezwykajny ruch przykuł jego uwagę: z krzaków wyprysnęło stadko dzikich kozic, przez sekundę stanęło jak wryte, spostrzegłszy wroga swojego rodzaju i — pooszło! — w górę, w las, migając białym lusterkiem pośladków. Mitia znieruchomiał, z zamarłą ręką w kieszeni, patrzył za nimi i uśmiechnął się, być może po raz pierwszy od kilku dni. „Gdzie mieszkają kozice, tam nie mieszkają ludzie”, pomyślał. Tytoniu nie znalazł, i odpocząwszy poszedł ich śladem.

Skierował się na północ. Gdy jednak przewalili szczyt Stronachkogel, zszedł lasem w dół, otwarła się przed nim zaludniona dolina rzeki Möll i duża droga, wiodąca z Winklern do Obervellach. Po drodze gęsto krążyły wehikuły wojskowe. Zwrócił się tedy na północny-zachód, ale tu trafił na wiraże szosy wiodącej z Lienz przez Winklern do Heiligenblut i dalej poprzez Grossglockner-Pass aż do Salzburga. Ważna arteria, całkowicie opanowana ruchem wojsk. Był teraz bardzo już zmęczony niezwykle dla niego marszem przez trudny teren. A w dodatku przynębiony świadomością, że jest odcięty trójkątem szos. Wypadło czekać, aż zapadnie zmrok. Przy świetle dziennym przeszkody nie podobna przekraczać. Ryzyko zbyt wielkie.

W nocy zbliżył się do szosy, wybrałszy miejsce gdzie las podchodził najbliżej, i przeskoczył ją pomiędzy dwoma błyskami reflektorów. Z boku dostrzegł zarysy dużego budynku, zapewne hotelu dla turystów. Był rzęsiście oświetlony i łatwo się było domyśleć, że dziś tam żołnierze wojsk zwycięskich mają ciepło i jedzą prawdopodobnie kolację. Ale Mitia nie zwykł był rozczulać się nad własnym losem. Nie znał tego uczucia, które nie posiadało żadnego praktycznego zastosowania w jego dotychczasowym życiu. Jedzą? Niech jedzą. On nie je, bo nie ma. Dla kogoś wybiła godzina kolacji, dla innego walki o zachowanie życia. Nie ma się nad czym zastanawiać, a tym mniej roztkliwiać.

W tej chwili oświetlono go reflektorem. Skoczył za występ skalny, a stamtąd poczołgał się lasem. Później wstał i poszedł szybko. Za słaby by się pięć pod górę, posuwał się zboczem o nieznacznym tylko wzniesieniu. Po kilku godzinach znalazł się znów w dzikim i pustym miejscu. Trasa jaką obrał wiodła go od tej chwili na szczyty górskiej grupy Schober.

Czym dłużej jednak trwała samotność, tym większy lęk narastał w zbiegu. Minęły dwa dni. Spotkał drwala, od którego wyżebrał kawałek chleba i który go poinformował o zarządzonych obławach. Ciągła myśl podsycana przez wyobraźnię, przeistaczała się w obsesję. Dał się całkowicie powodować odruchami, które rządzią tropionym zwierzęciem. Każdy strzał w dole, głosy ludzkie, a w końcu każdy trzask złamanej gałązki, ba, podejrzany szmer ptaka w koronie drzewa, budził strach i porywał do ucieczki. I Mitia uchodził coraz wyżej. Obszedł już szczyty Sattelköpfe, Schleinitz, Kleine Rotspitze, a później Grosse Rotspitze, Hoher Prijakt. Z dwóch tysięcy metrów, dwóch tysięcy osiemset, dziewięćset, drapał się na trzy tysiące. Obrósł, niegolony, szczotką, szcerniał od wiatru, zimna i słońca. Nocami marzył. Spał w lesie, w szczelinie skalnej, w wykrocie drzewa. Głód zapędzał go w dół i obrał sobie kilka samotnych domostw, dokąd przychodził żebrac o kawałek chleba. Dawano mu trochę z litości, trochę ze strachu przed dzikim włóczęgą, z każdym dniem mniej chętnie.

Istnieje pewna cecha zakorzeniona głęboko w psychice ludzi osiadłych, którą trudno by tłumaczyć prawem, zwyczajem, czy też skłonnością, lub słabością. Czymkolwiek jednak ją nazwiemy, wyraża się w instynktownej niechęci do człowieka bez dachu nad głową. Przemijający włóczędzy, zbiegowie, ludzie ścigani, to znaczy dotknięci nieszczęściem takiego rodzaju życia, które oszczędzone zostało bliźnim zagospodarowanym na trwałym kawałku gruntu liczyć mogą na również przemijające współczucie, litość, mogą się spodziewać, acz niezawsze, tylokrotnie wspomnianego w modlitwach kawałka chleba powszedniego. Stanowią bowiem pewne zbiorowe pojęcie ubóstwa, któremu wypada, czy też należy, okazać pomoc. Natomiast jeden, konkretny włóczęga, nie pojęcie, a człowiek z krwi i kości, wciąż ten sam, krążący jak duch, jak niczym niezasłu-

żony wyrzut sumienia — zawsze w końcu budzi szczere zniecierpliwienie, które przechodzi w odrazę. Gdy się je, wiadomo, że on jest głodny; gdy się idzie spać wiadomo, że on śpi tylko pod przykryciem świerków; gdy się idzie w las można go spotkać; gdy się właśnie nie jest usposobionym do miłosierdzia, on się zjawia po prośbie. To męczy, denerwuje, złości. Bo niby z jakiej racji? Czy się ponosi winę za jego niedolę? Czy się ma ponosić koszty tej ciągłej jałmużny, i ciągle wystawianie na pokusę grzechu: braku miłości bliźniego? A od czego są inni ludzie? Dlaczego ciągle tu nawraca? Niechby sobie już poszedł (raz wreszcie!) z Panem Bogiem! A ostatecznie... Tak jest: ostatecznie... jeżeli nie może sobie poradzić inaczej, to niechby już raczej jego złapali! Bo co to za życie i dla nich i — (dodaje się wtedy na usprawiedliwienie) — dla niego?!

Raz uprzedzony przez kobietę, w której skutek coraz gorszego wyglądu zewnętrznego, przestał już wzbudzać litość, Mitia, pchnięty paniką, uciekł aż na Hochschober, wyszedł z lasu, poszedł zrazu karłowatą kosodrzewiną, później kamienistym pastwiskiem i doszedł do granicy śniegu. Przystanął, rozejrzał się po otaczającym pejzażu, o którym się zawsze twierdzi w bardzo wysokich górach, że przypomina pejzaż księżycowy. Dał silny wiatr. Chmury przebiegały tuż nad głową. Szemrał strumyczek wyciekający z topniejącej w czerwcu łachy śniegowej. Jeden jedyny czarny kruk, zdawało się jeszcze czarniejszy na tle chmur, leciał kędyś nastawiając skrzydła pod wiatr i nie krakał. Daleko rozpościerał się kraj skał, zastygłych form geometrycznych, szczytów, stożków, załamań. Był stąd widok na łańcuch górski za łańcuchem, w bezbrzeżną tęsknotę niesioną wiatrem nad skorupą globu ziemskiego. Mitia stał, rozglądał się i zastanawiał nad kierunkiem jaki ma obrać, gdy raptem w szum wiatru wdarł się daleki zrazu, przerywany jeszcze, ale coraz wyraźniejszy odgłos motoru. Szybko poszukał oczyma najbliższej rozpadliny skalnej, skoczył w nią jak ryś, przywarł, ukrył się i śledził. Samolot długo zataczał kręgi i zniknął wreszcie na północnym zachodzie.

Wtedy Mitia podniósł porzucony uprzednio kij i ruszył w kierunku południowo-zachodnim. W nocy zszedł w dolinę, z pewną trudnością przeprawił się na prawy brzeg

Iseli i skierował w góry, jak sądził, położone nad granicą włoską.



„Argyll and Sutherland Highlanders 8 Battalion” po wykonaniu włożonego nań zadania: deportacji Kozaków z doliny Drawy, otrzymał nowe zlecenie, które w praktyce sprowadzało się do służby patrolowej w terenie. Pułkownik Malcolm zdawał się nawet zadowolony, że jego chłopcy nie muszą gnuśnieć w koszarach. Zorganizowana na większą skalę obława na ludzi zarówno wojskowych jak cywilnych dawała czasem bardzo pocieszające rezultaty. Zwłaszcza, jak się wyraził pułkownik, dostarczała odpowiedniego treningu i zaprawy bojowej młodym i niedoświadczonym żołnierzom, którzy dopiero w tym czasie przybyli do batalionu z domu.

Właśnie tych ludzi, którzy z młodzieńczym zapałem zabrali się do skrupulatnego wykonania rozkazów, najbardziej obawiał się Mitia. Dlatego też trzymał się możliwie wysokich i niedostępnych ścieżek. Idąc jedną z nich usłyszał nagle przyciszone głosy i jak zawsze skoczył w bok ukrywając się w gęstwinie z zapartym tchem. Zanim jednak mógł dostrzec kto idzie, usłyszał urywkowe słowa wypowiedziane po rosyjsku. Szło około sześćdziesięciu ludzi, w tej liczbie trochę Kozaków i większość Kałmuków. Mitia wyszedł z ukrycia. Powiedzieli mu:

— Nie ma tam czego szukać po włoskiej stronie granicy. Idziemy w kierunku Innsbrucku.

— A tam co? — spytał.

— A tu co?! — odkrzyknął jeden z Kałmuków ze złością.

Reszta szła w milczeniu, nie zwracając uwagi na wymianę zdań. Mitia też zaniechał dalszych pytań i przyłączył się do grupy. Nie było zresztą o czym gadać. Czasem o jedzeniu, czasem o wyborze tej lub innej śnieżki. Wszystko inne było już dawno wypowiedziane. Prowadził starszy wiekiem kaukazczyk. Chodziło na razie o to by ująć pogoni i wydrzeć się ze strefy organizowanych obław.

Nazajutrz wydostali się z lasu i poszli granicą śniegów. Tu ich przyłapał samolot i ostrzelał z karabinu maszynowego.

wego. Różbiegli się jak stado kuropatw i pochowali zanim jeszcze prowadzący zdążył krzyknąć: „Kryj się!” Samolot strzelał beładnie, szeroko rozsypując kule z ciężkich karabinów maszynowych. Jedna z nich trafiła młodego, niskiego wzrostu Kałmuka, rozdzierając mu fatalnie prawe udo. Spreparowali nosze i ponieśli na zmianę rannego. To jednak znacznie utrudniało dalszy marsz po bezdrożach i stary kaukazczyk zmuszony był wybierać trasę dogodniejszą. W końcu postanowili zniżyć się trochę i poszukać jakiejś ścieżki. Ale od tej chwili samoloty krążyły nieustannie i zachodziła obawa, że ustalą kierunek ich marszu i zawiadomią posterunki obławy.

— Nie ma co — zawyrokował przewodnik. — Trzeba zejść w gęsty las, ukryć się i zmylić trop.

Zeszli i ukryli się wśród jodeł i świerków jak pod zielonym dachem. Głód dokuczał nieustannie. Kto co miał jeszcze, ten jadł prędko, cichaczem i odwracając głowę, żeby inni nie widzieli. Ale widzieli, dostrzegali błyskawicznie, bo nazbyt już byli głodni.

— Masz może jakąś krztę tytoniu? — zwrócił się jeden do Miti.

— Nie mam.

Tamten wyciągnął nogi, spojrzał na swe podarte buty i przełamał konwencjonalne milczenie, poruszając temat, którego starali się unikać:

— Przepadniemy, chłopcy. Nie ma dokąd iść.

Cisza. Niewidoczny w gęstwinie wierzchołków, tuż nad nimi, łupał dzięcioł. Wreszcie oberwał się stamtąd kawałek kory i obijając o konary, nigdzie nie zatrzymując spadał z lekkim szmerem coraz niżej i niżej, aż legł na mchu.

— Dokąd, mówisz, iść? — odezwał się drugi. — Dokądkolwiek. A tobie obrzydła już wolność?

— Powiedział! Ładna mi wolność! — i trzeci, biorący udział w dyskusji potoczył ręką wskazując ciemne pnie drzew. Rękaw na prawym ramieniu miał rozerwany i w tym ruchu zwisający łachman zrobił wrażenie skrzydła.

— Najgorsza wolność i ta nawet lepsza od najlepszego więzienia.

— Idziemy! — Kaukazczyk wstał, otrząpał spodnie. — Komu tam kolej nieść rannego? Tą ścieżką.

Na tej to właśnie ścieżce natknęli się na zasadzkę. Tylko

kilku udało się w czas prysnąć w gęstwinę. Mitie uratowała okoliczność, że właśnie zatrzymał się z tyłu dla załatwienia własnej potrzeby, gdy z przodu padł strzał ostrzegawczy brytyjskiego patrolu. Rzucił się w bok, rozbił kolano o pień, wywrócił się, ale nie czując bólu, dopadł rozpadliny, potoczył się po niej w dół drąc ubranie, twarz i dłonie do krwi. Znów był sam.

Jednakże tego samego jeszcze wieczoru szczęście zaświtało dla Miti. W nastroju graniczącym z apatią, pod wpływem głodu, zszedł po pochyłości i wstąpił do jednego z trzech domów, które tu stały w grupie. Gospodarz okazał się nadspodziewanie życzliwy. Nakarmił go, dał mu się umyć. Z początku Mitia, odwykły od tego rodzaju traktowania, powziął podejrzenie, iż jest to fortel, aby go zatrzymać w chacie i dać znać do najbliższego posterunku brytyjskiego. „Może nagrodę wyznaczili za wydawanie zbiegów”, pomyślał. „Kto ich tam wie”. Toteż po zjedzeniu i nabraniu sił, miał się na baczności. Ale gdy gospodarz podarował mu stare ubranie, był tak zdziwiony, że zapomniał o podejrzeniach. Nazajutrz rano, po przespaniu się w szopie z sianem, otrzymał śniadanie i gospodarz powiedział mu, że w sąsiedztwie zamieszkała jakaś kobieta, najwidoczniej, dodał, będzie to któraś „z waszych”. Mitia podziękował jak potrafił, za wszystko, i udał się do wskazanego mu domu. Istotnie, zastał tam Kozaczkę, rozwieszającą na podwórzu bieliznę.

Było ciepło. Mocno pachniało nagrzanymi na słońcu, świeżo ciosanymi strużkami sosny. Prócz tego był to dzień niedzielny. W dolinie dzwoniło na mszę. Gospodarzy nie było w domu, widocznie poszli do kościoła. Pozdrowił rodaczkę i przysiadł się obok, na belkach złożonych pod zamierzaną budowlę. Przez chwilę wydawało mu się, że w taki cichy poranek mogliby i oni, jak inni ludzie na świecie w niedzielne przedpołudnie, pogawędzić o jakichś swoich, własnych, sąsiedzkich sprawach; o troskach minionego tygodnia, o nadziejach na tydzień przyszły...

— No cóż, uratowałaś się jakoś, swojaczko? — zagadnął.

— To nie ja, to mnie święty Teodozjusz Czernihowski uratował.

— No?

— A ty byłeś w Peggetz?

— Byłem.

— No to więc wiesz. Po pierwsze, jak to zaczęło się wszystko, ślubowałam św. Teodozjuszowi Czernihowskiemu, że w każdy piątek, nie tak jak dotychczas, pościć będę na sucho, jeżeli uda się z tego piekła wydostać. To znaczy mnie, mamie, memu braciszкови, a jeszcze miałam dziecko na ręku. Jakoż i cud się zdarzył. Gdy wszyscy zaczęli uciekać przez most, św. Teodozjusz skierował Anglików za innymi, a my, znaczy ja z dzieckiem, braciszkiem i mamą dali się w prawo. Wprawdzie zgubiłam pantofle i biegłam w skarpetkach, ale dolecieliśmy jakoś gór i zaczęli drapać na skały. Później już w lesie, spotykaliśmy Kozaków. Niektórzy pożyczali mi swoich butów, chociaż kawałek przejść, bo już miałam nogi poranione. Mama też ledwo szła, a trzeba był wspinać się coraz wyżej i wyżej. Najgorzej z pokaleczonymi nogami. Aż las się skończył i doszliśmy do takich kamienistych łąk, a później do śniegu: Ach, dzień był, dzień!

— Tak. Przez wszystkie te dni była ładna pogoda.

— Szliśmy, i trzeciego dnia natrafiliśmy na trupy: Kozak, kobieta i dziecko. Widocznie popełnili tu samobójstwo. W jaki sposób, nie chciałam już tam patrzeć. Tymczasem wyczerpały się nasze, zabrane do worka zapasy. Pragnienie gasiliśmy śniegiem. Ale co jeść? Co robić? Gdzie iść? Do kogo się zwrócić?... Jakoż pozostał tylko św. Teodozjusz Czernihowski. Idę i modłę się, a sama myślę: jakaż ja głupia, przecież z tych kamieni wokół chleba nie będzie. Nagle!... Czy powierzysz! Za zakrętem skały drewniany domek. Przed nim stoi stary Kozak i wyłamuje okno. Zobaczył nas, kiwa ręką. Podbiegłam: święty Teodozjusz Czernihowski!! Przez okno widać chleby na stole leża!

— Cóż to było takiego?

— To było schronisko dla turystów. Znalazło się jeszcze trochę kaszy mannej, maki, a także drzewo opałowe. Tam dobrze odpoczęliśmy, a później nazajutrz poszliśmy dalej. Poprowadził nas ten sam stary Kozak. Aż tu raptem rozwarła się przed nami przepaść...

— Mhm — wtrącił Mitia.

— No taka przepaść, że przejść nie można. Nasz Kozak długo medytował, aż wreszcie wykombinował drogę. W ciągu pięciu dni minęliśmy chyba trzy szczyty i cztery

przełęcz. I wreszcie zdecydowaliśmy się zejść na dół, to było właśnie tu. I gospodarz przyjął mnie na pracę, wzamian za wyżywienie. Przyjął.

— To szczęśliwie.

— Ale to nie wszystko! Posłuchaj co dalej było: Cztery dni temu przybył tu patrol angielski. No, myślę, koniec. Ale, postanowiłam, nie dam się żywcem, żeby mnie odesłali do Sowietów. Wyskoczę z okna z dzieckiem, o tu, nad tym urwiskiem wychodzi moje okno i zabiję się. Ale na razie zaczęłam od modlitwy do św. Teodozjusza Czernihowskiego: „Zmiłuj się, mówię, nie dopuść do ciężkiego grzechu samobójstwa!” Właśnie w tej chwili wchodzi sierżant i każe pokazać papiery. Wyciągam, wręczam, a z nich jasno przecie wynika, że uciekłam z Lienz, co tam można ukryć. Sierżant długo je czytał, jeszcze dłużej obracał w palcach, tak jakoś... Później popatrzył na mnie, raz, drugi... Opuścił oczy, oddał papiery i powiedział tylko: „Oł rajt”.

— I?

— I poszedł.

— Słusznie, że cud.

— To samo ja mówię.

— Jak temu twemu świętemu na imię?

— Święty Teodozjusz Czernihowski.

— Szkoda, nie przyszło się mnie spotkać w życiu.

— A ty nie bluźnij, bracie.

— Ja nie bluźnię. — Mitia podniósł głowę znad kolan, obrzucił wzrokiem dobrze zagospodarowaną zagrodę, twarz swojaczki obok, wyczuł miłe ciepło słońca, otaczający spokój i o nic więcej nie pytał. Zrozumiał, że nikomu, nikomu tu nie może zależeć, aby ostał się jeszcze jeden zbieg-przybłąda. Żeby ludzie zaczęli gadać, i żeby się po okolicy rozeszło, i żeby nie naprowadzić jeszcze jednego patrolu, jeszcze jednej rewizji dokumentów. Nie, on nie będzie psuł tego co cudownym zarządzeniem sprawił św. Teodozjusz Czernihowski. Wstał.

— Bywaj. Do widzenia. Mnie czas.

— A ty dokąd teraz? — zapytała, nie zatrzymując go.

— Ja?... W drogę. — Uniósł worek z prowiantem, którym go obdarzył na drogę gościnny gospodarz, i poszedł.

Poszedł przez góry, trzymając się leśnych ścieżek.

R o z d z i a ł V

RZYM

Tugaj miał wiele kłopotów z uzyskaniem zezwolenia na powrót do kraju. Przedstawicielstwa perskiego nie było w Rzymie. Próbował więc coś uzyskać drogą pośrednią przez poselstwo tureckie. Ale zarówno tu, jak w innych instancjach, podlegających obecnie pośredniej lub bezpośredniej kontroli czynników militarnych, czyniono mu trudności. Jego długoletni pobyt w Niemczech podczas wojny wydawał się niektórym podejrzanym i sprawę przeciągano aż do jej wyjaśnienia. W ten sposób doczekał się jesieni.

Był jeden z tych dni po długotrwałym deszczu, gdy zaświeciło ostatnie już może w tym roku, letnie słońce i przywróciło wiecznemu miastu jego swoisty blask, nieporównany z żadnym innym. Wody, które ciągle gdzieś bulgoczą w murach rzymskich, szumiały teraz jak potok. Platany przybrały żółtość obrazów van Gogha, a rozmaite pnącze opadające ze ścian błyszczały wilgocią, jakby przed chwilą śmiały się do łez. Chodniki nie obeschły jeszcze i w refleksie ich światła, nawet żebrak zbierający okórki amerykańskich papierosów wydawał się postacią malowniczą. W powietrzu czuło się lekkość i miłe ciepło. Tugaj zdziwił się szczerze spotkawszy w taki poranek panią Paulinę przybraną w chustkę na głowie i wytartą jesionkę. Onegdaj jeszcze widział ją w nocnym klubie alianckim wystrojoną nie na jej lata.

— Dokąd to pani? — spytał przyglądając się koszykowi, który trzymała w ręku.

— Do UNRR'y — odparła. A zgadując widocznie jego

myśl, dodała: — Nie wypada tam chodzić elegancko ubranym. Ostatecznie tam przeważnie biedni ludzie.

Tugaj powstrzymał się od wszelkiej uwagi.

— Pan też w tę stronę?

— Tak. Odprowadzę panią kawałek. Jakże się miewa panna Lusja.

— Ach, ona teraz jest rozrywana. Pracuje w Relief Service. Wie pan, nawet bardzo jej do twarzy w mundurku.

— Tak? Szkoda, że nie miałem szczęścia spotkać jej ostatnio.

— Może pan będzie dzisiaj w nocy w „Mandarineccie”?

— Niestety, chyba nie. Mam spotkanie. Przyjechali moi znajomi z Mediolanu. Zresztą pani ich też, zdaje się, zna.

— Nie wiem o jakich pan mówi. Ale zaraz, ja muszę na drugą stronę ulicy. Pan dalej?

Tugaj pożegnał się i poszedł do małej knajpy położonej opodał wzgórza Kwirynału, dokąd miał przyjsć Mehmet, który dwa dni temu przybył do Rzymu. O tej porze sala była pusta. Mehmet siedział sam przy stoliku.

— Jak się żyje?! — Tugaj wyciągnął doń rękę.

— Siak-tak. Wina?

— Trochę zawcześniej. No, ale dobrze. Wszyscy teraz pijemy wino.

Mehmet zaczął opowiadać co się działo w ciągu kilku ostatnich miesięcy w Mediolanie: Przeważnie posadzono wszystkich za druty. Dżemaja, Kałmuków... — A prawda, pan ich nie znał.

— Widziałem raz podczas parady zwycięstwa.

— Acha. Poza tym Dagistańców, część Gruzinów. Niektórzy Azerbejdżanie się wykręcili, ale Kozaków to wszystkich i dońskich i kubańskich.

— I co mają z nimi zrobić?

— Z nimi? Już dawno wydali, wszystkich Kozaków.

— Przepraszam, pan mówi, Dżemaja? A nie słyszał pan, on miał wręczać jakiś memoriał?

— Nie, nie słyszałem. Cóż ja, prosty człowiek, a on wielki polityk. Nie zwierzał mi się. Naturalnie wszyscy wykręcili się jak kto mógł. Niektórym się nawet udało, ale przeważnie to nie. Jeden Kerim-Bek zbuntował się. Gdy jemu zarzucano, że walczył przeciwko narodom zjednoczonym... Zdaje się, że tak: zjednoczonym?

— Uhum.

— No to Kerim zaczął wołać: „Cóż to, krzyczał, ja na zgubę swojej ojczyzny, chcielibyście, żebym walczył?! Za bolszewików, żebym walczył?! Awanturował się. — Mehmet pociągnął łyk wina i uśmiechnął się. — Dureń, no, ale i mądrym mało pomogło.

— A Tatarów?

— My... — zrobił węzowaty, wymowny ruch ręką i pojechał dłonią pod stół. Roześmiał się.

— A Sulejman Zaburi?

— Ten się wyratował. Jest w Rzymie, właśnie. Acha! I wie pan kto tu jest jeszcze?

— No?

— Ali!

— I Zinaida?

— Nie... — spojrzał w bok, unosząc dla czegoś brwi. — Zinaida, nie. To pan nic nie słyszał? Prawda, skąd pan mógł słyszeć.

— Cóż się stało?

Mehmet znowu łyknął wina, zmarszczył się, i zaczął opowiadać:

— Ali cackał się z nią, cackał, ubierał, pieniądze dla niej pożyczął od innych i nie oddawał, i z tego wszystkiego w wielką biedę popadli. Tymczasem ona znajomości z oficerami alianckimi pozawierała. Do kawiarni poczęli ją zapraszać. Nazywało się niby to, że ona chce w ten sposób Alemu pomóc, dokumenty się wystarać, od deportacji ustrzec i tak dalej. Raz spotkałem go, siedzi pod ogonem tego pomnika konnego co to na placu koło Duomo. Od razu widzę: przegrany. Twarz szara, smutna, ale stara się uśmiechać i mówi, że ona pojechała do Como, ale ma wieczorem wrócić. Po co? pytam. No, już on wie, po co. Do Rzymu, powiada, później pojedą, a tam jakoś będzie. Wiedział, akurat! Tylko nie on! Z oficerami pojechała do Como, tam śliczne jezioro. Nie wróciła naturalnie i koniec na tym. To raz, po pewnym czasie przyszedłem do niego... Pan nie powierzył! Siedział o tak, przy stole — Mehmet odsunął się z krzesłem, pochylił głowę do blatu i pokazał jak: — zębami, o tak, za stół gryzie. Jak pies zupełnie. I płacze do tego.

— Biedny człowiek.

— Biedny! Wszyscy biedni. Co jego żałować. A jak on żonę ukradł od tego Kozaka...

— Czeczeńca, zdaje się.

— Czeczeńca, Ingusza, wszystko jedno. To czy tamten zębami nie gryzł? Też mógł gryźć. Tylko, że stołu może nie miał. No to w bokówkę wozu gryzł. Jechał od Częstocho-
wicy i gryzł. — Mehmet nalał wina i po chwili dodał:
— A teraz jak bolszewikom wydali, to ziemię pewnie gryzie.

Tugaj uśmiechnął się mimowoli z zapalczywości z jaką Mehmet opowiadał. Domyślał się, że musi być czegoś zły na Alego. „Może sam się do jego Zinaidy przystawiał? Kto go tam wie”. Nigdy Mehmetowi bardzo nie ufał. Zauważył, że teraz pił wino wyjątkowo łapczywie.

— *Camerriere!* Jeszcze jeden litr!

Upił się szybko. Wywrócił szklankę. Nastroj się popsuł. Kelnier przyszedł z serwetą wytrzeć obrus, na którym rozlane wino stało jak kałuża krwi. Miał minę obrażoną. Później zresztą było, że zarówno do ubrania Mehmeta, jak jego obcych, kanciarzy, nieuropejskich ruchów odnosi się z wyraźnym lekceważeniem, a może niechęcią.

Wkrótce po tym spotkaniu pogoda zaczęła się psuć. Zrobiło się zimno. Pewnego ranka padał nawet śnieg i trzymał przez parę godzin. Oficerowie biegali z aparatami fotograficznymi aby uwiecznić Colosseum w śniegu. Takie niespodziewane zwroty w pogodzie ludzie przypisywali kiedyś wyrębom lasów, później wpływom nowo-wprowadzonego radia, teraz bombie atomowej zrzuconej na Hiroszimę 6-go sierpnia 1945 roku. Interpretacji było zawsze dużo w tej dziedzinie, może dlatego, że nikt nikomu nigdy nie przeszkadzał mówić o sprawach pogody co się komu podoba. Takiego to właśnie pochmurnego dnia Tugaj wybrał się odwiedzić Mehmeta i jego przyjaciół. Mieszkali wszyscy razem, dosyć daleko, ale względnie dobrze: Sulejman Zaburi, Mehmet, Ali i jakiś Albańczyk z nimi. Albańczyk był osobą najważniejszą, bo znał pewnego Afgańczyka, który pełnił funkcję sekretarza u muzułmańskiego misjonarza z Indii. Misjonarz zaś był w dodatku oficerem brytyjskich wojsk indyjskich. „Wielki i bogaty człowiek”, powiedziano o nim. Miał ich właśnie odwiedzić. Wiązano z nim duże widocznie nadzieje. Na stole przygotowany był wystawny posiłek, a pośrodku

butelka włoskiego „Cinzano”. Przyszło też dwóch Turkmenów, oglądających się podejrzliwie. Zaburi był najstarszy wiekiem i zacierał ręce z zimna.

— Musi nam pomóc.

— On ma wielkie plany — dodał Albańczyk.

— I dolary.

— Nie dolary, a funty.

Ali miał na sobie ubranie skromne, wyglądał jednak dobrze, choć mówił bardzo mało. Na oko zdawało się, że pogodził się już ze swoim losem, a nawet wciągnął w nowe życie i nowe plany. Był gładko ogolony. Przy pomocy Zaburiego pisali już oni różne listy i podania: do króla Faruka, do współwyznawców w Ameryce, a teraz ten Hindus...

Wszyscy zerwali się na odgłos dzwonka u drzwi wejściowych. Do sieni wkroczyło dwóch brodatych Hindusów w mundurach brytyjskich. Jeden z nich miał na głowie zielony turban, drugi biały. W chwili gdy Mehmet pomagał misjonarzowi zdjąć płaszcz wojskowy, nagle coś tknęło Zaburiego, który był najstarszy wiekiem:

— Schować wino! — syknął.

Dwóch Turkmenów chwyciło jednocześnie butelkę, groźną sekundę mocowali się ze sobą, ale w sam czas zdążyli jeszcze ukryć ją przy nodze pod stołem. Misjonarz już wchodził i witał się łaskawie. Następnie zwrócił twarz do okna, za którym zgrzytały tramwaje i rozpoczął modlitwę. Turkmeni, którzy służyli ongiś w sowieckiej kawalerii, stali wyciągnięci na baczność. Zaburi, w swych o dwa numery za długich trzewikach z UNRR'y poruszył się i niebacznie dźwięknął o butelkę ukrytą pod stołem. Misjonarz kiwał się w modlitwie pochylając zielony turban. Przewody tramwajowe za oknem błyskały od wilgoci niebieskim, elektrycznym światłem.

Tugaj zdążył tylko kilka słów zamienić z Alim, gdyż wszyscy zbyt zaafierowani byli wizytą. Uznał w końcu, że jego obecność nie jest potrzebna i skorzystawszy z nadarzającej się okazji, usunął się niepostrzeżenie.

W ciągu następnych kilku tygodni był zbyt pochłonięty własnymi sprawami, aby się zdobyć na zainteresowanie losem swoich znajomych. Dopiero w miesiąc po odwiedzinach, wczesnym rankiem, zastukała do jego pokoju gospodyni mówiąc, że przyszedł pewien Signor, który

go chce koniecznie widzieć. W ciemnym przedpokoju Tugaj rozeznał sylwetkę Zaburiego.

— Proszę, proszę!

Zaburi zajął miejsce przy stole, wziął z wazy daktyl, zjadł, wypuścił pestkę do ręki i rzucił ją w kąt, do stojącego tam pustego wiadra. Blacha oddała przykrym dźwiękiem.

— No jakże tam wasz misjonarz? — spytał Tugaj. — Przyniósł wam jakiś prezent, wtedy?

— Przyniósł, tak.

— No?!

— Bochenek fasowanego, angielskiego chleba z „nafi”.

— Phiii. To nie dużo.

— Pan sobie wyobraża, ja się już trzydzieści lat nie modliłem, a teraz on przychodzi i ja czwarty raz stoję po godzinie na tej lodowatej posadzce... Jak sztubak. I nic z tego. — Wziął drugi daktyl, ale odłożył z niechęcią. — Przyjdź pan do nas.

— Chętnie. Tylko miałem dużo spraw na głowie. A teraz czuję się trochę przeziębiony.

Zaburi cmoknął kilkakrotnie zapowiadając złą nowinę: — Ali rozpił się strasznie.

Tugaj wyjął z szafy butelkę wina i nalał do szklanek.

— Wszyscy teraz dużo pijemy. Wbrew nakazom Prooka.

— Tak, ale on... — Zaburi wypił ćwierć szklanki. — On się zrobił zupełny wariat. On chce wracać.

Tugaj zatrzymał rękę niosącą szklankę do ust w pół drogi i spytał w zdumieniu:

— Dokąd?!

Zaburi w odpowiedzi kiwnął znacząco głową. Można się było domyśleć dokąd.

Zapadło milczenie. Na podwórzu okropnie miauczały koty, które w Rzymie mają zwyczaj urządzać koncerty okrągły rok. Wyjątkowo nieprzyjemny głos. Głos przypominający krzyk zarzynanego dziecka. Zaburi dopił swoje wino.

— A gdzie ta, Zinaida teraz? — spytał Tugaj.

— Nie wiem. Gdzieś już w mundurze podobno, alianckim. Autami rozjeżdża.

— Hm, to rzeczywiście... Dobrze, przyjdę pod wieczór, pogadam z nim.

— Niech pan będzie tak łaskaw; zawsze autorytet. Wszyscy mieli do pana zaufanie.

Tej nocy siedzieli we czwórkę wokół stołu. Na niepokrytym blacie stało wino, puste butelki poniewierały się po kątach. Nieosłonięta żarówka, jak w więzieniu, wisiała nad ich głowami. Przez niedomknięte drzwi dochodził świszczący oddech śpiącego Albańczyka. Rozmowa, z odmierzonymi jakby przerwami, stała się zabójczo jednostajna. Wszystkie argumenty były już dawno, dawno temu wyczerpane. Tak, w jakiejś uszkodzonej rynnie, bywa, że woda deszczowa się zbiera, nagle wyleje i znów zbiera w ciszy, i znów o swoim czasie wyleje. I znowu, i znowu w odstępach. Pierwszy zasnął Zaburi. Był najstarszy wiekiem i nie wytrzymał: opuścił głowę na złożone na stole ręce i spał cicho.

— Ali — mamrotał Mehmet.

— Mhm.

— No to zabijają ciebie.

— Niech zabijają. — Siedzi rozparłszy łokcie i patrzy na odbicie żarówki w kałuży wina. Mehmet odwraca twarz do Tugaja. Ten, kciukiem leżącej na stole dłoni robi ledwo dostrzegalny ruch bezradności. Albańczyk chrapie za drzwiami. Sulejman śpi, podciągnąwszy łokieć pod głowę. Gdy chrapanie ustaje, panuje cisza. Trwa.

— Ali.

— Co?

— Nu rozstrzelają, nu.

— A, niech sobie.

Mehmet patrzy na Tugaja. Tugaj robi ledwo dostrzegalny ruch. Cisza. Czasem ktoś sięgnie po szklankę, wypije łyk, drugi. Cisza. Wszyscy są już bardzo zmęczeni i odurzeni winem.

— Ali.

— No?

— Co, ty chcesz, żeby ciebie zabili?

— Jeszcze... Nic nie wiadomo.

— Jakto: „nie wiadomo”! Wiadomo dokładnie.

— No to niech będzie.

Mehmet patrzy na Tugaja. Ten milcząc, ze zmęczeniem unosi jedną brew. Cisza. Trwa, trwa.

— Ali.

— Hm.

— To ty wariat jesteś?

Cisza.

— Ale powiedz: wariat jesteś? Zupełny? Tak? Dureń? Tak?

— Po twojemu.

— Nie, ale powiedz: wariat, czy nie? — upiera się Mehmet.

— Niech będzie, że wariat. — Rozparł jeszcze szerzej łokcie i teraz patrzy na swoje złożone palce. Mehmet patrzy na Tugaja, oczekując wciąż od niego jakowejś rady. Ale Tugaj już wszystkie rady dawno wypowiedział. Odbiły się one o niewzruszoną apatię Alego. Teraz więc usiłuje tylko wzruszyć ramionami. Albańczyk przewrócił się na drugi bok i znów chrapie. Za oknami przejechał samochód MP ze sterczącą z tyłu, długą anteną.

— Ali... — nagle sen zmorzył również Tugaja. Przykry sen. Śnił się szeroki, pylny trakt... po którym jechały rury wodociągowe, pokręcone blachy... Obudził go chłód ciągnący od kamiennej posadzki.

— Zimno, w tych Włoszech — wycedził przez zęby, wstał i poszedł do domu. Świtało już.

Ale nazajutrz przyszedł znowu jeden z owych pięknych dni, jakie zdarzają się w południowych stronach podczas zimy. Słońce i raptowne ocieplenie wystawiło na chodniki krzeselka kawiarni. Tugaj spał do późna i wstał z bólem głowy. Po obiedzie przeszedł się do Porta Pinciana, zawrócił i zobaczywszy panią Paulinę, Lusię i dwóch oficerów, przysiadł się do ich stolika na chodniku kawiarni przy Via Veneto.

Lusia wyglądała ładnie i zdrowo. Ubrana była w mundur wojskowej organizacji kobiecej. Matka mierzyła ją co chwila wzrokiem, nie mogąc oprzeć się pasji poprawienia czegoś w jej ubraniu. Mundur był jednak prosty i leżał dobrze. Tylko te okropne, zielonkawe pończochy! Dwuch oficerów pykało z dwóch fajeczek, obydwa mieli nogę zarzuconą na nogę i zdawali się być zadowoleni z pobytu w Rzymie. Pani Paulina przeniosła wzrok na Tugaja.

— Żle pan czegoś dziś wygląda.

— Nie spałem.

— To pewnie przebumblował pan w jakimś nocnym lokalu.

— Niezupełnie. — I zaczął jej opowiadać historię Alego i jego nagłą, samobójczą decyzję. — Pani go chyba dobrze pamięta — zakończył. — Przychodził często, w Wiedniu, na Rembrandtstrasse. I później kupił tę sukienkę.

— Nie, nie pamiętam — ucięła krótko. — Widziałam, że kręciło się po mieście to tałatajstwo azjatyckie... Ach, przepraszam pan też pochodzi właściwie z Azji, czy tak? No, ale pan to co innego. Pan jest człowiekiem obytym, wykształconym, właściwie człowiekiem Zachodu, powiedziałabym nawet: europejczykiem. Tak, tak, niech się pan nie wypiera. Zresztą jest pan Persem, a Persja należy dziś do naszych sojuszników. Ale znamy się tak dawno, i niech pan sobie pozwoli powiedzieć szczerze, że zawsze podziwiałam pana ten jakiś dziwny sentyment do różnego rodzaju wywłok, do których ja, przyznam, odczuwam wstręt organiczny. Do tego całego mongolsko-rosyjskiego „wschooodu”! Ach, żeby panowie wiedzieli... — zwróciła się do oficerów i zaczęła opowiadać o swoich cierpieniach pod okupacją niemiecką i prześladowaniach jakich doznawała od różnego rodzaju kolaborantów.

Oficerowie ze zrozumieniem przytakiwali głowami. Tugaj słuchał jej ze szczerym zainteresowaniem, gdyż miała dar wymowy. Gdy jednak chciał coś wtrącić, przerwała mu gestem ręki i mówiła dalej:

— A to, co pan teraz opowiada o jakimś Tatarze, który chce wrócić, to nic a nic mnie nie dziwi. Czytałam właśnie bardzo trafny artykuł... Gdzieśmy to czytały Lusja?... No, jednym słowem o „ucieczce od wolności”. Świetnie uchwycona, rabska, azjatycka dusza. To u nich we krwi. Oni po prostu tęsknią do knuta, nie potrafią inaczej żyć. Naturalnie, Związek Sowiecki jest dziś naszym sojusznikiem. Ale przyzna pan, że ten cały bolszewizm, to też się zaczął od Mongołów.

W tej chwili ze zgrzytem hamulców, zatrzymał się koło chodnika wojskowy jeep.

— O, już są! — wykrzyknęła pani Paulina.

— Dokąd to państwo? — spytał Tugaj.

— Chcemy zrobić małą wycieczkę po zabytkach Rzymu.

— A... Przyjemnej zabawy. — Pożegnał się i po ich odejście opadł z powrotem na krzesło. Po ubiegłej nocy czuł się osłabiony i przepity.

Przed samym wyjazdem do Kairu, gdy Tugaj miał wreszcie wszystkie niezbędne dokumenty w kieszeni, spotkał przypadkowo na Corso Umberto Mehmeta.

— Jakże się skończyło z Alim? — zapytał go.

— Wyjechał.

Stali przez chwilę w milczeniu. A później Mehmet opowiedział, że w obozie, zdaje się w Rimini, czy gdzieś indziej w tej stronie, we Włoszech, nie pamiętał dokładnie, Dżemaj poprzecinał sobie żyły szkłem od butelki.

— Nie rozumiem — wzruszył ramionami Tugaj, szczerze poruszony. — Przecież nie mogli im odebrać żyłek, czy brzytwę do golenia. Po cóż zatem szkłem od butelki?

— Nie wiem ja. Musiała być jakaś przyczyna — odparł Mehmet.

R o z d z i a ł V I

LUDZIE I KONIE

Podobnie jak po załamaniu pierwszej kontrrewolucji, również pod koniec drugiej kontrrewolucji w roku 1945 rodzina Kolcowych znalazła się w zupełnym rozproszeniu... Przypominając sobie przepowiednię Tymoteusza Osmuchina sprzed lat 85-ciu (gdy to w buran śnieżny rodził się... itd.), wypadnie stwierdzić, iż stało się nawet gorzej niż przepowiedział ów znający się na znakach ziemi i nieba sąsiad. Albowiem nie tylko sam Aleksander Kolcow przeżył nad wyraz burzliwe życie i skończył śmiercią gwałtowną, lecz ponadto prawie wszyscy członkowie jego rodziny, którzy odumarli wcześniej lub później, nie zeszli z tego świata śmiercią naturalną, i to począwszy od małego Mikołaja, który utonął w Donie w roku 1898. Tak więc: żona i córka zostały spalone. Zięć, Abbas, rozstrzelany w Krasnodarze. Syn najstarszy, Aleksander, zginął w walce z komunistami bułgarskimi. Jego syn, a wnuk starego Kolcowa, Michał, który zaciągnął się do korpusu rosyjskiego w Jugosławii, figurował w spisach pod koniec kampanii przeciwko komunistycznym wojskom Tity, pod charakterystyczną dla wojennej nomenklatury rubryką: „zginął bez wieści”. Tylko jedna z córek, a siostra Michała, Maria, zmarła śmiercią naturalną na tyfus.

Wśród żyjących pozostała żona Saszy i jego druga córka, Prakseda, która wyszła za Serba. Ale wśród żyjących pod komunistycznym ustrojem na Bałkanach. A że do końca nie interesowały się nawet, czy jakowaś rodzina

egzystuje jeszcze, więc łączność nie mogła być nigdy nawiązana.

Jeżeli chodzi o Lidę, żonę Dymitra, czyli Miti, to trudno zdecydować czy można ją zaliczać do rodziny, skoro po osadzeniu męża w obozie, złożyła jeszcze w roku 1939 podanie o rozwód? Przemawiałaby za tym chyba jedna okoliczność, że powtórnie zamąż nie wyszła. Wyjść zresztą nie mogła. Stało się bowiem, czy to pod wpływem wyrzutów sumienia wywołanych wypiciem o jednej za dużo szklanki samogonu w mieszanym towarzystwie, czy też pod wpływem samego tylko samogonu, ale wypowiedziała głośno przekonanie, iż ludzi zsyłają do obozów nie zawsze słusznie. Aresztowano ją przed wybuchem wojny niemieckiej i skierowano po wyroku do Ust-Wym, grupy łagrów położonych w Komi ASSR. wzdłuż drogi kolejowej Kotłas-Uchta; tam osadzona została w 17-tym Łagpunkcie, zawierającym dwa kobiece oddziały. W tych warunkach nasuwałaby się więc kolejna wątpliwość, czy można ją jeszcze do żyjących zaliczać?

Syn Miti, Piotr, w zdrobnieniu zwany Pietią, po zniknięciu matki i przejściu różnych kolei losów, przyłączył się do bandy bezprizornych, w oficjalnym słownictwie przemianowanych po drugiej wojnie światowej, na: „beznadzornych”. W ten sposób zamknął koło tradycji rodzinnej z końca pierwszej kontrrewolucji.

.....

Gdy Ula, starzejąca się kobieta, 1-go czerwca 1945 roku znalazła się stłoczona w wagonie towarowym na stacji Lienz, i gdy po upływie pewnego czasu pociąg ruszył w kierunku wschodnim, odczuła rodzaj kojącego odprężenia. Mogła przede wszystkim siedzieć, co po dniu biegania od świtu w nerwowym napięciu, sprawiało wielką fizyczną ulgę. Poza tym wszystko było już jasne, niewymagające komentarzy, zabiegów, starań i wiecznej walki o okruchy nadziei. Sprawa została załatwiona, bez możliwości przeciwstawienia jej swej woli. Można się było poddać kompletnej, tak dobrze jej znanej z poprzedniego życia rezygnacji, i właśnie dlatego odczuwała swoją sytuację jako powrót do czegoś swojskiego, nieomal

bliskiego. Czasem apatia, podobnie jak stan wyczerpania i osłabienia pod wpływem dużej gorączki, jest stanem przynoszącym uspokojenie nerwów. Tak też łatwiej było przenieść śmierć ojca, którego nawet nie dano jej było zobaczyć w ostatniej chwili. Los własny interesował ją najmniej. Był losem, niczym więcej. Ale gdy koła pociągu odstukały już kilkadziesiąt kilometrów, poczuła, że zachodzi w niej zmiana o bardziej ważkim charakterze. Zmiana ta dotyczyła nadziei na zobaczenie syna, Alego. W ostatnich miesiącach był on jedynym przedmiotem jej rozmyślań i całą tęsknotą. W ostatnich godzinach wolności opowiadała o nim jeszcze żołnierzowi brytyjskiemu. A oto w tej chwili postać Alego przesunęła się po prostu w inną płaszczyznę wyobraźni. Złała się z tłem masowego losu. Ula, która niedawno nie dopuszczała tej myśli, przyłapała siebie na dziwnym spokoju z jakim teraz pomyślała: „Nie wiadomo, czy żyje jeszcze?...” Może tak, może nie. Może zobaczy, może nie zobaczy. I, rzecz szczególna, z taką myślą czuła się lepiej i bardziej spokojna.

Pociąg się toczył.

Przełęczony skład pociągu wynosił około czterdziestu wagonów. Pociągów było wiele i w pierwszych dniach deportacji, mijało stację w Spittal trzy dziennie. Każdy ochraniały tylko dwoma żołnierzami brytyjskimi. Drzwi towarowych wagonów nie były zamknięte na głucho, a jedynie zakręcone mocno drutem. Przez pozostawioną szparę Kozacy wyrzucali na zewnątrz podarte dokumenty, fotografie, ordery, odznaczenia, naramienniki, a nawet pieniądze. W wielu wypadkach udało się też odkręcać lub poprzecinać druty i wyskoczyć w biegu.

Wydawanie w ręce bolszewików następowało częściowo w Judenburgu, na moście nad rzeką Mur, gdzie na drugim brzegu straż trzymały już posterunki sowieckie; częściowo w Graz. Ogółem z terytorium południowej Austrii wydano Kozaków i członków ich rodzin około 50 do 55 tysięcy. Konkretna statystyka nie została ogłoszona przez żadną ze stron; ani przez tę która wydawała, ani przez tę, która przyjmowała tych ludzi.

Jednocześnie podążały na wschód transporty z innych miejscowości, wioząc przymusowo deportowanych Rosjan i przedstawicieli prawie wszystkich podsowieckich naro-

dów, które zbuntowały się przeciwko ustrojowi komunistycznemu. Mocarstwa zachodnie lojalnie wykonały zobowiązania powzięte wobec swego sojusznika. Mniej więcej przy zachowaniu identycznej proporcji gwałtu, łez, krwi, rozpaczliwych samobójstw, wywożono ludzi z Kempten, Hessen, Mannheim, Dachau, Plattling, z Salzburga, Daggendorfu, z České Budejovice i z innych, po prawdzie rzekłszy, niezliczonych obozów. Konkretna statystyka nie została nigdy ogłoszona.

Transport, w którym jechała Ula, przybył do Graz, głównego punktu zbornego, gdy już nie było tam generałów kozackich. Wydani dnia 29-go maja na moście w Judenburgu, przebyli noc w pomieszczeniach zrujnowanej stalowni. Nazajutrz przewiezieni byli do Graz, skąd natychmiast, specjalnym wagonem do Wiednia. Teżoż samego dnia wsadzono ich do samolotu i odprawiono do Moskwy. Tam, na lotnisku oczekiwały już więzienne samochody, które przewiozły ich do więzienia w Butyrkach.

Ula, gdy wyszła z wagonu, zwróciła się do konwojenta, po raz pierwszy śmiało, bo w rodzonym języku:

— Ej, swojak! — powiedziała. — Gdzieby tu umyć się można było?

— Idź, idź. I niemyta pojedziesz dalej.

Nie obraziła się na tę grubijańską odpowiedź.

— A prędko wypadnie jechać dalej? — zapytała.

— Postarzałaś już, a jeszcze ciekawości się nie oduczyłaś! — odpowiedział.

Ula przekroczyła szyny wraz z innymi. Nawet się uśmiechnęła po drodze do baraków. Po rewizjach, badaniach, rejestracji i innych formalnościach przebytych w nastroju mniej lub większej rezygnacji dalsza droga prowadziła przez: Wiedeń, Budapeszt, Ploeshti, Kijów, Briańsk, Moskwę za Ural. Do Prokopiewska, do Stalinska, Kuzniecka, do Karagandy, Bałchasza, Czuburaj-Nura, Potmy, Tajszetu, Uchty... I znowu przeliczyć nie podobna wszystkich obozów koncentracyjnych dokąd spływały dziesiątki i setki tysięcy nowych więźniów idących z Zachodu na Wschód! Nie wymienić trudnych nierzaz nazw miejscowości o brzmieniu azjatyckim, które nabrały szczególnego wydźwięku, odkąd nauka Marxa-Engelsa-Lenina-Stalina zapanowała niepodzielnie na tych

ziemiach. Nie wymienić i nie zliczyć cyfry wszystkich ukaranych za wrogość, nieposłuszeństwo, czy chociażby niechęć względem ustroju socjalistycznego. Z terenów wyzwolonych spod okupacji niemieckiej, spośród byłych jeńców, spośród buntowników i spośród kontrrewolucjonistów.

Ula należała do jednej z tych kategorii.



Ali wracał dobrowolnie w początkach roku 1946. Na kilka miesięcy przed ogłoszeniem dekretu z dnia 25 czerwca 1946 roku o „Rozwiązaniu Autonomicznych Sowieckich Socjalistycznych Republik: Czeczeno-Inguszkiej, Krymskiej i Kałmuckiej”. Nie wiedział też, że już dwa lata wcześniej deportowano do nieznanych bliżej okolic Syberii: 200.000 Kałmuków, 200.000 Czeczeńców i Inguszów, 150.000 Karaczajów i Bałkarów, 80.000 Tatarów krymskich, 70.000 Greków i Żydów.

Ale, gdyby wiedział, też by nie zmienił swego postanowienia. Jak każdy człowiek miał prawo do zgryzot osobistych, które absorbowały go bardziej niż wszelkie inne względy, którym kieruje się kolektywne życie zbiorowisk ludzkich. Obmierzło mu po prostu życie własne.

.....

Dnia 12 sierpnia 1946 roku w moskiewskiej „Prawdzie” ukazała się następująca notatka:

„W tych dniach obradowało Wojskowe Kolegium Sądu Najwyższego SSSR w sprawie oskarżenia przeciwko: Własow A.A., Małyszkin W.F., Żilenkow G.N., Truchin F.I., Zakutnyj D.J., Błagowieszczeńskij I.A., Meandrow W.I., Malcew W.I., Buniczenko S.K., Zwieriew G.A., Korbukow W.D. i Szatow N.S. — Wszyscy stanęli przed sądem z oskarżenia o zdradę i przejście na stronę wroga w charakterze agentów, celem uprawiania akcji szpiegowskiej i dokonywania aktów sabotażu, terroru i dywersji przeciwko SSSR, czyli o przestępstwa przewidziane w artykułach 58-1 b, 58-8, 58-9, 58, 10 oraz 15-II Kodeksu Kryminalnego SSSR. Wszyscy oskarżeni przyznali się do winy. W myśl art. I Ukazu Najwyższego Sowietu z 19. 4. 1943 Wojskowe Kolegium Sądu Najwyższe-

go skazało oskarżonych na karę śmierci przez powieszenie. Wyrok został wykonany”.

W kilka miesięcy później, mianowicie dnia 17 stycznia 1947 roku, w pismach zachodnio-europejskich pojawiła się następująca, lakoniczna wiadomość:

„Radio moskiewskie doniosło w dniu 16 stycznia o wyroku Wojskowego Kolegium Sądu Najwyższego SSSR zapadłego w sprawie byłych generałów białych armii: Krasnowa P.M., Szkuro A.G., Sułtan Keleczi-Gireja, Krasnowa S.M., Domanowa T.I., oraz niemieckiego generała Helmut von Pannwitz, oskarżonych o działalność szpiegowską i udział w organizacji walki zbrojnej przeciwko SSSR. Wszyscy oskarżeni przyznali się do winy. Na podstawie art. I Ukazu Prezydium Najwyższego Sowieckiego z dnia 19. 4. 1943 wszyscy oskarżeni skazani zostali na karę śmierci przez powieszenie. — Wyrok został wykonany”.

.....

W tym samym czasie na listę komunistyczną podczas wyborów 1946 we Francji, głosowało 30,5% całej ludności. We Włoszech podczas wyborów 1948 głosowało na listę komunistów 31% całej ludności.



Mitia cieszył się z zapasów żywnościowych, jakimi go obdarzono na drogę, gdyż w ten sposób, układał sobie, będzie mógł przejść dłuższą trasę, bez ustawicznego ryzyka, które mu groziło w osiedlach. Nie miał jednak mapy. Orientował się wprawdzie biegle według słońca, z drugiej jednak strony częste przeszkody w postaci urwisk i rzek zmuszały go do ciągłego zbaczania z kierunku. Najważniejszym zaś problemem pozostawał w dalszym ciągu właśnie: kierunek. Żeby dokąd iść, trzeba mieć cel. A jakim był cel marszu Miti? Musiał przyznać przed sobą z przygnębiającą szczerością, że takiego celu, a raczej takiej umiejscowionej mety, nie posiadał.

Szedł lasem. Dzień wypadł słoneczny, bez wiatru. O ciszy, która panowała wokół można by powiedzieć bez przesady, że: stała w miejscu, nieruchomo. Południowe

słońce rzucało blaski i cienie poprzez korony drzew i trudno orzec co było piękniejsze: blask czy cień. To prawda, że lasy wschodniej Europy pachną inaczej, pachną przede wszystkim mocniej. Że od tego zapachu mchu, kory drzewnej, liści, grzybów, zgniłego listowia i wszelakich innych roślin, aż w głowie się czasem kręci, zwłaszcza gdy przygrzeje letnie słońce. Natomiast brak im jest tego oświeślenia, jakie posiadają górskie lasy południowej Europy w dnie pogodne. Nie żeby tamte pozbawione były zupełnie gry światła i odbicia liści na drodze. Owszem, ale nie porównać je do ostrości konturów, jaskrawości barw! Tam promień słoneczny wpada w gęstwinę jak klinga kozackiej szabli oddająca matowym nieco srebrem, tu jak złocisty miecz anioła. Tam oko przyzwyczaja się szybko, tu trzeba go co chwila mrużyć od nadmiaru kolorów.

Mitia szedł niskim zboczem, przez las mieszany, po ścieżce usłanej trawą, miękiej i cichej jak kobieriec. Wyrwał się z prawa i poleciał w głąb koziół. Gwałtownością ucieczki nastraszył w pierwszej sekundzie wędrowca, zatrzymał go czujnie w miejscu, kazał się obejrzeć. Ale wokół znowu panowała cisza. To on sam był przyczyną strachu, którego napędził sarnie. Szedł więc dalej ścieżką. Dzieciół zielony zleciał z jodły i uciekł przed nim nisko między pniami. Ścieżka wiła się łagodnie. Zbliżył się do polany i słyszał przed sobą gęste paciorki szczebiotu sikorek, do wtóru mocniejszych cykań kowalików, które lubią we wzajemnym towarzystwie obszukiwać korę drzewną. Na jego widok głosy stały się krótsze, częstsze, bardziej jazgotliwe, ostrzegawcze. Szybko rozfrunęła się ta mała zgraja nad jego głową. Stapał dalej, a po jego twarzy przesuwwały się na przemian raz promienie słońca, raz cienie liści. Uszedł z pół kilometra, gdy raptowne ostrzeżenie sójki z hłasem rozdarły ciszę. Krzyczała na niego z taką uporczywą złością, jakby jej co zawinił, czy wkroczył w prywatną jej posiadłość. A las należy przecie, niezależnie od ludzkich pomiarów, do Boga nie do sójek! Czegóż więc chce od niego?... „A jednak wszyscy mnie tu uważają za intruza i wroga, nawet ptaki. Jak to dziwnie, że inaczej być nie może...” I, stanął jak wryty! Na konarze drzewa wisiał Kozak. Jego samobójcza postać zdawała się niepomieranie wydłużona, czarna jak kłoda, a jednak rażąco odbijająca od pni. Nie kołysał się, bo nie było

wiatru. Nie ruszał, tylko wisiał równo, wprost po linii przyciągania ziemi. Miał pewno twarz siną i wywalony język. Mitia obszedł lasem i nie patrzył. Przyspieszył kroku. Ale nie mógł dłużej iść już tą samą ścieżką. Bo gdy nią szedł to wiedział, to czuł za sobą, samotnego wisielca. Uchwycił mocniej worek, skrzył w krzaki i począł schodzić w dół, na przełaj.

Kołując i nakładając drogi, pozbawiony mapy, sam o tym nie wiedząc, zbliżał się znowu do doliny rzeki Drawy. A trzeciego dnia przytrafił mu się następujący wypadek: Wyszedł na drogę, po której niespodziewanie jechał wozem chłop. Miejsce było pustynne, nic nie groziło. Po przyodziewku chłopu, wprawne oko Miti poznało ślady wojskowej przynależności. Jakoż chłop okazał się istotnie byłym żołnierzem, któremu szczęśliwa okazja pozwoliła niepostrzeżenie przemknąć się do domu. Austriak walczył na froncie wschodnim i zachował w pamięci okruchy rosyjskiej mowy. Mitia rozporządzał okruchami niemieckiej i tak jakoś się porozumieli. Nie żeby chłop chciał mu okazać pomoc, zaproponował, że podwiezie, czy zaprosił do swej chaty. O tym w ogóle nie było mowy. Poczęstował natomiast tytoniem i pogawędził. Była to wszelako gawęda z rzędu najważniejszych jakie się zdarza prowadzić w życiu. To znaczy o bezpośrednim wpływie na dalszy los człowieka.

Nieznajomy powiedział Miti, że jedzie teraz, a raczej wraca, z okolic Lienz, że widział tam dużo koni. A po namyśle i wypluciu szczypty tytoniu, która mu przylgnęła do dolnej wargi, przypomniał sobie, że koło tych koni widział Kozaków. A później, że nawet słyszał, iż Anglicy zostawili pewną ilość Kozaków do pasania, czy tam pilnowania tych koni. Cały podobno oddział. I zaczął nagle Mitie namawiać: „Że tak po lasach się włóczyć, to niczego się nie wywłóczy. To jest sprawa beznadziejna. Dlaczego by więc miał nie skorzystać, a przynajmniej nie spróbować przyłączyć się do tych Kozaków? Dopóki ich Anglicy potrzebują, dopóty na pewno nie wydadzą. W każdym razie nie teraz. A później zawsze można jeszcze uciec po raz drugi”. Były żołnierz wypowiadał te słowa beznamiętnie, raczej dla zabicia czasu, zanim koń jego nie odpoczął trochę po przebytej, wspinającej drodze.

Później pożegnał Mitę niedbałym ruchem palców do daszka czapki i cmoknął na konia.

Mitia, który początkowo słuchał jednym uchem i którego słowa spotkanego bynajmniej nie trafiały do przekonania, z wolna dopiero zaczął się nad nimi zastanawiać. Zwłaszcza jedno słowo: „Spróbować” — wydało mu się trafne. Czegoż to bowiem nie próbował już w życiu. A nu!... Raz jeszcze. Przypomniawszy sobie nagle wiszącego na drzewie, wstrząsnął się i poszedł w dół w kierunku Drawy.

Sprawa naturalnie nie była łatwa. Trzeba się było wystrzegać patroli. Trzeba było podpełznąć możliwie niezauważonym; trafić właśnie na swoich. A przede wszystkim wiedzieć gdzie ich spotkać. Z drugiej strony orientować się było można po większym skupisku koni, obserwując je z ukrycia. Istotnie zauważył, iż poruszają się tam Kozacy swobodnie, bez żadnego konwoju. Wreszcie szczęście mu sprzyjało na tyle, że mógł zbliżyć się do jednego z nich i porozmawiać.

Tak, owszem, wszystko się zgadzało z tym co opowiadał spotkany na drodze chłop. Anglicy wydzielili oddział około 120 ludzi spośród Kozaków do strzeżenia i opieki koni. Podzieleni są na dwie grupy po sześćdziesiąt ludzi. Głównym ich miejscem postoju była wieś Nikolsdorf, a teraz przeniesiono bliżej, do Dölsach. Obecnie w Lienz założono wielką bazę końską i szpital weterynaryjny, gdyż znaczna część koni uległa zarazie świerzbu i nawet wypadło około dwieście sztuk zastrzelić. Tego wszystkiego dowiedział się Mitia, ale i jeszcze tego, o czym nie powinien był zapominać, co stanowić będzie najtrudniejszą przeszkodę w osiągnięciu zamierzonego celu. Tą przeszkodą była ludzka pasja do życia, do czepiania się jego skrawków, do trzymania deski ratunku w kurczowo zaciśniętym ręku i odpychania od niej każdego, kto by tę deskę mógł jeszcze uchwycić, a tym samym przeciążyć. Człowiek jest zdolny do wielu rzeczy w życiu normalnym, ale dopiero w ratowaniu swego istnienia okazuje pełną skalę wrodzonych możliwości. Nie dać sobie wydrzeć ochłapu: to znał dobrze Mitia z czasów sowieckich. O czym zapomniawszy, to była reguła, że najbardziej surowym i okrutnym w takich chwilach staje się człowiek właśnie w stosunku do siebie podobnych, czy bliskich. Przed obcym bo-

wiem nie odczuwa tego lęku. W stosunku do swojego, boi się natomiast, że drgnie mu serce, że zbierze się mu na litość, że ustąpi swego miejsca przy desce i ten pociągnie go w dół. Dlatego to, dla odpędzenia tych myśli i podobnych uczuć, stara się z góry opancerzyć tym większą wrogością wobec swojego. Takż i Kozak, z którym rozmawiał, opowiedział mu wprawdzie szczegóły, ale z twarzą coraz bardziej chmurną, a w końcu z wrogą intonacją w głosie uciał:

— Ale tobie nie ma się czego nawet nadziejać.

— Dlaczego?

— A dlatego, że naszych jest dość. Jak każdy z góry, z lasu zechce zlażyć i drugiemu życie odbierać to, bracie, nie jest żaden interes. To wtedy Angliki zaczną znowu przesiewać i bolszewikom wydawać.

— Ale przecież dali wam jakieś dokumenty?

— Nie — odparł ponuro. — Nie dali.

Okazało się, że przepustka jest nie imienna a zbiorowa. Że ma ją w rękę tylko uriadnik, którego wyznaczili starszym, a może także podchorąży, weterynarz w szpitalu. Mitia jednak nie odstąpił z powrotem w las, a dowiedział się, że zarówno uriadnik, jak weterynarz podchorąży jest jego znajomy z 5-ej sotni 1-go konnego.

Oto w jaki sposób po dłuższych staraniach udało mu się wreszcie wślizgnąć i zostać zaliczonym do stu dwudziestu uprzywilejowanych.

Wkrótce odprawiono ich do Villach, dla przyjęcia tam koni pozostałych po kawalerii węgierskiej, które również należało przypędzić do głównej bazy w Lienz. Na tej robocie minęło dwa tygodnie. Pewnego wieczoru, gdy siedzieli w grupie pięciu Kozaków, popijając angielską herbatę, jeden z nich poruszył ważny temat:

— No, jak myślicie chłopcy? Wyratują nam życie nasze wierne konie, czy też po skończeniu roboty i nam wypadnie w lasy uciekać?

— A czyż robota się kończy?

— Ciągle transporty koni odsyłają. Byłem wczoraj w Lienz. Oj, nie dużo już zostało.

— Dokąd?

— Diabeł ich tam wie dokąd. W każdym razie dla siebie zabierają; na zachód pędzą.

— Ludzi na wschód, a konie na zachód...

— Koni bolszewikom nie wydają.

— A ty coś myślał? Koń parę szterlingów wart. A ty ile? Funta starych kłaków z siodła, i tego dla nich nie wart.

Barczysty, z rudą, niegoloną brodą Kozak dolnego Donu wstał, przeciągając się, ziewnął głośno.

— Anglicy, oni naród rozsądny — powiedział, i wyszedł do ustępu.

W kilka dni po tej rozmowie zwołano Kozaków na apel. Przyszedł kapitan brytyjski i zapytał przez tłumacza:

— Czy są wśród was ludzie, którzy by chcieli wracać do Rosji?

— Milczenie.

— Nie ma? — spytał raz jeszcze.

— Tak jest. Nie ma nikogo! — odpowiedzieli zdyscyplinowanym chórem.

Kapitan kiwnął głową, wsadził trzymaną w ręku trzcinkę pod pachę i poszedł.

Minął jeszcze tydzień. Ostatnie transporty koni odprawiono na zachód. Pozostały tylko pojedyncze, najlepsze, wybrane przez oficerów sztuki. Znowu wezwano Kozaków. Oblicze tłumacza rozjaśnione było uśmiechem. Ludzie nie są źli; sprawia im przyjemność, gdy sprawiają komuś radość.

— Dobra nowina! — wykrzyknął. — Otrzymacie cywilne dokumenty i będziecie mogli szukać wolnej pracy!

— Hurra! Niech żyją Anglicy!



Lt.-Col. Malcolm, jako prawy i wytrawny żołnierz dbał o to, aby ludziom i oficerom 8-go Argyll batalionu nie zbywało również na rozrywkach w okresie dalekiego od domu postoju nad rzeką Drawą. Urządzano więc koncerty szkockiej orkiestry, zawody footballowe. Organizowano różne inne imprezy. Do najbardziej jednak reprezentacyjnych należały popisy i zawody konne. Wielu oficerów znało się na koniach i posiadało dobre oko w ich wyborze. W ten sposób nie uszły ich uwagi piękne kształty klaczy zwanej „Katińka”. Objeżdżał ją zwłaszcza Capt. Evatts, a później Capt. John de Burgh z 16/5 Lansjerów. Stała się też dumą batalionu i niebawem jego chlubą. „Katińka”

należała do jednego z kozackich generałów. I właśnie w czasie gdy generałów wieszano w Moskwie, Katińka na zawodach hippicznych w Austrii, rozegranych pomiędzy 46-tą i 78-mą dywizjami brytyjskimi, przyniosła barwom 8-go batalionu wielkie zwycięstwo. Ogółem zaś aż dziesięć pierwszych nagród.

Lt.-Col. Malcolm dumny był z tej zdobyczy swego batalionu. I niewątpliwie wielką osobistą zasługą pułkownika była troska, z jaką tę pełnej krwi klacz, w marcu 1948 przetransportowano do Poltalloch w Argyllshire, do stajni zarodowych.



Mitia został tedy na Zachodzie. Swoje ocalenie zawdzięczał koniom. Kiedyś powiedziano mu:

— Idź, ładuj konie z pierwszego pułku. Może swego zobaczysz.

Nie poszedł. Było mu przykro. Nie przyznał się tak samo jak inni, ale też było trochę wstyd obecnej roli jaką spełniał. Starał się go zagłuszyć, podobnie jak inni, w różny sposób. Przeważnie rubasznym zachowaniem, ordynarnym wyzwiskiem, czy dowcipem. Mieli też swoje rozrywki. Wprawdzie nie tak kulturalne jak żołnierze 8-go batalionu, ale też pod względem wyrobienia kulturalnego trudno się im było z nimi równać. Grali w karty, pili wino tanie w tym kraju, czasem wódkę, bardzo drogą. Próbowali nawiązywać znajomości z kobietami.

Gdy otrzymali dokumenty cywilne, po pierwszym wybuchu radości nie bardzo wiedzieli od czego zacząć. Przeważnie pociągnęli do obozów dla Displaced Persons, gdzie praktyka poniżenia wobec zwycięzców i wywyższenia ponad zwyciężonych wytwarzała specyficzny kompleks rozdwojenia, zadrażnionych ambicji, zgorzkniałych pretensji. W ten sposób nie zyskiwali sympatii ani wśród zwycięzców, ani zwyciężonych. Na zewnątrz uciekali się do retorycznych sloganów; w barakach dawali ujście złym humorom. Zaczęła się walka o byt, o wizy. Okres przypodchlebnych uśmiechów, fałszywych zeznań, fałszywych świadków, górnolotnych frazesów, przekraczania zakazów porządkowych i kurczowego trzymania obowiązującej linii politycznej.

Trzeba oddać sprawiedliwość, że Mitia, człowiek daleki od wzorów ludzkiego ideału, przy tym wychowany w największym ujarzmieniu indywidualnej myśli, niespodziewanie zachował więcej od innych niezależności osobistej, i nie poddał się psychicznemu totalizmowi nowej formy. A niebawem stwierdził, że przyszło mu to o wiele łatwiej niż się tego mógł spodziewać w ustroju zachodnich demokracji. Nie oznaczało to oczywiście, aby pozbył się kompleksu gorczy i sceptycyzmu. Pozwalał sobie po prostu posiadać własny pogląd na rzeczy i niejednokrotnie go wypowiadać. Zresztą może dlatego, że wcześniej od innych opuścił zbiorowisko „osób przeniesionych” i znalazł pracę prywatną nad brzegami Jeziora Bodeńskiego. W powietrzu łagodnym, przesyconym zapachem wody, jabłek i wysokogórskich powiewów alpejskich.

Dawno już nikt go nie nazywał Mitią. Raz dlatego, że mieszkał wśród cudzoziemców, a dwa, że spośród rodaków nie posiadał nikogo na tyle bliskiego, kto by się miał doń zwracać używając zdrobniałego imienia. Dla innych był za stary i „Mitia” brzmiałoby śmiesznie w stosunku do człowieka, którego skronie pokryła siwizna. Wśród swoich miał wielu znajomych, a że cieszył się poważaniem, więc mówiono mu zgodnie ze zwyczajem: Dmitrij Aleksandrowicz.

Później pracę wyrobniczą nad jeziorem Bodeńskim zamienił na bardziej intratną we Frankfurcie. Tam ożenił się, uzyskując przez to w posagu drobne, ale własne przedsiębiorstwo ogrodnicze (Mitia ukończył agronomię w zawodowej szkole zakładu poprawczego w Sowietach). W tym czasie zdarzyło mu się spotkać kilku spośród towarzyszy niedoli i podczas wspólnej biesiady wspominać, nie tak znów odległą, przeszłość nad Drawą.

Zazwyczaj mało mówny, pod wpływem wspomnień i wypitego alkoholu, usiłował dorzucić do gremialnej dyskusji coś z własnych przeżyć, które uważał za bardziej ważne. Raz i drugi próbował zabrać głos, a gdy go wreszcie uzyskał, rzecz dziwna: zaczął opowiadać fragment tak mało ważny, który dla czegoś utkwiał mu bardziej od innych w pamięci: Jak to, po spotkaniu z Kozaczką u gościnnego Bauera, szedł przez las, i jakie miał przygnębiające wrażenie, że sarna, czy nawet każdy napotkany ptak, uważają go za intruza, za wroga w tym kraju... Chciał z tego wy-

ciągnąć szersze wnioski, skonstruować niemal literacką metaforę, ale nie potrafił się wysłowić. I znów więc opowiadał o tym lesie, że szedł... Że wreszcie, no co tu gadać! Człowiek, zwierzę, czy ptak! Wszyscy tu nas uważają za obcych! Co tu gadać!... Był trochę podpity. Większość uznała jego opowiadanie za raczej nudne. Jeden tylko, z rudawą bródką, usiany zmarszczkami na twarzy, chudy, starszy już Kozak rodem z Ust-Miedwedicy, wsparł głowę na rękę, a palcami drugiej nerwowo przebiegał po blacie stołu. I wreszcie przerwał:

— Tak i tak. A jednocześnie: tak i nie.

— Jak: nie?! Czy po tym wszystkim co widzieliśmy i przeszli sami, możesz mieć jakieś złudzenia, albo nadzieję?

— A mogę.

— No to już bracie, tego... wiesz!

— A ty, Dmitrij Aleksandrowicz, nie gorączkuj się. Masz rację, owszem nie przeczę. Ale wysłuchaj i mojej. Ty mówisz: ptaki. A jaka różnica pomiędzy ptakiem i człowiekiem?

— Że ma ogon! — zaśmiał się któryś.

— Poczekajcie, ja mówię poważnie. Nie tylko, że ma ogon i że lata, bo ludzie dziś też latają. Ale, że do ptaka nie możesz przemówić. A do człowieka możesz: przemówić! Wytlumaczyć, a czasem i przekonać.

— Już my próbowaliśmy! Tam, nad Drawą, przekonywać!...

— Dmitrij Aleksandrowicz, nie gorączuj się. Ja nie mówię że od razu. Ja nie mówię że zawsze. Ale mówię, że taka możliwość jest. Z człowiekiem można pogadać.

— A po twojemu bolszewiki też ludzie?

— Ludzie.

— To idź, pogadaj z nimi.

Głośny wybuch śmiechu, o wyraźnym podłożu alkoholowego podniecenia, podtrzymał ostatnie słowa. Ale chudy, starszy Kozak o rudej, rzadkiej bródce, nie poddał się.

— Śmiechem — powiedział — wy mnie ust nie zamkniecie. Dmitrij Aleksandrowicz, ty bardzo ważne postawiłeś pytanie. Z bolszewikami gadać nie można, a fakt, że tacy sami ludzie jak my. Więc co z tego za wniosek? Dla mnie jasny: że nie ludzie winni, a ustrój. Ot i cała

filozofia. A także i całe porównanie z ustrojem poza sowieckim. Bo tu gadać wolno. A teraz widzisz różnicę?

— Gadać! Dużo ty, inni, mają z tego gadania!

— Dużo-niedużo, a od tego zależy wszystko. Nie od takiego, czy innego prawa do życia, a od prawa do gadania. Nie żeby zaraz skutek jaki był. Czasem lata przejdą, a czasem dużo lat. Ale ludzie spostrzegają swoje błędy, naprawiają swoje błędy. Nie od maszyn to idzie, bracia, nie od wynalazków takich czy innych. A od gadania. U nas stare przysłowie mówiło: „Język i do Kijowa doprowadzi”. To może przed bardzo dawnymi wiekami to przysłowie wymyślono, a Kijów znaczył w nim niby cel. Także samo i teraz: gadaniem, a w końcu dojdiesz do prawdy. Tą, czy inną drogą. Bo wolność gadania to znaczy wolność wyboru, żeby tam nie wiem jaka w tej chwili działa się krzywda, i komu. Ale gadać o niej wolno. Ot, co jest najważniejsze. Ale dopiero tam, gdzie gadać zabroniono, gdzie: nie-ma-gadania! Aaa... wtedy dopiero, bracia, nie można mieć nadziei. Wtedy dopiero: kajuk, kajuk... Oto dlaczego ja mówię, że...

Ale już mu przerwali nową gawędą i nowym wspomnieniem z ubiegłej wojny. I tak sobie pogadawszy do późna, rozeszli się do domów.

K o n i e c.

PRZYPISY AUTORA

Mimo ogłoszonych w tej sprawie publikacji i szkiców, dotychczas nie ukazała się na ten temat żadna wyczerpująca monografia, która by w sposób historycznie obiektywny przedstawiła przebieg wypadków, w ich całości. W tym miejscu ograniczę się wyłącznie do ogólnego zarysu.

Druga wojna światowa rozpoczęła się — dla narodów wschodniej Europy, nie objętych bezpośrednio zagrożeniem ze strony Niemiec — inwazją armii czerwonej i następną okupacją sowiecką. (Państw Bałtyckich, wschodniej części Państwa Polskiego, czyli krajów Zachodniej Białorusi i Ukrainy, oraz Besarabii). Z chwilą wybuchu wojny fińskiej, zimą 1939-1940, większość okupowanych, bądź zagrożonych przez bolszewików narodów, skoncentrowała swe nadzieje na Linii Mannerheima, oraz na spodziewanej pomocy dla Finlandii ze strony mocarstw zachodnich. Wszelako Linia ta została przez armię czerwoną przełamana, a spodziewana pomoc nie nadeszła. Natomiast rok 1940 przyniósł dalsze wzmocnienie Związku Sowieckiego, rozszerzenie okupacji bolszewickiej i ponurą rzeczywistość pod jarzmem tej okupacji. Wówczas nastąpiła radykalna zmiana nastrojów, i narody wschodnio-europejskie skupiły całą uwagę na możliwości konfliktu niemiecko-sowieckiego, przenosząc nadzieje wyzwolenia, z pokładanych dotychczas w mocarstwach zachodnich, na — Niemcy. Nadzieje te osiągnęły punkt szczytowy w dniu 22 czerwca 1941 roku, czyli w dniu wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej.

Od tej chwili wytworzyła się na wschodzie Europy sytuacja dosyć specyficzna. Mianowicie wszystkie narody „młode”, które można by scharakteryzować jako „chłopskie”, o stosunkowo świeżej tradycji demokratycznej, wzdłuż pasa od Oceanu Lodowatego aż do Morza Czarnego (Finlandia, Estonia, Łotwa, Litwa, Białoruś, Ukraina, Słowacja oraz Rumunia), opowiedziały się *raczej* po stronie niemieckiej. Natomiast dwa, o starej tradycji zachodnio-europejskiej, Polska i Czechy, *raczej* po stronie sowieckiej.

Wspomniane wyżej nadzieje pokładane w Niemczech doznały głębokiego rozczarowania, wskutek znanej polityki i metod hitlerowskich. Wszelako ta polityka i te metody nie wpłynęły na zasadniczą zmianę stanowiska narodów wschodnio-europejskich, które w dalszym ciągu za wroga numer 1 uważały bolszewików. Fakt powyższy wymaga szczególnego podkreślenia, oraz rozważenia pod kątem innego aspektu niż się to dotychczas popularnie czyniło. Albowiem czym bardziej odpychającą była polityka i metody hitlerowskie, tym bardziej unaoczniają, jak dalece spontaniczna, głęboka i szczerza musiały być nienawiść tych narodów do ustroju bolszewickiego.

Analogiczne stanowisko zajęła większość ludności w starych granicach Związku Sowieckiego, jakkolwiek nastąpiło tu znaczne rozwastwienie pogłębiające się z czasem w miarę odstraszących praktyk polityki hitlerowskiej na wschodzie. D. Karow, na podstawie

zgrupowanych przez Instytut Badań Historii i Kultury SSSR w Monachium materiałów, w znacznej części pochodzących ze źródeł sowieckich, daje następujący obraz tego rozwarstwienia na terenach okupowanych przez Niemców, jeżeli chodzi o ludność podstawową, a więc w pierwszym rzędzie wiejską: W obwodzie Białoruskim stronników sowieckich było 20%, obojętnych 29%, przeciwników ustroju bolszewickiego 51%. — Na Krymie: prosowieckich 9%, obojętnych 30%, antybolszewików 61%. — W obwodzie Leninradzkim: prosowieckich 14%, obojętnych 24%, antybolszewików 62%. — Na Ukrainie: prosowieckich 9%, obojętnych 10%, antybolszewików 81%. — W Północnym Kaukazie: prosowieckich 4%, obojętnych 20%, antybolszewików 76%. — W obwodach Dońskim i Kubańskim: prosowieckich 4%, obojętnych 9%, antybolszewików 87%. — Naturalnie w poszczególnych rejonach zachodziły pewne odchylenia w tę lub inną stronę. Tak na przykład podstawowa ludność tatarska, niektóre szczepy Kaukazu, albo Kałmacy nadwołżańscy, wykazywali do 100% nastawienia antybolszewickiego.

O ile spontaniczny partyzancki ruch antysowiecki nie da się ująć w konkretną cyfrę z braku ścisłych danych, o tyle znana jest liczba obywateli sowieckich, którzy wystąpili przeciwko bolszewikom po stronie niemieckiej w oddziałach mniej lub więcej regularnych. Nie od rzeczy może wypadałoby w tym miejscu wspomnieć, że propaganda sowiecka nadała ostatniej wojnie z Niemcami miano „ojczyznianej”, aby nawiązać w ten sposób do tradycji 1812 roku. Tymczasem już w roku 1943 ogólna liczba obywateli sowieckich, która w zwartych formacjach wystąpiła zbrojnie nie w obronie, a przeciwko „ojczyźnie socjalistycznej”, dwukrotnie przewyższała Wielką Armię Napoleona, osiągając prawie 1 milion. W następnym zaś 1944 roku, łącznie z ROA (Rosyjska Oswobodzicielska Armia) generała Własowa, wahała się od 1.200.000 do 1.600.000 ludzi. I to, fakt znamienny: mimo wyraźnych już wtedy niepowodzeń niemieckich i przewidywanej klęski Niemiec.

Stwierdzenie tych wszystkich faktów nie mogło oczywiście leżeć w interesie mocarstw zachodnich, związanych sojuszem ze Związkiem Sowieckim podczas wojny. Abstrahując już, że nie mogło, nie leżało i nie leży w interesie samego Związku Sowieckiego. Ale i po wojnie fakty te, do dziś dnia, z różnych względów, których omawianie zaprowadziłoby za daleko, nie są przyjmowane chętnie do wiadomości i traktowane przez opinię publiczną jako raczej drażliwe. Temu ogólnemu nastawieniu sprzyja jeszcze ta okoliczność, że większość przedstawicieli wschodnio-europejskich narodów na emigracji, wobec politycznego przetasowania frontów — słusznie dopatrując się w mocarstwach zachodnich jedynego dziś oparcia i sojusznika przeciwko Sowiетom — uważa niedawną swą przeszłość walki przeciwko bolszewikom u boku Niemiec, za epizod co najmniej wstydlivy, a kładzenie nań nacisku za co najmniej nietaktowne...

W ten to sposób nikomu dziś nie zależy specjalnie na oświeceniu obiektywnej prawdy. I historyczne doświadczenie ostatniej wojny, które wykazało olbrzymią szczelinę i głębokie rozwarstwienie imperium sowieckiego, przechodzi w niepamięć jako coś, czego nie było. A w każdym razie nie w tym stopniu i nie w ten sposób jak było naprawdę.

ŹRÓDŁA BIBLIOGRAFICZNE

- ARTEMJEW W.P., *Reżim i ochrona isprawiłelno-trudowych łagierej MWD.*, Monachium, 1956.
- CHURCHILL W., *The Second World War*, Londyn, 1952.
- DANIŁOW J.N., *Rossija w mirowoj wojnie 1914-1915*, Berlin 1924.
- DENIKIN A., *Kto spas sowietskiju włast od gibieli*, Paryż, 1937.
- GÖRLITZ W., *Der Zweite Weltkrieg*, Stuttgart, 1951.
- IRANEK-OSMECKI, *Przyczynki do powstania warszawskiego*, „Kultura”, Nr 11/73, Paryż, 1953.
- JAKONOWSKIJ E., „Kandel”, *Wozroźdienie*, zeszyt listopad-grudzień, Paryż, 1953.
- JAKOWLEW B., *Koncentracjonnye łagieri SSSR*, Monachium, 1955.
- KALINOW C., *Les Maréchaux Soviétiques vous parlent...*, Paryż, 1950.
- KAROW D., *Partizanskoje dwizenije w SSSR w 1941-1945*, Monachium, 1954.
- Kazaczij Istoriceskij Kalendar*, Ohio, USA, 1955.
- KIRIMAL E., *Der Volksmord in der Krim*, Institut zur Erforschung d. UdSSR., Sowjet Studien Nr. 1, Monachium, 1956.
- KLEIST P., *Zwischen Hitler und Stalin*, Bonn, 1950.
- KORJAKOW M., *Oswoboźdienie Duszi*, New York, 1952.
- KUTIEPOW (General), *Sbornik Statiej*, Paryż, 1934.
- LINKOW G., *Wojna w tyłu wraga*, Moskwa, 1956.
- LEWYCKYJ B., *Ukraincy o Powstaniu Warszawskim*, „Kultura”, Nr 6/56, czerwiec, Paryż, 1952.

- MACKIEWICZ J., *The Katyn Wood Murders*, Londyn, 1951.
- MALCOLM A.D., *History of the Argyll and Sutherland Highlanders 8-th Battalion*, Londyn, 1949.
- MANSTEIN E., *Verlorene Siege*, Bonn, 1955.
- MORA S., *Sprawiedliwość sowiecka*, Rzym, 1945.
- NAUMENKO W., *Sbornik Matierjałow o wydacie kazarow w 1945* (Odbitki hektograficzne. Zeszyt 1-11. Orangeburg, USA.
- KUBANSKIJ F., *Nie zabudiem! Nie prostim!*, Paterson, New Jersey, USA, 1956.
- ORTYNSKYJ L., *Prawda o ukraińskiej dywizji*, „Kultura”, Nr 11/61, listopad, Paryż, 1952.
- PLIEVIER T., *Moskau*, Monachium, 1952.
- Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej*, Tom III, Londyn, 1950.
- SZOŁOCHOW M., *Tichij Don*, Moskwa, 1941.
- THORWALD J., *Wen sie verderben wollen*, Stuttgart, 1952.

S P I S T R E Ś C I

Część I — JAK DO TEGO DOSZŁO

Rozdział **	9
Rozdział I <i>Rodzina</i>	13
Rozdział II <i>Mitia</i>	22
Rozdział III <i>Zbrodnie i kary</i>	39
Rozdział IV <i>Wielka radość</i>	53
Rozdział V <i>Wielki odwrót</i>	71

Część II — SPŁYNEŁO WODAMI DRAWY

Rozdział I <i>Z szablą w rękę</i>	95
Rozdział II <i>„Don Camillo”</i>	112
Rozdział III <i>Plöcken-Pass</i>	125
Rozdział IV <i>Czekolada dla dzieci i słowo honoru dla starszych</i>	138
Rozdział V <i>Wieczne pióro chorążego Jacenki</i> ..	159
Rozdział VI <i>„Konferencja”</i>	178
Rozdział VII <i>1-go Czerwca 1945</i>	187

Część III — AZJACI

Rozdział I <i>Wiedeń</i>	201
Rozdział II <i>Gemonia</i>	217
Rozdział III <i>Mediolan</i>	226
Rozdział IV <i>Święty Teodozjusz Czernihowski</i>	234
Rozdział V <i>Rzym</i>	244
Rozdział VI <i>Ludzie i konie</i>	254
PRZYPISY AUTORA	269
ŹRÓDŁA BIBLIOGRAFICZNE	271

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 5 MARS 1957
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD,
24, RUE STEPHENSON,
PARIS-18^e.

Doś W. Iwelowshiego